

„... i walczyć będzie brat przeciw bratu,
przyjaciół przeciw przyjaciołowi, miasto przeciw miastu,
królestwo przeciw królestwu”.
Księga Izajasza 19, 2



BERSERK

PAWEŁ MAJKA

FILM

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Cytat](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA: Zarażeni](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[CZEŚĆ DRUGA: Nietknięci](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[CZEŚĆ TRZECIA: Powarkiwania](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[CZEŚĆ CZWARTA: Noc](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[CZEŚĆ PIĄTA: Światła](#)

[Paweł Majka](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Spis treści](#)

[Karta redakcyjna](#)

PAWEŁ MAJKA

BERSERK

FILIA

SPISTREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Cytat

CZEŚĆ PIERWSZA: Zараżeni

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

CZEŚĆ DRUGA: Nietknieęci

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

CZEŚĆ TRZECIA: Powarkiwania

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

CZEŚĆ CZWARTA: Noc

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

CZEŚĆ PIĄTA: Światła

Paweł Majka

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

*... i walczyć będzie brat przeciw bratu,
przyjaciel przeciw przyjacielowi, miasto przeciw miastu,
królestwo przeciw królestwu.*

Księga Izajasza 19, 2

CZĘŚĆ PIERWSZA

Zarażeni

*I woke up and the world outside was dark
all so quiet before the dawn
opened up the door and walked outside
the ground was cold*

Peter Gabriel, *More Than This*

Rozdział 1

R A F A Ł

Po raz pierwszy spotkali się w dniu palenia ciał, gdy ciężki, tłusty dym nie chciał wzlatywać ku niewiele jaśniejszemu od niego niebu. Pełzł ku kamienicom rozgrzanym od ognia niczym ściany pieca, w który zmienił się cały Rynek Główny, przypominający teraz gigantyczne palenisko. Wieże kościoła Mariackiego wystawały ponad nie niczym kominy, a Sukiennice pośrodku pierścienia ognia piekły się jak prosię na ruszcie.

Dym nie spieszył się ku chmurom. Opornie wspinał się po ścianach kamienic. Zdawał się płynąć ulicami, na których kostka brukowa pękała od żaru. Ludzie przez kilka ostatnich dni znoszący tu trupy uciekali z Rynku niemrawo. Rafałowi, siedzącemu już chyba bezpiecznie, bo daleko, pod niegdysiejszym teatrem Bagatela, wydawało się, że część z nich waha się, czy nie pozostać wśród płomieni. Może lepiej było dołączyć do umarłych niż męczyć się z żywymi?

O ile Rafał wiedział, nikt nie kazał znosić zwłok na Rynek, układać je piętrowo, a potem wzmacniać wieże z gnijących ciał drewnianymi konstrukcjami. On sam przyłączył się do akcji

niemal spontanicznie. Wracając spod Wawelu, zobaczył nagle człowieka ciągnącego za sobą dwukołowy wózek, jakim zwykle posługiwali się złomiarze. Tyle że oni upychali na nim strzępy metalu, a nie martwych.

– Pomóż mi – poprosił mężczyzna. – Ledwie dycham.

– To po cholere to za sobą ciągniesz?

– Na Rynek.

– Po co? – Rafał zbliżał się do niego ostrożnie. Nie chciał dołączyć do zwłok na wózku. Nowy świat był wtedy jeszcze młody, mógł mieć zaledwie dzień albo dwa. Może odrobinę więcej. W tamtym czasie ludzie zachowywali się szczególnie dziwnie.

– Żeby je spalić, kretynie! Jeśli ich nie spalimy, wkrótce wybuchnie zaraza!

– Jesteś lekarzem?

– Nie. Ale nie jestem też idiotą. Pomóż mi!

Wbrew sobie Rafał chwycił wtedy za dyszel wózka. Przebudził się ledwie dwa dni wcześniej. Wciąż bał się wracać do domu i każdy pozór sensu wydawał mu się zbawieniem. Może inni czuli i myśleli tak samo i dlatego większość ocalałych szybko zabrała się za oczyszczanie miasta z trupów. Wydawało się, że nikt tym nie zarządzał. Uratowani działali, jakby mieli wspólny umysł. Kolejni i kolejni dołączali do zbieraczy zwłok. Znosili je na Rynek Główny. Tam inni ludzie, równie ubabrani i zmęczeni, pościnali już wszystkie drzewa. Wywlekli też z budynków drewniane meble, by układać z nich stosy wokół Sukiennic. Otoczony mitycznymi stworami Mickiewicz

przyglądał się im bez słowa. Być może, gdyby tylko potrafił, uciekłby stamtąd jak gołębie. Po raz pierwszy w historii wszystkie opuściły główny plac miasta.

– Czemu tam? – zapytał Rafał, gdy zrzucili ciała z wózka i zawrócili po następne. – Nie lepiej byłoby je powrzucać do Wisły?

– Zdaje się, że gorączka upiekła ci mózg – westchnął wózkarz, na oko zbliżający się do pięćdziesiątki, nieco grubawy, prawie łysy. – A może od zawsze byłeś taki tępy?

Rafałowi brakowało sił, by reagować na zaczepki. Właściwie to nawet podziwiał tamtego, że wciąż zostało w nim tyle ducha, aby kpić i obrażać ludzi. Pozostali napotkani zachowywali się jak duchy. Prawie się nie odzywali. Unikali patrzenia innym w oczy. Skupieni na pracy starali się nie zwracać uwagi na żywych. Najaktywniejsi spośród nich próbowali wśród trupów odnaleźć swoich bliskich. W daremnym wysiłku wędrowali między zwłokami. Przyglądali się zniekształconym twarzom, przesuwali jedne ciała, żeby odsłonić inne. Rzadko odnosili sukcesy.

– Jakbyśmy je wrzucali do Wisły, utknęłyby na pierwszej lepszej zaporze, durniu! – wyjaśnił nareszcie wózkarz, gdy doszedł do wniosku, że nie doczeka się odpowiedzi. – Woda znosiłaby je tam. Dziesiątki, może nawet i setki tysięcy ciał. Gniłyby sobie na kupie, a my pozdychalibyśmy od zarazy. Dlatego przynosimy je na największe place i palimy. Teraz rozumiesz?

– Największe place?

- Tak samo jest na Rynku Dębnickim, Podgórskim. W Hucie.
- Skąd wiesz?
- Byłem wczoraj na Dębnickim i Podgórskim. W Hucie nie. Ale jeśli trafił się tam choć jeden rozsądny człowiek, to na pewno jest tak samo.
- Sporo się nachodziłeś.
- Szukałem żony.
- Znalazłeś?
- Znalazłem. Przywiozłem ją na pierwszym wózku. No, nagadaliśmy się. Bierz tego trupa za nogi. I na trzy wrzucamy gościa na wózek. Raz...

Rafał nigdy nie dowiedział się, jak tamten miał na imię, choć pracowali razem przez trzy dni. Gdy poznoszono i pozwożono wszystkie ciała z okolicy, pomagali wspólnie układać je na stosach i obkładać kawałkami drewna. Potem oblewali to wszystko benzyną. A kiedy buchnęły płomienie, wózkarz uścisnął Rafała z niespodziewaną serdecznością, zawołał coś niezrozumiałego, po czym wskoczył w ogień. Rafał przyglądał się przez chwilę z obojętnością, która później nieco go zawstydziła, jak korpulentny mężczyzna miotał się w dziwnym tańcu. Tamten wrzeszczał, chyba nawet próbował wydostać się z ognia, ale zaplątał się w ciała, a może został schwytyany przez umarłych. Opadł na kolana, ciągle krzycząc i machając rękami, jakby to mogło ugasić płomienie. Konanie wózkarza niespodziewanie dodało Rafałowi energii; odwrócił się i uciekł od tego widoku, od żaru i smrodu.

Zapału starczyło mu, by dotrzeć pod Bagatelę. I właśnie wtedy, gdy leżał niemal całkowicie wyzuty z sił, pierwszy raz spotkał Lucynę. Dopełzła do niego na czworakach, wycieńczona jak on. Oparła się o ścianę obok niego, głowę wsparła na jego ramieniu. Włosy ukryła pod chustą, a usta zasłoniła starą maską przeciwsmogową. Długo nie mówili nic, tylko patrzyli na nieodległe płomienie. Rafał przestraszył się, że jeśli zasną oboje, mogą obudzić się już po tym, jak podstępny ogień wyrwie się z Rynku i otoczy ich. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że od tego gigantycznego stosu musiały zająć się kamienice tworzące ściany pieca, a za nimi kolejne. Dobrze, że przynajmniej Planty ogołocoło z drzew. Może ogień nie będzie miał po czym się przez nie przedostać?

Powinniśmy uciekać, pomyślał. Ale nie miał sił się ruszać.

Jakiś czas później Lucyna zdjęła maskę, przedstawiła się i zażartowała w dosyć niemądry sposób. Odpowiedział jej równie durnym żartem, zdziwiony, że znów znalazł do tego energię.

– Kiedy się ocknęłam i zaczęłam rozumieć, co się stało, głupia pomyślałam, że przynajmniej pozbędziemy się z Krakowa smogu – powiedziała, gdy już poznała jego imię. – A tu popatrz. Pierwsze, co zrobiliśmy, to na powrót napełniliśmy miasto dymem.

– Wiesz, jak długo to trwało? – zapytał.

– Podobno dziś jest dwunasty maja. Nie sprawdzałeś?

– Kiedy się ocknąłem... Nie, nie miałem czasu.

– Jesteś jednym z tych?

– Jednym z jakich?

– Z tych, co ocknęli się naprawdę. Świadomi, a nie otumanieni? Od razu zacząłeś działać?

– Nie wiem. Po prostu jakoś tak się stało, że od razu miałem coś do roboty.

– Szczęściarz. Ja godzinami siedziałam i gapiłam się przed siebie. Nawet gdy spadł deszcz. Trzy godziny przesiedziałam w ulewie, nie próbując się schować. Dopiero potem... Też zacząłeś od przepłukania ust?

Nie. On zaczął od zrobienia kroku w stronę tej dziewczynki, która zamiast uciekać, wpatrywała się w niego ze zdumieniem, strachem, ale i nadzieją. Kiedy ku niej ruszał, wydawało mu się, że wciąż nie myśli trzeźwo, że idzie, by ją dopaść, rozerwać na strzępy. Dopiero gdy upłynęły sekundy – dwie, trzy, może więcej, lecz niewiele, a on unosił rękę do ciosu, uświadomił sobie, że widzi ją naprawdę, że rozpoznaje w niej dziecko, że dostrzega w jej oczach niepokój. Zamiast więc ją zabić, przytulił ją i długo szlochali oboje. A potem to ona powiedziała, że muszą iść i że zna miejsce, w którym jest bezpiecznie.

Nie było. Nie dla niego. Ale, świadomie bądź nie, uratował ją i to dodało mu chęci do życia.

– Też zacząłem od wyczyszczenia ust – skłamał Lucynie. – Z krwi, chrząstek, strzępów ubrań. Z...

Wtedy pocałowała go, żeby przerwać tę wyliczankę.

Później spytała, czy nie jest głodny.

– Siedzimy tuż obok kebaba. – Uśmiechnęła się, zapinając bluzkę. – A w piwnicach była restauracja. Na pewno

znajdziemy coś do jedzenia. Musisz być co najmniej tak głodny jak ja.

Dopiero wtedy poczuł, że rzeczywiście był. Nie pamiętał, kiedy jadł po raz ostatni, i nie chciał sobie tego przypominać. Zeszli więc do piwnicy, do restauracji, gdzie spotkali już kilka osób, które wpadły na podobny pomysł. Znaleźli mięso, chleb, warzywa, owoce. Mnóstwo jedzenia, z którego znaczna część nie zdążyła się jeszcze zepsuć. Znaleźli piwo. Jedli, pili, śmiali się. Dołączyli do nich inni. Ludzie znów zaczęli patrzeć sobie w oczy. Tańczyli, wiwatowali. Spoglądającemu na nich Rafałowi zdawało się, że ocalonych musiało być więcej, niż przypuszczał. Zapelnili przecież całą, naprawdę sporą, piwniczną knajpę. Dopiero później zrozumiał, że w okolicy Rynku zeszli się ludzie z prawie całego miasta.

Gdy alkohol mocno szumiał mu już w głowie, Rafał znalazł w sobie odwagę, by wrócić do domu. Zgubił Lucynę w roztańczonym tłumie, ale nie zwrócił na to uwagi. Wyszedł z piwnicy.

Rynek wciąż płonął. Wiatr roznosił popiół po całym Krakowie. Miał opadać jeszcze przez kilka dni, zostawiając tłuste ślady na skórze, jeśli się z nią zetknął. Rafał długo przypatrywał się płomieniom. Nawet ze znacznej odległości czuł gorąc na twarzy. Trawiące dotychczasowe serce miasta płomienie niosły ognisty blask pod samo niebo, a ono odpowiadało im ponurą, brudną czerwienią. „Jakbyśmy wyrzucili gorączkę z siebie, by zarazić nią budynki i chmury. Próbujemy spopielić wszystko” – pomyślał Rafał. Pocieszył się myślą, że na szczęście jego dom

znajduje się po drugiej stronie Wisły. Jeśli Kraków spłonie, Podgórze ma szansę ocaleć. Wtedy przypomniał sobie, że według wózkarza taki sam stos płonął zapewne na Rynku Podgórskim. Zaklął i ruszył w drogę. Na wszelki wypadek nadłożył jej i powędrował wzdłuż Wisły, by trzymać się jak najdalej od stosu. W razie czego gotów był wskoczyć do rzeki i przepłynąć na drugi, bezpieczny brzeg.

Miasto nie spłonęło, ale w ciągu następnych dwóch dni ludzie przebudzili się ostatecznie. Wyrwani z letargu, znów myślący jak za dawnych czasów, rozpoczęli plądrowanie tego, co ocalało. Nowy świat zaczął się rodzić.

A teraz, ponad dwa miesiące później, Rafał zszedł na parter swojego domu-twierdzy, by za żelazną bramą chroniącą wejście ujrzeć Lucynę.

Wyszczupiała. Zapadnięte policzki wydłużyły i tak dość pociągłą twarz. Jej oczy wydały się Rafałowi większe i ciemniejsze niż w wieczór palenia ciał. Wyglądała na nie mniej zaskoczona od niego.

- Cześć. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – To naprawdę ty?
- Naprawdę ja. Szukałaś mnie?
- Nie ciebie. To znaczy, nie wiedziałam, że ciebie. Szukałam mężczyzny, który może mi pomóc. Który znajduje dzieci. To ty?

K A R O L

Nazywali go Kapitanem, a on pozwalał na to, choć nigdy nie służył w wojsku. No i można by znaleźć wyższe szarże. Tak się

jednak składało, że w historii ludzkości właśnie kapitanowie budzili nie tylko szacunek, ale i zaufanie. Policjanci, żołnierze, bohaterowie powieści, komiksów i seriali, dowódcy okrętów nosili to prestiżowe miano przez całe stulecia. Kapitan zawsze był kimś, do kogo można było się zwrócić w potrzebie. Nie niedosiężnym generałem, planującym zawsze w ramach wielkich strategii, ale prawie swojakiem. Karol pozwolił więc nazywać się Kapitanem i czerpał satysfakcję z tego właśnie stopnia. Tym bardziej, że nie było ponad nim żadnego majora ani generała. Kapitan okazał się najwyższą z funkcji.

Przez jakiś czas, na początku, było ich dwóch. Kapitan Karol i Kapitan Jerzy. Tamten mówił dużo więcej o przeszłości i przyszłości. Tej pierwszej nienawidził. Wobec drugiej miał plany. Potrafił przez całe kwadransy snuć opowieści o tym, jak dobrze stało się dla świata, że spadła nań gorączka, która wypaliła cały ten miniony syf. Tłumaczył (a Strażnicy słuchali go z rosnącą z dnia na dzień pogardą, z której nie zdawał sobie sprawy), że przed gorączką świat toczył rak, że wcześniej czy później musiało dojść do oczyszczenia. Mogła być nim rewolucja obalająca rządy arystokratów biurokracji i bankierów. Albo wojna, podczas której stałoby się jasne, kto jest śmieciem, a kto mężczyzną. „Czy jesteście śmieciem?” – krzyczał, a wtedy Strażnicy odpowiadali, że nie. Za każdym razem coraz niechętniej i ciszej.

Karol czuł wstyd, ilekroć przypominał sobie, że i on dał się na początku uwieść słowom Jerzego. To było w pierwszych dniach po przebudzeniu, kiedy jeszcze nie wszyscy ocknęli się do

końca. Prawie nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, jak będzie wyglądał świat, i chyba nikt się nad tym nie zastanawiał. Żywi snuli się między zmarłymi niczym zombi. Bezmyślni, puści, niezdolni do wykrzesania z siebie energii niezbędnej, by powrócić do prawdziwego życia. To Karol wymyślił, żeby pozbierać i spalić trupy. Potem prawie każdy przyznawał się do tego pomysłu. Ba, powstała legenda, że ludzie zrobili to jakoby zjednoczeni jedną myślą. Niektórzy, na przykład Jerzy, wysnuwali z niej szalone teorie o wspólnym umyśle ludzkości przebudzonym podczas gorączki.

Karol nie przejmował się tym gadaniem. Nie zależało mu na sławie. Grunt, by to, co powinno było zostać zrobione, zostało zrobione. Jediną satysfakcję odczuwał na myśl, że dzięki przemienieniu w stos Rynku Głównego, co znów było jego pomysłem, doszczętnie spłonęły Sukiennice. Nienawidził tego miejsca. Ostatnie, co pamiętał z poprzedniego życia, nim spadła na niego gorączka, to zmęczenie kolejnym nieznośnym dniem spędzonym za ladą stoiska z tandetnymi podróbkami broni i kozuchów wciskanymi turystom.

Jerzy nie przestawał gadać ani gdy grzęzli po kostki w zalegających na ulicach trupach, które stopień rozkładu uczynił na tyle miękkimi, że stopy mogły się w nich zapadać, jeśli człowiek na nie nastąpił, ani gdy układali je w stosy. Ale, zgodnie z prawami umarłej statystyki, w tym zalewie słów trafiło się w końcu coś, co miało sens.

„Ten ogień nas przebudzi” – oznajmił Jerzy, polewając fragment stosu benzyną z kanistra. „Teraz palimy i ostatecznie

zamykamy za sobą przeszłość. To pomoże nam ocknąć się naprawdę. Ułożymy sobie życie na nowo. I wiesz, co myślę? Że to oznacza wielkie gromadzenie zapasów!”

Karol, który był wtedy pod wrażeniem słowotoku Jerzego, spojrział na niego z podziwem. Kiedy on dumał o zapobieżeniu zarazie, ten gaduła wybiegał myślami daleko w przód. Dzięki temu rozpoczęli szaber, kiedy inni jeszcze przyglądali się otepiali ogniovi albo urządzali orgie w jego blasku. Gdy „nowa ludzkość” uświadomiła sobie, że trzeba mieć co jeść i w co się przyodziać, Karol z Jerzym dysponowali już całkiem niezłymi zapasami zgromadzonymi w prawdziwej twierdzy – w starym, otoczonym murem kościele na Kazimierzu, wraz z klasztorem. A między ich zdobyczami znalazła się także broń pozyskana z magazynów policji. Znowu dzięki Jerzemu, bo to on cały czas mówił o przyszłym znaczeniu uzbrojenia.

Pierwsi Strażnicy dołączyli do nich zainspirowani właśnie opowieściami Jerzego. Ludzie chętnie słuchali wtedy o przyszłości, nie odwracali się też od tego, kto tłumaczył im, że przeszłość była przeklęta i zasłużyła na swój los. Ocalałym podobało się każde usprawiedliwienie zdejmujące z nich poczucie winy.

I nagle Karol i Jerzy zostali we dwóch Kapitanami samozwańczych Strażników – milicji, która zajmowała się głównie sobą, ale robiła to pod sztandarami wielkich idei i planów Jerzego. Karol chował się przez ten czas w cieniu. Starał się dbać o to, by ludzie, którzy schronili się za murami kościoła Bożego Ciała, zyskali możliwie największe szanse na

przetrwanie. Jerzy budował dla nich poczucie wspólnoty i wskazywał świetlane cele, a Karol pilnował, by mieli szansę je realizować.

Z czasem Jerzy nabrał zwyczaju urządzania w kościele osobliwych nabożeństw. Zwoływał ludzi, kazał im śpiewać stare przeboje, w których przerabiał teksty. A potem wspinał się na ambonę, by wygłaszać z niej żarliwe przemówienia. Niemal zawsze traktowały one o zepsuciu starego świata. Jedni słuchali go z przejęciem, inni wzruszali ramionami i wychodzili. W końcu Jerzy prawie przestał opuszczać kościół. Słał z niego posłańców do Karola, który wolał mieszkać w jednej z cel opuszczonych przez zakonników. Jerzy przysyłał nowe rozkazy, nieświadomy, że już prawie nikomu nie chciało się ich wykonywać. Nie widzieli się z Karolem od trzech tygodni. W tym czasie Karol postarał się stworzyć porządną organizację wśród Strażników. Wybrał sierżantów, podzielił ludzi na mniejsze oddziały wyspecjalizowane w konkretnych zadaniach.

Coraz więcej ludzi przychodziło do niego, ale przy Jerzym została całkiem spora grupa wyznawców. Strażnicy Karola gardzili nimi coraz otwarciej. Zdarzyło się, że sponiewierali paru z nich. Karol kazał zatrzymać i wychłostać brutali odpowiedzialnych za napaść. Wyrok musiał wykonać sam, bo nawet wśród Strażników wielu nie otrząsnęło się jeszcze z wpływu gorączki. Myśl o skrzywdzeniu drugiego człowieka przyprawiała ich o mdłości. Wymierzając im chłostę, Karol zdawał sobie sprawę, że karze ludzi, którzy mogą się okazać

dla niego najbardziej przydatni. Porozmawiał potem z każdym z nich. Tłumaczył, czym różnią się swoi od obcych i że wobec swoich należy wykazać większą elastyczność. Wybaczać nawet pewne dziwactwa.

Tamtego dnia uświadomił sobie, że ludzie, którzy trafili pod jego opiekę, potrzebują symbolu. I że gadanie Jerzego coraz mniej przydawało się do czegokolwiek.

Odwiedził go więc. Wierzył, że może przekonać Jerzego, by ten spojrzął na rzeczywistość trzeźwiej, wykorzystał swój dar do napełniania Strażników nadzieją. Jego mistyczne gadki nie przydawały się na nic, stanowiły sztukę dla sztuki. Stratę czasu, na którą nie było miejsca wśród Strażników. To, co nie okazywało się użyteczne, musiało zniknąć.

Karol pchnął ciężkie drzwi, odsłaniając wejście do kościoła. Strażnicy, wzorem swojego Kapitana, zamieszkali w budynkach klasztornych, ale wierni Jerzego nie ruszali się ze świątyni. Tylko tam można ich było spotkać, nie licząc coraz bardziej zabiedzonych gońców przekazujących daremny bełkot swojego proroka.

Nim wszedł, zatrzymał się wstrząśnięty smrodem bijącym z wnętrza. Na zewnątrz zapach spalonych zwłok wciąż unosił się nad miastem, ale ludzie przywykli już do niego. Podobno w ciągu trzech dób spalili blisko czterysta tysięcy ciał na kilku stosach rozpalonych w całym Krakowie. Może była to prawda, może nie. W każdym razie zaraza nie wybuchła. Ciała wciąż palono, teraz przede wszystkim w piecach kombinatu Nowej Huty. Ich woń roztaczała się nad położonym w dolinie

Krakowem, w którym rzadko wiał wiatr. Stała się prawie swojska. Różniła się znacznie od mdląco słodkawego odoru przepelniającego kościół. Nikt tutaj nie mył się od dawna. Resztki jedzenia i śmieci pozrzucono na podłogę i pozostawiono na niej, by gniły. W samym sercu tak starannie odbudowywanego przez Karola porządku załęgł się czerw chaosu.

Zmarszczył nos. Skrzywił się. Ale wszedł do środka.

I zaraz prawie potknął się o czyjeś ciało, którego nie dostrzegł w panującym na obrzeżach kościoła półmroku. Schylił się przekonany, że znalazł zwłoki. Ale to tylko stara kobieta, która opadła z sił, leżała wtulona we framugę drzwi. Cuchnęło od niej niemytym ciałem, potem i moczem. Gdy Karol przezwyciężył wstret, chwycił ją i potrząsał, aż otworzyła oczy.

– Proszę... – szepnęła.

– Co ci jest? – warknął. – Jesteś chora?

– Słaba – wyskomlała. – Nie jadłam... od kilku dni.

Zaklął, raczej odruchowo niż z powodu prawdziwego gniewu. Powinien był go poczuć. Porzucono kogoś, komu gwarantował opiekę, marnowano człowieka mogącego przecież posiadać cenne zdolności. Jednak gorączka wypaliła w Karolu emocje. Nie potrafił już cieszyć się ani gniewać. Wewnątrz siebie czuł jedynie chłód, spokój pomagający mu zachować trzeźwość myślenia. Możliwe, że dlatego tak bardzo spodobał mu się Jerzy, który wręcz płonął od emocji i entuzjazmu. Karolowi długo wydawało się, że ktoś taki może okazać się dla niego niezbędny.

Ostrożnie pomógł kobiecie ponownie położyć się na podłodze. Zapewnił ją, że wróci z jedzeniem. Wstał. Rozejrzał się w półmroku, z rzadka rozświetlanym rachitycznymi świecami. Jaśniej paliły się tylko w jednym miejscu: w pobliżu ołtarza.

Jerzy siedział na nim po turecku, także zaniedbany i brudny, ale przynajmniej najedzony. Obok niego leżało kilka talerzy z resztkami jedzenia, naokoło ołtarza wały się śmieci. Ostatni wierni siedzieli na podłodze, bo prawie wszystkie ławy zostały porąbane na potrzeby stosu ułożonego na sąsiednim placu. Mężczyźni i kobiety, cuchnący i brudni, opierali się o siebie nawzajem. Niektórzy mamrotali odpowiedzi na kazanie Jerzego, kilku stać było wciąż na wydawanie entuzjastycznych okrzyków. A Jerzy, popijając czasem wodę z plastikowej butelki, jak zwykle opowiadał o starym zepsuciu i nowej chwale.

– Nie mieliśmy nic! – mówił teraz monotennie, prawie usypiająco, ale i hipnotyzująco. – Nie mieliśmy nic w starym świecie, w którym garstka była bogatsza niż miliardy. Gardzono nami, robiono z nas niewolników. Nikt nas nie słuchał, kiedy wycinano ostatnie lasy, kiedy dławił nas smog, kiedy deptano nasze prawa. I w ludziach rodził się gniew. Ale nie tylko w ludziach. Sama natura...

Przerwał, gdy Karol stanął przed nim, plecami do wiernych, twarzą do ich proroka.

– Wpadłeś wreszcie. – Jerzy uśmiechnął się krzywo. – Zapomniałem już, jak wyglądasz, bracie.

– O wielu rzeczach zapomniałeś. Na początek o mydle.

– Biurokratyczno-burżuazyjny przeżytek – roześmiał się Jerzy. – Teraz jesteśmy wolni. Brud to ziemia. Stajemy się bliżsi naturze.

– Zapomniałeś też o tamtej staruszce. – Karol wskazał skinieniem głowy kąt, w którym porzucono zagłodzoną kobietę. – Nie jadła od kilku dni.

– Kto? – Jerzy obrócił się, mrużąc oczy. – Nie widzę... Hej! – zawołał. – Czy ktoś wie, kto tam leży?

Odpowiedziało mu kilka sprzecznych pomruków. Wreszcie jakiś mężczyzna podniósł się ciężko z podłogi i poczłapał ku drzwiom. Tam nachylił się nad leżącą. Przyglądał się jej dłuższą chwilę, nim wyprostował się i zawołał:

– Krystyna! To Krystyna!

– Taka nieśmiała – przypomniał sobie Jerzy. – Cicha.

– Przysyłam wam jedzenie – przypomniał mu Karol. – Żebyście mieli co jeść. Ty i twoi ludzie.

– Jak ktoś chce, to ma. – Jerzy wzruszył ramionami. – To właśnie jest wolność.

– Kto tu rozdaje żarcie? Ty?

– Ja i moi porucznicy. Adam i Michał. Tym, którzy przyjdą i wyrażą chęć, żeby jeść. Nie odmawiamy nikomu głodnemu. Ale nie naruszamy niczyjej wolności.

Dwaj faceci siedzący u samych stóp ołtarza pokiwali entuzjastycznie głowami. Wyższy, lepiej zbudowany, zapewne w dawnych, podobno gorszych czasach korzystający regularnie z siłowni, był chyba jedynym człowiekiem w kościele, który próbował dbać o siebie. Sprawiał wrażenie niemal czystego.

Drugi, mały i chudy, był jego przeciwieństwem. Wyglądał niczym żywe wcielenie smrodu, bóstwo upadku.

– To twoi ludzie, Jerzy. Jesteś ich Kapitanem. A to znaczy, że powinieneś o nich dbać.

– Dbam! – zaperzył się Jerzy. – Każdy, kto zechce...

– A jak ktoś nie ma siły zechcieć? – ryknął Karol, gdy uznał, że wrzask robi większe wrażenie niż spokojna rozmowa. Niech myślą, że wpadł w gniew, niech opowiadają, co zrobił pod wpływem wściekłości. – Jak ktoś jest zbyt słaby, zbyt cichy, zbyt nieśmiały? To co, ma zdechnąć z głodu? Bo wstydził się poprosić o jedzenie?

– Jeśli nie umiał poprosić, to może nie zasługiwał? Karol, bracie, nie rozumiesz w pełni zasad nowego świata. Nie winię cię, jesteś z tych twardo stąpających po ziemi. Idee to nie twoja działka. Ale uwierz mi, to jest świat dla śmiałych. Jesteśmy wybranymi. Ilu ludzi zginęło podczas gorączki? Trzydzieści procent? Pięćdziesiąt?

– Wciąż nie wiemy. Nie było czasu na badania.

– Odpowiem ci: nieważne, ilu zginęło. Ci, którzy przetrwali, to zdobywcy. Zabijali, a nie byli zabijani. Pożerali, a nie zostali pożarci. Rozumiesz? Najtwardsi, o najlepszych genotypach. Prawdziwi dzicy. Jeśli nie mają jaj, żeby poprosić o jedzenie... To tylko dodatkowy odsiew. Dla dobra ludzkości.

Wtedy Karol wyjął z kabury swoją ulubioną broń – znaleziony w mieszkaniu jakiegoś kolekcjonera tradycyjny rewolwer, sześcioprowadkowy zabytek przy każdym strzale plujący ogniem, wzniesający masę niepotrzebnego dymu i traktujący rękę

solidnym kopem, od którego potrafiło zdrętwieć całe ramię. Karolowi to nie przeszkadzało. Człowiek powinien czuć, że strzela. Że użycie broni ma znaczenie i konsekwencje.

Nie należał do wprawnych strzelców. Ale nie mógł chybić z takiej odległości. Wystrzelił prosto w środek czoła Kapitana Jerzego. Nim jeszcze opadł dym i nim ktokolwiek zorientował się, co się stało, podszedł do każdego z poruczników i potraktował ich tak samo jak ich Kapitana. A potem schował rewolwer do kabury, wspiął się na stopnie ołtarza i za pomocą maczety – podstawowej broni Strażników, z którą nie wolno było im się rozstawać – odciął od karku Jerzego to, co pozostało jeszcze z jego głowy. I w tym nie miał wprawy. Musiał uderzać cztery razy. Po pierwszym ciosie ostrze utkwilo w kości i Karol przez kilkanaście sekund szarpał się, nim uwolnił broń i uderzył ponownie. Świeża krew wciąż jeszcze płynęła pulsującymi arteriami. Trysnęła na niego gorącym, jak mu się zdało, strumieniem, ochlapała twarz i ubranie. Wszystko to nie wyglądało godnie. Nie musiało.

– Przykazanie nowe daję wam! – wrzasnął na otępiałych, ogłuszonych jeszcze i wciąż oślepionych błyskami wystrzałów wyznawców zamordowanego proroka. – Macie dbać o siebie nawzajem! Troszczyć się jeden o drugiego! Wspierać upadających! A nie czekać łaskawie, aż ktoś wybląga waszą litość! Jesteście Strażnikami. Jesteście nimi, kurwa, albo wypierdalać!

Odwrócił się od nich i wciąż trzymając w lewej dłoni głowę Jerzego za włosy, wyszedł przed kościół, gdzie już zbiegali się zaalarmowani strzałami Strażnicy.

Cisnął czerep pod ich stopy.

– W kościele czekają zabiedzeni ludzie. Wyciągnąć ich stamtąd! – rozkazał. Mówił spokojnie, lecz stanowczo. – Umyć, opatrzyć, nakarmić. Nie krzywdzić. To wasi bracia z oddziału. Od tej pory macie tylko jednego Kapitana.

Nagrodzili go wiwatami. Przecisnął się między nimi, wrócił do zabudowań klasztornych, a tam ukrył się w jednej z toalet i długo wymiotował.

R A F A Ł

Zaprowadził Lucynę do kuchni w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Tam, gdzie kiedyś mieszkał z żoną i córką.

Gdy po raz pierwszy wrócił pod dom, przeszukał kieszenie lepiących się od zaschniętej krwi spodni. Znalazł klucze. Otworzył ciężką, żelazną bramę broniącą wandalom wstępu na przemienione w ogród podwórko, potem niewiele lżejsze drzwi klatki schodowej. Drzwi od mieszkania zastał otwarte. Może to on ich nie zamknął, może Aśka?

Na pewno nie Magda. Ciało córki leżało w łazience, w wannie. Dzieci, które nie ukończyły trzynastego roku życia, nie zostały dotknięte gorączką. Co nie znaczy, że były bezpieczne.

Prawie nie zwracał uwagi na smród. Przywykł do niego. Zbadał ślady ugryzień na mocno gnijącym już ciałku. Przez chwilę dziękował Bogu za to, że wydawały mu się zbyt małe, by mogły je zostawić jego zęby. Potem uświadomił sobie, że może to oznaczać, iż Magdę zabiła, a potem zaczęła pożerać Aśka. Płakał. Kłął. Spróbował poszukać odpowiedzi we wspomnieniach. Czy zarazeni pożerali się nawzajem od razu, czy dopiero gdy poczuli głód?

Ale kiedy gorączka odeszła, zabrała ze sobą pamięć o wszystkim, co działo się pod jej panowaniem. Wmówił więc sobie, że zarazeni zaczynali jeść swoje ofiary dopiero pod wpływem głodu. Może to Aśka zabiła Magdę, może zrobił to on sam. Ale na pewno nie... – Urwał, nawet myśleć o tym było mu trudno.

„To nie mamusia ci to zrobiła” – szeptał, znosząc córkę do ogrodu, by złożyć ją w wykopanym tam grobie. „To nie żadne z nas”.

Na Rynku Podgórskim wciąż płonął wtedy lokalny stos, Rafał jednak nie chciał ofiarować ciała Magdy płomieniom. Niech pożerają innych, obcych. Niech dołączą ich do niekończącego się popiołu, który unosił się ku coraz ciemniejszym chmurom, odbijał od nich i wracał na ziemię, czasem zmieszany z deszczem, czasem samotny. Ale jeśli kiedyś Aśka wróci do domu, Rafał pragnął zaprowadzić ją na grób Madzi.

Oprócz córki wrzucił do dołu wszystkie zdjęcia, jakie znalazł. Nie zebrał ich wiele. Byli z Aśką dziećmi cyfrowych czasów. Przechowywali fotografie na zewnętrznych i wewnętrznych

dyskach, nie na papierze. Teraz, gdy zniknęła elektryczność, cyfrowe dane praktycznie przestały istnieć.

Trzy dni później wrócił Tomasz, sąsiad spod jedyńki. Od tamtej pory mieszkali w bloku we dwóch. Nikt inny nie powrócił. Z czasem przestali wierzyć, że ich żony mogą jeszcze się odnaleźć.

Rafał zaprowadził Lucynę do mieszkania na pierwszym piętrze. Tego, w którym niegdyś mieszkał z rodziną. Zagotował wodę na dość prymitywnym piecu znalezionym w piwnicy jednej z okolicznych kamienic. Nieforemny sześciokąt nakryty grubą, lecz miejscami powyginaną blachą uznali z Tomaszem za jeden z cudów świata. Wywalili z kuchni Rafała kuchenkę, poprzesuwali meble tak, by postawić piec jak najbliżej okna. Z rur ciągnących się od piecyków gazowych w kuchni i łazience sklecieli coś w rodzaju komina, którego wylot wystawał przez kuchenne okno. Gdy wtedy skończyli pracować, upili się, wznosząc toasty na cześć starego budownictwa i wychowanych w komunie ludzi, przyzwyczajonych, że trzeba chomikować co się da, bo wszystko może się przydać.

– Jaką chcesz herbatę? – zapytał Lucynę przyglądającą się z zadumą piecowi. – Owocową? Zieloną? Czarną? Może wolisz kawę?

– Masz niezłe zapasy.

– Nie najgorsze. Słyszałem, że podobno zginęło blisko pięćdziesiąt procent ludzkości. Moim zdaniem znacznie więcej. Do tego bloku wróciło nas dwóch. Widziałas te wszystkie kamienice naokoło. W sumie mieszka w nich teraz nieco ponad

dwadzieścia osób. Nawet nie bardzo musieliśmy walczyć, kiedy opróżnialiśmy sklepy i knajpy. A jak jest u ciebie?

– Podobnie. Zrób mi owocowej... Malinową?

– Mam i malinową. Chcesz do niej cukru?

– Ile tylko zmieścisz. Wiesz, straty w miastach musiały być większe niż na wsi. W pierwszych dniach walczyły tutaj ze sobą całe tłumy. Widziałeś galerie handlowe?

Widział. Stosy ciał zalegały tam na zastygłych ruchomych schodach, w roztrzaskanych witrynach mniej i bardziej luksusowych sklepów. Choć media, zanim zamilkły, ostrzegały, by nie wychodzić z domów, pół miasta wybrało się na ostatnie zakupy. Kiedy na tłoczących się w galeriach handlowych klientów spadła gorączka, zmienili się we wściekłą tłuszcę pogrążoną w szalonej walce. Patrząc na górę ciał uśmierconych w trakcie gwałtownych zmagania, można się było wiele nauczyć na temat gorączki. Każdy walczył z każdym. Przegryzali sobie gardła, wydłubywali oczy. Ale nie byli tępymi zombiakami z filmów. Używali narzędzi. Korzystali z noży, z kawałków szkła, nawet jeśli ranili sobie nimi dłonie. Z szali i pasów, którymi starali się dusić równie oszalałe ofiary. Szczyrzyli zęby w furii, ich usta pokryte były krwawą pianą. Ale nadal potrafili myśleć, choć jedynie w prymitywny, ukierunkowany wyłącznie na zabijanie sposób. Mimo wszystko pozostało w nich coś z ludzi, choć skupionych tylko na jednym celu.

– Czyściłem je z ciał. Przynajmniej, dopóki się nie poddaliśmy i nie puściliśmy wszystkiego z dymem.

– Wielkie marnowanie zapasów. Ale nie myśleliście wtedy o tym, co?

– Chyba o niczym nie myśleliśmy. Chcieliśmy jak najszybciej pozbyć się zwłok. Ty nie?

– Ja też. – Przyjęła z jego dłoni kubek. Syknęła i uśmiechnęła się przepraszająco. – Odwykłam od gorących płynów – wyjaśniła.

– Nie masz pieca? Albo dostępu do ognia? Do jakiego plemienia należysz?

– Chyba do żadnego. O ile nie istnieje plemię samotników.

Nie powiedział jej, że jego zdaniem tacy jak ona nie przeżyją długo. Nawet on, choć wzbraniał się przed tym, dał się namówić Tomaszowi na współpracę ze Strażnikami. Pomagał im transportować ciała do Huty, a oni w zamian za to nie czepiali się go. Gdy nachodzili go ich poborcy podatkowi, pokazywał im prymitywną naszywkę przedstawiającą głowę nabitą na górne ramię krzyża – herb Strażników. Można go było zdobyć, pracując dla nich albo zabijając kogoś, kto dla nich pracował. A choć pierwszy szok po gorączce minął, większość ludzi wciąż nie spieszyła się do zabijania nawzajem. Nadal zbyt wielkie było poczucie winy wśród tych, którzy przeżyli.

– Może gdzieś wśród Nomadów? – udał zainteresowanie.

– Żartowałam. Ale sporo jest takich jak ja, którzy nie chcą być Strażnikami, Nomadami, Pokutnikami...

– Nie wiem, czy tak się da.

– Zostało nas tak niewielu. Musimy od razu zapisywać się do jakichś partii? Ty należysz do którejś? Widziałam tu na domach znaki i Pokutników, i Strażników.

– Odwałam swoją pańszczyznę dla Strażników. Mam dzięki temu spokój. Nomadzi się ich boją, Pokutnicy też.

– Ale poza tym szukasz dzieci? – upewniła się.

– To niezupełnie tak. Mam z bachorami układ. Co oznacza tyle, że nie strzelają, gdy tylko mnie zobaczą. Mogę więc podejść na Wawel i zadać im kilka pytań w zamian za dary. Ale nie wpuszczają mnie do środka.

– Więc możesz więcej niż ktokolwiek inny.

– Fakt.

Gdy tylko ukryte w wawelskiej twierdzy dzieciaki dostrzegały kogoś dorosłego zbliżającego się do nich, natychmiast sięgały po łuki i kusze. Niejeden zrozpaczony rodzic szukający swojej pociechy zginął pod murami zamku bądź w pobliżu innych dziecięcych fortów. Bachory nie przyjmowały do wiadomości, że gorączka minęła. Traktowały każdego dorosłego jak zarzonego mogącego w dowolnej chwili zamienić się w bestię.

Rafałowi odpuszczały dzięki Kaśce – dziewczynce, która sądziła, że wyłonił się z mgły, by uratować ją przed oszalałymi. Po tym, jak odprowadził ją pod Wawel, nieświadomy, że celuje w niego kilkadziesiąt kusz i łuków, opowiedziała wszystkim, jak ją uratował. Przeżył wtedy, bo szli razem. Coś takiego nie zdarzyło się wcześniej. Nie zabiły go, ale też nie wpuściły do środka. Opowieść Kaśki chyba zrobiła na nich wrażenie, bo gdy wrócił tydzień później, znów darowały mu życie.

Odtąd odgrywał rolę handlarza. Ludzie z całego miasta przychodzili do niego, by pytać o losy swoich pociech. On zbierał rzeczy, które mogły się przydać dzieciakom, i szedł pod Wawel. Jeśli tam nic nie wiedzieli, Kaśka wychodziła, by towarzyszyć mu w wędrówce do kolejnej dziecięcej twierdzy – fortu Benedykta nieopodal kopca Kraka albo szpitala na Prokocimiu. Gdy się zbliżali, Kaśka brała Rafała za rękę, by dzieci widziały, że jest niegroźny. Z czasem rozpoznawały go i tam, ale i tak ufały mu tylko, jeśli przychodził z małą.

– Chcesz, żebym znalazł twoje dziecko? – zapytał.

– Mam zdjęcia. – Sięgnęła do plecaka porzuconego pod stołem.

– Iza. Dwanaście lat. Nie znalazłam jej ciała.

– Twoja córka?

– Siostra. Nasz tata... powiedzmy, że zaszalał z młodszą drugą żoną.

Wziął do ręki kilka fotografii przedstawiających krótko ostrzyżoną szatynkę o wąskich, nieco skośnych oczach. Nie wydała mu się podobna do Lucyny, ale co on tam wiedział. Gdy rozmaite ciotki odwiedzały Aśkę i jego, by napatrzeć się na Magdę, wydawały niepodważalne wyroki dotyczące podobieństwa dziecka do setek krewnych. On z trudnością dostrzegał w twarzy córki odbicie własnej.

– Nie widziałem jej nigdzie – oznajmił. – Ale to nic nie znaczy. Nie wpuszczają mnie do twierdz.

– Poszukasz jej dla mnie?

– To nie takie proste. Muszę mieć dla nich coś, co im się przyda. Chętnie przyjmują jedzenie. Nasiona. Plastikowe butelki. Książki.

– Książki?

– Najchętniej beletrystykę, albo coś o podróżach. Egzemplarze pism podróżniczych. Wezmą też lekarstwa. Albo stal, noże, cokolwiek, co mogłyby przerobić na broń. Jeśli przyjdę z pustymi rękami, wyśmieją mnie. A ja nie będę uszczuplał własnych zapasów. Rozumiesz?

– Rozumiem. Przyniosę, co się da.

– Lepiej nie. Pójdę z tobą, gdy będziesz gotowa. Samotna kobieta objuczona tobołami to wymarzony łup dla Nomadów albo Pokutników.

– Nie jest aż tak źle...

– Ale możesz mieć pecha. I stracić cały towar tylko dlatego, że nie zadbałaś o bezpieczeństwo.

– Dobra. Pójdiesz ze mną. A potem ja z tobą.

– Nie.

– Muszę! Przecież...

– Nie! – przerwał jej stanowczo. – Ciebie zabiją, a mnie przestaną ufać. Dajesz mi towar, ja zanoszę go dzieciakom, pytam o informacje. Jeśli nie ma jej na Wawelu, będę musiał pójść do innych. Znowu z fantami. Znowu bez ciebie. To podstawowa zasada. Rozumiesz?

– Oczekujesz ode mnie sporej dozy zaufania.

– Niczego od ciebie nie oczekuję. Za to ty ode mnie sporo. Zrozumiałaś?

Potrzebowała chwili, by to przemyśleć.

– Zgoda – powiedziała wreszcie. – A co ty będziesz z tego miał?

– Wybiorę sobie coś z fantów. Jeśli będzie tego niewiele, popracujesz u nas w ogródku.

– Tyle? Nie chcesz...

– Nie.

– Na pewno?

– Seks pomaga się rozmnażać, ale przeżyć... już niekoniecznie. Jest bezwartościowy.

– Jesteś chyba jedynym facetem, który tak uważa! – prychnęła. – Powinnam ci dać w gębę!

– A to coś zmieni?

– Nie.

– Więc mamy umowę?

– Jak często odnajdujesz zaginione dzieciaki? – zapytała jeszcze.

– Prawie nigdy. Jak dotąd znalazłem sześcioro. Na prawie czterdzieścioro, których szukałem. Posłuchaj, Lucyna, fanty stracisz tak czy tak. A nawet jeśli znajdę tę Izę, może się okazać, że nie będzie chciała wyjść. Z tych sześciorga tylko dwoje się na to zdecydowało. Zastanów się.

– Słyszałam inne opowieści.

– Opowieści! – Pokręcił głową. – Ludzie ciągle zmyślają, wyolbrzymiają. Chyba tego potrzebujemy. Wiesz, tych wszystkich opowiadań o świecie innym niż jest, lepszym. Znalazłem sześcioro dzieci, Lucyna. Bo nie przetrwało ich

wiele. Nie bez powodu się nas boją. Wyobraź sobie, że jesteś ośmiolatką, którą niespodziewanie atakują rodzice. – Głos mu zadrżał. – Kochana mamusia próbuje zatłuc cię popielniczką, a tatuś leci już na ciebie z siekierą. Jak szybko zrozumiesz, że musisz wiać? Większość zginęła, nim pojęła, co się dzieje. Inne przepadły podczas ucieczki przez miasto, w którym sześćset tysięcy oszalałych dorosłych polowało na wszystko, co żyje i zabijało się nawzajem. Przed gorączką mieszkało tu jakieś sto tysięcy dzieci. Na moje oko ocalało ich może czterysta. Wiesz, jakie są szanse, że znajdziesz tę swoją Izę?

Zacisnęła pięści.

– Muszę spróbować – oświadczyła tym dziwnym tonem, który słyszał już nie po raz pierwszy u zdesperowanych rodziców. Dzieci stały się dla nich sensem życia. Daliby się zabić, byle tylko dowiedzieć się, że przeżyły. A przede wszystkim upewnić się, że nic nie zdołali im zrobić. Że należeli do tym mamusi i tatusiów, którym nie udało się zabić własnego dziecka.

– Dobrze. Poszukam jej. Ale nie nakręcaj się. Szanse są prawie zerowe. Tych sześcioro, które znalazłem, to jak cud.

– Na nic innego nie liczę – odparła, rozluźniając się nagle. Jakby cud był dla niej czymś oczywistym, graniczącym z pewnością powodzenia.

Rozdział 2

KAROL

Nocami śnił o gorączce. Znów biegł ulicami Krakowa, reagując gwałtownie na każdy ruch, jaki udawało mu się dostrzec. Jeśli sen dotyczył pierwszych dni, natychmiast w nim atakował. Jeśli wydarzenia w majakach wiązały się z ostatnimi tygodniami gorączki, przyczajał się. Zresztą wtedy polowali już w grupie, dziwacznej sforze, w której wszyscy byli gotowi rzucać się sobie do gardeł, jeśli nie ścigali jakiejś ofiary.

Wydawało mu się, że w snach widział lepiej, dokładniej. Umysł bez trudu ignorował zbędne szczegóły, skupiając się na tym, co najważniejsze: na przetrwaniu. Potrafił myśleć, choć tylko o szansach i zagrożeniach. Na głód reagował instynktownie, szukając czegoś do upolowania. W snach nigdy nie jadał padliny. Było mu jednak wszystko jedno, czy zabijali ludzi, czy zwierzęta. Byle mordować. Podczas polowania i walki ogarnięty gorączką umysł wchodził na nowy, wyższy poziom. Karola ze snów przepełniała wtedy euforia, uczucie tak cudowne, że po przebudzeniu z trudem potrafił je sobie przypomnieć. Znalazł odpowiednie dla niego słowo: ekstaza. Nie umiał jej porównać z jakimkolwiek uczuciem. Może dlatego po wyzdrowieniu przestał czuć cokolwiek? Nic nie dorównywało dzikiej, pełnej furii radości ze snów.

Czy naprawdę tak wyglądała gorączka? O ile Karol wiedział, nikt jej nie pamiętał. A w każdym razie nikt nie przyznawał się do takich wspomnień. Ludzie starali się nie rozmawiać o szale, który zmienił ich w bestie. W pierwszych tygodniach po przebudzeniu spotykało się jeszcze nielicznych, wciąż ogarniętych tym, co czasem nazywano berserkiem. W takich przypadkach ludziom udawało się przewyciężyć niechęć do przemocy. Zabijali chorych najszybciej, jak potrafili. O ile było to możliwe – na odległość, by znów się nie zarazić. Ponieważ nikt nie wiedział, jak roznosiła się choroba, zabezpieczano się przed nią na wszelkie sposoby.

Czy Karol mógł okazać się jednym z nie do końca przebudzonych? Czy choroba wciąż tliła się w nim, zaległa się w jego umyśle i tylko czekała na okazję, by ponownie nad nim zapanować?

A może powoli do wszystkich wracały wspomnienia z okresu gorączki, ale bali się do tego przyznać?

Kiedys mógłby o tym porozmawiać z Jerzym, lecz sam odebrał sobie taką możliwość. Czaszka dawnego Kapitana Strażników od ponad miesiąca tkwiła wbita w krzyż na dachu kościoła. Karol nie kazał jej tam umieszczać, ale awansował mężczyznę, który to zrobił.

Jedynym człowiekiem, z którym mógł porozmawiać prawie normalnie, był ich młodszy lekarz, Radek. Prócz niego był jeszcze ten ocalały cudem, drobny i chudy kapral Kruchy, który wspaniale potrafił słuchać. Ale odpowiadać nie umiał. Podczas spotkań z nim Karol wygłaszał monologi niczym Jerzy, mniej

jednak natchnione i dotyczące najbliższych zadań. Kruchy wysłuchiwał poleceń, wypełniał je co do joty, a potem składał sprawozdanie. Należał do najlepszych ludzi Karola, również dlatego, że potrafił samodzielnie myśleć i podejmować decyzje. Lecz rozmówcą był fatalnym.

Doktor, stosunkowo młody facet, ledwie po studiach i krótkim stażu na pogotowiu. Jeden z nielicznych ocalałych lekarzy w mieście. To prawdziwy cud, że Strażnikom udało się znaleźć aż dwoje.

Karola wciąż zdumiewało, jak selektywna okazała się śmierć podczas gorączki. Wydawało się, że kostucha celowo wybierała na swoje ofiary fachowców. Inżynierowie, lekarze, rzemieślnicy stali się zawodami na wymarcu. Wśród ocalałych najwięcej było przeciętnych Kowalskich, nieznających się na niczym przydatnym. Kapitan Strażników wzdragał się przed doszukiwaniem się celowości w gorączce, zbyt pachniało mu to mistycyzmem Pokutników. Może jednak Jerzy miał trochę racji? Może społeczeństwo sprzed gorączki pełne było ludzi przyuczonych do zawodów niezbędnych jedynie w cywilizacji istniejącej głównie po to, by zaspokajać samą siebie? W Krakowie niegasnących stosów doświadczenie zawodowe barmanów, sklepikarzy czy prawników nie przydawało się na wiele. Kompletnie nieprzydatni okazali się bankierzy i większość urzędników. Wśród Strażników znalazło się trzech sprzedawców butów, ale ani jeden szewc. Kapitan oddałby wszystkich trzech za szewca. I dorzuciłby do nich dwóch pracowników banków, kelnera oraz cztery specjalistki od

zmieniania kobiet w seksbomby. Jedynie ludzi znających się na budowlance mieli prawie wystarczająco wielu.

Cholera, spustoszyłby pół miasta dla szewca. Ogołocili wprawdzie zapasy butów w trzech ocalałych galeriach handlowych, ale co będzie za trzy lata? Za pięć? Nie jeździli teraz samochodami ani tramwajami, obuwie musiało zużywać się szybciej. Na szczęście Karol pomyślał o zagarnianiu rowerów, skąd tylko się dało. A mechanizmy rowerów były w większości do ogarnięcia przez dyletantów.

Po mieście wciąż kursowały auta. Strażnicy starali się tego zabraniać, ale ich władza nie rozciągała się na cały Kraków. W Nowej Hucie na przykład tamtejsze dowództwo uważało, że można marnować resztki zapasów benzyny, pod warunkiem że dla pożytku publicznego. Z kolei Nomadzi otwarcie ignorowali dyrektywy Strażników i starali się korzystać z samochodów i motocykli tak długo, jak tylko było to możliwe.

Nomadzi bywali przydatni, nawet Karol musiał to przyznać. Jeździli między miastami i przynosili wieści ze świata. W większości z nich sytuacja wyglądała podobnie jak w Krakowie. Rząd upadł, stare władze też. Nie istniała armia ani policja, funkcjonowały tylko samozwańcze milicje na kształt Strażników. W Warszawie zginęło więcej osób niż w Krakowie, we Wrocławiu mniej. Podobno w Rosji i na zachodzie wybuchały elektrownie jądrowe, których nie miał kto obsługiwać. Nikt nie ostrzegał przed wiatrem niosącym chmury radioaktywnego pyłu, bo nie istniały już mass media. Choć wielu dziennikarzy musiało przetrwać, bo wśród

Strażników znalazło się aż dwóch. Jeden nawet zwrócił się do Kapitana z prośbą o stworzenie gazety. Karol wyśmiał go. Nowa ludzkość nie potrzebowała pismaków. Nie teraz.

– Mógłbym spisać kronikę Strażników – zaproponował więc tamten. – Zachować pańskie czyny dla potomności.

– Nie potrzebuję tego – odparł szczerze Karol i kazał wziąć mu się do jakiejś sensownej roboty. W tym wypadku oznaczało to kopanie latryn. Woda przestała płynąć wodociągami i trzeba było wrócić do starych metod.

W końcu zatrudnił dziennikarza w funkcji kancelisty i rachmistrza. Musieli przecież spisywać zużycie żywności i sprzętu, oceniać zapotrzebowanie na przyszłość. Awansował niedojdę, który – jak się okazało – nie miał pojęcia o posługiwaniu się łopata. A potem i tak był zmuszony dać mu do pomocy jedną z kobiet, księgową. Jakoś radzili sobie we dwoje. Od kobiety, Anki, Kapitan dowiedział się, że tamten potajemnie pisał tę swoją kronikę.

Niech ma. Kiedyś Karol ją przeczyta. I zapewne spali. Nie był pewien, czy chce, by go zapamiętano. Uważał, że historia jest ważna, jeśli patrzeć na nią przez pryzmat procesów i ich dynamiki. Ale komu potrzebne są nazwiska ludzi, którzy akurat znaleźli się na właściwym miejscu, by czegoś dokonać? Istniały setki, jeśli nie tysiące osób gotowych zająć ich miejsce, by wykazać się podobnymi zdolnościami bądź okrucieństwem. Nazwisko to tylko określenie przypadkowej jednostki. Nie znaczy nic. Jedynie wydarzenia, zmiany i rządzące nimi zasady miały znaczenie.

Odłożył raport sporządzony przez sierżanta trzeciego plutonu, Giętkiego. Wielu spośród Strażników odrzucało stare imiona i nadawało sobie przezwiska. Nienawiść do przeszłości przetrwała pomimo śmierci Jerzego i na dobre zakorzeniła się wśród nich. Karol nie starał się jej wyplenić. Wciąż podobało mu się jedno z haseł niespełnionego proroka: „Żyjemy teraz! Nie wczoraj, nie pojutrze. Teraz”. Choć o przyszłości Kapitan czasem myślał, ale tylko w kontekście planowania. Co trzeba zrobić teraz, by przetrwać jutro – to było najważniejsze.

Zszedł na parter do lazaretu. Lekarz siedział przy wychodzącym na podwórze oknie, czytając jakąś książkę. Należał do tych, którzy nie wyparli się imienia i wciąż kazał się nazywać Stefanem. Strażnicy mieli jego zachcianki gdzieś i zwracali się do niego wyłącznie per Doktor.

– Jakiś poradnik? – odgadł Karol. Doktor tak przejął się swoją rolą, że każdą wolną chwilę poświęcał na podnoszenie kwalifikacji. Przy czym to ostatnie rozumiał w bardzo szeroki sposób. – Podręcznik?

– Stary zielnik z biblioteki mnichów. Wśród roślin można znaleźć lekarstwo na praktycznie każdą uleczalną chorobę. Tylko nie wiem, czy choć połowa tych roślin w ogóle rośnie w okolicy.

– Ciągłe gromadzimy nasiona. Dałem też znać Nomadom, że możemy być zainteresowani zielskiem przywożonym z za miasta. Będziesz miał swój ogródek.

Strażnicy zrywali asfalt i chodniki na całym terenie wokół klasztoru. Zostawiali tylko wąskie pasy jednego lub drugiego,

by wciąż dało się po nich szybko przemieszczać. Starali się jednak odsłaniać jak najwięcej ziemi, by wykorzystać ją pod zasiew. Z pozyskanego budulca wznosili kolejne kręgi umocnień, powiększając tym fortecę. Kapitan nie miał pewności, czy to wciąż nie za mało. Rozważał wyburzanie budynków, by zwiększać rozmiary przyszłych pól. Przetrzebiona ludzkość nie potrzebowała już tylu domów.

Na razie nie sadzili wiele. Rolnictwa i sadownictwa też musieli się nauczyć. Podobnie jak hodowli. Jeśli tylko będą mieli co hodować. Zwiadowcy wysyłani za miasto wracali z wieściami, że cała ocalona trzoda w okolicznych wsiach znajdowała się obecnie pod ochroną wiejskich milicji. Próby negocjacji spełzły na niczym. Zdaniem tamtych miasto nie miało im nic do zaoferowania.

Karol przysiadł obok Doktora. Nalał sobie do blaszanego kubka wody. Upił łyk. Dziwnie smakowała.

– Dodałem startego imbiru – wyjaśnił Stefan, widząc jego minę.

– Pomaga na coś?

– Na bóle miesiączkowe – roześmiał się Doktor. Szybko spoważniał na widok grymasu przywódcy. – Na krążenie krwi też. Dobry przeciw przeziębieniom. Rozgrzewa.

– To zostaw go lepiej na zimę.

Wszyscy bali się zimy. Zaczynał się sierpień, niedługo dobiegnie końca lato – pora, podczas której można od biedy przeżyć bez udogodnień cywilizacji. Lecz co będzie zimą? Strażnicy, w każdym razie ci młodzi i silni, przetrwają. Ale

inni? Bywało, iż Karol miał nadzieję, że zima rozwiąże kwestię Pokutników.

– Jakież problemy? – zapytał.

– Nie, wszyscy zdrowi. W miarę. Żadnych rannych. Kilka drobnych skaleczeń, obtłuczenia. Normalna rzecz przy pracy...

– Na której prawie nikt się nie zna – dokończył za niego Karol. – Dobrze. A ploty?

– Ploty?

– Nie udawaj durnia, Doktorze. Ludzie rozmawiają między sobą. Gadają i z tobą.

– Ze mną mniej. Lepiej niech pan popyta Krystynę.

Krystyna. Znaleziona w kościele staruszka okazała się lekarzem. I kobietą znacznie młodszą, niż wydawało się Karolowi pochylającemu się nad nią przy wejściu do świątyni. Zanedbana i wygłodzona wyglądała jak wrak człowieka. A okazało się, że ledwie skończyła pięćdziesiątkę.

Pewnie nie pomagało to, że odpalała jednego papierosa od drugiego. Wolała je od jedzenia. Karol podejrzewał, że to ona stała za ogołoceniem z papierosów wszystkich kiosków i sklepów w okolicy.

– Krystyna ze mną nie gada – mruknął. – Przyjmuje rozkazy, ale nie gada.

Ciągle nie wybaczyła mu zabicia Jerzego. Choć to tamten zanieczyścił ją, skazał na śmierć głodową, a Karol uratował jej życie, Krystyna nienawidziła właśnie Karola, a w stosunku do Jerzego wciąż czuła dziwne, nielogiczne oddanie.

Niestety jako doświadczony chirurg okazała się niezastąpiona. A w dodatku ludzie ją polubili. Była gadatliwa, dowcipna. Znała tysiące anegdot o lekarzach i uwielbiała plotkować. Choć to pismak przemieniony w kancelistę spisywał nielegalną kronikę Strażników, Krystyna pamiętała więcej historii o dokonaniach Strażników od niego. Ba, poznała ich więcej niż Karol, choć do niego trafiały raporty. Ale one zawierały suche fakty. Krystyna przerabiała je w pełne życia opowieści.

Kapitan zastanawiał się czasem, czy nie przemyślała w nich chorych nauk Jerzego. Jeśli tak, działała subtelniej. Jerzy wygłaszał kazania, a Krystyna opowiadała Strażnikom o dokonaniach ich towarzyszy. Karol na razie pozwalał jej na to. Odrobina mistycyzmu, budowanie legendy Strażników mogło być przydatne, pomagało cementować grupę. Jeśli Krystyna zacznie przeginać, Karol dowie się o tym.

– Mów, co słyszałeś – polecił Doktorowi. Nim ten jednak zdążył odpowiedzieć, do lazaretu wpadł zdyszany kapral Sepciuk.

– Kapitanie! – Wyprężył się na baczność. – Wrócił zwiad Kruchego!

Kapral Kruchy, człowiek tak niepozorny, że stojąc obok niego, można było go nie zauważyć, jeśli przestawał się odzywać. Szpieg idealny.

– Pogadamy później, Doktorze. Kapralu, idę do siebie. Niech pan przyśle tam Kruchego.

– Tak jest!

Karol wysłał drobnego strażnika na przeszpiegi do Nowej Huty. Choć tamtejsza milicja wciąż przyjmowała transporty zwłok, ostatnio zaczęła zatrzymywać je na symbolicznej granicy za rondem Mogilskim. Kazała ludziom Strażników przerzucać trupy z wózków na ciężarówki i sama zawoziła je do Kombinatoru. Kapitanowi doniesiono, że na Czyżynach wznoszony jest mur podobny do tego, jakim sam otaczał swoje włości. Nowa Huta postanowiła odizolować się od reszty miasta, choć nadal z nim współpracowała. Jeszcze.

„To musiało nadejść” – uznał Karol, wspinając się po schodach do swojej celi. Solidarność i tak utrzymała się długo. Prawie trzy miesiące. Ale szok po gorączce mijał, zapasy topniały, a ludzie zaczęli myśleć przede wszystkim o sobie.

Jeśli natura ludzka nie uległa zmianie, wkrótce zacznie się czas zabijania. Tym razem spokojniejszego, pozbawionego szału z okresu gorączki. Zapewne więc groźniejszego. Kapitan miał nadzieję, że dobrze przygotowuje do niego swoich ludzi.

Rozdział 3

R A F A Ł

Tomasz wrócił z pracy u Strażników wieczorem. Przyprowadził ze sobą kobietę. Niewysoką, koło trzydziestki, o brązowych oczach i włosach koloru brzoskwini. Pachniała czymś słodkim, a jej makijaż wyglądał, jakby po gorączce nic się nie zmieniło i najważniejszą rzeczą na świecie był wygląd. Zdaniem Rafała musiała należeć do tych kobiet, które podczas wielkiego szabru najpierw rzuciły się na sklepy z kosmetykami. Choć taka strategia mogła wydawać się samobójcza, zwykle udawało im się przetrwać bez własnych zapasów. Łatwo znajdowały sobie mężczyzn.

– Ma na imię Sylwia – przedstawił ją Tomasz. – Chciałbym, aby z nami zamieszkała.

– Z tobą – uściślił Rafał, przyglądając się kobiecie. Nie przypadło mu do gustu jej spojrzenie. Wydawała się zbyt pewna siebie. Uśmiechała się zadziornie tymi pełnymi ustami lśniącymi od szminki. Jakby Rafał nie miał tak naprawdę nic do gadania, a wszystko już dawno zostało postanowione.

– Z nami – uparł się Tomasz. – Jesteśmy teamem, nie?

– Ale będzie twoja, nie nasza.

– Będzie moja. Lecz jeśli chcesz, stary, znajdziemy ci jakąś. Nie, Sylwia?

– Dałabym radę – potwierdziła. Głos miała równocześnie cichy i stanowczy, miękki, zalotny, ale pełen pewności. – Nie jesteś taki najgorszy. – Mrugnęła i uśmiechnęła się.

Rafał musiał przyznać, że ładnie się uśmiechała. I oczy błyszczały jej wtedy weselej.

– Nie, dzięki. – Odsunął się, by przepuścić ich w progu mieszkania. – Póki co...

– Rafał czeka na żonę – wyjaśnił prędko Tomasz.

– Ach, jeden z romantyków. – Niespodziewanie wyciągnęła dłoń, by pogłaskać Rafała po twarzy. Cofnął się odruchowo. Wybąkał przeprosiny, bo wydało mu się, że w ten sposób ją uraził. W odpowiedzi uśmiechnęła się łagodnie.

– Przygotowałem kolację dla dwóch – usprawiedliwił się, czmychając do kuchni. – Ale nie ma sprawy, szybko coś dorobię. Siądźcie w pokoju, zaraz wam przyniosę.

Klął w myślach, dokrajając kawałki mielonki z puszki. Porzucił tę czynność, by zagotować wodę na dodatkową porcję makaronu. Po chwili zastanowienia wyjął z szafki puszkę pomidorów. Sami z Tomaszem zadowoliliby się po prostu mielonką z makaronem, ale dla gościa powinno się przygotować coś lepszego. Zwłaszcza dla kobiety.

– Ładna, nie? – Tomasz zaskoczył Rafała, gdy ten doprawiał pomidory suszoną bazylią. – Nie mów, że nie jest super.

– Jest super. Gdzieś ty ją znalazł? Przecież nie przy transporcie trupów.

– Żebyś wiedział, że tam! Pchaliśmy razem wóz. Kurde, Strażnicy mogliby szarpnąć się na trochę benzyny i zainwestować w ciężarówkę. Ci w Hucie zupełnie się z tym nie szczypią, nie?

– Dalej wznoszą ten swój mur?

– Coraz większy. Za parę tygodni w ogóle nie będzie się dało tam wejść. Dranie.

– Czemu dranie? Nigdy się tam nie pchałeś.

– Ale mogłem, nie? A teraz już nie będę mógł. Słuchaj, stary, tak sobie pomyślałem... Może naruszymy trochę zapasy wina, co? Jest okazja.

– Jak masz ochotę na romantyczną kolację z panną, to mogę się zmyć.

– Nie. Chcę, żebyście się poznali, skoro ma tu zamieszkać. Posiedzimy w trójkę, wypijemy butelkę wina albo dwie. A potem pójdę z Sylwią do siebie.

– W porządku. Ale nie więcej niż dwie butelki. To przede wszystkim towar.

– Słowo! – Tomasz przyłożył dłoń do serca, porwał klucz od piwnicy wiszący obok drzwi i pognął po jeden z ich największych skarbów.

„Pewnie weźmie co najmniej trzy” – uznał Rafał. „Tylko jedną ukryje u siebie”.

Kiedy kradli wina z okolicznych sklepów, robili to, by móc handlować nimi, gdy wszystkim innym skończy się alkohol. Nie wzięli wtedy pod uwagę, że wśród wielu cennych umiejętności, jakie zaginęły w miarę rozwoju cywilizacji,

znajdowało się pędzenie bimbrow. Ludzie coraz powszechniej przeprowadzali się do miast, wsie porzucały rolnictwo, by zmieniać się w ośrodki agroturystyczne. Zanikało rzemiosło. Ale zawsze znalazł się ktoś, kto umiał pędzić bimber.

Niemniej Rafał był przekonany, że z czasem pojawią się chętni na ich zapasy wina. Co innego wódka na ziemniakach, a co innego szlachetny trunki pochodzący z krajów, do których dostęp będzie pewnie odcięty przez lata.

Podczas kolacji Sylwia wprost nie mogła się nachwalić talentów kulinarnych „swoich mężczyzn”. Na widok włoskiego wina oczy zabłysły jej, a twarz rozświetlił uśmiech. Ponieważ zaszło już słońce, Tomasz zaświecił kilka zniczy wyniesionych ze sklepu z dewocjonaliami. Długo nikt go nie rabował, aż Rafał uświadomił sobie, że obok egzemplarzy Biblii i okolicznościowych pocztówek mogą kryć się tam bezcenne zapasy świec oraz zniczy. Od tamtej pory oświetlali dom między innymi gromnicami ozdobionymi portretami Matki Boskiej i zniczami w kształcie aniołów i serc. To właśnie te ostatnie uznał za stosowne zapalić Tomasz.

– Elektryczność odebrała światu romantyzm – oznajmiła Sylwia i nagrodziła starania swojego mężczyzny całusem. – Może dobrze, że zniknęła?

– Strażnicy starają się uruchomić elektrociepłownię. Eksperymentują też ze stopniem wodnym na Dąbiu. – Rafał dołał jej wina do wielkiego kieliszka zdolnego pomieścić jedną trzecią zawartości butelki. – Może prąd jeszcze do nas wróci?

– Nie ma szans. – Tomasz nadstawił własny, mniejszy kieliszek. – Rozmawiałem z jednym z nich. W całym mieście nie przeżył nikt, kto by się na tym znał. Wysłali ludzi do biblioteki Politechniki, żeby zacząć uczyć się podstaw. W Łęgu trzymają kilkusobową załogę tylko po to, by zaznaczyć, że to ich terytorium.

– Ten ich Kapitan myśli przyszłościowo, co? Przejmuje terytoria, zdobywa strategiczne miejsca.

– Strategiczne! – prychnął Tomasz. – Czyli co, szykuje się do wojny?

– Kiedyś żarcie się skończy. A wtedy będzie o co się bić.

– Faktycznie, elektrociepłownia da nam żywności, że ho, ho!

– Różne rzeczy są towarem. Jak nasze wino. O ile coś jeszcze zostało...

– Macie duże zapasy? – zainteresowała się Sylwia.

– Kochanie, dla ciebie nie zabraknie nigdy! – zapewnił ją Tomasz, otwierając drugą butelkę.

Zaczęli rozmawiać o starych czasach, o planach na przyszłość i owych wspaniałych wizjach świata. Podpita Sylwia poruszyła nawet temat wiary w Boga. Tomasz uznał to za sygnał, że czas już zabrać się do rzeczy. Objął ją, pocałował. Mrugnął do Rafała porozumiewawczo, po czym oznajmił, że chyba najwyższa pora kłaść się spać.

– Nie widziałaś jeszcze mojego pałacu – kusił.

Ale Sylwii najwyraźniej podobała się rozmowa.

– A słyszeliście o Maskach? – zapytała, nie podnosząc się z miejsca.

– Maskach? – skrzywił się Tomasz.

– Ludzie w maskach – wyjaśniła. – Chodzą ubrani jak żołnierze, w długich płaszczach i nigdy nie ściągają masek gazowych. Nikt nigdy nie widział ich twarzy.

– No proszę. – Tomasz uśmiechnął się wyrozumiale. – Nasz upadły świat dorobił się już własnych legend miejskich.

– To nie legenda. – Sylwia potrząsnęła gorączkowo głową. – Znam kogoś, kto ich widział!

LUCYNA

Wiezorami opuszczała poddasze, by szukać fantów dla Rafała. Książki... Przeszukała bibliotekę na Kazimierzu i na szczęście znalazła tam trochę literatury podróżniczej. Musiała się włamać do środka, bo jedną z ocalałych okazała się bibliotekarka nader przejęta swoją pracą. Młoda kobieta, która mogłaby poświęcać czas na jakieś sensowniejsze zajęcia, całe dni spędzała pośród książek, strzegąc ich nie wiadomo dla kogo i po co. Ku irytacji Lucyny okazało się, że Kapitan Strażników docenił jej starania i nawet nakazał swoim ludziom pożyczać książki, by czytali je w wolnych chwilach.

Dzięki temu bibliotekarka zarabiała na sobie, a Lucyna nie mogła po prostu wynieść paru książek dla dzieciaków, lecz musiała się włamać, by je ukraść.

Na szczęście bibliotekarce nie przyszło do głowy, że ktoś może chcieć ją obrabować. Zamknęła wprawdzie drzwi – i te główne, i te od zaplecza – ale zostawiła uchylone jedno z okien. Więcej

Lucynie nie było trzeba. Wsunęła rękę przez szparę, pomocowała się chwilę z klamką, po czym otworzyła okno na oścież. Jak większość bibliotek i ta znajdowała się na parterze. Wystarczyło tylko przekroczyć parapet i już wszystkie zgromadzone księgi znalazły się w zasięgu włamywaczki.

Tyle że musiała przeszukiwać je w kompletnych ciemnościach. Mrok należał do wyzwań, z którymi musieli zmierzyć się ocaleni. Dawniej miasta świeciły tak jasno, że nocami nie było widać nad nimi gwiazd. Ludzie potrafili przez całą dobę nie gasić świateł w swoich mieszkaniach, zawsze oświetlone były też ulice i wystawy sklepowe. Noc niemal nie różniła się od dnia.

Po gorączce zabrakło tego całego światła, a ciemność znów zaczęła budzić grozę. Niewielu odważało się wychodzić na ulice po zmroku. Krążyły legendy o wałęsających się wtedy po mieście stadach zdziczałych zwierząt, o szaleńcach w dzień ukrywających się w kanałach, a nocami wyruszających na polowania. Ludzie barykadowali się w mieszkaniach, przekonani, że nocą mogą przychodzić po nich drapieżniki – tak zwierzęta, jak i ludzie.

Niektórzy opowiadali historie o duchach i upiorach. Ostatnio pojawiła się plotka o potwornych mutantach skrywających twarze za maskami gazowymi. Oni także mieli poruszać się nocą.

Lucyna wiedziała, że to wszystko bzdury. Polubiła noc. Nawet Strażnicy nie patrolowali wówczas ulic i tylko tacy jak ona – miłośnicy łagodnej ciemności i ciszy – wylegali na ulice.

Przeszukiwali porzucone mieszkania spokojni, że szansę na to, iż natkną się na innych szabrowników, były znikome; pewni, że żaden patrol Strażników nie schwyta ich, a żadni Pokutnicy nie spróbują nawracać.

Nie istniały też stada zwierząt wędrujące nocami przez Kraków. Nawet psy nauczyły się, że lepiej trzymać się z daleka od ludzi. Ogarnięci szaleńcami zabijali przecież wszystko, co się rusza – tak siebie nawzajem, jak i swych dotychczasowych czworonożnych pupili. I choć po przebudzeniu wielu zatęskniło za psami, nie udało się odzyskać ich zaufania. Zwierzęta, nawet ptaki, trzymały się z dala od siedlisk ludzkich.

Lucyna dysponowała latarką, lecz nie używała jej często z obawy przed wyczerpaniem baterii. Teraz jednak musiała zaryzykować. Po ulicach przemierzała się bez trudu. Przywykła do mroku, rozświetlanego niekiedy światłem księżyca albo blaskiem znów widocznych gwiazd. W swoim mieszkaniu na poddaszu mogła się poruszać z zamkniętymi oczami, znała cały jego rozkład na pamięć. Ale biblioteka stanowiła ziemię niczyją.

Wyjęła więc z kieszeni latarkę niewiele większą od ołówka, choć dającą mocne światło. Za jej pomocą odnalazła dział geograficzny. Wybrała ilustrowany atlas, jakąś opowieść o kanadyjskich wilkach, wspomnienia wypraw Thora Heyerdahla. Po chwili zastanowienia odszukała półkę z książkami Arkadego Fiedlera. Wszystko wrzucała do plecaka, aż stał się ciężki. Wtedy z ulgą opuściła bibliotekę.

Nie zamierzała jeszcze kończyć łowów. Kilka nocy wcześniej wypatrzyła w jednej z przecznic ulicy Krakowskiej okno mieszkania, które wydało jej się niesplądrowane. Nie wiedziała dokładnie, skąd wzięło się w niej to przekonanie. Czasem sprawdzała jakieś miejsca tknięta trudną do wytłumaczenia intuicją. Prędko nauczyła się jej ufać. Zwykle przeczucie jej nie zawodziło.

Bibliotekę od nowego celu Lucyny dzieliło ledwie kilka minut drogi. Przemykała się Krakowską niespiesznie, poruszając się w cieniu opustoszałych kamienic. Choć nie czuła lęku, lubiła przemieszczać się w ukryciu, niewidzialna dla cudzych oczu. Dzięki temu czuła się niczym sprytne, nieuchwytna złodziejka, bohaterka jakiejś łotrzykowskiej powieści.

Była już blisko celu, gdy kątem oka wyłapała blask po prawej. Skuliła się, przywarła do chodnika. Dopiero wtedy spojrzała w stronę, z której nadchodził jaśniejący wewnątrz człowiek.

Szedł niedbale, jak za starych czasów, gdy świat wydawał się mieszcuchom oswojonym miejscem. Zapewne podobnie jak Lucyna zdawał sobie sprawę, że noc nie niosła ze sobą niebezpieczeństw wywiedzionych z opowieści. Że pogrążone w mroku miasto bywa bezpieczniejsze niż za dnia.

Najważniejsze, że jaśniał.

Lucyna nie od razu odkryła, że część ludzi zmieniła się po gorączce. Czy szaleństwo sprowadził na ludzkość wirus, czy gniew Boga albo natury, mózgi niektórych z nich ewoluowały pod jego wpływem. Większość ocalałych pozostała taka sama, ale nieliczni zostali odmienieni na zawsze. Mogli nie zdawać

sobie z tego sprawy, jak Rafał, który w oczach Lucyny jaśniał niczym pochodnia. Nawet ona początkowo sądziła, że to z nią dzieje się coś niedobrego, że może gorączka wciąż tliła się w niej po przebudzeniu.

Z czasem jednak zrozumiała. Należała do tych, którzy otrzymali dar. Zresztą może nie był to dar od istoty wyższej, lecz wywołana gorączką mutacja? Początkowo Lucyna, pamiętająca jeszcze czasy, gdy w dzieciństwie była dobrą katoliczką, modliła się do Boga o radę. Odważyła się nawet porozmawiać z kapłanem Pokutników. W końcu uznała, że pochodzenie daru nie ma znaczenia. Grunt, że był.

Pozwalał jej dostrzegać i poznawać innych przemienionych. Jak tego zamordowanego kapitana Strażników, który potrafił hipnotyzować ludzi słowami. Albo kapłana zabitego przez Pokutników. On uzdrawiał dotykiem. Jaki dar posiadał Rafał, nie wiedziała. Zapewne pomagał mu odnajdywać dzieci. Cieszyło ją, że na razie talent Rafała okazywał się czysty, dobry.

Tak inny od daru mężczyzny idącego teraz drugą stroną ulicy. Facet jaśniał wprawdzie, ale jego blask wydał się Lucynie brudny, skażony. Jakakolwiek moc stała się udziałem mężczyzny, splugawił ją.

Ruszyła za nim. Cały czas trzymając się najgłębszych cieni, śledziła mężczyznę aż do skrzyżowania Krakowskiej z ulicą Dietla, przez które jaśniejący mężczyzna przebiegł. Tam Lucyna musiała ukryć się za filarami pod niegdysiejszą apteką. Odczekała, aż przebiegł przez ulicę. Szybkimi, ale

cichymi susami pokonała jeden pas drogowy i ukryła się za resztkami kiosku, w którym przed epidemią sprzedawano gruzińskie specjały. Mężczyzna ruszył dalej Stradomiem. Ciągłe nie wiedział, że był śledzony. Zatrzymał się przed roztrzaskaną witryną księgarni anglojęzycznej. Coś go tam zainteresowało. Pochylił się nad jakąś porzuconą książką.

Wtedy go dopadła.

Czaiła się za słupem ogłoszeniowym po drugiej stronie ulicy, gdy dostrzegła swoją szansę. Ulica była w tym miejscu dość szeroka, w dodatku szyny tramwajowe zabezpieczono wewnętrznym krawężnikiem. Musiała przedostać się przez nią szybko i bezszelestnie zarazem, równocześnie uważając, by się nie potknąć.

Ostrożnie zdjęła plecak, a potem pognała przed siebie. Trampki o miękkich podeszwach wytłumiły dźwięk jej kroków. Runęła na jaśniejącego mężczyznę, gdy prostował się z grubą książką w ręku. Wskoczyła mu na plecy. Palce lewej dłoni wbiła mu w lewe oko, jednocześnie odciągając jego głowę do tyłu. Wrzasnął przestraszony, szarpnął się. Ale ona już objęła go nogami w pasie, zaciskając je mocno. I szybko przejechała ostrzem noża po odsłoniętym gardle. Potem, gdy wciąż wrzeszcząc i miotając się, opadł na kolana i próbował zrzucić ją z siebie, dźgała go zapamiętałe w szyję, póki nie przestał się ruszać.

Nawet wówczas go nie puściła. Wtuliła się we wstrząsane drgawkami ciało, dysząc ciężko. Niełatwo jest zapolować na silnego, większego od siebie mężczyznę. A i zabijanie nie jest

tak proste, jak mogłoby się wydawać niektórym. Nie rozglądała się, by sprawdzić, czy krzyki nie zaalarmowały kogoś. Nawet jeśli jacyś ludzie mieszkali w jednej z okolicznych kamienic, z pewnością kulili się teraz ze strachu przed kanibalami z kanałów albo upiorami.

Gdy odzyskała siły, wytarła nóż o koszulę ofiary i schowała go. Wyjęła za to zza pasa wygodną, niewielką siekierę turystyczną, którą kupiła w starych, gorszych czasach, kiedy marzyła o porzuceniu pracy w urzędzie i jeździła na rozmaite szkoły przetrwania lub obozy preppersów.

Roztrzaskała nią czaszkę mężczyzny, by uwolnić jego blask. A potem spijała go, rozkoszując się jego smakiem i oczyszczając go ze splugawienia.

Gdy skończyła, wyprężyła się, jęknęła z rozkoszy i skierowała twarz ku niebu. Otarła krew z ust. Westchnęła. Wstrząsnął nią przyjemny dreszcz. Nieczęsto mogła kosztować cudzych blasków. Obdarowanych było stanowczo zbyt mało, a niektórzy z nich okazywali się godni daru.

Już tęskniła za następną ucztą.

Zanim wstała, wzięła do ręki wybraną przez mężczyznę książkę. Na okładce zobaczyła drapacze chmur Manhattanu. Kto wie, może spodoba się dzieciakom?

Podniosła się, by ruszyć ku porzuconemu po drugiej stronie ulicy plecakowi. I wtedy odkryła, że tym razem to ona dała się zaskoczyć.

Tuż za nią, dosłownie na wyciągnięcie ręki, stały trzy postacie. Nie wiedziała, czy to mężczyźni, czy kobiety, wszyscy

mieli bowiem na sobie długie, sięgające prawie do kostek pałatki, a twarze zasłaniały im maski gazowe.

Rozdział 4

K R U C H Y

Ktoś inny, kto miałby na sobie czarną wojskową bluzę, filcowy kapelusz w takimż kolorze i skórzany pas z rewolwerem rodem z westernu, wydałby się Kruchemu śmiesznym dziwakiem. Ktokolwiek inny, ale nie Kapitan. Ten poprawiający sobie co kilkanaście sekund okulary na nosie facet zdawał się kapralowi Kruchemu przerażający jak cholera. Wcale nie dlatego, że Kapitan był potężnym mężczyzną przewyższającym wzrostem prawie każdego Strażnika. Nawet nie dlatego, że jako jedyny znany osobiście Kruchemu człowiek zabił kogoś po gorączce.

Chodziło o oczy.

Szare oczy Kapitana wydawały się Kruchemu tak zimne, że niemal martwe. Choć dowódca czasem podnosił głos, a nawet zdarzało mu się wrzasnąć, uśmiechnąć bądź skrzywić, Kruchy wiedział, że to wszystko pozory. Że Kapitan tylko udaje. Choćby nie wiadomo jak dziki wyraz twarzy przyjmował albo jak głośno by się śmiał, w środku pozostawał zimny. Zdaniem Kruchego gorączka wypaliła w Kapitanie duszę i serce. Do cna. Teraz w głowie tamtego mężczyzny pozostał tylko kalkulator.

Najgorzej, gdy tak jak wtedy, kiedy Kruchy zdawał Kapitanowi meldunek ze swoich odkryć w Nowej Hucie, ten niby patrzył mu prosto w oczy, a tak naprawdę spoglądał tylko

w głąb siebie, gdzie z pewnością dostrzegał wyłącznie cyferki. W takich chwilach Kapitan zapominał, że powinien udawać, iż posiada jeszcze jakieś uczucia.

– Najlepiej byłoby zaatakować ich teraz – mruzczał do siebie tym niskim głosem, który mógłby robić wrażenie na kobietach, gdyby Kapitan pamiętał jeszcze, co to takiego pożądanie. – Ten ich mur nie jest kompletny, a oni mimo wszystko mentalnie nie są gotowi na walkę.

– Ale Kapitanie, po co ich atakować? – odważył się wtedy zapytać Kruchy, zapominając o ostrożności. Miał paru dobrych kumpli w Hucie, zresztą widział, że tamci tylko starają się żyć. Budowali mur, to prawda. Wielkie mi halo. Strażnicy też budowali.

– Bo wznoszą mur – odpowiedział Kapitan. Podciągnął okulary na nosie, zamrugął.

– A my nie?

– Nie rozumiesz, Kruchy, prawda?

To prawda, nie rozumiał. W zasadzie nie rozumiał dwóch rzeczy. Po pierwsze, po co mieli wszczynać jakąś wojnę. A po drugie, czemu Kapitan gadał o tym właśnie z nim. Może chodziło o to, że nie miał baby? Prawie każdy w oddziale przygarnął sobie jakąś. Nawet jeśli się nie bzykali, to miło było poprzytulać się do kogoś, pogadać z kimś po służbie. A nawet poudawać, że każdej nocy jest zabawa. Kruchy wprawdzie udawać nie musiał, ale znał takich, którym ciągle seks nie był w głowie. Nie jak Kapitanowi, który naprawdę się tym nie interesował, jak chyba żadną ludzką potrzebą poza żarciem i

sraniem. Nie, całkiem sporo chłopaków i dziewczyn chciało, ale nie mogło. Jakoś ciężko było im się naprawdę zbliżyć do drugiej osoby. Ci czasem udawali. I nikt się ich z tego powodu nie czepiał.

– Nie rozumiem, Kapitanie.

– Skoro wznoszą mur, to myślą o przyszłości. O tym, co będzie, gdy skończą się zapasy i ludzie staną się głodni. Wiesz, czym różni się Huta od Śródmieścia?

– Mają Kombinat, Kapitanie?

– To mniej ważne. Ludzkość z powrotem zmienia się w społeczeństwa rolnicze. My siedzimy w centrum miasta, oni na jego obrzeżach. Mają mnóstwo ziemi pod zasiew. Ba, mają nawet poobsiewane pola z czasów sprzed gorączki. A my mamy ogołoczone supermarkety. Budując mur, odcinają nas od swoich żyznych pól, Kruchy. Zwiększają swoje szanse naszym kosztem.

– Ej, ale na pewno się podzielą!

– Podziwiam twoją wiarę w człowieka, kapralu.

– To co? – odważył się zapytać po chwili milczenia Kruchy. – Będziemy ich atakować?

– Jeszcze nie. Jeszcze nie jesteśmy gotowi. Dopiero po zimie, gdy zrozumiecie, co to głód.

– Do zimy to oni pewnie wyburzą wszystkie bloki, Kapitanie!

Ci w Hucie nie cackali się tak jak w centrum. Za pomocą koparek i buldożerów wyburzali całe osiedla nowych bloków, pozyskując w ten sposób budulec na mur. Wszyscy ocaleni gnieździли się w starym centrum dzielnicy, zbudowanym jeszcze

za komuny. Tamtejsze budynki o grubych, solidnych murach i bez obwarowań przypominały fortece.

– Mimo wszystko tak będzie lepiej. Zrozumiesz, jak zgłodniejesz, kapralu. Masz jeszcze dla mnie jakieś wieści?

Kruchy nie miał już nic więcej do powiedzenia. Przez blisko dwie godziny opowiadał o swojej tajnej podróży przez Nową Hutę, o rozmowach z tamtejszymi. Sądził, że uspokoi nimi Kapitana, bo tam ludzie rozmawiali głównie o tym, że będzie się teraz żyło lepiej. Że władza znów naprawdę trafiła w ręce ludzi, że świat nie będzie myślał tylko o zapieprzaniu przed siebie nie wiadomo po co.

A tu masz, Kapitan myślał o wojnie. Pewnie miał rację. W końcu był to facet z łbem jak sklep. Planował wszystko z takim wyprzedzeniem, że Kruchy nawet nie mógł marzyć o tym, by za nim nadążyć.

Odmeldował się więc i czym prędzej pognął do pokoiku, który dzielił ze swoją babą. Wszyscy mu jej zazdrościli, choć nie była ani najpiękniejsza, ani najmłodsza. Ale miała w sobie to coś, dziwną magiczną siłę, prawdziwy magnetyzm. Inne kobiety na widok takich egzemplarzy zwykle prychają coś w stylu: „Pojęcia nie mam, co ty w niej widzisz”. Ale tak naprawdę rozumieją, że nie mają szans z tym zjawiskiem, wcieleniem kobiecości. Cudem natury.

Prawdę mówiąc, na początku nikt tak o babie Kruchego nie myślał, łącznie z nim samym. Kiedy wyciągali ostatnich wiernych kapitana Jerzego z kościoła, Kruchemu trafił się ten kłęb nieszczęścia, Krycha. Sądził, że to babcia po

siedemdziesiątce i że długo nie pociągnie. A jednak udało mu się tchnąć w nią życie i teraz byli razem.

– Łukaszku – przywitała go, jak zwykle zwracając się do niego po imieniu, jako jedyna wśród Strażników. – Łukaszku, tak tęskniłam.

Nie mówiła jak inne baby: „bałam się” albo „umierałam ze zdenerwowania”. O nie, Krycha wiedziała, że kogo jak kogo, ale Kruchego kule się nie imają, nawet gdyby miał kto do niego strzelać. Że potrafi zadbać o siebie jak mało kto. Dlatego była pewna swego chłopca.

Od razu wskoczyła na łóżko.

– Chodź – szepnęła, gasząc papierosa o podłogę. – Chodź do mnie.

To rzucanie petami gdzie popadnie trochę Kruchego wkurwiało. On został wychowany w miłości do porządku i przynajmniej w tym względzie doskonale rozumiał Kapitana. A w Kryśce zostało trochę przyzwyczajień ze zmienionego w śmietnik kościoła.

Ale jak zwykle wybaczył jej bałaganiarstwo, gdy tylko wylądowali pod kołdrą. Krycha ciągle była chuda jak śmierć, oczy miała zapadnięte i wiecznie podkrążone, a skórę suchą. Ale pieprzyła się bez opamiętania i potrafiła robić w łóżku takie rzeczy, że chłopaki z oddziału dostawały wzdrowień od samych opowieści o tym, jak to Kruchy z Krychą dokazywali. A opowiadał im o tym przy każdej okazji. Zresztą sami się dopraszali. I ci, co mogli się bzykać, i ci, co ciągle nie byli w stanie.

Gdy skończyli, Krycha zapaliła papierosa, a potem długo wypytywała Kruchego, jak to było na patrolu i u Kapitana. Opowiedział jej wszystko szczegółowo. Gdyby Kapitan nie chciał, żeby ujawniać jego planów, toby się nimi z Kruchym przecież nie dzielił.

– Mój ty bohaterze – zamruczała, gdy skończył, po czym wskoczyła na niego i wzięła go sobie jeszcze raz; jak to ona – dziko i zuchwale. Jęczała, on pokrzykiwał, aż wreszcie opadła na Kruchego z ulgą i razem zasnęli.

Zerwał się przed świtem. Wypił trochę wody, przełknął zimną zupę i poleciał po swoich chłopaków. Akurat na nich wypadał patrol Krakowską ku Wawelowi, potem Grodzką aż na Rynek i z powrotem przez Sienną i Starowiślną. U wylotu Świętego Wawrzyńca stały już umocnienia Strażników, człowiek czuł się tam jak w domu.

Maczetę i pałkę teleskopową każdy z nich miał przy pasie. Pobrali z magazynu pistolety, a Kruchy jako dowódca patrolu wziął ze sobą niemiecki karabin automatyczny, z którego można było grzać pociskami 5.56 milimetrów jak jakiś cholerny Rambo. To znaczy można by było, gdyby kutwa kwatermistrz nie liczył każdego naboju. W efekcie Kruchy nie wystrzelił z tego cudeńka ani razu i nie był pewny, czy w ogóle umiałby z niego trafić. Ćwiczył tylko celowanie na sucho, a rozłożyć i złożyć karabin potrafił już z zamkniętymi oczami.

Nie żeby mu się spieszyło do strzelania do ludzi. Po co? Tak niewielu ich zostało.

Gdy jednak tego ranka pobierał pozyskaną z policyjnych magazynów broń, przypominał sobie o wojnie planowanej przez Kapitana. Oby do niej nie doszło. A co, jeśli przez takie wojenne zabijanie znowu ludzie dostaną berserku? Podobno, tak mówił Doktor, to była taka cywilizacyjna wścieklizna. Ludzi było za dużo, wszyscy działali sobie na nerwy i w końcu wybuchło to, co wzbierało przez całe lata. Kruchy, pamiętający własne frustracje, zgadzał się, że mogło tak być. Ale Krycha tylko wyśmiewała takie teorie. Miała własne, z których nie rozumiał nic a nic.

Ruszyli na patrol, gdy słońko wstało. Nocą nie ruszali się poza umocnienia, bo też nie było po co. Mało kto szlajał się po zmroku poza domem. Różne krążyły opowieści – o szalonych zwierzętach, duchach i świrach z kanałów. Te ostatnie na pewno były prawdziwe. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie musieli zrobić Strażnicy, było zabezpieczenie podziemi ich terytorium. Schodzili więc do kanałów i czyścili je z trupów, których nazbierało się tam wcale niemało. Tam właśnie Kruchy spotkał ocalałych, którym nie kwapiło się wyjść na powierzchnię. Żyli bardziej jak szczury niż jak ludzie, co zdumiało Strażników. Według obliczeń tych, którym chciało się tym zajmować, gorączka trwała około półtora miesiąca. Od jej zakończenia do momentu, w którym Strażnicy weszli do kanałów, minął kolejny. Tak niewiele potrzeba było czasu, by zmienić ludzi w szczuropodobne bydłeta.

Nie chcieli ich zabijać, ale trudno było ich wykurzać za pomocą samych pałek. W końcu zmajstrowali koktajle

Mołotowa i przegnali tamtych ogniem. Potem zamurowali kanały w obrębie twierdzy Strażników, pozostawiając tylko otwory przepływowe tak małe, by człowiek nie mógł się przez nie przecisnąć.

Niestety, z czasem twierdza się rozrosła i Kruchy obawiał się, że czeka ich kolejna akcja w kanałach.

Kruchy z Pawełkiem i Ochotą, dwoma chłopakami, którymi dowodził, przywitani dzień, przechodząc przez plac Wolnica. O ile Kruchy pamiętał, nigdy nie było tu zbyt pięknie, nawet gdy z okazji jakichś świąt kupcy rozstawiali na placu swoje namioty. Nikomu nie chciało się szukać środków na wymienienie starej kostki brukowej, szarej i podniszczonej. Smutna fontanna z boku placu czasem zyskiwała dostęp do wody, a wtedy gromadziły się wokół niej wrony i gołębie. Ludzie woleli przesiadywać w knajpach niż na ponurym placu, toteż nikt nie starał się go upiększyć.

Teraz wyglądał jeszcze gorzej. Nie spalono na nim tyłu ciał, co na Rynku Głównym, ani nawet tyłu, co na Podgórskim. Niemniej jednak i tutaj płonęły stosy. Kapitan nakazał zbierać popiół, by użyźnić nim biedną, zmarniałą ziemię, lecz i tak sporo go zostało na placu. Strażnicy szli przezeń, każdym krokiem wzniesając tumany ciemnego pyłu. Ciągle jeszcze czuć było swąd spalonych ciał, co wcale nie poprawiało im nastrojów. Niby przywykli do tego, ale tutaj, w pobliżu stosów trudno było nie myśleć o śmierci.

Strażnik pełniący służbę w wieży Muzeum Etnograficznego – niegdyś białym, a teraz osmalonym budynku – pomachał do

nich, wołając coś nieprzyzwoitego. Odpowiedzieli mu równie wesołymi przekleństwami, po czym weszli w Krakowską. Stare kamienice, w większości opustoszałe, sprawiały posępne wrażenie nawet w promieniach wschodzącego słońca. Nawet jeśli Strażnicy nie rozbiorą ich na budulec, uznał Kruchy, i tak zmarnieją, bo nie będzie ich komu odnawiać.

Najpierw skierowali się w lewo, ku umocnieniom na moście Piłsudskiego łączącym Kazimierz z Podgórzem. Dzielnica po drugiej stronie Wisły częściowo uznawała zwierzchnictwo Strażników, niemniej most i tak był traktowany jak coś w rodzaju przejścia granicznego. Chłopaki z tamtejszego posterunku w większości jeszcze spali. Kruchy poczęstował jedyne przytomnego wartownika papierosem i zawrócili ku Śródmieściu.

Gdy oddalili się od posterunków, Kraków wydawał się opustoszały. Nikogo poza nimi trzema nie było na ulicach. Dawniej o tej porze Krakowską zasuwałyby już tramwaje wiozące zaspanych jeszcze ludzi do pracy. Lada moment otwierano by piekarnie, pod którymi gromadziłyby się gołębie. Z całodobowych monopolowych dobiegałoby chrapanie ekspedientek.

Wszystko to zastąpiły pustka i cisza. Nawet szczury nie pozostały w Krakowie. Uciekły z miasta jak każda nieopanowana gorączką istota. O ile Kruchy wiedział, tylko ludzie zapadali na berserk. Może jeszcze małpy? Wartałoby wysłać patrol do zoo, żeby zobaczyć, co się stało z tamtejszymi zwierzętami. Jeśli nie uciekły ani nie zostały zamordowane,

pewnie pozdychały już z głodu. Kruchy zapisał sobie w pamięci, że powinien zaproponować Kapitanowi, że chętnie wyruszy na taką wyprawę. Choć z ulgą wracał do swojej baby, lubił te wędrówki. Najbardziej te samotne, gdy sam był sobie panem i mógł udawać, że wykonuje szczególnie ważne misje. No i fajnie było wychodzić z fortecy ze świadomością, że będzie się miało do kogo wracać.

Pawełek i Ochota nie odzywali się, wciąż jeszcze trochę zaspani. Rozglądali się czujnie po oknach, szukając złodziei i szabrowników. Ale nie było po nich śladu. A że ani deszcz nie padał z ciężkich chmur gromadzących się powoli nad Krakowem, ani wiatr nie wiał pomiędzy murami, Kruchemu wydawało się, że idą przez dekoracje, a nie prawdziwe miasto. Poza nimi trzema nie było tu żywego ducha, a jedyne dźwięki w okolicy wydawały uderzenia podeszew ich butów o asfalt. I od czasu do czasu ziewanie Pawełka.

Aż przeszli skrzyżowanie z Dietla i na Stradomiu, pod wybitą szybą księgarenki znaleźli ciało.

Wtedy pojawiły się nowe odgłosy.

– O kurwa – stęknął Ochota i zaraz zwymiotował.

Kruchy nie winił go za to. Od czasu przebudzenia z gorączki i oczyszczenia ulic z trupów nie widział czegoś takiego. Ciało mężczyzny leżało w sporej kałuży krwi, zastygłej, ale jeszcze maziowatej. Ktoś ostro się zabawiał, bo krew nie znajdowała się tylko na chodniku. Musiała tryskać na wszystkie strony, pokrywała bowiem ścianę budynku, a nawet resztki witryny

księgarni i wciąż leżące na niej, choć porozrzucane książki. Jakiś mocniejszy strumień siknął na parę metrów do środka.

W dodatku facet nie miał głowy, zupełnie jak kapitan Jerzy, gdy wrzucali jego zwłoki na stos. Tak w każdym razie zdawało się Kruchemu na pierwszy rzut oka. Bo gdy przyjrzał się uważniej, odkrył, że nieboszczyk jednak nieco głowy zachował, tylko niekompletnej.

Pawełek, dysponujący najwyraźniej odporniejszym żołądkiem, pochylił się nad ciałem. Przypatrywał mu się dłuższą chwilę, podczas której kaprał rozglądał się po najbliższej okolicy. Na świadków nie było co liczyć, raczej nikt tu nie mieszkał.

Może jacyś Pokutnicy przebywali w kościele, ale oni nie powiedzieliby Strażnikom ani słowa. Znalazł za to czerwone ślady trampek biegnące na drugą stronę ulicy. Zabójca musiał nie zauważyć, że wdepnął w kałużę krwi. Zabójca, czy może zabójczyni? Ślady wydały mu się małe. Oczywiście, trafiali się i drobni mężczyźni, sam był tego przykładem. Ale trzeba pomyśleć o kobiecie. A może... dziecko? Nie, ślady prowadziły dalej ku ulicy Koletek. Dzieciak pognałby w przeciwną stronę, na Wawel.

Poza tym Kruchy nigdy nie słyszał, żeby dzieci opuszczały swoje twierdze. Ale kto wie, może robią to nocami?

– Kapralu! – zawołał Pawełek. Głos miał jakiś dziwny.

– Co jest? – Kruchy zawrócił niechętnie. Wolałby ruszyć krwawym tropem.

– Czaszka tego kolesia jest kompletnie rozjebana. I pusta.

– Pusta?

– Ktoś wyjął z niej mózg. Nie wiem, może go zezarł, bo wala się tu parę kawałków. No i chyba kości czaszki, te, co zostały, są trochę ogryzione.

– O kuuuurwa! – zawył Ochota, który akurat zebrał się w sobie na tyle, by podejść bliżej do zwłok. Teraz ponownie zgiął się wpół i zrzygał.

– Czyli znowu mózgojad – westchnął Kruchy.

– Znowu?

– Była już taka jedna sprawa, trzy tygodnie temu. Szlag by to. Ochota, ogarnij się i leć do domu. Niech tu przyjdzie dyżurny oficer. I moje kochanie. Trzeba będzie obejrzeć te zwłoki, nim je spalimy. Pawełek, pilnuj ich. Ja przejdę się na Koletek, zobaczę, dokąd prowadzą ślady.

– Nie odchodź za daleko, dobra?

– Żebyś wiedział, że nie odejdę. Jakbym wrzeszczał, to przyleć do mnie.

Odbezpieczył karabin, ale nie poczuł się bezpieczniej. Jeśli to ktoś opanowany przez berserk, może nawet nie zauważyć kul. Tak to działało podczas gorączki, w każdym razie pierwszych jej przypadków, kiedy jeszcze nie cały świat zwariował i nadawała telewizja. Zarażeni szturmowali na gliniarzy, chociaż ci pakowali w nich całe magazynki. Potem konali, lecz przed śmiercią zdążyli jeszcze zagryźć parę osób.

Pozostawało mieć nadzieję, że po paru miesiącach to nie berserk, tylko jakiś zwyczajny psychopata.

Rozdział 5

R A F A Ł

Śniadanie też jedli razem. Sylwia była oczywiście nienagannie umalowana, a Tomasz szczęśliwy i radosny. On trajkotał za dwoje, ona głównie się uśmiechała. Czasem zerknęła na Rafała, aż temu robiło się gorąco. Powtarzał sobie w myślach, że to nic takiego, że przypisuje spojrzeniom Sylwii znaczenia, których wcale nie niosły. Bo jest sam. Być może na tyle długo, by to poczuć.

– Chciałbym, żebyś skoczył ze mną do domu Sylwii – oznajmił wreszcie Tomasz. – Trzeba przynieść trochę jej rzeczy. Właściwie to wszystkie.

– Czyli na sto procent się tu przeprowadza?

– Masz coś przeciwko?

– Nie. Dziesięć mieszkań z dwunastu stoi pustych. Lepiej, żeby mieszkała z nami niż sama. Ma jakieś sensowne zapasy?

– Niespecjalnie. To znaczy mówiła, że ma trochę żarcia, jakieś lekarstwa. Dużo ubrań.

– Daleko mieszka?

– Przy Rękawce.

– O, bracie!

– No właśnie.

Przy ulicy Rękawka mieściło się więzienie. Niezbyt wielkie, ale obwarowane, chronione ciężką żelazną bramą. Z punktu widzenia Rafała prawdziwa twierdza, praktycznie nie do zdobycia w obecnych warunkach. W przeciwieństwie jednak do innych fortec, ta służyła nie tylko wpuszczaniu ludzi do środka, ale też utrzymywaniu w zamknięciu tych znajdujących się wewnątrz.

Kiedy wybuchła gorączka, nikt nie wy dostał się z więzienia. Strażnicy, więźniowie i cały personel zabijali się nawzajem. Ci, którzy ocaleli, pożerali ciała zabitych, a potem znów mordowali się i zjadali. Nikt nie wiedział, ilu ich ocalało. Gdy podchodziło się pod mury, sły chać było dobiegające z wewnątrz odgłosy świadczące o tym, że w środku ciągle ktoś żyje. Kiedyś Rafał z Tomaszem wspięli się na dach sąsiadującej z więzieniem kamienicy, by spróbować spojrzeć ponad murami. Dostrzegli dwóch mężczyzn, którzy jednak szybko zniknęli im z oczu.

O ile Rafałowi było wiadomo, nikt po gorączce nawet nie próbował opuścić więzienia. A to mogło znaczyć, że nawet mieszkający w nim przebudzeni wciąż żywili się swymi niegdysiejszymi towarzyszami.

Chyba że na szaber udawali się po zmroku.

– No to nie dziwię się, że chciała stamtąd zwiewać – stwierdził Rafał. – Pójdzie z nami?

– Nie chce tam wracać. Poczekaj tutaj. Co jest, co się krzywisz?

– Ile ją znasz? Dzień? Dwa?

– Trzy. A nawet dłużej, bo już tydzień temu gadałem z nią przy transporcie. Co masz do niej? Nie podoba ci się? Widziałem, jak zerkales na nią przy śniadaniu.

– Niby jak?

– Po swojemu. Z tą twoją cholerną nieufnością, jakbyś się zastanawiał, czy czegoś nie kombinuje. Na mnie też tak patrzyłeś przez pierwszy miesiąc. Choć jesteśmy sąsiadami od lat!

– Tu nie chodzi o brak zaufania.

– Nie?

– Nie do ciebie. Ale... Mamy tu niezłe zapasy. Przebudowaliśmy blok tak, żeby wszystko działało, z fajnymi drogami ucieczki. I chcesz z tym wszystkim zostawić osobę, którą znasz od trzech dni?

– Wiesz co, wal się. Sam pójde po jej rzeczy.

– Nie o to chodzi.

– Właśnie, kurwa, o to. Będzie tu mieszkać, rozumiesz? I co, nigdy nie zostawisz jej samej, żeby przypadkiem nie wyniosła na własnych plecach pięćdziesiąt butelek wina i dwieście puszek zarcia, nim wrócimy? A te dwadzieścia kilo soli pewnie poupycha po kieszeniach, co? Myśl, człowieku, myśl! Co bardziej jej się opłaca: zamieszkać z nami i mieć dostęp do tego wszystkiego, czy okraść nas? Zabrać tyle, ile będzie w stanie unieść, czyli może ze dwadzieścia kilo? No, zastanów się!

– Możesz mieć rację, ale chodzi o zasadę...

– Nie o zasadę, Rafał. Chodzi o to, że ty się cały czas nie przyzwyczaiłeś do nowego świata. Tu jest inaczej. Nie ma tłumów, nie ma władzy.

– I nie ma lekko. Przyjdzie zima, a po niej...

Tomasz znów nie pozwolił mu dokończyć.

– A po niej też trzeba będzie żyć. Mamy ten swój ogródek na podwórku, tak? Ziemniaki, pomidory, marchewkę... Ale potrzeba nam czegoś więcej. Mnie potrzeba czegoś więcej. Na początek wiary. Zaufania. Rozumiesz?

– Rozumiem – ustąpił Rafał. Nie chciał się kłócić. Ale nie chciał też wracać do ogołoczonego z zapasów domu. O towar było coraz trudniej, większość sklepów i hurtowni została już splądrowana. Nawet w piwnicach domów coraz rzadziej można było znaleźć zapasy kiszonych ogórków, dżemów i kompotów. – Może masz rację. Zrobiłem się dość nieufny.

Może rzeczywiście trzeba zaufać Sylwii? Faktycznie, korzystniej dla niej jest zamieszkać z nimi, niż ich okraść. Ten argument przemawiał do Rafała.

O ile oczywiście Sylwia nie jest agentem jakiejś grupy rabusiów żywności.

– Kiedyś przestaniesz wreszcie czekać na Aśkę i znajdziesz sobie jakąś babę. – Tomkowi jak zwykle szybko wracał humor.

– Daję słowo, że nie będę się czepiał, okej?

– Dzięki.

Wyruszyli więc na Rękawkę we dwóch. Zabrali ze sobą po plecaku. Upchali w nich solidne torby z Ikei, zdolne pomieścić połowę zawartości szaf. Nie musieli wędrować daleko.

Wystarczyło przejść przez czarny od popiołu Rynek Podgórski, na którego środku ciągle sterczały koślawe pozostałości ostatniego stosu – płyty chodnikowe, które służyły dla niego za podstawę, i drewniane bele zerwane z dachu jednej z kamienic. Gdy mijali kościół, dziwnie nierzeczywisty w tych czasach, niepasujący do nich swoją monumentalną neogotycką strzelistością, wyszła z niego grypa Pokutników. Dzwon na zabytkowej dzwonnicy zaczął odliczać dwanaście uderzeń na znak nastania południa, a Pokutnicy padli na kolana, obnażyli ciała i zaczęli okładać się po plecach własnoręcznie skręconymi z kabli i drutów pejczami. Niemal każde uderzenie otwierało niezabliźnione jeszcze rany z poprzedniego biczowania. Pokutnicy zanosili się jęklwym śpiewem sławiącym Boga, Który Nadal Patrzy z Niebios.

Wedle ich pokręconej filozofii gorączka oznaczała prawdziwą apokalipsę, koniec świata, w czasie którego zbawieni zostali oddzieleni od potępionych. Pozabijani przez ludzkie bestie trafili prosto do raju, podczas gdy ocaleni mieli szczeznąć z dala od Boga.

Ponieważ jednak chrześcijański Bóg był nieskończenie miłosierny, ci, którzy czynili prawdziwą pokutę, mieli szanse jeszcze go przebłagać.

– Dołączcie do nas! – zawołała kobieta naga od pasa w górę, lecz niewzbudzająca pożądania ani w Rafale, ani nawet w Tomaszu. Głowę ogoliła na łyso, ale odrastały już na niej ciemne kępki upartych włosów. – Ratujcie się! Błagajcie o zbawienie!

Każdemu zdaniu towarzyszyło smagnięcie biczem, po którym kobieta prostowała się gwałtownie, by zaraz skulić, unieść rękę i uderzyć się ponownie. Plecy spływały jej już krwią.

– Dołącz lepiej do nas – odpowiedział wesoło Tomasz. – Mój kumpel potrzebuje baby!

Za pierwszym razem widok Pokutników wstrząsnął Tomaszem. Rzucił się pomiędzy nich, próbując wydzierać im bicz z rąk. Przekonywał, zwłaszcza kobiety, by dali sobie spokój z tym szaleństwem. Z czasem zubożał, a później zaczął się z nich naśmiewać. Zdarzało mu się długo rozmawiać z przychodzącymi do nich apostołami, tylko po to, by wyszydzać prawdy ich wiary. Wysłuchiwali go cierpliwie, nie zdradzając gniewu. Ich pokora tylko dodatkowo złościła Tomasza, Rafałowi natomiast stopniowo zaczęła imponować.

Któryś z apostołów dostrzegł to niedawno.

– A ty? – zwrócił się do Rafała, ignorując kolejne szyderstwo Tomasza. – Ty też wolisz pozwolić szczeznąć swojej duszy, byle tylko dbać o ciało? Ze strachu?

– Ja, proszę apostoła, jestem Polak katolik – odpowiedział wtedy Rafał. – Do kościoła chodzę, jak akurat mam zły dzień, ale zjadam karpia na Wigilię. I pamiętam, że jak byłem mały, to mi ksiądz na religii tłumaczył, że przykazanie „nie zabijaj” oznacza także, że trzeba o sobie dbać. Nie szkodzić własnemu ciału. Bo to tak, jakby się samemu zabijać. Więc pozostanę przy swoim.

– Przykazania starej wiary – pokiwał głową apostoł. – Sprzed Sądu Pańskiego. Teraz nie mają już zastosowania.

Kiedy wychodził od nich, Tomasz zawołał za nim, żeby następnym razem przysłali jakąś fajną dupę, to może im się uda.

Był to ostatni apostoł, jakiego wpuścili. Rafałowi nie podobało się, jak lustrowali wzrokiem ich grządki. Tomasz zgodził się z nim, że Pokutnikom bardziej niż o ich dusze może chodzić o ich ogródek.

Zostawili Pokutników za sobą, minęli kościół i skręcili w dół, w Rękawkę. Nie przeszli paru metrów, a z ulicy Węgierskiej wypadł na nich wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce. Na głowie miał ponemiecki hełm, jeszcze z drugiej wojny światowej, oczy przesłaniały mu gogle narciarskie.

– Cześć, Stalker! – zawołał Tomasz. – Coś nowego?

– A, to wy – z rezygnacją westchnął Stalker. Mówił niewyraźnie, przez maskę antysmogową przesłaniającą mu usta. – Słabo widzę przez te gogle. Myślałem, że to jacyś nowi.

– To je zdejmij, do cholery!

– Żeby wypaliło mi oczy? W powietrzu jest od zajebania radioaktywnego pyłu! Słyszeliście o tym, że u Ruskich znowu dupnęła elektrownia? A podobno połowa głowic w tych ich rakietach też już ma wycieki. Tylko czekać, aż wszystko naokoło zacznie mutować.

– Nam jakoś oczu nie wypala – zauważył Tomasz.

– Przecież to nie działa tak, że od razu! – zaperzył się Stalker.

– Pogadamy za miesiąc, za dwa. Zobaczycie. Dokąd idziecie?

– Uskuteczniamy przeprowadzkę – wyjaśnił Rafał. – Kolega sąsiad znalazł sobie narzeczoną. Stalker, skąd ty właściwie

bierzesz te wszystkie informacje o wybuchających elektrowniach?

– No przecież, że z radia.

– Pieprzysz, Stalker. Radia nie nadają.

– Radia nie. Radioamatorzy i niedobitki wojska tak. Mam starą radiostację, jeszcze z ojcem żeśmy ją składali. W szkole się nią bawiłem w pirackie radio, to stary ją zabrał i schował. Pewnie dlatego przetrwała. Póki baterie ciągną, mogę przez nią posłuchać, co inni nadają. A nadają wszyscy, na całym świecie.

– I wszyscy mówią o wybuchach?

– O wybuchach. O wielkiej wędrówce ludów ze wschodu i południa. O tym, że w Afryce pojawił się mesjasz.

– A w Japonii Godzilla – parsknął Tomasz.

– O tym też – przytaknął energicznie Stalker. – Na zachodzie, zwłaszcza w Ameryce, są już pierwsze mutanty.

– To za oceanem. Do nas nie dotrą – pocieszył go Rafał. – Bywaj, Stalker. Wpadnij do nas czasem. Poznasz narzeczoną Tomka. Poopowiadasz jej o smokach.

– Wpadnę. Ale o smokach to nie słyszałem. Mogę o syrenach. Podobno pojawiły się w morzach.

– Świrus, ale zabawny – zaśmiewał się Tomasz, gdy zostawili i jego. – Sto razy bardziej wolę te jego bajki od pieprzenia Pokutników.

– Myślisz, że faktycznie ma radiostację?

– Wiem, że ma. Byłem kiedyś u niego. Ale wiem też, że nie działa. Mówię ci, że to świr. Wszystko sobie sam wymyśla.

Nakłada słuchawki i wydaje mu się, że słyszy opowieści o mutantach. Przynajmniej mnie bawi. No, dotarliśmy.

Sylwia mieszkała stosunkowo blisko więzienia, ale nie bezpośrednio przy nim. W białym budynku, jednym z nowo wzniesionych tuż przed epidemią.

– W środku ciemno jak w dupie – ostrzegł Tomasz. – Architekt musiał to projektować po ciężkim kwasie. Same mieszkania są przestrzenne i jasne, ale korytarze na klatce schodowej wiją się jak jelita mastodonta. – Wyjął z kieszeni latarkę. – Bez tego pogubimy się w tym labiryncie. A Sylwia mieszkała na trzecim piętrze.

Brama wejściowa, wyrwana z zawiasów i powyginana, leżała przed budynkiem. Przekraczając ją ostrożnie, Rafał zastanawiał się, kto mógł ją tak urządzić. Grupa mężczyzn z łomami? Ktoś, kto wbił się w nią samochodem? Odruchowo obejrzał się na więzienie majaczące za rogiem, po drugiej stronie ulicy. Więźniowie?

Ledwie weszli na schody, rzeczywiście zrobiło się ciemno. Pokonywali piętra bez trudu, ale gdy dotarli na trzecie, musieli zagłębić się w korytarze tak długie i pokręcone, jak opowiadał Tomasz.

Do mieszkania Sylwii dostali się łatwo, Tomasz otrzymał klucze od swojej nowej dziewczyny.

– Mieszkała z kimś kiedyś – zauważył Rafał, przyglądając się fotografii w ramce ustawionej na niewielkiej półeczce. Przedstawiała uśmiechniętą Sylwię tulącą się do faceta o wyglądzie wikinga.

– Jak ty i ja. Kiedyś.

– My wywaliliśmy zdjęcia.

– A ona zostawiła to, gdy mnie poznała. Nie prosiła, żeby je zabierać. Słuchaj, zbierz wszystko, co wydaje ci się potrzebne, ja zapakuję do toreb rzeczy z sypialni.

– Sypialni?

– Moje nowe kochanie trzyma tam milion majtek we wszystkich kolorach tęczy i jeszcze trochę śmieci w tym rodzaju. A w łazience zapas kosmetyków, który powinien wystarczyć jej na stulecia.

– Ty się zakochałeś, ty to będziesz dźwigał.

– Kpij sobie. Jak zejdziemy do piwnicy, oko ci zbieleje.

I zbiełało. Rafał ze zdumieniem przyglądał się zawartości skrzyń poupychanych w ciasnym piwnicznym boksie.

Setki paczuszek żywności liofilizowanej, kilkadziesiąt szczelnie zamkniętych wojskowych porcji samopodgrzewających się, filtry do wody co najmniej pięciu rodzajów... A samej wody w plastikowych baniakach zebrał trzysta litrów.

– Jezu, kim był ten facet? – wyszeptał, dotykając tych skarbów, by sprawdzić, czy nie śni.

– Kimś, kto wierzył, że koniec nadejdzie – wyszczerzył się do niego Tomasz, wyciągając z jakiegoś pudła szczelnie zapakowaną maskę gazową. – I że warto być na niego przygotowanym.

– Zdaje się, że wiele mu to nie pomogło.

– Gorączka okazała się prawdziwą suką. Myślisz, że zabierzemy się z tym na jeden raz?

Rozdział 6

K R U C H Y

Ślady robiły się coraz mniej wyraźne, a nad Wisłą zniknęły zupełnie. Kruchy przysiadł na resztkach ławki obok pomnika przedstawiającego psa. Rozejrzał się, zabezpieczył karabin i położył go sobie na kolanach. Z kieszenie bluzy wyjął papierosy i zapalniczkę. Kurde, przed gorączką nie palił. Trudno jednak nie zarazić się nałogiem od swojej baby. Przez chwilę przyglądał się wielkiemu napisowi obiecującemu mu śmierć w katuszach, jeśli wyciągnie choć jednego papierosa. Rozbawiło go to tak, że roześmiał się głośno. Tak długo nie potrafił opanować śmiechu, że wreszcie zdał sobie sprawę, że to nie wesołość pobudziła w nim dziki rechot, ale nerwy. Dopiero teraz pojął, jak bardzo napięte były podczas wędrówki przez ulicę Koletek. W każdej sekundzie spodziewał się, wręcz oczekiwał, że świr wyskoczy na niego z jakiejś kryjówki i zaatakuje.

Po jakie лихо wybrał się sam? Wystarczyło odczekać kilkanaście minut i mógłby zabrać ze sobą przynajmniej Pawełka. Żaden ze Strażników nie wyruszał na patrole pojedynczo. Świat niby pozostawał ciągle dosyć spokojny, ale Kapitan starał się wpajać swoim ludziom ostrożność.

„Nie możemy wierzyć, że wyrzuty sumienia po gorączce będą zawsze hamować ludzi” – mawiał. „Kiedyś nasza prawdziwa natura weźmie wreszcie górę. I zaczną się ciężkie czasy”.

Pewnie wiedział, co mówi. Sam przecież szykował wojnę tym z Nowej Huty. No i był jedynym znanym Kruchemu człowiekiem, który z zimną krwią zamordował trzy osoby. Słusznie, bez dwóch zdań, Kruchy nie miał co do tego wątpliwości. Gdyby kapitan Jerzy pożył jeszcze trochę, Krycha pewnie umarłaby z głodu. Ona mogła się z tym nie zgadzać, ciągle wspominała o filozofii Jerzego i chyba nienawidziła Kapitana. Kruchy na wszelki wypadek nie dyskutował z nią. Obawiał się, że prowadziłoby to do kłótni.

Obejrzał się na Wawel. Minęła szósta rano, zrobiło się już całkiem jasno. Tego dnia niebo nad Krakowem było zdumiewająco czyste, nie widać było choćby jednej chmurki. Idylla. Tym wyraźniejsza, że żadne gołębie nie próbowały wyżebrać u Kruchego okruszyn chleba, nie darły się rybitwy i kaczki. Dokądkolwiek sięgnąć wzrokiem, nie dostrzegano śladu zwierzęcego życia. Kruchy siedział pośrodku pustki, jedyny człowiek w niemal wyjałowionym świecie.

A jednak zdawał sobie sprawę, że zza murów Wawelu obserwują go czujne oczy dziecięcych strażników. Ci gówniarze to paranoicy, z pewnością już go dostrzegli. Dobrze, że siedział poza zasięgiem ich strzał. Niedotknięte gorączką dzieci nie czuły też przytłaczających wyrzutów sumienia, jakie owładnęły prawie wszystkich dorosłych. Znały za to strach przed nimi.

Kruchy nie był pewien, kto miał gorzej. Czy dorośli, z których każdy pamiętał smak ludzkiej krwi i mięsa, jednej z pierwszych rzeczy, jaką poczuli w ustach po przebudzeniu, czy dzieciaki, które zapamiętały piekło, w jakie zmienił się świat ogarnięty berserkiem. Kruchy wiedział, że był mordercą, a pewnie i kanibalem. Ale niczego z czasu gorączki nie pamiętał. A dzieciaki...

Niekiedy choroba może być lepsza niż zdrowie.

Zapalił wreszcie papierosa. Zaciągnął się głęboko. Przywykł do powietrza coraz świeższego, choć podobno też pełnego radioaktywnych substancji po eksplodujących na całym świecie elektrowniach. Ale czasem potrzebował napełnić dymem płuca. Co z tego, że wcześniej nie palił, skoro ponoć samo oddychanie krakowskim powietrzem było jak wypalenie dziesięciu papierosów dziennie. Dym to dym, smoła to smoła, organizm się przyzwyczaja.

Wydawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch w wodzie. Ryba? Wisła pewnie też się oczyszczała. A i przed gorączką można było znaleźć w niej ryby, choć nikt przy zdrowych zmysłach nie próbował ich jeść. Może za dziesięć, dwadzieścia lat będzie można łowić je i zjadać bezpiecznie?

Zszedł nad brzeg. Stare statki floty wiślanej ciągle stały przycumowane w pobliżu. Dalej, nieopodal Wawelu można było dostrzec wielkie pływające knajpy. Kiedyś, być może niezbyt szybko, ich dna przegniją i cały ten blichtr minionego świata zatonie. Dziś nikt ich już nie używał. Strażnicy, by przejść na drugi brzeg rzeki, korzystali z mostów. Dzięki temu, że

cywilizacja nie upadła w atomowych błyskach ani w wyniku nie mniej straszliwej konwencjonalnej wojny, większość jej dzieł przetrwała. Domy, samochody, samoloty, które nie spadały z nieba, gdy ich piloci wpadli w szal, a nawet fabryki ocalały. Czekwały tylko, aż ludzkość znów nauczy się ich używać.

A może czekały na kogoś innego? Kruchy nie należał do osób szczególnie popuszczających wodze wyobraźni, nie przejmował się też bzdetami głoszonymi przez Pokutników. Jak wielu innych zastanawiał się, czym był berserk i skąd się wziął. Przypadła mu do gustu teoria, że to Matka Ziemia zmęczyła się ludzkim szaleństwem i sprowadziła na człowieka zagładę, by zrobić miejsce dla innego dominującego gatunku. To Pawełek mu o niej opowiedział. W starych czasach był doktorantem na jednym z tych nikomu niepotrzebnych kierunków, na których studenci snuli teorie na temat kształtów ludzkich społeczeństw. Pawełek utrzymywał, że w historii Ziemi co pewien czas następowały okresy masowego wymierania. Pierwszy znany jajogłowym rozpoczął się ponad czterysta milionów lat wcześniej (co za liczba, śmiał się Kruchy, ludzie tyle nie żyją, nawet Bóg tyle nie żył), a potem powracał mniej więcej co sto milionów lat. I, jak twierdził Pawełek, nie zawsze dało się ustalić przyczyny. Naukowcy na przykład do końca kłócili się o to, co wybiło dinozaury.

A może to Matka Ziemia eksperymentowała? I kiedy coś jej nie wychodziło, robiła reset i zaczynała projekt życie od początku?

– My przetrwaliśmy – odnajdywał słaby punkt tej teorii Kruchy.

– Tego jeszcze nie wiemy – upierał się Pawełek. – Może my tutaj, te nędzne resztki ludzkości, to tylko niedobitki skazane na wymarcie? Pociągniemy jeszcze pokolenie, może dwa. A za milion lat jakaś inna cywilizacja znajdzie nasze szczątki i zdziwi się, jacy byliśmy durni.

Czasem w ich dyskusje wtrącał się Ochota, by oznajmić, że nie za milion lat, tylko za kilkanaście. Bo gorączki nie zesłała na ludzi Matka Ziemia, lecz kosmici.

I to był zwykle koniec poważnych rozmów.

Kruchy dopalił papierosa, stojąc nad brzegiem rzeki. Jej miarowy, spokojny nurt uspakajał go. Kosmici, dinozaury, Matka Ziemia... Koniec ludzkości, czy może jej nowy początek – wszystko to było śmiechu warte. Kapitan miał rację, liczyło się tylko teraz. Trzeba żyć, a nie myśleć o pierdołach.

Cisnął peta do rzeki, a wtedy coś nagle wyskoczyło spod wody ponad jej powierzchnię, by złapać niedopałek jeszcze w locie. Kruchy krzyknął, cofnął się o krok i uniósł broń, równocześnie ją odbezpieczając. Nim jednak zdążył ją choćby wycelować, istota zanurkowała i zniknęła mu z oczu.

Odwrócił się i uciekł najszybciej, jak potrafił. Wspinał się po stromym zboczu wałów porośniętych gęstą, wysoką trawą. Poślizgnął się, upadł na kolana. Karabin wysunął mu się z rąk. Złapał go, pognął dalej na czworakach, czepiając się trawy. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby broń zsunęła się z powrotem nad brzeg Wisły. Chyba by po nią nie wrócił.

Dopiero na górze, gdy przysiadł na krawędzi wału, odważył się obejrzeć za siebie. Powierzchnia rzeki znów była spokojna, nieskazitelna. Opanował chęć, by pociągnąć po niej serią. Jeszcze by to coś za nim wylazło.

Zerknął na Wawel. Czy dzieciaki, z pewnością obserwujące go cały czas przez lornetki, mogły zobaczyć to co on?

Niemożliwe. Za daleko, pod zbyt dużym kątem. Wały musiały przesłaniać im widok.

Z drugiej strony, skoro od miesiący mieszkały tak blisko rzeki, mogły już wcześniej widzieć te...

Zawahał się. Nawet myślenie o tym przychodziło mu opornie. Zapragnął pójść do dzieci, zapytać je o to. Bo wiedział, że nie zdoła opowiedzieć o tym zdarzeniu nikomu dorosłemu. Nawet Kapitanowi. Nawet swojej babie. Choćby się upił.

A może... Odetchnął. Może mu się to tylko przywidziało? Odblask porannego słońca na tafli wody splatał mu figla? Oślepił, a wyobraźnia pobudzona niepokojem po tropieniu pozerającego mózgi świra dodała swoje? Może za dużo myślał o tym, co gadał Pawełek?

Tak, to musiało być to. Będzie trzymał się tej myśli. Ryba, dość spora, ale bez przesady, wyskoczyła z wody, by złapać peta, bo głupia myślała, że to owad. A jego oślepiło słońce i wyobraźnia dorobiła do widoku ryby obraz... Obraz...

Wyrzucił to wspomnienie z pamięci. Nim wstał, zapalił drżącymi rękami papierosa. Wypalił go i dopiero wtedy podniósł się z ziemi. Najwyższy czas wracać na miejsce

zbrodni. Krycha już tam pewnie jest, a może i Kapitan. Mogą się zastanawiać, gdzie Kruchy się włóczy.

Opowie im o śladach prowadzących w kierunku Wisły i tyle. Resztę zachowa dla siebie. Jeśli mu się nie przywidziało, pojawią się inne meldunki i wtedy będzie mógł powiedzieć, że też coś widział, nie robiąc z siebie pośmiewiska.

Bo przecież nie będzie pierwszym, który doniesie, że zobaczył w Wiśle coś, co miało rybi ogon i łuski, ale ludzką, dziecięcą twarz. Do końca życia nazywaliby go łowcą syren. Albo gorzej.

LUCYNA

Uznała, że nazbierała wystarczająco dużo fantów. Siedziała na swoim poddaszu pośrodku kręgu usypanego ze znalezisk znoszonych z całego miasta. Miała blisko piętnaście książek, przygodowych i podróżniczych. Wśród nich znajdowały się nawet dwa komiksy o kolorowych kucykach walczących ze złem w jakimś miłym pastelowym świecie. Może przypadną do gustu mniejszym dzieciom, jeśli takie mieszkają na Wawelu? Postanowiła też poświęcić dwie saperki, jeden z trzech posiadanych przez siebie multitoolów, kilka koców, parę paczek zapalek i kilkanaście rolek papieru toaletowego. Obok tych skarbów położyła czterdzieści metrów zwiniętej linki wspinaczkowej, teleskopową wędkę z kołowrotkiem i zapasem żyłek oraz haczyków, kłęb drutu miedzianego, kilka mniejszych noży, trzynaście widelców, zbiór pocztówek z całego świata i zestaw nici w ośmiu kolorach uzupełniony o

kilkanaście igieł różnych rozmiarów. Gdyby to nie wystarczyło, odżałuje z zapasów blisko pięćdziesiąt zupek w proszku i komplet menażek turystycznych. Wszystko to razem wzięte składało się na prawdziwy skarb.

Po długim zastanowieniu dołożyła do kręgu jeszcze trzy litry oleju w plastikowych butelkach i dziesięć batonów. Potem jeszcze dziesięć. I osiem tabliczek czekolady.

Cholera, jeśli bachory nic nie wiedzą, zmarnuje niezły majątek. A jeśli będą chciały podbijać stawkę, może i znajdzie siostrę, ale zimą obie zdechną z głodu.

Chyba że Rafał przyjąłby je do siebie. Jego blask wydawał się Lucynie nieskalany. Ale przecież nie oznaczało to, że był świętym albo choćby dobrym człowiekiem. Już nauczyła się, że blask posiada własne kategorie etyczne, niekoniecznie przystające do ludzkich wartości.

Zadrżała na wspomnienie minionej nocy. Wciąż czuła w ustach smak pożartego blasku. Cóż to był za upojny moment!

A potem odkryła ludzi w maskach.

Krzyknęła wtedy, cofnęła się o krok. Zacisnęła dłoń na gumowej rączce, w którą zaopatrzono trzonek siekierki. Oszacowała wzrokiem odległość od plecaka porzuconego po drugiej stronie ulicy.

Jakie miała szanse?

Jeśli uderzy tego po lewej, może zdoła się tamtędy przemknąć, nim pozostali zareagują?

– Kim jesteście? – zawołała.

Nie odpowiedzieli. Nawet nie drgnęli. Trwali bez ruchu, chyba przyglądając się jej przez te wielkie szklane wizjery w maskach, wyglądające jak oczy martwych sów – zimne, ciemne i puste. Oceniali Lucynę? Napawali się jej strachem?

– Pieprzcie się! – wrzasnęła i zaatakowała tego po lewej. Usunął się zaskakująco zwinnie, a potem wykorzystał jej pęd, by nadać siłę pchnięciu, jakim posłał ją na ulicę. Lucyna przetoczyła się po chodniku, spadła z krawężnika na asfalt, tłukąc sobie przy tym boleśnie łokieć. Krzyknęła. Zerwała się pędkiem, znów podnosząc siekiere, by ponownie uderzyć.

Nie było takiej potrzeby. Tylko ten, który ją przewrócił, stał przodem do niej. Pozostali tylko obejrzeli się za nią przez ramię.

– Czego? – zawołała. – Czego, kurwa, chcecie?

Cofała się ostrożnie, nie tyle stawiając kroki, ile przesuwając stopy po asfalcie. Pamiętała, że gdzieś tam z tyłu jest ten przeklęty próg oddzielający szyny tramwajowe od reszty ulicy. Lepiej, żeby się o niego nie potknęła.

Ci, którzy stali do niej tyłem, odwracali się powoli, niemrawo, jakby byli śmiertelnie zmęczeni lub rozleniwieni. Albo jakby wiedzieli, że ofiara nie może im uciec. Nie odrywali od niej wzroku, na ile mogła to ocenić po ułożeniu masek. A gdy już wszyscy trzej ustawili się w jednej linii, ruszyli ku niej. Znów niespiesznie, bez zbędnych ruchów.

Odwróciła się i ruszyła pędkiem przed siebie. Mijając słup ogłoszeniowy, zmarnowała chwilę, by porwać z ziemi plecak i narzucić go w biegu na plecy. Nie zamierzała porzucać łupów z

tej nocy. Usłyszała za sobą tupot trzech par nóg. Kimkolwiek byli, nosili obuwie o ciężkich, twardych podeszwach. Ich kroki niesły się głuchym echem odbijającym się od opustoszałych kamienic.

Lucyna obejrzała się za siebie. Tak, ci dranie potrafili nieźle biegać! Zaklęła i przyspieszyła.

Wbiegła w Koletek, a oni podążyli za nią. Starali się utrzymywać równe tempo. Co ciekawe, takie, które pozwoliło ścigać Lucynę, ale niewystarczające, by ją złapać. Przyspieszali, gdy ona przyspieszała. Czy zwolniliby, gdyby i ona zwolniła?

Nie odważyła się sprawdzić.

Wybiegła spomiędzy budynków na bulwary wiślane. Dokąd teraz? W prawo, ku Wawelowi? Może tam dzieciaki naszpikowałyby cholerne Maski strzałami? Niestety, pewnie celowałyby i w nią.

Skręciła w lewo, a potem w prawo, na most Grunwaldzki. Diabelnie nadłoży w ten sposób drogi. O ile ucieknie. Plecak zaczynał jej ciążyć. Czy będzie jednak musiała go porzucić? Liczyła, że w maskach na twarzy biega się i oddycha trudniej, że tamtym wcześniej czy później zabraknie sił.

Dopiero gdy przebiegła przez most, uświadomiła sobie, że nie słyszy już odgłosów pościgu. Czyżby odpuścili? Obejrzała się za siebie, nie zwalniając. Tak jest! Nikogo za nią nie było!

Zatrzymała się, oparła dłonie o kolana i zamarła pochylona, dysząc ciężko. Wydawało jej się, że po drugiej stronie mostu dostrzegła trzy sylwetki. Nadal jej się przyglądali? Trudno było

o pewność w tych ciemnościach. Wolała nie korzystać z latarki. Nawet gdyby zdołała ogarnąć strumieniem światła tak znaczną odległość, mogłaby tamtych sprowokować.

Przypomniała sobie z dzieciństwa opowieści o upiorach, którym nie wolno było przekraczać rzek. Czy Maski mogły być takimi właśnie istotami? Z pewnością nie zachowywały się jak ludzie. Może były zombiakami albo mutantami ukrywającymi zniekształcone twarze?

Na pewno żaden z nich nie jaśniał. Nie dla oczu Lucyny.

Spróbowała przypomnieć sobie, co zapamiętała ze spotkania z tymi stworami, odtworzyć w pamięci każdy szczegół ostatnich kilkunastu minut. Zrezygnowała, gdy uświadomiła sobie, że znajduje się w obcej sobie obecnie części Krakowa. Od paru tygodni nie przekraczała Wisły. Nie wiedziała, ilu ludzi tu żyje ani kto nimi rządzi.

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Maski mogły być naganiaczami. Płoszyli zwierzynę, a potem kierowali ją ku łowcom.

Rozejrzała się w panice na wszystkie strony, lecz nie dostrzegła nikogo. Tak czy owak, powinna się stąd jak najszybciej zabierać. Ale dokąd? Na pewno nie pójdzie z powrotem przez most Grunwaldzki. Nie ma też sensu pchać się ku mostowi Dębnickiemu, tylko oddalałaby się w ten sposób od domu.

Pozostawała droga na Podgórze. Niestety to oznaczało, że musiała lawirować. Nie chciała iść w cieniu wielkiego centrum kongresowego. Wiedziała, że rozmaici watażkowie lubili takie

duże budowle i wyznaczali je sobie na punkty dowodzenia. Aby je ominąć, musiała wędrować wzdłuż brzegu Wisły, co też niezbyt jej się podobało. Nie dość, że mijałaby po drodze przejście podziemne, w którym kiedyś ulokowano knajpę, a potem jakieś pomieszczenia miejskie, to dodatkowo byłaby zmuszona przemknąć obok hotelu Forum. Oba miejsca, o czym wiedziała, były zamieszkane. Na szczęście nie przez szczególnie wojownicze plemiona. W podziemiach siedzieli Pokutnicy wygnani z kościoła na Dębnikach przez inną pochrześcijańską sektę – Krzyżowców. Jedni i drudzy byli sobie warci. Pokutnicy upierali się jednak, że muszą sami ponosić pokutę za grzechy, natomiast Krzyżowcy szukali winnych wszędzie naokoło.

Forum zajęli posthipisi. Hodowali zielsko, ćpali i mieli nadzieję, że jeśli ostateczny koniec świata nadejdzie, oni go przegapią. Zazwyczaj byli niegroźni. Jednak eksperymentowali z narkotykami i czasami któremuś z nich zdarzało się wpaść w szal. Nie był to wprawdzie berserk, ale dla zaatakowanego różnica nie wydawała się wielka.

Przekłete Maski! Skazały Lucynę na tułaczkę przez znacznie mniej bezpieczne tereny od swojskiej ulicy Krakowskiej!

Wtedy uświadomiła sobie, że poczucie bezpieczeństwa, jakie odczuwała w swojej części Krakowa, odeszło bezpowrotnie. Maski przecież dopadły ją właśnie tam.

Gdy siedziała już na poddaszu, doszła do wniosku, że przecież tak naprawdę nic jej nie zrobili. Ten, który cisnął nią na

ziemię, tylko się przed nią bronił. Potem ścigali ją, ale nie wyglądało na to, że starali się ją złapać.

A może chcieli ją tylko przegonić? Może to anioły, które uznały, że zgrzeszyła o jeden raz za dużo? Że zabijając tamtego mężczyznę, okazała się niegodna, by żyć na świętym terytorium Śródmieścia i Kazimierza?

„Nie – uznała – to komiczne. Anioły w maskach gazowych? Chyba musiałam upaść na głowę”.

Może więc byli jakimiś samozwańczymi obrońcami? Strażnicy czuwali nad dzielnicą w dzień, a oni w nocy. Jak jakiś Batman, który, o ile sobie przypominała, też nie zabijał.

Może to byli wojskowi? Mieli na sobie maski, wojskowe płaszcze albo pałatki z kapturami. Te buty o ciężkich podeszwach też mogły pochodzić z demobilu. A sposób, w jaki jeden z nich poradził sobie z atakiem Lucyny, mógł świadczyć o wojskowym przeszkoleniu.

Dlaczego zatem jej nie zabili za morderstwo?

Czyżby także widzieli blask zabitego i tak jak Lucyna zdawali sobie sprawę, że został splugawiony i należało go oczyścić? Nie, gdyby posiadali takie zdolności, też by jaśnieli. Pewnie skupiali się tylko na obserwacji. Nie interesowało ich zaprowadzanie ładu ani karanie zbrodniarzy. Jedynie patrzyli.

To by znaczyło, że armia jednak przetrwała, jej niedobitki ukrywają się i obserwują, jak zmienia się świat. Może noszą maski, bo ciągle obawiają się zarażenia. Ci, którzy przeżyli gorączkę, uodpornili się na nią. A żołnierze...

Zaraz, jeśli nie chorowali... to znaczy, że musieli ukrywać się w jakichś bezpiecznych miejscach, może bunkrach. A to by oznaczało...

Otworzyła szeroko oczy. Krzyknęła, a potem zaklęła na głos, najgłośniej jak potrafiła. Miotła się po poddaszu, przerwała krąg, kopiąc i przewracając książki.

Jeśli wiedzieli, że trzeba schować się przed gorączką, to wiedzieli też, że ona nadchodzi! A skąd mogli wiedzieć, jeśli nie dlatego, że sami ją wywołali?

Wciąż rozwścieczona usiadła ponownie na podłodze. Musiała zastanowić się, co zrobić z tą nową wiedzą.

Rozdział 7

KAROL

Przed nastaniem gorączki nie lubił jeździć na rowerze. Nie po mieście. Trzymał w piwnicy starego treka, którym podróżował czasem wzdłuż Wisły do Tyńca, a raz na dwa, trzy lata wybierał się na dwutygodniowe wyprawy po równinach. Wędrował bocznymi drogami od jeziora do jeziora i cieszył się samotnością i wolnością. Ale po mieście nie jeździł nigdy. Uważał rower za zbyt kruchy w porównaniu z samochodami i tramwajami. Nie chciał kusić losu, wystawiać się na kaprysy podenerwowanych kierowców, być może zbyt zmęczonych albo trochę pijanych. Zawsze zbyt szybko spieszących się nie wiadomo dokąd.

Co innego teraz, gdy prawie żadne samochody nie poruszały się ulicami Krakowa. Kiedy tylko otrzymał zawiadomienie o kolejnym morderstwie, Karol bez obaw wsiadł na rower i wspólnie z Krystyną i Ochotą przejechał się Krakowską ku miejscu zbrodni. Miasto należało do nich. Nie musieli przejmować się przepisami drogowymi, tracić czasu na światłach zaprogramowanych tak, by sprzyjać samochodom. Nie czuli lęku przed świrami za kierownicami. Po prostu jechali przez miasto, niespiesznie, ale i nie powoli.

– Kapral ruszył tym śladem! – Na miejscu Pawełek wyprężył się jak struna, meldując o wypadkach na patrolu prawie tymi samymi słowami co Ochota, choć bez jego jęków i przekleństw.

– Sam?

– Było nas tylko trzech. Ochota poleciał po pomoc, ja zostałem pilnować ciała. Kapral tak kazał.

– Nie powinien był iść sam – mruknął Karol, raczej do siebie niż do Strażnika.

Na pozór Kruchy zachował się jak trzeba. Karol zdawał sobie jednak sprawę, że kapral nazbyt przywykł do samodzielnych misji i chyba nawet za bardzo je polubił. Nauczył się polegać tylko na sobie i kolegów zaczął traktować jak zawadę. Wolał troszczyć się sam o siebie, a tak nie powinno być wśród Strażników. Będzie musiał porozmawiać z nim o tym, choć nie wiedział do końca, jak to zrobić. Przecież sam wysyłał go w misje szpiegowskie.

Skupił się na bieżącym problemie. Krystyna oglądała już zwłoki. Wyjęła stary, rtęciowy termometr, by zmierzyć temperaturę ciała, próbkę zastygłej krwi upchnęła do plastikowego pojemnika. Przystąpiła też do oględzin tego, co pozostało z głowy.

– I jak? – zapytał Karol. – Wiadomo już coś?

– To nie film – warknęła. – Nie podam ci czasu zgonu po zaledwie szybkim rzucie oka na zwłoki. Rozwalili mu czaszkę ostrym narzędziem. Chyba maczetą... – Zawahała się i przejechała palcami po krawędzi kości. – Tak, to na pewno maczeta. Potem zjedzono mu mózg.

– Na pewno zjedzono?

– Fragmenty kości wyglądają, jakby ktoś je nadgryzł. Ale na tamtym kawałku mózgu – wskazała smętny szarzejący strzęp tkanki leżący pod ścianą kamienicy – wyraźnie widać odcisk zębów. Ktoś odgryzł kawałek, a ten wypadł mu z ust albo z ręki.

– Jezusie! – jęknął przysłuchujący się temu Ochota. – Ghul!

– Ghul? – Karol i Krystyna spojrzeli na Strażnika zdziwieni.

– Trupojad z horrorów – wyjaśnił.

– Możemy go nazwać i ghulem. – Kapitan wzruszył ramionami. – To tak samo jak poprzednim razem?

– Też maczeta, też zjedzony mózg – przytaknęła Krystyna. – Albo epidemia, albo ten sam sprawca.

– Jezusie! – powtórzył Ochota.

Zatem mieli drugie morderstwo. Seryjny zabójca? Karol nie znał się na kryminologii, nie wiedział, od ilu trupów można zacząć mówić o serii. Ale dwa to już chyba dowód na to, że nie da się tego rozpatrywać jako odosobnionych przypadków.

Poprzednią ofiarę znaleźli dwa tygodnie temu przy Augustiańskiej. Kapłan, jeden z Pokutników, wybrał się nie wiedzieć czemu na nocny spacer. Opuścił bezpieczne mury kościoła Świętej Katarzyny i polazł w kierunku ulicy Dietla. Żaden z Pokutników nie wiedział, co go do tego skłoniło. A może nie chcieli mówić? Niechętnie rozmawiali ze Strażnikami. Dokądkolwiek by się nie wybierał, nie dotarł do celu. Ktoś roztrzaskał mu łeb maczetą, jak stwierdziła badająca zwłoki Krystyna. A potem wyżarł mózg.

Dietla, Stradom... Miejsca zbrodni dzieliło może dziesięć minut drogi spacerem. Kimkolwiek był morderca, musiał mieszkać gdzieś tutaj.

Długo się wtedy zastanawiali, czy to zarąony, który nie wybudził się z gorączki. Karol odrzucił tę hipotezę po kilku sporach, wiedział jednak, że niektórzy z jego ludzi wciąż w nią wierzą. Jego zdaniem mordy tyle miały wspólnego z gorączką, że popełniane były przez kogoś, kto wprawdzie się z niej wybudził, ale wciąż za nią tęsknił. Czytał o podobnych przypadkach, o ludziach, którzy nie potrafili opanować chęci zabijania, skoro już raz odebrali komuś życie. A ten szaleniec może dodatkowo rozsmakował się w ludzkim mięsie? Czemu w mózgu? Diabli wiedzą. Może tęsknił za chorobą i jak wielu sądził, że mieściła się ona właśnie w mózgu? Pożerał go więc, by ponownie się zarazić albo rozbudzić w sobie berserk.

Do pewnego stopnia Karol potrafił go zrozumieć. Jakkolwiek przerażały go conocne sny o szaleństwie, nauczył się z nich przynajmniej tyle, że podczas gorączki wszystko było prostsze. Nie musiał odpowiadać za kilkudziesięciu ludzi, nie musiał przejmować się Nową Hutą szykującą się do wojny ani nienawiścią Krystyny. Po prostu zabijał i nie dawał się zabić. Nie obawiał się nadchodzącej zimy, chorób ani głodu. Wiedział, że upoluje jakiegoś innego człowieka, nazre się do woli i przeżyje.

Bywało, że przerażały go takie myśli. Ale czasem dodawały mu sił.

– Co robimy z ciałem? – zapytał Pawełek. – Palimy?

– Jeśli mam dowiedzieć się czegoś więcej, muszę dokładniej je zbadać – stwierdziła Krystyna. – Ale czy jest sens, żebym brała się za tę robotę?

– Jest – zdecydował Karol. – Zabójca działa na naszym terenie. Musimy go znaleźć. Powołam grupę śledczą. Pawełek, Ochota, przeniesiecie zwłoki do klasztoru. Pani zbada je tak dokładnie, jak to tylko możliwe. Od tej chwili cała wasza trójka, a także Kruchy, wchodzi w skład grupy śledczej. Zrozumiano? Macie odnaleźć i zabić tego sukinsyna.

– Kruchy dowodzi? – zapytała Krystyna.

Karol zawahał się, nim odpowiedział. Zdawał sobie sprawę z relacji, jaka łączyła tych dwoje. Jeśli postawi na czele grupy kaprała, to tak jakby oddał dowództwo Krystynie. Jeśli jednak wyznaczy innego dowódcę, na przykład któregoś z sierżantów, Krystyna odbierze to jako kolejny atak na siebie. Kolejny! Bo pierwszy stanowiło uratowanie jej życia.

Nie miał sił ani ochoty na te polityczne gierki.

– Kruchy dowodzi – powiedział ostrzej, niż zamierzał. – O ile jeszcze żyje. Jak długo go już nie ma?

– Zbyt długo – rzekł Pawełek.

Niech to szlag! Pawełek i Ochota musieli wrócić z Krystyną. Mężczyźni nieśliby zwłoki, kobieta prowadziła by rower Ochoty. To oznaczało, że Karol byłby zmuszony wyruszyć sam na poszukiwanie Kruchego. Czyli popełnić ten sam błąd co on.

– Poczekamy jeszcze parę minut – zdecydował. – Potem Ochota zostanie z panią doktor przy zwłokach, a ja z Pawełkiem ruszymy za kapralem.

– Trup nie będzie się robił coraz świeższy – rzuciła zrzędliwie.
– Może go pani zanieść z Ochotą, jeśli się pani spieszy – ofuknął ją. – Ja nie zostawię swojego żołnierza na pastwę losu. Najeżyła się, ale nie odpowiedziała.

– Ktoś go poznaje? – zmienił temat Karol.

– Jak wielu innych bezgłowych? – Krystyna uśmiechnęła się krzywo. – Przypomina mi paruset zabitych podczas gorączki. Może to ich krewny?

Ochota uśmiechnął się, lecz prędko zapanował nad sobą. Pawełek skrzywił się i splunął.

– Ubranie, pani doktor. Chłopaki?

Karol pochylił się nad zwłokami. Facet miał na sobie dzinsy wyglądające na nowiutkie, jedno z tych sportowych półbutów udających eleganckie, koszulę pod czarną bosmanką. Spod kołnierza wystawał kawałek kabla, obciętego przy okazji któregoś z ciosów. Kapitan odchylił poły kurtki i sięgnął do kieszeni, w której zniknęły kable. Znalazł iPoda. Rozejrzał się i odszukał wzrokiem leżącą z półtora metra dalej porzuconą słuchawkę, jedną z tych małych, które można było wetknąć do uszu.

– Elegant – ocenił. – Nawet teraz. Lubił słuchać muzyki. Jakoś ładował baterie albo wciąż znajdował nowe. To już jakiś trop. A w każdym razie ciekawostka. Dobrze byłoby dotrzeć do jego zasobów. Może miał dostęp do jakiegoś generatora? No jak, kojarzycie eleganta ze słuchawkami na uszach?

Nie kojarzyli. A przecież facet musiał mieszkać niedaleko. Ciekawe, czy wybrał się na spacer, czy wracał do siebie?

Czemu zginął akurat pod anglojęzyczną księgarnią, jednym z niewielu nieobrabowanych sklepów w mieście? To przypadek, czy zainteresował się jej zawartością? Jeśli to drugie, to mógł przechodzić tędy przypadkiem, inaczej zabrałby coś dla siebie już wcześniej.

I czemu, do diabła, łaził po nocy? Prawie nikt tego nie robił!

– Możemy chyba założyć, że to obcy – zdecydował i wyłożył im powody swoich przypuszczeń.

– Może ma portfel? – wymyślił Ochota.

Prawda! Wielu ocalałych trzymało się starych przyzwyczajęń. Choć pieniądze straciły wszelką wartość, niektórzy ciągle nosili je w portfelach. Karol sprawdził drugą kieszeń spodni. Znalazł w niej iPhone'a. Skontrolował stan baterii. W pełni naładowana! Niestety, nie udało mu się uruchomić telefonu, żeby sprawdzić, po co zabity nosił go ze sobą. Komórki nie działały... Ale wciąż można było nimi robić zdjęcia. Pod warunkiem, że miało się dostęp do elektryczności. Trzeba będzie zajrzeć we wszystkie miejsca, w których zachowały się generatory. Może tam go znali?

– W kurtce – zasugerował Ochota.

W wewnętrznej kieszeni Kapitan odnalazł portfel, a w nim dowód osobisty. Niestety jeden z nowych, już bez zameldowania.

– Jan Karlin – przeczytał. Nic mu to nie mówiło. Podał plastikowy identyfikator pozostałym, by przyjrzeni się twarzy.

– W życiu gościa nie widziałem – mruknął Pawełek. – Albo nie był stąd, albo nieźle się przed nami ukrywał.

– Więc czego tu szukał po nocy? – zapytał Karol. – Słuchajcie, to nie jest jedna sprawa, ale kilka. Mamy obcego łązającego w nocy po naszym terytorium i kogoś, kto go zamordował. Dwie tajemnice. Chcę, żebyście je rozwikłali. Zanim następnym razem zginie ktoś z naszych.

– My nie łązimy po nocy – burknął Ochota.

– Wygląda na to, że trzeba będzie to zmienić – zmartwił go Karol. – Zaczniemy nocne patrole.

– Kruchy wraca! – oznajmił Pawełek i wszyscy obejrżeli się ku ulicy Koletek.

Kapral wyglądał nieszczególnie. Szedł powoli, zamyślony. Kiedy zobaczył Kapitana, przyspieszył kroku. Podeszedł do niego, odetchnął i zameldował, że zgubił trop w trawie na bulwarach.

– To czemu nie było cię tyle czasu?

– Szukałem dalej. Myślałem, że w końcu wyjdzie na asfalt. Ale albo kombinował tak jak ja, albo szedł tuż przed świtem i rosa oczyściła mu buty. Myślę, że skręcił w lewo, bo raczej nie pchał się pod Wawel. Chyba że to dzieciak, bo ślady butów były niewielkie. Chociaż z drugiej strony... Po mojemu on biegł, Kapitanie. Sadził susy dłuższe niż normalne kroki. Za duże jak na dzieciaka, chyba że to był duży dzieciak. Więc w sumie – uśmiechnął się blado – wiem, że nic nie wiem, Kapitanie. Głupi jestem.

– A jakbyś tyle nie myślał, to co byś powiedział?

– Że to kobieta. I że przed czymś uciekała. Może ocknęła się z szaleństwa i zobaczyła, co narobiła? Albo ktoś ją przestraszył?

– Innych śladów nie widziałeś?

– Na asfalcie? Te jedne tylko dlatego, że wdepnęła w krew.

– Więc może to nie ona go zabiła – wtrąciła Krystyna. – Może jakaś kobieta nakryła mordercę, a on ją ścigał?

– Może – bąknął Kruchy bez przekonania.

– To by znaczyło, że zebrał się tu niezły tłumek. – Karol pokręcił głową. – Ofiara, morderca i przypadkowa kobieta. A wszystko w nocy, kiedy ludzie siedzą zabarykadowani w domach. To się wydaje mało prawdopodobne. Chyba że byli ze sobą umówieni. Jak dla mnie, byli tu tylko zabójca i ofiara. No ale nie będę wam nic narzucał, kapralu. Jesteście od teraz szefem grupy śledczej.

– Że co, szefie?

– Wasze nowe zadanie to dowiedzieć się, co tu się stało. Kim był zabity. Ale przede wszystkim znaleźć zabójcę. Pawełek i Ochota będą wam pomagać. I pani doktor.

Kruchy nie wyglądał na uszczęśliwionego. Wydobył jednak z siebie słabe „tak jest”, więc Kapitan, nie zwlekając dłużej, wsiadł na rower i zostawił swoją nową grupę śledczą z jej robotą. Sam miał mnóstwo innych spraw do załatwienia. Na przykład spotkanie z posłem Krzyżowców. Pewnie znowu będą go namawiać do zawiązania sojuszu przeciw Pokutnikom. Ciekawe, co tym razem wymyślą.

Rozdział 8

R A F A Ł

Trzy razy musieli wracać na Rękawkę, żeby przenieść całe to bogactwo do siebie. Za trzecim towarzyszyli im już Adam z Jackiem, mieszkający z dwoma kobietami w jednej z sąsiednich kamienic otaczających obwarowane podwórko i pomagający w pracach w ogródku. Nie pytali o nic, tylko po prostu ruszyli z Rafałem i Tomaszem. Ci nie powiedzieli ani słowa. Porozumienie łączące całą czwórkę teoretycznie sprowadzało się do wspólnoty ogródka. Skoro jednak zostali przyłapani, nie mogli wszczynać awantury. Źle by się ona mogła skończyć.

A na miejscu i tak zastali już Stalkera, który rozwalił kłódkę od piwnicy i właśnie ładował do worka wszystko, co się dało. Tomasz warknął groźnie i ruszył w stronę rabusia, ale Rafał powstrzymał go. Najcenniejsze fanty zdążyli już zabrać.

– Nie warto – mruknął.

Tomasz pokręcił z politowaniem głową, lecz zostawił resztki zapasów męża Sylwii, a sam poszedł na górę ładować do toreb jej kolejne kosmetyki i ubrania. W piwnicy z Rafałem i Stalkerem pozostali Adam i Jacek, pakujący do plecaków

wszystko jak leci. Nawet nie tracili czasu na przyglądanie się zdobyczy. Wypchnęli z ciasnego boksu protestującego Stalkera, nie wpuścili też Rafała.

– Wyście już swoje zabrali – warknął Adam. – Hieny. Przyzwoicie byłoby nas powiadomić.

– Tacy z was kumple! – poparł go Jacek.

Adam od początku nie przypadł Rafałowi do gustu. O ile Jacek był łajzą bez charakteru, jednym z typowych popychadeł, Adam wydawał się niebezpieczny. Skłonny do gniewu, nieprzyjmujący do wiadomości swoich wad i ograniczeń, zawsze szukał winnych własnych niepowodzeń. Prowokował i chętnie groził użyciem siły. Już na samym początku starli się z Tomaszem na ostro, właśnie o ogródek. Sami nie zrobili z nim nic, odczekali, aż Rafał i Tomasz odwalą najcięższą robotę. Dopiero wtedy przyszli zgłosić swoje prawa do żywności.

Tomasz od razu ich wyśmiał. Wtedy Adam wyszczerzył zęby, zacisnął pięści i ruszył w jego kierunku.

– No chodź, cwaniaku! - prychnął Tomasz. – Pokaż, jaki jesteś twardziel.

Rafał rozdzielił ich.

– To jedno z największych podwórek w mieście – oznajmił. – Starczy dla sześciu osób. A sami go nie upilnujemy, Tomek. Bramy chronią nas przed ludźmi z zewnątrz, nie przed sąsiadami. Przydadzą nam się współnicy.

– Dobra. Ale muszą też pracować, a nie tylko brać!

Ostatecznie w ogrodzie pomagał jedynie Jacek. Adam ograniczył się do pobicia kolejnych sąsiadów, których skusiła

wizja posiadania własnych warzyw i owoców. Poniekąd więc się przydał.

Dla sześciu, siedmiu osób faktycznie wystarczało plonów. Pozostali mieszkańcy otaczających podwórko kamienic musieli założyć własne poletka. Mieli gdzie, musieliby się jednak przyłożyć do pracy. A to było trudniejsze niż po prostu zerwanie owoców cudzego trudu.

Im częściej Rafał myślał o podobnych sprawach, tym większy odczuwał niepokój. Ci, których nie dopuścili do podziału, z pewnością czuli się pokrzywdzeni. Od poczucia krzywdy tylko krok do gniewu, a potem do agresji. Z pewnością uważali Adama za kumpla Rafała i Tomasza, różnice i konflikty między nimi nie miały znaczenia dla ludzi patrzących z zewnątrz.

W ten sposób stawali się powoli wrogami dla sąsiadów, choć jedyną ich winą było to, że potrafili lepiej od nich zadbać o siebie. Jakże łatwo było o konflikt, nawet w świecie, w którym zginęła większość ludzi. Wystarczyło wykazać się inicjatywą i odrobiną zaradności, by w oczach innych stać się kimś złym. Jeśli tak funkcjonowała ludzkość, prawdziwym cudem było to, że przetrwała.

Nie pierwszy raz Rafałowi przyszło do głowy, że berserk mógł się okazać zbawieniem. Przecież tuż przed wybuchem gorączki na świecie sytuacja robiła się gorsza właściwie z dnia na dzień. Na Bliskim Wschodzie wciąż trwały wojny, jedna za drugą. W Europie państwa zaczynały nowy wyścig zbrojeń, wszyscy skakali sobie do gardeł. Popularnością cieszyły się niemal wyłącznie coraz radykalniejsze partie i ideologie. Dyplomacja

srowadzała się do powarkiwań. Biedne kraje robiły się coraz biedniejsze, dodatkowo rujnowały je kolejne rewolucje wynoszące do władzy niemal wyłącznie skorumpowane kliki lub szaleńców. Kapitalizm przepoczwarzał się w chciwą bestię, ale państwa szukające ratunku w rozmaitych odmianach socjalizmu potrafiły tylko ślepo gonić za coraz bardziej wypaczonymi ideologiami.

Wojna nie tyleż wybuchła niespodziewanie, co czaiła się od lat niczym wirus podgryzający po cichu zdrowie nosiciela przed zadaniem ostatecznego ciosu. Można było jedynie się zastanawiać, czy kiedy wszystko wreszcie runie, ludzie będą mieli szczęście i upadnie wyłącznie cywilizacja, jaką znali, czy też atomowy kataklizm zmiecie całe życie na Ziemi.

Zamiast tego spadła na świat gorączka, która nie tylko naznaczyła wszystkich ocalałych piętnem morderców i kanibali, ale też tak przetrzebiła ludzkość, że właściwie nie było już o co się bić.

A jednak, jak odkrył Rafał, powody zawsze się znajdowały.

Przeszukał inne boksy w piwnicy, lecz nie znalazł w nich wiele interesujących rzeczy. Być może dlatego, że część z nich zdążył już splądrować Stalker. Nie wiedząc, w którym konkretnie znajdują się skarby, roztrzaskał kłódki jedna po drugiej.

– Ci dwaj to palanty – oznajmił, podchodząc do Rafała. – Nie wiem, jak z nimi wytrzymujecie. Ja spadam. Nic tu już prawie nie ma. Po mieszkaniach może... ale nie będę się bił.

– Słusznie. Nie ma o co.

– E, o co to chyba jest. Dziwne, żeśmy tego wcześniej nie przeszukali, nie?

– Nikomu nie spieszyło się w okolice więzienia.

– Co fakt, to fakt. Myślisz, że Maski są stamtąd?

– Maski?

– No wiesz, te stwory, które łążą po nocy. W płaszczach do samej ziemi i maskach gazowych.

– To bajki, Stalker. Usłyszałeś o nich w swoim radiu?

– Nie, znam kogoś, kto ich widział. To pewne źródło, chłopie!

– Tak jest zawsze z miejskimi legendami, Stalker. Nikt ich nigdy nie widział, ale każdy zna kogoś, kto słyszał od kogoś pewnego, że ktoś coś widział.

– Wierz, w co chcesz. Ale ja nie pcham się nocą na ulice. I tobie też nie radzę. No, bywaj!

Rafał mógł mieć w nosie te wszystkie zmyślane opowieści o demonach w maskach, lecz ostatniej rady zamierzał posłuchać. Choć czasem wychodził po zmroku na podwórko, by napić się wina bądź piwa na ławeczce w ogródku, nigdy nie opuszczał bezpiecznego terytorium. Może odpowiadał za to rozbudzony po stuleciach zepchnięcia w najdalszy kąt umysłu atawizm, może rozsądek, ale noc wydawała mu się teraz niepokojąca. Pamiętał miasto jako pełne światła i ludzi przez właściwie całą dobę. Ciemne i puste wydawało mu się obce.

Wspiął się do mieszkania Sylwii, by pomóc Tomaszowi zapakować jak najwięcej rzeczy jego nowej kobiety.

– Szaf na wszystkich naszych piętrach nie starczy na to – zażartował, widząc, jak jego przyjaciel próbuje poradzić sobie z

kolejnymi sukienkami i upchać je do wielkich ikeowskich toreb, równocześnie nie mnąc ich. Prasowanie nie należało obecnie do łatwych czynności i prawie się nim nie przejmowali. Wprawdzie w jednej z piwnic przeszukiwanych kamienic odnaleźli stare, zabytkowe żelazko na duszę, a nawet dwa zapasowe wkłady do niego, jednak użyli go tylko raz. Żal im było marnować opał na nagrzewanie dusz.

Teraz i to może się zmienić. Jeśli tylko Sylwia dowie się o żelazku.

Tomasz zignorował żart.

– Kiedyś będziemy musieli nakłść tej świni po mordzie – warknął. – Wiesz o tym, Rafał.

– Mam nadzieję, że uda się tego uniknąć.

– Nadzieja nie zastąpi ci jaj.

– No! – fuknął na niego i zaraz tego pożałował. To nie z Tomaszem powinien się kłócić. Skoro już jednak zaczął, nie potrafił przestać. – Takiś ważny? Nie za spieszno ci do awantury? Nie wystarczał miesiąc samej przemocy?

Tomasz rozszyfrował go bez trudu.

– Drzyj się na niego, nie na mnie! – prychnął. – My jesteśmy po tej samej stronie. A Adam to kawał gnoja. I prędzej czy później będzie próbował nas sobie podporządkować. Tacy jak on ustępują tylko przed siłą. Nie możesz do końca życia chować głowy w piasek tylko dlatego, że podczas gorączki zabiłeś kilka osób. Każdy, kurwa, zabił. Ale to nie powód, żeby ustępować draniom.

Stali naprzeciwko siebie, prawie stykając się twarzami. Obaj wściekli. Ktoś musiał ustąpić, lecz Rafał nagle odkrył, że wcale nie ma na to ochoty. Przeciwnie, nakręcał się każdą myślą. Poczł wściekłość na Tomasza za to, że ten przyprowadził Sylwię, za to, że zmarnował pół dnia na przenoszenie jej rzeczy. Nawet za to, że tamten wyraźnie oczekiwał, iż to on jak zwykle ustąpi. Nie tym razem!

– Kłóćmy się o pierdoły – odpuścił niespodziewanie Tomasz. Cofnął się, znów zaczął pakować rzeczy Sylwii. – To bez sensu. Wiesz, że największe awantury wybuchają właśnie o pierdoły? Pewnie cała masa wojen w historii ludzkości zaczęła się dlatego, że ktoś nie potrafił ustąpić w sprawie jakiegoś gównowartego drobiazgu. Nie warto.

– Nie warto – powtórzył zaskoczony Rafał. Nagle uszła z niego cała złość.

Pomógł Tomaszowi w pakowaniu i wrócili do domu. A tam, w kuchni, przy herbacie, czekała na nich nie jedna kobieta, lecz dwie.

LUCYNA

Kiedy Rafał i Tomasz weszli do mieszkania, widać było po nich, że coś między nimi zaszło. Blask Rafała wydawał się szczególnie mocno jaśnieć, ale i bez niego Lucyna zorientowała się, że coś było nie tak. Sylwia, choć zupełnie pozbawiona talentu przyniesionego przez gorączkę, też natychmiast się zorientowała.

– Coś się stało? – zawołała, zrywając się od stolika, przy którym jeszcze przed chwilą plotkowały we dwie jak stare znajome. Choć Sylwia nie posiadała jaśniejących mocy, dysponowała za to wrodzonym darem nawiązywania przyjaźni i zjednywania sobie ludzi. Tak w każdym razie uznała Lucyna.

Stanęła przecież pod bramą domu Rafała, drąc się, że przyszła zgodnie z umową, bo ma już fanty dla dzieciaków. Zdziwiła się, widząc Sylwię, która zeszła do niej.

„Nie znam cię” – powiedziały równocześnie i niespodziewanie roześmiały się. A potem Lucyna jakoś tak zaczęła opowiadać jej o sobie i o poszukiwaniach Izy. Po paru minutach siedziały już na piętrze. To Lucyna musiała pokazać swojej nowej znajomej, gdzie Rafał trzymał cukier i herbatę. Wywnioskowała z tego, że Sylwia musiała być kimś nowym.

– Daliśmy się podejrzeć hienom – wyjaśnił Tomasz. – Adam z Jackiem widzieli te nasze wędrówki i poszli za nami. I jeszcze Stalker na dodatek. Rafał nie chciał się bić, więc odpuściliśmy im.

– Stalkera znam. – Sylwia najpierw rzuciła się Tomaszowi na szyję, pocałowała go, a dopiero potem zaczęła przeglądać przyniesione rzeczy. – Tamtych dwóch nie. Rany boskie, aleś ty to wszystko pomiał! No popatrz – zademonstrowała Lucynie czerwoną sukienkę. – Jakby psu z gardła wyjął!

– Mamy żelazko – spróbował uspokoić ją Tomasz.

– Też mam. Pięć. I żadne nie działa bez prądu.

– A nasze działa. No, co tak oczy wybałuszasz? – roześmiał się. – Działa! Chodź, pokażę ci. Zostawmy tę parkę. Wyprasujemy te twoje cuda.

– Jesteś zły? – zapytała Lucyna, gdy po wyjściu tamtych Rafał usiadł przy kuchennym stole. Nie pytając, wypił herbatę Sylwii i skrzywił się, gdy odkrył, jak bardzo była przesłodzona.

– Kiepski dzień. Źli ludzie, złe momenty. Wszystko złe. I nie powinna była cię wpuszczać.

– Wielkie dzięki, panie nadąsany.

– Nie znała cię. Kogo wpuści następnym razem? – Odetchnął głęboko. – I cholernie przesładza herbatę.

– Spróbuj mojej.

– Rozumiem, że masz fanty?

– Mam. Nie przyniosłam, jak mówiłeś. Skoczysz ze mną teraz, czy za bardzo jesteś padnięty?

– Nie, chętnie się przejdę. Poczekaj, muszę się odpowiednio ubrać. Jeśli będą dobre, od razu pójdę do dzieciaków.

– Odpowiednio ubrać? Włożysz garnitur? Smoking ambasadora?

– Nie, tylko rzeczy, które miałem na sobie, gdy bachory widziały mnie po raz pierwszy. Przywiązują wagę do takich szczegółów. Albo tylko tak mi się wydaje.

Wrócił po paru minutach ubrany w te same ciuchy, które miał na sobie, gdy widziała go po raz pierwszy – oliwkowe bojówki, szarą bluzę i lekką zieloną kurtkę. Na szczęście wyprał je, pozbył się więc plam krwi i większości śladów popiołu. Ale niestety nie zapachu. Wciąż cuchnęła spalonymi ludźmi.

Bardziej zainteresował ją kawał szmaty przywiązanej do plastikowego kija od miotły. Zielonkawy, połyskiwał złotą i czerwoną nicią, którą wyszyto na nim psy o paskudnych, choć zamyślonych pyskach.

– Co to? – zapytała.

– Dostałem od gówniarzy. Odcięły kawałek jednego z arrasów i dały mi jako sztandar. Bez niego też nie mam po co tam przychodzić.

– Pięknie. Zniszczyły zabytek.

– Lepiej zabytek niż życie.

Zabrał ze sobą na wszelki wypadek własny plecak – pojemny, ale wygodny, bo wąski na stelażu.

Gdy mijali posterunek Strażników na moście Piłsudskiego, Lucyna jak zwykle poczuła dreszcz niepokoju. Zawsze wydawało jej się, że ta samozwańcza milicja o coś się w końcu do niej przyczepi. Albo że zmusi ją, by pracowała dla nich. Tak przecież zachowywały się tego typu oddziały na wszystkich filmach opowiadających o życiu po katastrofach. Strażnicy jednak popatrzyli tylko na flagę Rafała i na jego naszywkę na kurtce, po czym przepuścili go. Obecność Lucyny skwitowali kilkoma nieprzesadnie pieprzonymi żartami. Nie narzekali na brak kobiet w swojej fortecy, a jeszcze nie rozbestwili się na tyle, by zakładać haremy i polować na niewolnice.

Zaprowadziła Rafała do swojego awaryjnego mieszkania przy Węgłowej. Zajęła kiedyś niewielki lokal nad niegdysiejszą knajpą, naprzeciwko kamienicy, której nikt nie zdołał wyremontować przez kilkanaście lat. Trzymała tu nieco

zagrabionego z knajpki piwa, a poza nim mnóstwo zbędnych drobiazgów i rezerwowe łóżko. Tak na wszelki wypadek. Podejrzewała, że większość ocalałych ma takie zapasowe norki.

– Widzisz, ja ci ufam – oznajmiła Rafałowi, otwierając drzwi.

– Wpuszczam cię do mojej jaskini skarbów.

– Nie ściemniaj, to nie jest twoje prawdziwe mieszkanie – skrzywił się, gdy usiedli w kuchni.

– Och?

– Nie widać po nim, żebyś tu mieszkała. Żadnych śmieci, za to kurz na meblach. – Przeciągnął placem po wraku lodówki. – Czyli jakbyś sprzątała i nie sprzątała równocześnie. Zgromadziłaś tu fanty i tyle. Gdzie są.

– Nie napijesz się najpierw piwa? – Podsunęła mu butelkę.

– Żadnego alkoholu przed misją. Dzieciaki mogą wyczuć.

– I co? To jakaś tragedia?

– Nie wiem, nigdy nie wyczuły. Ale widzę dwie możliwe opcje. Albo stracą do mnie zaufanie, bo pomyślą, że przychodzę po pijaku, albo uznają, że to dobry towar i będą chciały, bym przynosił im przede wszystkim alkohol. A o niego coraz trudniej. Nie licząc bimbrowni, ale to oznacza handel.

– Ja widzę i trzecią opcję – odparła, otwierając butelkę i pociągając łyk ciepłego niestety piwa. Trzeba było je wypić, nim skończy się jego ważność. – Pieprzysz bez sensu. Nie masz czasem wrażenia, że za dużo myślisz?

– Ach tak? No to posłuchaj, co wymyśliłem. Moim zdaniem przeżyły głównie te dzieciaki, które miały szczęście, bo akurat były poza domem. Oraz te z patologicznych rodzin. Te, które

zawsze spodziewały się po rodzicach wszystkiego najgorszego, więc zdążyły uciec, gdy się na nie rzucili. Jeśli te dzieciaki poczują ode mnie alkohol, skojarzą mnie ze swoimi pijanymi starymi, którzy darli się na nie i je tłukli. Za dużo myślę?

– Za dużo. Może i niegłupio, ale za dużo. – Nagle coś do niej dotarło. – Dużo myślisz o dzieciach, co?

– Teraz ty zaczynasz za bardzo kombinować.

– Miałeś dziecko – odgadła. – Córkę? Syna?

– Córkę – przyznał po chwili. – Sześćioletnią. Po tym, jak wróciłem z Rynku... Pamiętasz?

Przytaknęła.

– Znalazłem ją, gdy wróciłem do domu. – Jego głos nagle stał się ochryply. – Chyba chowała się w łazience. Nie wiem, czy przede mną, czy przed Aśką.

– Aśką?

– Moją żoną. Ona nie wróciła. Szczęściara.

Opuścił wzrok. I dobrze, nie potrafiła patrzeć mu w oczy. Pociągnęła kolejny łyk piwa. Długi, prawie się nim zadławiła. Gdy odstawiła butelkę i znów spojrzała na Rafała, z trudem powstrzymała okrzyk zdumienia. Jaśniał tak bardzo, że prawie ją oślepił.

– To dlatego chodzisz po dzieci? – zapytała. – Bo wiesz, co czują rodzice?

– Nie wiem. Może. Myślę, że łażę po bachory, bo mogę. Mamy teraz wszyscy mnóstwo wolnego czasu, prawda? Nie tracimy ośmiu godzin w pracy, która tak naprawdę nic nie była warta i nie przynosiła żadnych pożytków poza przelewami na konto.

Czasem wyskoczmy na szaber. Czasem popracuję w ogrodzie. Więc biorę się za każdą robotę, bo to pozwala mi poczuć się trochę lepiej. Praca, rozumiesz. Praca, która ma sens.

– Co robiłeś przed gorączką?

– Prowadziłem firmę. Montowaliśmy kablówkę, Internet, systemy alarmowe. Czasem kasy fiskalne. Same potrzebne dziś rzeczy. A ty?

– Byłam księgową. Umiem cholernie szybko liczyć w pamięci. Przyda ci się na coś ta moja supermoc?

– Może, gdy zaczniemy liczyć fanty. Pokażesz mi je w końcu, czy sprowadziłaś mnie tu po to, żeby mnie upić i przelecieć?

– A to byłoby takie złe?

– Dziś byłoby w sam raz – odpowiedział po chwili.

W efekcie fanty przeliczyli dopiero następnego poranka. A kiedy skacowany, ale chyba szczęśliwszy, a w każdym razie spokojniejszy Rafał wyruszył pod Wawel, Lucyna poszła z nim. Pozwolił jej odprowadzić się aż do wylotu ulicy Stradomskiej. Potem kazał jej wracać do domu. Protestowała, ale pozostał nieprzejezdny. Wreszcie udała, że ustąpiła. Odchodząc, odwróciła się, by sprawdzić, czy ją obserwował. Nie było go już na końcu ulicy, musiał ruszyć na zamek. Całe szczęście! Bała się, że zmusi ją, by naprawdę się oddaliła, a nie chciała ponownie wpaść na patrol Strażników, który spotkali po drodze. Nie spodobali jej się ci trzej mężczyźni, a w szczególności ich dowódca, kapral o świdrującym spojrzeniu.

Zawróciła biegiem. Nie odważyła się podejść pod sam zamek. Przyczaiła się w pustym hotelu wojskowym naprzeciwko i

czekała. Po blisko dwóch godzinach Rafał wrócił nareszcie, prowadząc pod rękę dziewczynkę wyglądającą na jakieś trzynaście lat. Lucyna przyjrzała się jej, na początku przez lornetkę. To nie była Iza. Zatem nie znaleźli jej w zamku i pewnie szli do kolejnej dziecięcej twierdzy.

Nagle straciło to dla Lucyny znaczenie.

Nikt jeszcze nigdy nie jaśniał w jej oczach jak ta mała.

Jakby nagle w środku dnia zobaczyła drugie słońce.

CZĘŚĆ DRUGA

Nietknieęci

*I walked until I couldn't walk anymore
to a place I'd never been
there was something stirring in the air
in front of me, I could see*

Peter Gabriel, *More Than This*

Rozdział 9

K A Ś K A

Kaśka nie należała do dzieci bitych przez rodziców. Nie przebywała też poza domem, gdy berserk rozszalał się na dobre. A jednak ocalała.

Kiedy stało się jasne, że dziwne ataki szalu wśród ludzi to nie pojedyncze przypadki, których opisy lądowały na dalekich stronach gazet, a w Internecie były trudne do odróżnienia od fejków, nagle wszyscy zaczęli się nimi interesować. Na stronach internetowych informacje o „berserkerach” wyróżniano czerwonym kolorem i rozmiarem czcionki, w telewizjach zaczęli na ich temat wypowiadać się fachowcy. USA i zachodnia Europa wdrożyły specjalny program szczepień, w Japonii obywatelom wydano elektroniczne opaski mierzące im poziom stresu. Polska na razie zwlekała z podobnymi rozwiązaniami, władze zalecały przede wszystkim ostrożność.

– Podobno Frędzel zmienił się w zombiaka w niedzielę. – Anka, z którą Kaśka kumplowała się od piaskownicy, przekazała jej wiadomość podczas przerwy szkolnej. Siedziały na schodach we czwórkę: Anka, Kaśka, Monika i Zośka, która

naprawdę miała na imię Mihn, ale upierała się, żeby nazywać ją po polsku.

Frędzel, nauczyciel matematyki i informatyki, był ponoć najmądrzejszym człowiekiem wśród belfrów w gimnazjum Kaśki. I najbardziej zestresowanym. To jemu, w ramach oszczędności, zlecono napisanie programu mierzącego dyscyplinę czasu pracy nauczycieli, a także drugiego, pozwalającego oceniać poziom rozwoju poszczególnych uczniów oraz dowolnie określanych ich grup, klas, a nawet całej szkoły. Nieszczęsny Frędzel spędzał nad swoim dziełem każdą wolną chwilę. W rezultacie na lekcjach bywał tylko umiarkowanie przytomny. A w dodatku ze stresu niemal całkiem wyłysiał. Pozostał mu tylko wąski czum czarnych włosów na czubku głowy, od którego wzięło się jego przezwisko.

– Frędzel od zawsze był zombiakiem – wzruszyła ramionami Monika, nie odrywając wzroku od ekranu smartfona. – To żadna nowość.

– Ale był zombiakiem jak z *The Walking Dead* – nie ustępowała Anka. – A zmienił się w takiego z *World War Z*. Biegał, rzucał się na ludzi. Podobno zagryzł swoją żonę.

Wiadomość, że ktoś taki jak Frędzel mógł w ogóle mieć żonę, poruszyła przyjaciółki bardziej niż informacja o chorobie matematyka.

– W berserkera – powróciła do tematu Kaśka, gdy już wspólnym wysiłkiem zdołały wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać ta nieszczęśnica i na czym musiały polegać jej niewątpliwe upośledzenia. Powstał w ten sposób obraz istoty

ślepej, częściowo sparalizowanej i ograniczonej umysłowo. – Frędzel zamienił się w berserkera. A nie w zombi.

– Nie?

– Zombi to żywe trupy. Berserkery...

– Berserkerzy – wtrąciła się Zośka, szalenie czuła na punkcie poprawności językowej. – Mówi się: berserkerzy.

– No więc berserkerzy – kontynuowała Kaśka, przewróciwszy uprzednio oczami, podobnie jak trzy pozostałe przyjaciółki – to nie żywe trupy. Oni nie umierają. A jak kogoś zabiją, to ten ktoś nie wstaje, żeby gryźć innych, tylko zwyczajnie nie żyje. W sumie to są mniej niebezpieczni, bo nie wywołują epidemii.

– A wiesz to wszystko – Monika mrugnęła porozumiewawczo – od swojego chłopaka, co?

– Maciek nie jest moim chłopakiem! – zawołała Kaśka z nie do końca prawdziwym oburzeniem. Fakt, że wszyscy mieli ją i Maćka za parę, częściowo wprawiał ją w zażenowanie, a częściowo napawał dumą. – Poza tym wszystkie siedzicie na jego apkach!

– W jego apkach...? – zastanowiła się na głos Zośka, a potem zaczęła gorączkowo przeszukiwać internetowe poradniki językowe.

Temat zombi został porzucony na rzecz naigrywań z Kaśki, która, nieszczęsna, związała się z młodzieńczym odpowiednikiem Frędzla – chłopakiem, który programować potrafił lepiej od nauczyciela i oddawał się temu zajęciu z wielką pasją. W związku z czym, jak prorokowały Monika z

Anką, wkrótce miał się zmienić w łysego, pomarszczonego potwora.

W domu Kaśka zastała oboje rodziców pogrążonych w rozmowie na ten sam temat.

– Jak było w szkole? – zagaił tata dziwnie drętwym głosem.

– Nuda, przerwa, nuda – odpowiedziała. – Po waszych minach widzę, że już wiecie. O Frędzlu.

– Profesorze Kwiatkowskim – poprawiła ją mama. Pracowała w urzędzie miasta, co wydawało się jej wymarzoną miejscem na Ziemi. Tata śmiał się, że mama urodziła się jako urzędniczka – zasadnicza, fachowa i konkretna. Mogłaby zostać generałem, gdyby w czasach jej młodości wojsko nie dyskryminowało kobiet. – Tak, wiemy, że zachorował. Kasiu, zdecydowaliśmy z tatą, że nie pójdiesz jutro do szkoły.

– No to chyba super?

– Na wszelki wypadek w ogóle nie wyjdiesz z domu – uzupełnił tata.

– Boicie się, że Frędzel mógł pozarażać innych nauczycieli i jutro będą na nas polować w szkole?

Jak zwykle w takich przypadkach rodzice wymienili spojrzenia. Taty było zagubione, mamy zawiedzione, ale pewne.

– Nikt jeszcze nie wie, jak roznosi się choroba – pierwsza oczywiście odezwała się mama. – Ale obecność zarażonego z pewnością podnosi ryzyko. Jeśli chcesz, tata może ci to wyjaśnić.

Kaśka chciała. Tak naprawdę większość informacji na temat berserku, jakimi dysponowała, nie pochodziła od Maćka, ale od taty – nauczyciela biologii w liceum, do którego Kaśka nie zamierzała się wybierać po ukończeniu gimnazjum, nawet gdyby zniknęły wszystkie inne szkoły na świecie. Prawdę mówiąc, częściej podsłuchiwała rozmowy rodziców, niż dowiadywała się czegoś od nich bezpośrednio. W każdym razie na temat berserku.

Postanowiła wykorzystać okazję. Spojrzała na tatę, przybierając minę tak pełną nadziei i oczekiwania, że aż się zakłopotał.

– Tak... hm... – Odchrząknął. – Nie wiadomo jeszcze, jak przenosi się ta choroba. Ani czy naprawdę się przenosi i czy jest epidemią, czy tylko faktem medialnym... To znaczy takim wydarzeniem, które jest szczególnie nagłaśniane...

– Tato, wiem, co to są fakty medialne.

– Tak? O... No więc możliwe, że to przypadki nerwic, które zostały nagłośnione i nakręciły coś w rodzaju samospełniającej się... Wiesz, co to jest samospełniająca się przepowiednia, prawda?

– Wiem, tato.

Posłuchała jeszcze chwilę, jak się miotał, a potem podziękowała uprzejmie i uciekła do swojego pokoju. Tyle zrozumiała z tłumaczenia taty, że on też nic nie wiedział. Ale musieli się z mamą bać, skoro postanowili nie posyłać jej do szkoły.

Nie uruchamiała laptopa, sieć nie miała jej nic do zaoferowania. Tradycyjne serwisy społecznościowe nie sprawdzały się podczas epidemii. Memy z berserkami nagle przestały Kaśkę bawić. Facebook, na który powróciła po blisko roku włączania go tylko po to, by składać za jego pośrednictwem życzenia dorosłym krewnym i przyjmować do grona znajomych coraz to nowe ciocie, otwarcie ogłosił cenzurę informacji o berserku. Podobno po to, by uniknąć paniki przez rozpowszechnianie fejków.

Pozostawał dupnet, aplikacja zmaistrowana przez Maćka. Może i był nerdem, ale miał talent do programowania i poza nauczycielami każdy w szkole wiedział, że Maciek wcześniej czy później zarobi miliony na którymś ze swoich pomysłów. Na razie tylko się bawił, jak wtedy gdy stworzył gierkę *Angry Teachers*, w której trzeba było pokonywać kolejne poziomy, skacząc po głowach nauczycieli. Prosta i właściwie głupawa, była jednak w gimnazjum prawdziwym przebojem.

A potem zmaistrował dupnet, czyli komunikator dla uczniów jednego jedyne go gimnazjum, zamkniętą elitarną sieć. Być może nie pozwalała porozumieć się z kimś zza oceanu, ale szybko zaczęła stanowić podstawowy komunikator i bazę danych o świecie dla Kaśki i większości jej szkolnych znajomych.

Aplikacja ukrywała się pod niewinną ikoną koniczyny. Odpalała się błyskawicznie. Pozwalała nawiązać łączność głosową, ale też wymieniać wiadomości tekstowe i zdjęcia. Oraz przeglądać „tablicę dupzdarzeń”, gdzie uczniowie

wrzucali wieści z tej części świata, która interesowała ich najbardziej. Kaśka przerzuciła informacje na temat berserku. Ktoś twierdził, że zaraza przenosi się przez Internet. Miała być dziełem muzułmańskich hakerów, którzy nauczyli się infekować mózgi elektronicznymi wirusami. Ktoś inny uważał, że to wina kosmitów. Jeszcze inny z kolei, że po latach funkcjonowania wśród fal radiowych umożliwiających łączność wi-fi mózgi stały się podatne na zanieczyszczenia radiowe i wariowały od przeładowania informacyjnym szumem.

„Bzdury” – zbył ją Maciek, gdy za pośrednictwem dupnetu podzieliła się z nim nową wiedzą. „Elektronika nie ma z tym nic wspólnego”.

„Ale Frędzel zwariował jako pierwszy, a siedział w programach” – nie ustępowała.

„Frędzel zwariował, bo nie był głupi. IMO najszybciej chorują inteligentni. I aktywni”.

„Co?”

„Zrobiłem analizę znanych przypadków. Wariują w miastach, nic nie wiadomo o berserku na wsi. Najczęściej aktywni zawodowo. Uważani za inteligentnych. Najwięcej informatyków. Ale nie przez elektronikę, lecz inteligencję. My jesteśmy mądrzejsi”.

Posłała mu emotę z wywalonym językiem.

„No widzisz” – odpisał. – „Ty nie masz się czym przejmować. Laski używające emotów mają za niskie IQ, żeby zachorować”.

W odpowiedzi dostał lawinę rozgniewanych i szydzących z niego emotek. Po czym Kaśka rozłączyła się, bo uznała, że mała demonstracja oburzenia może się przydać.

Tak naprawdę jednak była zmartwiona. Mogła czasem nabijać się z Maćka, ale głupi nie był. Jeśli miał rację, rodzice byli zagrożeni.

Od tego dnia zaczęła im się uważniej przyglądać. Długo jednak nie dostrzegła żadnych objawów. A miała na ich szukanie mnóstwo czasu. Nie poszła do szkoły ani następnego dnia, ani później. Po trzech dniach przymusowych wakacji, kiedy miała już serdecznie dość wszystkiego i wręcz marzyła, by wrócić do szkoły, prezydent miasta ogłosił, że wobec szczególnej sytuacji wszystkie dzieci mają wolne.

Szczególnej sytuacji?

Sprawdzała przez te trzy dni wiadomości ze świata, ale wyglądały nie najgorzej. Czyżby akurat w Krakowie doszło do pogorszenia? No, chyba że chodziło o smog?

Spróbowała nawiązać kontakt z Anką, ale ta nie odpowiadała ani pod telefonem, ani pod żadnym z komunikatorów. A dupnetem demonstracyjnie gardziła. Z Moniką nie można się było połączyć nawet na dupnecie. Pozostawała Zośka.

„Też nie mam kontaktu z Anką” – odpisała Wietnamka, która urodziła się już w Polsce i dla której krajobrazy Indochin wydawały się równie egzotyczne jak dla Kaśki. „Wczoraj w szkole zachowywała się jak zwykle: foch za fochem. A Monikę rodzice wywieźli na wieś. Moi też chcą wracać do Wietnamu. Mówią, że tam będzie bezpieczniej”.

„OMG! Pojedziesz?”

„Raczej nie. Nie mogą kupić biletów. Chyba ogłoszono kwarantannę, ale tajną. Nikt nic nie mówi”.

„Kwarantannę?”

„Nie rozmawiałaś z Maćkiem?”

„Rozmawiałam, ale raczej o tym, co w szkole i o jego teoriach na temat berserku. Nie o kwarantannie”.

„Totalnie cenzurują informacje” – odpisała. – „Telewizja, radio, sieć. Wszystko. Ludzie uciekają na wieś. Pociągi nie kursują, bo podobno zerwało trakcję. Samoloty w ogóle są uziemione. Niby tylko nie można kupić biletów, a tak naprawdę nic nie lata. Mam informatora koło Balic. Wszystkie maszyny stoją”.

Wieczorem tata próbował zamówić ślusarza, żeby założył dodatkowe zamki w drzwiach, lecz nikt nie chciał przyjąć zlecenia. Rodzice rozmawiali o barykadowaniu drzwi. Pokłócili się przy tym. Ale wydawali się zdrowi. Nikt znany Kaśce, poza Frędzlem, nie zachorował. Jednak nie mogła się połączyć ani z Anką, ani z Moniką. Zośka też przestała się zgłaszać.

Telewizja nadawała niemal wyłącznie filmy komediowe.

Na drugi dzień, z samego rana do drzwi mieszkania Kaśki załomotał sąsiad spod siódemki. Tłukł się tak mocno, że pobudził wszystkich, a do tego przeraził. Tata wyciągnął młotek i dopiero wtedy ostrożnie otworzył.

– Jesteś gotowy? – zawołał sąsiad. – Ja pierdolę, co się porobiło. Podobno na Kurdwanowie jatka. A w Hucie się mordują.

– Skąd wiesz?

– Szwagier mi mówił. Zadzwoił. Radził, żeby się zabarykadować i nie wychodzić, póki wszystko nie minie.

– Dzięki za informację. – Tata spróbował zamknąć drzwi.

– Czekaj, sąsiad! Barykadowanie barykadowaniem, ale coś jeść trzeba, nie? Tak sobie pomyślałem: przecież się znamy. Wiemy, co kto komu, nie? Można by pojechać do galerii narobić zakupów. We dwóch bezpieczniej.

– Ala? – Tata obejrzał się na mamę.

– Dobry pomysł – zdecydowała. – Ale pojedziemy we trójkę. Chyba że pana żona...?

– Ona się boi. Zostanie.

– Niech pan nam da chwilkę. Musimy się ubrać.

Kaśka domagała się, by zabrali ją ze sobą. Odmówili. Kazali jej siedzieć w domu i nikomu nie otwierać. Pocieszali ją, bo poryczała się jak dziecko.

– To tylko zakupy – tłumaczył ojciec. – Wrócimy raz-dwa.

Nigdy więcej ich nie zobaczyła. Ale może właśnie dzięki temu przeżyła.

Rozdział 10

K A Ś K A

Maciek zaskoczył ją. Przyszedł po nią dwa dni później, gdy padł prąd, a wraz z nim wszystkie telefony i Internet. Żeby dostać się do bloku, musiał wybić szybę w bramie. A potem wspinał się na trzecie piętro, cały czas przerażony, że jakiś dorosły może go zaatakować.

Poświęcił kwadrans, błagając Kaśkę, by go wpuściła, nim zdołał ją przekonać. Spędziła prawie cały dzień, kuląc się w swoim pokoju po tym, jak żona sąsiada spod siódemki wpadła w szal i próbowała wyważyć drzwi do mieszkania Kaśki. Jakby wiedziała, że dziewczyna ukrywa się w środku, choć Kaśka wygasiała wszystkie światła i starała się siedzieć jak mysz pod miotłą. Pisała tylko kolejne esemesy do rodziców: „Są tutaj! Ratujcie mnie!”.

Problem sąsiadki rozwiązał ktoś, kto zaatakował ją, rycząc dziko. Uderzyli oboje o drzwi, a wtedy Kaśka prawie krzyknęła. Wepchnęła sobie dłoń do ust, by nie wrzeszczeć ze strachu. Zagryzła ją niemal do krwi, przysłuchując się odgłosom kotłowaniny pod drzwiami, rykom i pochrząkiwaniami, nieludzkim, nawet nie zwierzęcym. Jakby stado orków urządziło sobie bitwę na jej wycieraczce.

Nie wiedziała, jak długo trwała walka, ale nagle sąsiadka wrzasnęła przeraźliwie, zarzęziła. Ktoś, jakiś mężczyzna, którego głosu Kaśka nie potrafiła rozpoznać, wydał gardłowy, chyba przepełniony triumfem okrzyk bez słów. A potem odszedł.

„Jestem sama. Boję się” – napisała na komunikatorze i wysłała tę wiadomość do wszystkich znajomych.

Zareagował tylko Maciek.

Gdy zatrzasnęła za nim drzwi, wtuliła się w niego i długo nie chciała wypuścić ze swych objęć. Znowu wybuchła płaczem. Uspakajał ją niewprawnie, szeptał coś niemądrze, ale łagodnie. Wreszcie zapanowała nad sobą.

– Napijesz się coli? – zapytała.

– Czegokolwiek. I zjadłbym coś. U nas lodówka była prawie pusta. Od wczoraj nic nie jadłem.

– Ja też nie. Nie mogłam. Chodź.

Usiedli w kuchni, w narastających ciemnościach, bo zapadł już wieczór.

– Oni chyba słabiej widzą w nocy – tłumaczył Maciek, gdy Kaśka przygotowywała kolację. Pokroiła nieco suchy już chleb, posmarowała go margaryną. W niedziałającej lodówce odnalazła trochę sera, wędlinę, jakieś warzywa. Po chwili wahania powyjmowała to wszystko. Wydawało jej się, że teraz w lodówce mogły zepsuć się szybciej. – Będziemy musieli uważać, bo poruszają się niewiarygodnie cicho. W ogóle nie wydają odgłosów.

– To dziwne, bo ten, który szalał u mnie na klatce, wrzeszczał.

– Może nie był jeszcze do końca opętany? – Maciek wzruszył ramionami. – Wszystkie relacje wspominały o ciszy.

– Nie ma prądu ani gazu – wyszeptała Kaśka. Nagle zachciało jej się płakać. Przymknęła oczy, policzyła w myślach do dziesięciu. Nie może się teraz załamać. Lepiej, żeby Maciek nie wziął jej za łajzę, nie uznał za ciężar. – Będziemy jeść po ciemku i na zimno.

– Nie szkodzi. Zjadłbym nawet zamrożone.

– Zostały jakieś soki. I cola. Co wolisz?

Dopiero gdy ugryzła pierwszy kęs kanapki, uświadomiła sobie, jaka była głodna. Pożarła dwie kromki i szybko przygotowała następne. Te jadła już wolniej.

– Jacy oni? – spytała.

– Dorośli. Chyba tylko oni wariują. Nie widziałem żadnego szalonego dziecka. Tylko... – zawahał się.

– Dokończ.

– Martwe.

Spróbowała mu uwierzyć. Nie chciała. Nie mogła.

– Robisz sobie jaja, co? Przecież jeszcze dwa dni temu było zwyczajnie.

– Zwyczajnie to może nie. Ale spokojniej. Tylko pojedyncze przypadki. Jednak przedwczoraj wybuchło na całego. Jakby trafiła w nas jakaś bomba z wirusami. Połowa ludzi od razu zwariowała.

– Skąd wiesz?

– Wtedy jeszcze był net.

– Ale przecież w necie nic nie mówili!

– Mówili, jak się wie, gdzie szukać. Komunikatory, zwyczajne strony, nawet Twitter... Wszystko było ocenzurowane. Ale miałem paru znajomych, na całym świecie. Wiesz, takich jak ja. Mieliśmy własne serwery i komunikator. Coś jak dupnet, tylko większe. Jezu, co się naoglądałem, Kaśka! To się stało jednocześnie prawie na całym świecie. Globalne szaleństwo.

– Kiedy? Kiedy się zaczęło?

– Akurat jak twoi starzy poszli na zakupy – odpowiedział niechętnie. – Przykro mi, Kaśka.

Ukrywali się razem jeszcze przez dwa dni. A potem skończyły im się zapasy.

– Głupia ludzkość – marudził Maciek, pomagając Kaśce się pakować. – Tak żeśmy przywykli do tego, że żarcie jest zawsze w zasięgu ręki, w każdy dzień i o każdej porze, że nie robiliśmy zapasów. Nikt. No to teraz mamy przetuptane.

Długo przekonywał ją, że powinni uciec. Opowiadał, iż zna dzieciaki, które umawiały się, że gdyby doszło do czegoś złego, spotkają się na Wawelu – w prawdziwej twierdzy. Łatwo tam było odciąć drogi dojścia, a w ostateczności bronić się. Kaśka opierała się, tłumaczyła, że musi czekać na rodziców. Wreszcie nie wytrzymał i nawrzeszczał na nią.

– Na ulicach dorośli dzielą się na tych, którzy mordują i są mordowani! – krzyczał. – Nie wiem, co gorsze. Nie czekaj na nich, Kaśka. Jeśli przeżyjemy, my i oni, to się odnajdziecie. Ale nie przeżyjemy, jeśli zostaniemy tutaj!

Wtedy, wściekła i przerażona, spróbowała go zranić. Zawołała, że nie wie, o czym mówi, bo nawet nie pamięta swoich rodziców. To skąd ma wiedzieć, co ona teraz czuje.

– Rodziców nie pamiętam – zgodził się zaskakująco spokojnie.

– Ale babcię, która mnie zamiast nich wychowała, tak.

– I co, nie martwisz się o nią? – zapytała cicho.

– Moja babcia próbowała mnie zabić już trzy dni temu. – Dopiero teraz zrozumiała, jak nienaturalny był spokój w jego głosie. – Wielkim tłuczkiem do mięsa. Kiedy uciekłem do pokoju, rozwalala tym tłuczkiem drzwi. Musiałem wiać przez okno. Na dach. Ściagała mnie, ale poślizgnęła się i spadła.

– O Boże! Ja... Nawet cię nie spytałam... Przepraszam!

– Wszyscy jesteśmy w szoku – mruknął. – Musimy iść, Kaśka. Teraz, w nocy, mamy największe szanse. Na Wawel stąd niedaleko. To nasza jedyna szansa. Przy odrobinie szczęścia dojdziemy w godzinę.

– A jeśli oni też tam są? Miałeś z kimś kontakt?

– No, nie... Odkąd wszystko padło, straciłem jakąkolwiek łączność z kimkolwiek. Ale posłuchaj, nawet jeśli tam nie będzie nikogo z moich, to dorosłych też już nie spotkamy. Napatrzyłem się przez te dwa dni. Jedyne, czego oni chcą, to zabijać. Lecą więc tam, gdzie są jacyś ludzie. Ci, którzy byli na Wawelu, gdy wpadli w szal, w większości pozabijali się nawzajem. Ostatni na pewno pobiegli do miasta w poszukiwaniu ofiar. Oni się nie ukrywają, nie myślą o przetrwaniu. Tylko o tym, żeby mordować. Ganiają przede wszystkim po głównych ulicach miasta, ciągną do siebie

nawzajem. Jeśli przemkniemy się przez osiedle, a potem jakoś przez most, damy radę. I nawet jeśli nie będzie tam nikogo z moich, to będziemy my. Opuścimy kraty w bramach i żaden dorosły nas nie dopadnie.

– A jedzenie? – przypomniała mu.

– Po drodze zgarniemy, ile się da. Właśnie, masz jakieś plecaki?

Jej był mniejszy, ale w szafie w przedpokoju znaleźli dwa należące do rodziców: sześćdziesięcilitrowy z kieszeniami dodającymi mu jeszcze parę litrów pojemności oraz prawdziwego potwora – osiemdziesięcilitrowy plecak z dodatkowym kominem. Ten od razu zawłaszczył Maciek.

– Jeśli go wypełnimy, będziemy mieć żarcia na rok! – ucieszył się.

– Jeśli go wypełnimy, będziesz pełzył zamiast biec. Poczekaj, wezmę jeszcze kilka rzeczy.

– Ale pospiesz się. Nie chcę niepotrzebnie zwlekać.

Tata Kaśki od lat powtarzał, że jak tylko złapią chwilę oddechu, wyruszą w długą podróż życia. Długą i niebezpieczną. W ramach przygotowań kupował masę sprzętu, który upychał potem w jednej z szaf, na samym jej dnie. Liczył, że przywalone siatkami z zimowym obuwiem unikną odkrycia przez żonę. Mama bowiem stale domagała się, by wynosić je do piwnicy.

Choć wiele ojcowskich skarbów właśnie tam trafiło, Kaśce udało się znaleźć w szafie szwajcarski scyzoryk, nóż z krzesiwem i ostrzałką na pochwie, bransoletkę splecioną z linki, śmieszny pomarańczowy gwizdek, w którym ktoś zdołał

upchnąć małe kompas i latarkę, a także menażki. Te ostatnie spakowała do plecaka, a resztę poupychała po kieszeniach bojówek, które uznała za najodpowiedniejsze na wyprawę.

– Gdybyśmy zeszli do piwnicy, moglibyśmy z niej zabrać jeszcze takie małe, turystyczne butle gazowe – zaproponowała Maćkowi. – A nawet namiot.

– Im dłużej zwlekamy, tym gorzej – niecierpliwił się. Krytycznie przyglądał się plecakowi Kaśki, w połowie już wypełnionemu. – A ty byś tylko pakowała i pakowała. Musiałaś zabrać ze sobą tyle badziewia?

– Tylko bieliznę i skarpetki na zmianę, zapasowe trampki, ciepłą bluzę i lekką kurtkę przeciwdeszczową. Same podstawowe rzeczy! – zaprotestowała.

– I trzy mydła, dwie pasty do zębów... – wyliczał. – Dziewczyno, my mamy walczyć o przeżycie!

– Nie przeżyjemy długo brudni, zmarznięci i przemoczeni. Idziemy do piwnicy, Maciek. Przypomniałam sobie, że tata trzyma tam apteczkę!

Naburmuszył się, coś tam mrucał pod nosem, ale poszedł za nią. Na progu mieszkania Kaśka zawahała się. Miała opuścić bezpieczne, mimo wszystko, schronienie. Dom. Czy jeszcze zdoła do niego wrócić? Maciek musiał pchnąć ją, by wyszła na korytarz.

Zapadł już wieczór, na schodach panowała kompletna ciemność. Kaśka znów się zatrzymała, odruchowo czekając na reakcję fotokomórki uruchamiającej światło. Dopiero po chwili

zrozumiała, że nie doczeka się na nią. Najtrudniej było jej pokonać pierwsze stopnie. Po ostatnich już przebiegła aż na parter, gdzie zatrzymała się gwałtownie przed porzuconym ciałem sąsiadki. Tej samej, która próbowała dostać się do jej mieszkania. Ktoś zaciągnął ciało na sam dół i tam porzucił je w dziwnej, nienaturalnej pozie. Tym razem Kaśka błogosławiła ciemności, bo dzięki nim nie dostrzegła szczegółów.

– Szybciej! – ponaglił ją zza pleców Maciek. – Dżizas, jeśli mamy iść w tym tempie, nie dotrzemy na miejsce nawet za miesiąc!

– Ciekawa jestem, jak ty zareagowałeś na pierwsze zwłoki! – syknęła rozzłoszczona. – Znałam tę kobietę. Od lat!

– Pierwsze zwłoki to była moja babcia – przypomniał. – Napatrzysz się jeszcze. Idź!

Zebrała się w sobie i przeszła nad ciałem, przewyciężając strach i wstręt. Do ostatniej chwili spodziewała się, że zwłoki nagle ożyją. Chwycą ją za nogę, spróbują ją zabić. Ledwie znalazła się za nimi, odskoczyła pod same drzwi do piwnicy. Oddychała ciężko. Drżącymi rękami wyjęła klucze. Dopiero za piątym, może szóstym razem zdołała wcisnąć klucz w dziurkę. Znow się zawahała. Czy w horrorach głupie blondyny nie wchodziły właśnie do piwnicy?

– Szybciej! – Maciek znowu ją popchnął. Zaczynała mieć tego dość. – Przyzwyczaj się, że nie możesz tak nagle zamierać. Musimy być w ciągłym ruchu, jeśli się akurat nie chowamy!

Choć trudno było w to uwierzyć, mrok w piwnicy wydał się Kaśce jeszcze bardziej dojmujący. Tu już nie oparła się pokusie

i wyjęła z kieszeni gwizdek z latarką. Maciek oczywiście zaraz się oburzył.

– Zgaś! – zawołał. – Przyciągniesz ich uwagę!

– Tu? Pod ziemią? Zeszliśmy pół piętra, z zewnątrz nie będzie widać. A bez światła nie znajdę nawet kłódki.

Mruczał niezadowolony, narzekał, że naraża ich oboje, ale już więcej nie protestował. Dioda zamontowana w gwizdku nie dawała zresztą wiele światła, akurat tyle, by można było łatwo znaleźć kłódkę zamykającą drzwi w piwnicy i otworzyć ją bez trudu.

– Powinniśmy zamknąć je od środka – poradził Maciek, nie wiadomo czemu właśnie teraz zniżając głos do szeptu.

– Nie ma mowy! – Kaśką aż zatrzęsło. Jednym z jej największych koszmarów był strach przed tym, że ktoś zamknie drzwi od piwnicy, akurat gdy ona będzie w środku. Była przekonana, że gdyby tak się stało, coś mieszkającego w tych chłodnych ciemnościach i umykającego w zacienione zakątki, kiedy tylko ktoś zapala światło, wyszłoby ze swojej kryjówki. Tak się tego bała, że wychodząc z piwnicy, zawsze wybiegała z niej, jakby coś ją goniło. Byłe dopaść drzwi, nim zgaśnie światło albo nim jakiś sąsiad je zatrzaśnie.

Przyspieszyła kroku. Drogę do boksu rodziców znała na pamięć, ale nie wyłączała latarki. Otworzyła prędko kłódkę, odnalazła specjalną skrzynię taty.

– Namiot zostaw – ostrzegł na wszelki wypadek Maciek.

Wcale nie zamierzała go brać. Wyjęła apteczkę, w której tata co dwa lata wymieniał wszystkie medykamenty. Z tego, co

wiedziała, powinny być w niej bandaż i gaza, coś, co nazywało się sodą oczyszczoną (nie bardzo wiedziała po co) oraz tabletki przeciwbólowe i przeciwgorączkowe. Może jakieś plastry. Ze względu na Maćka nie traciła czasu na sprawdzanie zawartości. Spakowała łup do własnego plecaka, choć wydawało jej się trochę niesprawiedliwe, że póki co to ona wszystko nosi.

– Te małe kuchenki weźmiemy? – zapytała.

– Lepiej nie – zdecydował po chwili zastanowienia. – Im więcej miejsca zostawimy na żarcie, tym lepiej.

Zapakowała więc jeszcze tylko trzy zestawy uniwersalnych sztuców z tytanu, kolejną małą latarkę z zapasem baterii i multitoola, którym tata był szczególnie zachwycony, choć nigdy nie miał okazji go użyć.

Wreszcie sama straciła cierpliwość. Nagle poczuła, że ma dość siedzenia w piwnicy, a nawet w domu. Będzie, co ma być, nie może bez końca ukrywać się przed światem.

– Chodźmy! – zdecydowała.

Nie zamknęli za sobą żadnych drzwi. Opuścili blok, w który spędziła całe życie, i z jednej bezpiecznej ciemności wyszli w drugą, pełną niebezpieczeństw.

Rozdział 11

K A Ś K A

Najgorsze były pierwsze kroki na zewnątrz. I ponowne osvajanie się z ciemnościami. Kaśka przywykła już trochę do tych panujących w domu, lecz podświadomie oczekiwała, że miasto będzie może nie rozświetlone, ale jasne. Z powodu braku elektryczności zniknęły jednak wszystkie źródła światła. A że ciemne chmury całkowicie zasłaniały niebo, nie można było liczyć nawet na księżyc i gwiazdy.

W miarę możliwości unikali ścieżek. Nawet asfalt wydawał się ciut jaśniejszy od ziemi, a oni chcieli być jak najmniej widoczni. Prowadził Maciek, a Kaśka starała się trzymać tuż za nim. Gdy jednak po zaledwie kilku przebytych metrach ukryli się w pierwszym z krzewów posadzonych wokół bloku, Kaśka nagle poczuła, że nie ma siły, by zrobić choć krok naprzód. Wydawało jej się, że kryjówka zapewnia im bezpieczeństwo, choć jakaś część mózgu podpowiadała jej, że to tylko złudzenie.

Maciek, gdy zorientował się, że tym razem nie ruszyła za nim, zawrócił.

– Spokojnie – szepnął, chwytając ją delikatnie za ramię. – Za pierwszym razem też tak miałem. To teraz inny świat. Ale musimy iść. Zobaczysz, po paru metrach będzie lepiej.

Inny świat. Rzeczywiście, nie chodziło tylko o ciemności. Nagle wszystkie te proste ścieżki, które Kaśka pokonywała codziennie, nawet na nie nie patrząc, zmieniły się w ziemię niczyją. Miasto przestało być oswojone, stało się wielką białą plamą, nieznanym terytorium, które będzie musiała odkrywać na nowo. Uczyć się nowych punktów orientacyjnych i zachowań. Jak choćby tego, że teraz trzeba deptać trawniki, bo wytłumiają kroki i słabiej człowieka na nich widać.

– Tu zaraz jest sklep rybny – odezwała się, przewyciężając lęk. – Tylko trzeba przebiec na drugą stronę ulicy. On jest trochę ukryty.

– Błę! Nienawidzę ryb! Będziemy od nich śmierdzieć tak, że ściągniemy na siebie pół miasta!

– Więc weźmiemy tylko puszki. Chodź!

Nawet z puszkami nie wyszło. Właściciel sklepu, zdaniem Kaśki całkiem sympatyczny przystojniak, też zabezpieczył się przed gorączką. Pozamykał drzwi na kilka kłódek i wywiesił ogłoszenie: „Przepraszamy, ale wyjeżdżamy na wieś. Wrócimy, gdy to szaleństwo się skończy. Powodzenia!”.

– Nic tu po nas. – Maciek sprawiał wrażenie prawie zadowolonego, że ominęła go rybna dieta. – Jesteśmy tu za bardzo widoczni! Spadamy!

Przez kolejne minuty nie spotkali nikogo po drodze. Znajdywali ciała i tylko je. Nie zatrzymywali się przy nich, prawie nie poświęcali im uwagi. Mężczyźni i kobiety, widoczni jako ciemne korpusy porzucone na chodnikach i ulicach, zalegali w różnych pozach. Jedni wyglądali, jakby próbowali

walczyć, inni – uciekać. Kaśce wydało się, że zwłok jest zaskakująco niewiele. A przecież Ruczaj i okolice były pełne ludzi. Prawda jednak, że przyjeżdżali tu głównie nocować. Jeśli gorączka spadła na nich, gdy byli w pracy, to w centrum i w biurowych częściach miasta musiały rozegrać się największe bitwy. A może najwięcej ludzi pozabijało się w domach? Może większość nawet nie zdążyła wyjść na zewnątrz? Jak sąsiadka Kaśki.

Znaleźli otwarty niewielki sklepik spożywczy. Jego właściciel nie wykazał się taką zapobiegliwością jak przystojniak prowadzący sklep rybny. Gdy zaczęła się gorączka, wciąż stał za ladą. Pozostał na stanowisku pracy do końca. Ktoś, być może drugi sprzedawca, zaszedł go od tyłu i roztrzaskał mu głowę kasą fiskalną.

– Używają narzędzi – wyszeptała Kaśka. – To naprawdę nie są zombiaki.

Musiała przekroczyć ciało zagradzające wejście do sklepu. Mężczyzna leżący twarzą do ziemi nie miał widocznych ran. Może padł na zawał? Musiał ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo, Kaśce wydało się więc to całkiem możliwe. Tacy jak on raczej nie mieli szans w walce z oszalałymi zarażonymi. Natura chyba lubiła wysportowanych. Czyżby gorączka miała na powrót zaprosić ludzi do ewolucyjnego wyścigu, którym ostatnio zdawali się gardzić? Kaśka przypominała sobie napszone opowieści Maćka o tym, że ludzkość sama kształtuje swoją ewolucję, a natura przestała się liczyć. Ciekawe, co teraz będzie miał do powiedzenia.

Zostawiła te pytania na później. Bez słowa zabrali się z Maćkiem za przeszukiwanie sklepu. Szukali przede wszystkim czegoś, co mogło być dłuższy czas przechowywane i się nie zepsuć. Rezygnując z zabierania owoców, Kaśka zaczęła się zastanawiać, jak długo może potrwać gorączka. Aż wszyscy dorośli pozabijają się nawzajem? Aż wymrą z głodu? Czy będą włamywać się do sklepów, czy też zjadać się nawzajem?

Czy będą mogli w ogóle wyzdrowieć?

Pakowała głównie zupy w proszku i batony. Większość puszek podrzucała Maćkowi, ale kilka schowała do swojego plecaka. Przyszło jej do głowy, że woda też może okazać się potrzebna. Nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie można liczyć na wodę z kranów, a przecież nie będą pić tej z Wisły. Spakowała więc dwie duże butelki mineralnej i prawie jęknęła, gdy znów musiała podnieść plecak. Zrobił się naprawdę ciężki.

Mimo to, kiedy ponownie mijała dział warzywny, zabrała z niego kilka jabłek i gruszek.

– Jak nie zjesz od razu, zepsują się – skrzywił się Maciek.

– Ale mają pestki. Może trzeba będzie posadzić kilka drzew? Ile ich zostało w mieście? Sadzą tu same dekoracyjne badziewia.

– Myślisz, że to wszystko potrwa tyle czasu, że drzewa zdążą urosnąć?

– Staram się przygotowywać na najgorsze – wyjaśniła.

Tylko tak jej się wydawało. Zaskakująco szybko oswajała się z sytuacją. Nie tylko coraz mniejszą uwagę przywiązywała do trupów, których przybywało, w miarę jak zbliżali się do

centrum, ale też przemieszczanie się trawnikami zamiast chodnikiem stało się dla niej niemal naturalne. Najgorsze jednak, że nawet nie zauważyła, kiedy przestała się bać. Tak długo nie spotkali po drodze żywych zarażonych, że Kaśka zaczęła się zachowywać jak na nocnej wycieczce. Niebezpieczeństwo stało się nagle czymś, co nie mogło jej dotyczyć.

W efekcie omal nie zginęli.

Trzech oszalałych mężczyzn wypadło zza jednego z niższych, czteropiętrowych bloków, gdy Kaśka z Maćkiem akurat przechodzili przez parking. Łatwo tam było znaleźć schronienie, samochody wciąż stały poupychane ciasno obok siebie. Ten jeden raz ciągły brak miejsc parkingowych, stała zhora Krakowa, okazał się błogosławieństwem. Trzy cienie wybiegły na ulicę ledwie kilkanaście metrów przed Kaśką, zamierzającą właśnie zapytać Maćka, czy nie nadłożyliby drogi, żeby sprawdzić sklepy. Zauważyła biegnących i zamarła ze zdumienia. Maciek zareagował szybciej. Wskoczył za samochód, który mijali, i pociągnął dziewczynę za sobą.

– Ani słowa! – szepnął.

Na szczęście tamci byli zajęci walką między sobą. Kaśka, ignorując ostrzegawcze syknięcie Maćka, wyjrzała ostrożnie zza osłony i przekonała się, że dwóch mężczyzn ścigało trzeciego. Żaden z nich nie wydawał jakiegokolwiek dźwięku, jak spodziewała się po oszalałych. Biegli w niemal całkowitej ciszy, zakłócanej jedynie odgłosami ich stóp uderzających o

asfalt i ciężkich oddechów, wskazujących, że pościg musiał trwać już chwilę.

Uciekający krzyknął dopiero wtedy, gdy go dopadli. Wydał z siebie tak smutny, a zarazem pełen przerażenia okrzyk, że Kaśka pomyślała, iż nie mógł być zarazonym. Tak mógł krzyczeć tylko w pełni świadomy człowiek.

Spróbował się wyrwać, ale jeden z napastników trzymał go już mocno. Drugi zadawał dziwne, chaotyczne i jakby wymierzane na oślepie ciosy. Dopiero gdy łowcom udało się przewrócić ofiarę na ziemię, zaczęli działać skuteczniej. Kopali ją, skakali po niej. W pewnym momencie zdawało się, że uciekinier zdoła się wyrwać. Korzystając z tego, iż agresorzy byli tak pochłonięci zadawaniem mu ciosów, że przez chwilę przestali go dociskać do ziemi, zerwał się na równe nogi, odtrącił ich i rzucił się do ucieczki. Niestety, w kierunku Kaśki.

Dziewczynie wydawało się, że ją dostrzegł, wybałuszył bowiem oczy, wydał niezrozumiały okrzyk i wyciągnął przed siebie rękę. Nie wiedziała, czy w geście prośby o pomoc, czy aby wskazać ją pozostałym. Nie zdołał zrobić nic więcej. Znow go dopadli i wywrócili. Tym razem jeden chwycił go za głowę, by zacząć z całej siły tłuc nią o asfalt. Drugi znow zabrał się za wymierzanie ofierze wściekłych kopniaków.

Kaśka nie patrzyła dłużej. Wycofała się bardzo powoli za samochód, z obawy, że szybszy ruch mógłby przyciągnąć ich uwagę.

– Są tak blisko – wyszeptała. – A ten jeden chyba mnie widział.

– Schowajmy się pod samochodem – zaproponował Maciek. – Na szczęście to terenówka, zmieścimy się!

Musieli bardzo ostrożnie, cały czas nasłuchując odgłosów masakry, zdjąć plecaki. Kaśka gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, co dokładnie do nich pakowali i jak. Czy konserwy mogą uderzyć o siebie i zdemaskować ich? Czy multitool w jej kieszeni może brzęknąć, jeśli gwałtownie położy się na ziemi?

Gdy wczołgali się pod samochód, nawet nie próbowali wciągnąć za sobą plecaków, obawiając się, że odgłos szurania mógłby zwrócić uwagę oszalałych. Tym bardziej, że tamci wciąż zachowywali się nieludzko cicho. Tylko mordowany przez nich nadal wrzeszczał. Kaśka chciała zatkać uszy, by nie słyszeć jego krzyków i odgłosów uderzeń. A jednak słuchała. Dźwięki, nawet najpotworniejsze, pozwalały orientować się w sytuacji.

Zdumiało ją, jak wiele czasu potrzeba było, aby zabić człowieka. Być może to czas dłużył jej się w niewygodnej kryjówce, zwłaszcza że marzyła o tym, by tamci już przestali. By zabili wreszcie tego nieszczęśnika i odeszli. Chciała poczuć się choć trochę bezpieczna. Ale oni bili bez końca, a on, nawet gdy już przestał krzyczeć i wyrywać się, ciągle jęczał.

Maciek przyciągnął ją do siebie, tulił mocno. Może bał się, że spróbuje uciec? Nie wiedziała, czy byłaby w stanie. Żałowała, że prosto ze sklepu, w którym znaleźli jedzenie, nie wróciła do domu. Nawet wtedy o tym nie pomyślała! A przecież z tymi zapasami mogliby tam siedzieć bezpiecznie tydzień albo dwa. A

może znaleźliby jakieś zapasy w mieszkaniu sąsiada? Drzwi do niego były otwarte. Przegapiła tak wiele dobrych okazji!

Wreszcie jęki ucichły. Mimo to ogarnięci berserkiem mężczyźni jeszcze przez kilka minut okładali kopniakami martwe już ciało. Gdy w końcu zorientowali się, że osiągnęli swój cel, przez chwilę stali w miejscu, a potem pobiegli w poszukiwaniu nowej ofiary.

Kaśka wsłuchiwała się w ich oddalające się kroki, aż na ulicy zaległa całkowita cisza. Ani myślała jednak opuszczać kryjówkę. Tym razem Maciek nie poganiał jej. Leżeli w uścisku dość długo. Może za długo. Pomyślała, że jeśli dzień zastanie ich tutaj, nie będą mieli żadnych szans. Tylko ciemnościom zawdzięczali ocalenie.

– Chodźmy – szepnęła. – Musimy iść.

Wyczołgali się spod samochodu. Podnieśli plecaki równie ostrożnie, jak je kładli. Znów bali się każdego gestu, każdego dźwięku, jaki mógłby przyciągnąć łowców. Przez chwilę Kaśka zapragnęła wrócić do domu. To wcale nie był taki zły pomysł, chociaż na Wawel mieli teraz już bliżej. Może w drodze powrotnej nie spotkaliby żadnych oszalałych?

– Musimy iść – powtórzyła. – Jak długo to wszystko trwało?

Zerknął na zegarek z fosforyzującymi cyframi i wskazówkami.

– Jakies dziesięć, może piętnaście minut. Czemu się tak na mnie gapisz?

– Twój zegarek! – prawie krzyknęła. W ostatniej chwili zapanowała nad sobą i ściszyła głos. – Dżizas, przecież musi być go widać z kilometra!

– Trzymam go pod rękawem. Wyluzuj.

Nie chciała podchodzić do zabitego, ale Maciek uparł się, że musi go zobaczyć. Odwróciła wzrok, gdy pochylił się nad ciałem, by obejrzeć rany. Teraz to ona zaczęła go poganiać.

– Używali tylko rąk i nóg – mruzczał. – A tamten w sklepie został uderzony kasą.

– Może to sklepikarz był zarażony, a ktoś zabił go w obronie własnej? Chodźmy już! Co w tym takiego ciekawego?

– Moim zdaniem wszyscy są zarażeni. Wszyscy dorośli. To by znaczyło, że jedni korzystają z narzędzi, a inni nie. Ale za to potrafią współpracować. Ci dwaj polowali na trzeciego, a potem nie rzucili się na siebie nawzajem, lecz pobiegli polować dalej.

– Bardzo pocieszające. Maciek, zostaw to śledztwo na później! Jak już będziemy bezpieczni!

– Masz rację. Słuchaj, musimy poruszać się ostrożniej. Bo szliśmy jak głupki. To – wskazał zwłoki – równie dobrze mogliśmy być my.

– Więc tym bardziej chodźmy!

– Dobra. Ale bokiem. Żadnego pchania się główną ulicą na most, w porządku? Pójdziemy trochę naokoło, może wyjdziemy w okolicach Forum, potem trawnikami wzdłuż Wisły. Co ty na to?

– Możemy nawet trochę zawrócić i przejść przez stare działki. Tamtędy to już chyba nikt nie chodzi.

– Lepiej nie – zdecydował po krótkim namyśle. Stare ogródki działkowe, w znacznej części podupadłe i porzucone, przypominały ruiny zaginionej cywilizacji. Rzeczywiście,

dawniej trudno było tam spotkać kogokolwiek, nie licząc paru starszych osób, którym wciąż chciało się zajmować nielicznymi zadbanymi poletkami. – Po pierwsze, między nimi ukryty jest dom. A po drugie, wyszlibyśmy od razu na kościół.

– I co z tego?

– „Jak trwoga, to do Boga”. Babcia tak powtarzała, gdy mówiłem, że nie chce mi się chodzić na lekcje religii. Że niby jak zacznie być źle, to pożałuję.

– No i?

– No i myślę, że mogła mieć trochę racji. Masa ludzi mogła chować się w kościele, żeby się modlić o obronę przed zarazą. Zresztą księża mówili, że to koniec świata, kara za grzechy. Jak na tych modlących się po kościołach spadła gorączka, to mogło tam dojść do największych rzezi. Ale ci, co przetrwali, mogą się ciągle przy nich kręcić. Lepiej trzymać się z dala od kościołów.

– To świetnie, że na to wpadłeś, geniuszu. Bo pół Wawelu zajmują kościoły!

– Ale nie takie do modlenia się, tylko muzea. Takie się nie liczą. Idziemy? Poprowadzę.

– Prowadź – zgodziła się niechętnie. Chciała jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Cokolwiek by to oznaczało.

– A jeśli tamci mieli rację? – zapytała jeszcze.

– Jacy tamci?

– No, ci w kościołach, co się modlili. Że to koniec świata. I może siedzą tam bezpiecznie.

Aż się zatrzymał.

– Co ty, w Boga wierzysz? – zapytał. – Może w Świętego Mikołaja też?

– Wierzę, nie wierzę. – Wzruszyła ramionami. – Rodzice nie wierzyli. Ale teraz chyba bym chciała.

– No, ja chyba też. Ale prawdopodobieństwo jest raczej po naszej stronie. Możemy albo zdać się na wiarę w cuda i iść do kościoła, albo, co bardziej prawdopodobne, założyć, że cudów nie ma i znajdziemy tam tylko trupy i drapieżniki. Zaryzykujesz?

– Nie – zdecydowała. – Zostawię takie rozkminy na spokojniejszy czas.

Poruszali się teraz ostrożniej, co oznaczało też, że dużo wolniej. Ledwie pokonali kilkanaście metrów, padali na ziemię albo chowali się za jakąś przeszkodą. Leżeli bez ruchu, nasłuchując, czy ktoś się nie zbliżał. Rozglądali się. Dopiero gdy nabierali pewności, że nie ma niebezpieczeństwa, przemierzali kolejnych kilkanaście metrów. I tak cały czas. Coraz bardziej zmęczeni i zdenerwowani dotarli wreszcie w pobliże szerokiej ulicy, zza której widać było podłużny i ciemny kształt – hotel Forum, zamknięty jeszcze na długo przed wybuchem gorączki.

– Mamy dwie opcje – szepnął Maciek. – Górą albo dołem. Górą wystawiamy się na widok. Do dupy. Ale jak nas zdybią z obu stron w przejściu podziemnym, nie będziemy mieli gdzie uciekać.

– Czyli też do dupy.

Uśmiechnął się.

– Tak i tak mamy przesrane. To górą czy dołem?

– Górą – zdecydowała. – Możemy się czołgać. Najlepiej zacznijmy od razu. Jakoś nie chcę być szczególnie widoczna.

Kilka minut później przeklinała się w duchu za ten pomysł. Czołganie nie wygląda na trudne, gdy widzi się je na filmie. Kiedy natomiast człowiek musi się czołgać z ciężkim plecakiem, na pozór prosta czynność okazuje się nieprzyjemnym i wymagającym ćwiczeniem.

Gdy dotarli na skraj ulicy, była już zlana potem. Zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby po prostu wstać i przebiec na drugą stronę, co przecież zajęłoby najwyżej dwie sekundy, kiedy dostrzegła zarażonych.

Tym razem nie dwóch łowców i ofiarę, ale całą grupę.

Walczyli na środku ulicy, tak samo cisi jak tamci, których spotkali wcześniej na osiedlu. Nie współpracowali ze sobą. Atakowali się nawzajem, mężczyźni i kobiety. Nie istniały żadne zasady – ta sama para, która przed chwilą wspólnie mordowała kogoś trzeciego, nagle zaczynała toczyć bój między sobą. Ci, którzy nieśli w rękach broń – najczęściej narzędzia albo kamienie, radzili sobie najlepiej. Ale uzbrojenie nie dawało gwarancji sukcesu. Czasem zawziętość walczących starczyła za najlepszą broń. W plątaniu dziesiątków ciał kłębiących się zaledwie kilkanaście metrów od Kaśki nie było zbędnych ciosów. Prawie każdy dochodził celu. Używali zębów – jeśli tylko mieli okazję, próbowali przegryzać przeciwnikom gardła. Wbijali palce w oczy, uderzali pięściami, skakali po leżących. A wszystko bez choćby najmniejszego odgłosu, tylko

otrzymujący rany wydawali niekiedy krótkie, bolesne okrzyki, a konający skomleli coraz ciszej. Jednak większość zdawała się nie zauważać odniesionych ran. Czy wydłubano im oko, czy odgryziono nos albo zmasakrowano twarz ciosem kamienia, walczyli dalej, jakby nie czuli bólu. Ważne było tylko to, by dorwać kogokolwiek innego, zmiażdżyć go i prędko odnaleźć następny cel.

– Omińmy ich – wyszeptała do ucha Maćkowi. – Szerokim łukiem.

Odczołgali się ostrożnie. Nawet o przechodzeniu przejściem podziemnym nie mogło być mowy. Wyszliby zbyt blisko tamtych, ryzykując, że któryś może ich dostrzec.

– Powinniśmy wracać – zaproponowała Kaśka, gdy oddalili się, jak sądziła, na bezpieczną odległość. – Do mojego domu.

– Zwariowałaś? Tyle przeszliśmy! Jesteśmy tak blisko!

– Ale tu jest ich więcej.

– Słuchaj, nie zostaniemy we dwoje. W grupie będzie bezpieczniej! I na pewno bezpieczniej będzie na Wawelu!

– Dlaczego? Tu jest ich więcej! A koło mojego domu nie spotkaliśmy żadnego żywego! Dlaczego tak się upierasz przy tym Wawelu?

– Wyjaśnię ci. Przysięgam. Ale potem. Jest druga w nocy. Za dwie, trzy godziny zacznie świtać. Nie mamy czasu!

– W takim razie ja zawracam.

– Nie, czekaj! – Wetchnął głośno. – Dobra, Kaśka. Powiem ci. Ale oddalmy się jeszcze trochę, dobra? Będę spokojniejszy.

Wciąż nie odważyli się wstać. Coraz słabsi, odczuli się w stronę stojącego niedaleko rzeczki Wilgi niewielkiego kościółka, zadbanego wprawdzie, lecz pustego, odkąd tylko Kaśka pamiętała.

– Jednak kościół? – syknęła, orientując się, dokąd zacierają.

– Ten zawsze był zamknięty. Wszyscy na pewno poszli do tego dużego, nowego. Kłapniemy przy nim. Naokoło same trawy, z daleka będziemy widzieć, czy ktoś się zbliża, i będzie gdzie uciekać, jakby co. Muszę odpocząć i napić się czegoś. Ty nie?

Doczłaganie się do kościółka zabrało im, jak się zdawało Kaśce, przynajmniej pół godziny. A przecież pieszo pokonaliby tę drogę w minutę, może dwie. Ale możliwe, że znów czas jej się dłużył, jak wtedy pod samochodem.

Na pewno miała dość tego przekłętego plecaka. Plecy ją od niego bolały, a ramiona płonęły żywym ogniem.

Nie tyle zdjęła z siebie plecak, ile wysunęła się z niego. Nie wstawiała. Zbyt się bała, zresztą nie miała sił.

– No, mów – zażądała. – Gadaj!

– Myślę, że powinniśmy zejść do Wilgi – podzielił się pomysłem. – Ona jest w dole, nikt nas nie zauważy z góry, gdy pójdziemy jej brzegiem. Zresztą tamtędy nikt nie chodzi. Będzie trzeba uważać, bo brzeg jest stromy, ale nawet gdybyśmy wpadli do rzeki, to ona jest płytka. A w ten sposób dotrzemy bezpiecznie do Wisły.

– To chyba dobry plan, ale nie o to mi chodziło. Powiedz, dlaczego jesteś taki pewien, że na Wawelu będziemy bezpieczniejsi.

- Ponieważ oni myślą.
- Wiele mi to nie wyjaśniło.
- No tak. – Upił łyk wody mineralnej wyjętej z plecaka i podsunął butelkę Kaśce. – Chcesz?
- Jasne, że chcę! – Zdobyła się na wysiłek, uniosła ramiona i chwyciła butelkę. Okazała się przyjemnie chłodna. – Ale nie zmieniaj tematu. I nie kręć już. Być może masz tam swoich kumpli. Co jeszcze?
- Pamiętasz, kiedy to się zaczęło? – zapytał.
- Tydzień temu. Jakoś tak.
- Nie, wcześniej. Ale media zaczęły o tym pisać tydzień temu, kiedy to już nie były pojedyncze przypadki. Moi kumple z sieci i ja badaliśmy to, obserwowaliśmy. Jeden taki, Kapitan Ameryka...
- Ten z filmu?
- Takiego miał nicka, głupia. No więc on nawet wyliczył tempo rozprzestrzeniania się wirusa. Spodziewaliśmy się, kiedy zacznie być naprawdę źle. Ale coś poknocił, bo pomylił się o jakiś tydzień... Teraz to już nieważne. Ważne, że odkryliśmy, że oni, zarażeni, nie są jak zombi. Zachowują zdolność myślenia, ale już niekoniecznie emocje. Może poza wściekłością. Chyba nie rozpoznają bliskich, albo rozpoznają, lecz mają to gdzieś. Chcą tylko zabijać. Ale jeśli mogą się zbroić, to się zbroją. Czasem polują w stadach. W Niemczech zauważono taką grupę pięciu, którzy nie zabijali się nawzajem, tylko polowali na niezarażonych.
- No i co z tego?

– To, że kiedy zabraknie im ofiar, mogą zacząć zastanawiać się, gdzie ich szukać. To nic pewnego, ale mogą przeszukiwać domy. Powiedz, miałabyś jakiegokolwiek szanse, gdyby rozwalili drzwi do twojego mieszkania siekierami albo łomem?

– Wiesz, ile jest bloków i mieszkań w Krakowie? Mogliby nigdy do mnie nie trafić!

– Albo mogliby zacząć od ciebie. Zaryzykujesz?

– Wiem, że Wawelu na pewno nie przegapią.

– Ale Wawel jest otoczony murami. A bramy da się odciąć od świata żelazną kratą. Nie rozwalą jej siekierami. Jak będziemy się trzymać dziedzińca, to nawet nie zauważą nas z zewnątrz. W dodatku jest tam broń.

– Broń?

– Najlepsza na takie czasy. Miecze, szable, topory.

– Za dużo graliście w MMO w tej waszej tajnej grupie.

– Paru z nas wybrało się na zwiedzanie Wawelu, by sprawdzić, czy się nadaje.

– Czekał, planowaliście to od tygodnia?

– Mniej więcej.

– I nic nie powiedziałaś?

– Szykowaliśmy się, obserwowaliśmy. Myśleliśmy, że wszystko załamie się tydzień później. Planowałem ci powiedzieć. I nawet tym twoim kumpelom. Ale dopiero gdy już będę miał pewność, że mi uwierzycie, a nie wyśmiejecie. Jednak okazało się, że obliczenia były do dupy i wszystko wybuchło za wcześnie. Lecz to nie do końca moja wina. Bo byście mnie wyśmiały, nie?

– Możliwe – zgodziła się, choć potrzebowała dłuższej chwili, by przyznać się do tego nawet przed sobą. Lubiła Maćka. I wszyscy w szkole wiedzieli, że jeśli ktoś zarobi kiedyś gigantyczną kasę, to właśnie on. Ale faktycznie podśmiewały się z jego co bardziej nerdowskich wyskoków. Bywało, że zachowywał się jak postać z kreskówki, typowy komiczny geek. O komiksach wiedział chyba nawet więcej niż ich twórcy i dawał się podpuszczać na każdą bzdurę z sieci, jeśli tylko została opisana z rozmachem.

– No widzisz! W każdym razie Wawel jest dobry. Każde większe, w miarę ufortyfikowane miejsce, w którym można się zabarykadować, jest niezłe. My mamy blisko do Wawelu, inni do starych fortów. Jest grupa, która chce się okopać w szpitalu na Prokocimiu, choć moim zdaniem to akurat średni pomysł. No ale skoro tam mieszkają, to mają bliżej do szpitala niż na Wawel.

– Ilu was było? – zapytała zaskoczona skalą spisku.

– Prawie sześćset osób.

– Sześćset osób, ale nie ja?

– Sześćset osób z tobą. Liczyłem tych, których planowaliśmy włączyć w drugiej fazie. Podstawa grupy to jakieś czterdzieści osób. Nie chwaliliśmy się tym specjalnie, żeby nie przyciągać uwagi dorosłych.

– Czemu? Nie przydaliby się?

– Po pierwsze, nie wiedzieliśmy, czy nie zapamiętają naszych planów, gdy zwariują. A założyliśmy, że zwariują wszyscy. Gdyby zapamiętali, to pewnie specjalnie polowaliby na nas w

okolicach twierdz. A po drugie... Widziałaś, co robili. Nałożyli cenzurę na Internet i zapewniali, że nie ma się czym niepokoić, że tak naprawdę nic się nie dzieje. Tych, którzy ostrzegali przed epidemią, ośmieszali. Myślisz, że naprawdę by nam pomogli? A może raczej by nas pozamykali?

– Moi starzy by was posłuchali... – zaczęła, ale urwała. Wcale nie była tego taka pewna. Rodzice dużo rozmawiali o przypadkach ataku szału na całym świecie, lecz nie wyglądali na naprawdę przejętych, dopóki zagrożenie nie pojawiło się w szkole. A wtedy po prostu odcięli ją od koleżanek. Czy pozwoliliby jej zaangażować się w projekt przerabiania Wawelu na twierdzę dla dzieci? A gdyby nawet, to pewnie wtrącaliby się. I wtedy nikt by nic nie zrobił, bo wszyscy gadaliby bez końca, dostrzegając wyłącznie niemożliwe do pokonania przeszkody tam, gdzie młodzi widzieli okazje na ocalenie.

– Pewnie tak. – W głosie Maćka nie było słyhać prawdziwego przekonania. – Ale powiedzieliby o tym innym starym i wszyscy dostalibyśmy szlaban. Tyle ci na razie wystarczy? Bo siedzimy tu już strasznie długo. Czas ruszać.

Rozdział 12

K A Ś K A

Brzeg Wilgi wcale nie był stromy i śliski. A to dlatego, że brzegu tam właściwie nie było. Opadające wały nie kończyły się choćby najwęższą ścieżyną, lecz rzeką. W rezultacie Kaśka i Maciek musieli cały czas dokonywać ekwilibrystycznych sztuczek, by nie wpaść do wody. I ponosili klęskę za klęską. W końcu zmęczona tym wszystkim Kaśka skapitulowała i po prostu szła rzeką, wzdłuż brzegu. Buty i tak miała już przemoczone.

– Tylko ostrożnie stawiajmy kroki – ostrzegł Maciek. – Żeby nie było słycać plusków.

Tylko prychnęła w odpowiedzi. Była zbyt wyczerpana i podenerwowana, aby reagować spokojnie na jego ciągle mądrzenie się. Czuła narastającą złość na Maćka. Czemu tyle przed nią ukrywał? Czemu z kumplami nie zareagowali szybciej? Teraz twierdził, że dorośli by go zlekceważyli, a może nawet starali się uciszyć. Ale czy nie był to objaw typowo geekowskiej paranoi? Przecież nawet nie spróbował!

Zacisnęła zęby. Nie czas o tym myśleć! Rozmówi się z nim, gdy wreszcie będą bezpieczni. O ile kiedykolwiek będą... Bo czy istniały jakieś gwarancje, że Wawel naprawdę okaże się

bezpieczny? A może szli prosto w pułapkę? Zaufała Maćkowi, dała mu się namówić na tę szaloną wyprawę, bo ujęło ją, a może nawet wzruszyło, że zaryzykował, by do niej przyjść. Jako jedyny z przyjaciół, a nawet krewnych.

Starła się nie myśleć o przyczynie nieobecności rodziców. Opuściła głowę, liczyła kroki, by nie skupiać się na niepotrzebnych, pełnych czarnych wizji rozmyślaniach. Wilga tuż przy brzegu była na szczęście płytka, a choć płynęła znacznie zwawszym strumieniem od Wisły, to jednak nie na tyle wartkim, by szumieć groźnie jak górskie potoki. Nie, Wilga wędrowała ku swojej większej siostrze po cichu, dopełniając tylko wrażenia wszechobecnej martwoty. Nie jeździły żadne samochody, nie grała muzyka, choć przecież Kraków zawsze był pełen gwaru.

Niezwykłe, że zarażeni także zachowywali się cicho. Kaśce wydawało się, że powinni wrzeszczeć jak szaleńcy na filmach. Próbowwała sobie przypomnieć, jak postępowali ci widocznym na amatorskich filmikach kręconych komórkami, które udawało się czasem znaleźć w Internecie, nim strony z nimi nie zostały zablokowane. Czy wydawali z siebie jakieś odgłosy? Jak to możliwe, że nie przywiązywała wtedy do tego wagi!

Przecież wydawanie dźwięków, rozmowa, a nawet krzyczenie w zdenerwowaniu jest tak bardzo ludzką cechą! Pozwala uwalniać emocje, reagować... Może zarażeni tego nie potrzebowali, bo swoją wściekłość rozładowywali, zabijając?

Czy zwierzęta polują w ciszy? Nie znają mowy... Ale chyba wilki nawołują się jakoś?

Nim dotarli do kamiennego mostu na Wildze, za którym rzeka rozlewała się szerzej przed połączeniem się z Wisłą, Kaśka miała już kompletnie przemoczone buty. Jeśli nie dopadną jej zarazi, to pewnie się przeziębą. Przez chwilę bawiła ją myśl, że w razie pożarcia przez tych szaleńców przynajmniej zaraziłaby ich katarem. O ile wirus, który ich opanował, nie zabijał mikrobów słabszych od siebie. Przypomniała sobie, że biolog opowiadał im o czymś takim na jednej z lekcji. O wirusie chroniącym swojego nosiciela przed innymi infekcjami, więc prawie pożytecznym. Niemal przyjaznym, jeśli zapominało się, że tak naprawdę był pasożytem, który zabijał nosiciela, jeżeli przegrywał walkę z innym wirusem.

– Czy to wirus? – zapytała, gdy przystanęli na chwilę w cieniu mostu.

– Co?

– Ta wściekłość, berserk. Czy to wirus?

– Chyba tak. – Maciek wzruszył ramionami. – Nie wiem. Nikt nie wie. Wirus, kara boska, atak kosmitów, choroba cywilizacyjna...

– Co?

– Choroba cywilizacyjna. Niektórzy mówią, że nadmiar informacji, na jaki jesteśmy... byliśmy wystawieni, połączone ze stresem cywilizacyjnym sprawiły, że poprzepalały się nam bezpieczniki. To dlatego nie zwariowały dzieci. Nasze umysły są elastyczniejsze. Ale to tylko jeszcze jedna teoria. Ma mnóstwo słabych stron.

– A ty jak myślisz?

– Teraz myślę tylko o tym, jak dostać się na Wawel. Chyba najfajniej byłoby łódką.

– Po tej stronie Wisły nie ma łódek. Wszystkie barki, pływające knajpy i takie tam są na drugim brzegu.

– Może nie wszystkie. Jest hotelik na rzece i ten basen na barce, którego nigdy nie zbudowali. Ale barka jest.

– Przecież nie uruchomimy starej barki!

– Nie, ale może być przy niej szalupa, czy coś.

– Maciek, jeśli dojdziemy do tej barki, to i tak będziemy w połowie drogi. A przy hoteliku to już prawie na miejscu. Daj sobie spokój z łódkami.

– Dobrze – westchnął. – Boję się iść normalnymi drogami – wyznał. – Po tym, co zobaczyliśmy tam, na drodze... Nie przeraża cię to, że są tacy cisi? Powinni wrzeszczeć. Jak ten twój sąsiad.

– O tym samym myślałam. Ale nie widziałeś ich wcześniej?

– Takiej walki nie. Gdy do ciebie szedłem, minąłem tylko kilku pojedynczych. Ukrywałem się przed nimi. Pierwszą walkę na żywo zobaczyłem dziś wieczorem. To wszystko zmienia. – Zadrzał. – Dobra, nie ma co gadać. Za mostem jest jeszcze kawałeczek, potem będzie takie łagodne wyjście, ale boję się, że tam może być głębiej. Więc chyba lepiej, jeśli wyjdziemy teraz. Są tu krzaczory, możemy się w nich ukryć. Potem proponuję biec pędem na drugą stronę i dalej znowu jak najbliżej brzegu. Mam nadzieję, że zarazonych tam nie będzie.

– Bo twoim zdaniem boją się wody?

– Jeśli berserk to jakaś mutacja wścieklizny, mogą mieć wodowstręt. Zresztą w ostateczności będziemy mogli wskoczyć do Wisły.

– To chyba już wolę, żeby mnie zagryźli.

– Nie umiesz pływać?

– Pływam jak ryba! Ale to przecież Wisła, nie? Ściek.

– Musisz zmienić nastawienie. – Skrzywił się. – To jak, wychodzimy teraz?

– Zaryzykuję nawet życie, byle już nie stać w wodzie.

Wspinaczka po stromym zboczu wałów nie należy do najłatwiejszych, kiedy ma się na nogach przemoczone buty o śliskich podeszwach. W dodatku Kaśka i Maciek zamierali co chwilę, przekonani, że byle szelest oznacza obecność oszalałych. Pomagali sobie jednak i w końcu im się udało.

– Nigdy więcej nie założę plecaka – jęknęła Kaśka, padając na ziemię tuż obok Maćka. Znów ukryli się w krzakach rosnących przy bocznej drodze wiodącej od mostu w kierunku Ruczaju. Po jej drugiej stronie widać było posępny sześcian dwupiętrowego domu, który zawsze wydawał się Kaście niewiarygodnie brzydki. Kanciasty, nieotynkowany budynek z czerwonej cegły wyglądał, jakby nigdy nie został ukończony. Paradoksalnie to on był zamieszkały, w przeciwieństwie do porzuconego przed laty sąsiada znad Wisły – hotelu Forum. Ten niegdyś luksusowy obiekt okazał się zbyt drogi jak na swoje standardy. Prawie nikt nie chciał w nim mieszkać. Ciasne pokoje o nisko zawieszonych sufitach sprawiały klaustrofobiczne wrażenie i hotel, choć doskonale usytuowany, w końcu podupadł. Basen

zmienił się w nikomu niepotrzebną suchą nieckę, nawierzchnia kortów tenisowych popękała i zaczęła porastać trawą. Zdaniem Kaśki Forum należało do tych widmowych budynków w Krakowie, które chyba przewidziały apokalipsę i wyszły jej naprzeciw. Drugim opierającym się wszelkim próbom reanimacji architektonicznym potworkiem był „Szkieletor” przy rondzie Mogilskim. Jego budowę rozpoczęto jeszcze w latach siedemdziesiątych, w czasach gdy rodzice Kaśki byli nastolatkami. Dziewczynie przypomniało się, że całkiem niedawno tata przeczytał gdzieś, iż podjęto kolejną inwestycję i tym razem budowa „Szkieletora” już na pewno miała zostać dokończona.

„Obawiam się, że to może oznaczać koniec świata” – zażartował wtedy.

Teraz ten dowcip wydawał się Kaśce o wiele mniej zabawny. Czy rzeczywiście mogła zadziałać klątwa „Szkieletora”?

„Chyba naprawdę dostałam gorączki!” – zganiła sama siebie. – „Co za głupoty!”

Nasłuchiwali jeszcze przez chwilę, ale gdy uznali, że nie ma sensu dłużej zwlekać, zerwali się i biegiem ruszyli ku Wiśle. Mięśnie Kaśki zaprotestowały boleśnie. Skrzywiła się. A myślała, że ma kondycję! Przecież chodziła z tatą po górach, jeździła na rowerze, lubiła biegać. A tu masz, krótka wyprawa z plecakiem i już organizm ma dość.

Co gorsza, wciąż zostało jej w butach trochę wody. Chlupotała teraz niemiłosiernie. Kaśce wydawało się, że ten dźwięk roznosi się na wszystkie strony i słychać go w całej najbliższej

okolicy. Oczyma wyobraźni widziała zarazonych zamierających nagle, nasłuchujących, a potem ruszających w kierunku tego niezwykle, nieznośnego odgłosu.

Dotarli do trawnika, bezpiecznego, bo tłumiącego kroki. Maciek poślizgnął się tam niespodziewanie. Prawa noga podjechała mu do przodu. Nie utrzymał równowagi. Pacnął niezgrabie na tyłek i pisnął zaskoczony. W dodatku nie przestawał się ześlizgiwać po stromym zboczu i Kaśka przestraszyła się, że wpadnie do Wisły. Pognała za nim najprędzej jak potrafiła. Zdołała złapać go za plecak. Pociągnęła z całej siły. Sama się wywróciła, ale zatrzymała go.

– Łamaga! – prychnęła, a potem gwałtownie, wbrew własnemu strachowi i zmęczeniu, zachichotała.

Maciek zawtórował jej tłumionym śmiechem.

– To z nerwów – wykrztusił. – Musimy być cicho!

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. A gdy wreszcie się opanowali, odkryli, że atak śmiechu zmęczył ich, zamiast dodać sił. Niechętnie podnosili się z trawy.

– Gdy przejdziemy przez most, to już będzie z górki – próbował pocieszyć ją Maciek.

– Widziałam, jak sobie radzisz ze schodzeniem z górki. – Szturchnęła go łokciem. Głównie po to, by dodać sobie otuchy. W panującym teraz w mieście mroku, do którego wciąż nie potrafiła się przyzwyczaić, nawet budowle robiły wrażenie obcych i nieprzyjaznych. Bryła hotelu zdawała się nachylać ku rzece i dwóm przemykającym w jego cieniu postaciom. Gdy budowano Forum, pomysł, by zgrać jego krzywiznę z zakolem

Wisły, wydawał się oryginalny i interesujący. Teraz zakrzywiona linia górującego nad najbliższą okolicą budynku wzbudzała niepokój.

Nie lepiej było z mostem Grunwaldzkim, przez który zamierzali przedostać się na drugą stronę rzeki. Im bardziej się do niego zbliżali, tym lepiej było go widzieć – ciemną kreskę zawieszoną nad jeszcze ciemniejszą tonią. Choć stanowił najkrótszą drogę do prywatnej ziemi obiecanej dwójki dzieciaków, był też miejscem niebezpiecznym. Gdy już na niego wejda, znajdą się w potencjalnej pułapce. Nie będzie dokąd uciekać, jeśli zarazeni nadciągną z obu stron. Kaśka nie wyobrażała sobie, by mogła zeń zeskoczyć do Wisły. Miałaby spadać przez kilka metrów, by wpaść z impetem do wody? Zanurzyć się w tym płynie, który wyobrażała sobie jako gęsty i oleisty, może parzący skórę, wypalający w niej rany? Skutkujący wypadaniem włosów?

Być może demonizowała Wisłę, ale przecież to nie przypadek, że nikt w niej nie pływał.

Po lewej, za hotelem czaiły się inne bestie. Niewyraźne w ciemnościach, a przez to kojarzące się Kaśce z gotującymi się do skoku ogromnymi drapieżnikami – hotele i biurowce wzniesione tu w ostatnich latach w miejscu dawnych trawników i klepisk udających zajezdnie autobusowe. Ukoronowaniem wszystkiego był ICE – jeszcze nie tak dawno duma miasta. Gigantyczne centrum kongresowe, na widok którego teraz Kaśka aż skuliła się ze strachu. Tym bardziej, że

znajdowali się już naprawdę blisko mostu. I właśnie wtedy znów usłyszeli odgłosy walki.

– Padnij! – polecił Maciek, a Kaśka posłuchała go natychmiast. Wały wiślane w tym miejscu wznosiły się falowo. Musieli wyczołgać się na pierwszy z nich, by w ogóle mieć szansę dostrzec, co działo się na ulicy i na moście.

Kaśka nie zapanowała nad sobą i krzyknęła, gdy nagle tuż przed jej twarzą przebiegł spłoszony szczur. Maciek zareagował błyskawicznie i zakrył usta koleżanki dłonią. Szarpnęła się oburzona, ale nie puszczał. Oboje odprowadzili wzrokiem przestraszone zwierzę. Ono reagowało szybciej i lepiej od nich. Po prostu czmychnęło w kierunku mostu. Błyskawicznie zniknęło im z oczu.

– Puść! – wymamrotała Kaśka. – Puszczaj!

Maciek cofnął dłoń.

– Bałem się, że wpadłaś w panikę – tłumaczył się.

– Dureń! – ofuknęła go. – Głupek! Zwyczajna tępą dzida! W jaką panikę? Ciekawa jestem, jak ty byś się zachował, gdyby ci na głowę skoczył szczur! Tak znikąd!

– Ciszej! – skarcił ją, nie przejmując się jej obelgami. – Patrz!

Grupa зараżonych biegnących ulicą wyglądała jak bezwładna masa, plątanina raczej cieni niż ludzi. Nie było w niej choćby śladów ładu, jaki zachowywała poprzednia obserwowana przez Kaśkę banda. Ci nie współpracowali ze sobą. Biegając, walczyli. Zadawali sobie ciosy, wpadali na siebie nawzajem – celowo, by przewrócić któregoś z sąsiadów. Gdy któryś upadł, pozostali deptali po nim. Ale nie zatrzymywali się na długo, wymierzali

mu cios lub dwa i biegli dalej. Uchodzących oprawców zastępowali następni, tak więc ofiara nie miała żadnych szans. Jednak leżący byli równie zapamiętali jak ci, którzy ich zabijali. Starali się chwytać biegnących za nogi, ściągać ich na ziemię. Gdy to nic nie dawało, kęśali.

A wszystko to w niemal całkowitej ciszy.

Kaście wydawało się, że makabryczny korowód nie miał końca. Dołączali do niego pojedynczy opętani wychodzący z budynków naokoło ronda, wyłaniający się spod mostu albo spomiędzy porzuconych samochodów.

– Nie hukiem, lecz skomleniem – mruknął Maciek.

– Co?

– Taki stary wiersz. Mówi o tym, że świat skończy się nie hukiem, lecz skomleniem. Tak mi się jakoś przypomniało.

– No tak, zapomniałam, jaki z ciebie nerd... Jak myślisz, ilu ich jest?

– Stu? Dwustu? Nie da się policzyć. Słuchaj, w Krakowie mieszkało jakieś osiemset tysięcy ludzi. Jeśli do tego doliczyć turystów i tych, którzy przyjeżdżali tu do pracy... Na ulicach może mordować się teraz z milion osób. Przeczekajmy tych. Zobacz, mijają most, lecą dalej na Aleje Trzech Wieszczów. Mamy szansę. Tylko przeczekajmy.

Leżeli więc cierpliwie w trawie, czekając, żeby ogarnięci szaleństwem dorośli oddalili się wreszcie. Kaśka nie potrafiła od nich oderwać oczu. Ciemna, rozkołysana i tętniąca przemocą masa ludzka posuwała się wolniej, niż mogło się wydawać. Niczym od nieustannie zmieniającego swe kształty

potwora wypoczwarzały się z niej macki i wypustki – to mniejsze grupy próbowały nadać jej własny kierunek i skręcały a to ku mostowi, a to ku Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej, a to w stronę Kapelanki. Zwykle nie odnosiły sukcesu, płatanina oszalałych przyciągała ich z powrotem ku sobie bądź zabijała.

To nie znaczy, że nic po sobie nie zostawiała. Odpadały od niej mniejsze fragmenty – ciała pomordowanych, którymi znaczyła swoją trasę. Niektóre z nich jeszcze się ruszały, próbowały się czołgać za grupą.

– To piekło – szepnęła Kaśka. – Tak musi wyglądać piekło.

– Jeśli tak, jest pełne szczęściarzy.

– Zwariowałeś?

– Widziałaś któregoś z nich z bliska? Ja tak. Swoją babcię. Nie wydawała się świadoma tego, co robi. To znaczy trochę tak. Ścigała mnie, chwyciła za tłuczek, czyli jakoś nad tym panowała. Ale część jej mózgu się wyłączyła. Bo nie sądzę, żeby mnie rozpoznała. Więc ci, w tej kupie, pewnie też nie są świadomi tego, co robią. Nie tak jak normalni ludzie. Ulegają jakiemuś zwichrowanemu instynktowi, jakby ktoś wpuścił im wirusa do mózgu. Nie, piekło zacznie się wtedy, gdy się obudzą.

– Obudzą?

– Może to, co się teraz dzieje, to reset systemu? Nie wiem. Zakładam, że ci, którzy przeżyją, mogą się ocknąć. I jeśli wtedy uświadomią sobie, co robili... Tak, to może być piekło. No chodź, chyba są już wystarczająco daleko.

Puścili się biegiem ku schodom wiodącym na most. Nie chcieli czekać, aż pojawi się nowa grupa albo z jakichś powodów zawróci ta, która dopiero co ich minęła. Kaśka cały czas zastanawiała się nad słowami Maćka. Co poczuliby jej rodzice, gdyby ocknęli się z szaleństwa i przekonali się, że zamordowali własną córkę?

Lepiej nie myśleć o czymś takim. Lepiej nie myśleć nawet o rodzicach. O tym, że może gdzieś żyją i przemierzają Kraków w podobnie szalonej grupie. Albo że rzucili się sobie nawzajem do gardeł.

Lepiej wcale nie myśleć. Skupić się na biegu, na bieżącej chwili, na przeżyciu – to jest to, co powinna robić. Tylko czy to nie sprawiało, że upodabniała się do tamtych? Oni przecież też byli skupieni na jednej myśli, poddawali się jednemu zawirusowanemu instynktowi.

Poczuła prawdziwą ulgę, gdy wbiegli na most i nikogo na nim nie zobaczyli. Ulgę tak mocną, że niemal straciła od niej resztkę sił. Zachwiała się i musiała się oprzeć o barierkę, by nie upaść.

– Co jest? – Zdyszany Maciek dopadł do niej. – Skręciłaś nogę?

– Nie, tylko nagle zakręciło mi się w głowie.

– Nie możemy się tutaj zatrzymać! To najniebezpieczniejsze miejsce. Chodź!

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Drugi koniec mostu tonął w ciemnościach, nie widzieli więc, czy ktoś się tam czai.

Nie dostrzegali jednak żadnego ruchu i to natchnęło ich nadzieją.

Prawie im się udało. Pokonali biegiem całą długość mostu.

– Tak blisko! – zawołał Maciek, przebiegając na drugą stronę jezdni. – Jesteśmy prawie na miejscu!

Kaśce zdawało się, że się uśmiechnął.

I wtedy okazało się, że zakazeni potrafią jednak wydawać z siebie dźwięki.

Nagle wpadli na leżące na ulicy ciało. Maciek uskoczył w ostatniej chwili, ale biegnąca za nim Kaśka za późno zorientowała się, co się dzieje. Potknęła się, zamachała rozpaczliwie rękami, lecz nie zdołała utrzymać równowagi. Z cichym okrzykiem upadła tuż za zwłokami.

Tyle że to nie były zwłoki.

– Kaśka? – Maciek odwrócił się, pochylił nad dziewczyną, by pomóc jej wstać, ale w tym samym momencie zmarł.

To, co w ciemnościach wzięli za trupa, okazało się ciężko rannym mężczyzną. Twarz miał całkowicie pokrytą krwią, ktoś odgryzł mu nos, połamał nogi i chyba oskalpował.

Ale niestety nie zabił.

Prawą rękę miał złamaną – zwisała pod dziwnym kątem, gdy uniósł się na lewej. Mimo to spróbował dosięgnąć nią Kaśki, niezdolnej w tej chwili do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Kiedy mężczyzna poniósł klęskę, zaskomlał z żalu. A potem nagłym wyrzutem ciała, chyba niemożliwym do wykonania przez zdrowego człowieka, dopadł dziewczyny i przygniótł jej nogi swoim ciężarem.

– Wyciągnij mnie! – zawołała, czując, że zdrową ręką szalenic wczepia się w jej ubranie. Krzyknęła ze strachu, gdy tamten uderzył twarzą w jej udo, a później spróbował wgryźć się w nie. Na szczęście zęby też miał w większości powybijane.

Zamiast jej pomóc, Maciek cofnął się o krok.

– Maciek! – krzyknęła zaskoczona. – Maciek! Pomóż mi!

Jęknął. Potrząsnął głową, potarł twarz dłonią. Rozejrzał się wokół. Wreszcie chyba się ocknął, bo chwycił Kaśkę za rękę i szarpnął z całej siły, by wyciągnąć ją spod zarażonego.

– Ściągnij go ze mnie! – poleciła, równocześnie starając się najmocniej jak się da kopać napastnika.

Maciek w ogóle jej nie słuchał. Najwyraźniej był zbyt przerażony, aby myśleć racjonalnie. Szarpał i ciągnął, prawie wyrrywając Kaśce dłonie ze stawów, choć niewiele to dawało.

„Proszę” – przeleciało jej przez myśl. – „Mój rycerz na białym koniu. Bohater, który przeszedł przez osiedle...”

Zdołała kopnąć zarażonego w twarz. Nie zareagował. Kopnęła jeszcze raz i wtedy na moment poluzował uścisk. Prawie się udało! W tej samej chwili Maciek szarpnął i wyciągnął Kaśkę spod opętanego.

Zerwała się na równe nogi, ale tamten chwycił ją za kostkę. Znów wylądowała na ziemi. Szarpała się, ze wszystkich sił kopała go, wzywała Maćka, by jej pomógł. Chłopak wreszcie zrozumiał, o co chodzi. Całym ciężarem ciała nadepnął napastnikowi na rękę.

Zarażony nie puścił. Za to uniósł głowę i zawył długo, przeciągle, niczym zwierzę.

Zamarli zaskoczeni. Jednak opętani potrafili wydawać głośne dźwięki. A może to był skowyt bólu?

– Jeszcze raz! – Kaśka gorączkowo ponaglała Maćka. – To działa! Uderz go jeszcze raz!

– On nie wyje z bólu – szepnął chłopak. – On...

Zarażony zawył ponownie. I jeszcze raz.

A wtedy zaczęły mu odpowiadać podobne skowyty. Gdzieś z okolic Augustiańskiej. Od strony szyn tramwajowych biegnących ulicą Dietla. Spod mostu.

Zbyt wiele skowytów – gorączkowych, chciwych, coraz bliższych.

– On nawoływał... – Maciek przerwał atak i zaczął się cofać. – ... nawoływał innych łowców.

Pierwszego mogli już zobaczyć. Wybiegał ku nim spod mostu. Ponieważ musiał się wspinać pod górę po stromym zboczu, poruszał się na czworakach, a przez to wolniej. Ale zbliżał się nieubłaganie.

– Maciek! – wrzasnęła Kaśka, czując, że nie potrafi sama uwolnić się z uchwytu rannego szaleńca. – Maciek! Pomóż mi! Szybciej!

Ale on tylko się cofał.

– Przepraszam – szepnął, odwrócił się od niej i rzucił się do ucieczki.

Patrzyła za nim z niedowierzaniem. Przez chwilę przestała nawet bronić się przed usiłującym ponownie wciągnąć ją pod siebie i kąsać po nogach mężczyzną. Nie potrafiła uwierzyć w

to, co się stało. Jak mógł ją zostawić? Przecież mieli jeszcze czas. Mógł pomóc jej wyswobodzić się i wtedy uciekliby razem.

Może pobiegł po coś, co mogłoby mu zastąpić broń?

– Maciek! – krzyknęła z całych sił.

Popełniła błąd. Szalenciec spod mostu, który wspiał się już na wysokość ulicy, stał niezdecydowany, czy ruszyć za uciekającym, czy zająć się unieruchomioną ofiarą. Krzyk Kaśki przyciągnął jego uwagę. Chrząknął i nie wydając już żadnego odgłosu więcej, ruszył ku dziewczynie.

Kaśka przypomniała sobie o scyzoryku schowanym w kieszeni. Wyjęła go, nim dopadł ją nowy przeciwnik. Wysunęła ostrze najszybciej, jak tylko potrafiła, a potem okręciła się i wkładając w to całą siłę, wbiła nóż w dłoń zaciskając się na jej łydce. Stwór nawet nie jęknął. Uderzyła jeszcze raz i jeszcze, dziwiąc się, że potrafi tak dźgać ludzkie ciało i że tamten wydaje się nie czuć żadnego z zadawanych ciosów. Paradoksalnie przyniosło jej to nadzieję. Tak przecież działo się w snach. Tych nieczęstych, przepełnionych przemocą, gdy śniła o walkach z potworami. Tam właśnie, w snach, zdarzało się, że nawet zadawane mieczem ciosy nie przynosiły żadnych efektów. Broń nie działała.

Może więc śniła?

Omali nie wypuściła noża z ręki, gdy ktoś chwycił ją, pociągnął mocno i jednym szarpnięciem wyrwał spod ciała zarzonego.

– Maciek! – westchnęła z ulgą.

Ale to nie był Maciek. Drugi z opętanych uwolnił ją od pierwszego. Uniósł Kaśkę ponad głowę, a potem cisnął ją ku

Wiśle. Wywijając kozła w powietrzu, widziała jeszcze, jak ten w pełni sprawny szalencie miażdży kilkoma potwornymi uderzeniami stopy czaszkę okaleczonego.

Znów dopisało jej szczęście – upadła na trawę, nie na asfalt. Ale i tak zaboląło. Uderzenie odebrało jej dech w piersiach. Miała ochotę zwinąć się w kłębek, leżeć na tej przyjemnie miękkiej ziemi, póki nie dojdzie do siebie. Wiedziała jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Ból pomógł o tyle, że otrzeźwił ją. Zdawała sobie sprawę, że jeśli natychmiast nie wstanie, szalencie dopadnie ją i zamorduje. Ofiarował jej kilka sekund życia tylko dlatego, że najpierw chciał rozprawić się z mniej ważną zdobyczą. A może też pozbyć się konkurencji?

Pojękując, spróbowała wstać. W płucach zaczynało brakować jej powietrza. Starła się łapać je gwałtownymi haustami, ale wydawało się, że połyka nimi nicość, a nie tlen. Zresztą oddychanie i tak nie miało już znaczenia, o czym przekonała się, gdy zdołała podnieść się na kolana.

Nowy opętany nie był już sam. Dołączyli do niego ci, którzy usłyszeli zew rannego i nadbiegli teraz ze wszystkich stron, otaczając Kaśkę i odcinając jej jakąkolwiek drogę ucieczki. Sześciu mężczyzn i trzy kobiety. Dziewięciu w pełni sprawnych ludzi zmienionych w drapieżniki podporządkowane tylko jednej myśli: dopaść i zabić ofiarę.

Nawet gdyby Maciek zdążył sprowadzić pomoc z Wawelu, nie mieliby z nimi szans.

Czuła pokusę, by zamknąć oczy. Niech już ten świat zniknie. Może ból będzie mniejszy, może nawet nie zauważy, kiedy

umrze. Śmierć to ciemność głębsza od tej, jaka spadła na miasto wraz z szaleństwem. Dobrze, niech będzie ciemność. Jeśli zamknie oczy, może nie zauważy różnicy.

Coś jednak kazało jej ważyć szanse. Ciągłe trzymała w dłoni scyzoryk. A na plecach miała plecak, wprawdzie coraz cięższy, ale teraz trochę ją chroniący.

Tamci nie atakowali. Może sycili się jej strachem, a może czekali na jakiś ruch z jej strony? Może lubili polować na uciekające, przerażone ofiary, a taką samą satysfakcję jak zabijanie sprawiał im pościg?

Zamiast zamykać oczy, spojrzała jednemu z nich prosto w twarz. Temu wysokiemu, w bojówkach i zielonej kurtce. Nagle znów myślała trzeźwo, prawie zimno. Niespodziewanie poczuła, że oddychanie nie sprawia jej już najmniejszych trudności.

– Tak łatwo wam nie pójdzie – oświadczyła, wstając. Roześmiała się. Może była to histeria, może brawura, a może sama zaczynała popadać w szaleństwo. Ale roześmiała się opętanemu mężczyźnie w twarz.

A wtedy... Czy jej się zdawało, czy on zamrugał?

Nie miało to już znaczenia, bo pozostali ruszyli do ataku. Bezgłośnie i równocześnie, jakby kierowani wspólnym impulsem. Kaśka przełknęła ślinę. Ile będą potrzebowali, by ją dorwać? No i co ro...

Wbiła śmiesznie małe ostrze kieszonkowego scyzoryka w pierś pierwszego, który ją dopadł. Opętany nawet tego nie zauważył. Uderzył Kaśkę na odlew w twarz, aż poleciała do tyłu. Odbiła

się od ciała kolejnego potwora i upadła. Nim wstała, któreś z nich chwyciło ją za włosy i pociągnęło za nie.

„I tyle z mojego bohaterstwa” – przemknęło Kaście przez myśl, gdy jeden z oszalałych próbował zedrzeć jej plecak, a drugi z całej siły zdzielił ją w głowę. Lepiej być tchórzem jak Maciek. Tylko tchórze przeżyją.

Nie miała już noża, zostawiła go w klatce piersiowej mężczyzny, którego dźgnęła.

Tym razem zamknęła oczy.

Otworzyła je wbrew sobie, gdy usłyszała ryk. Potężny, budzący grozę ryk przebudzonej bestii, która ocknęła się ze snu pełna rozsadzającej ją wściekłości. Kaśka nigdy nie słyszała podobnie przerażającego odgłosu. O ile to możliwe, zaczęła się bać jeszcze mocniej.

Nawet opętani zareagowali. Na moment przestali zadawać ciosy swej ofierze. Rozglądali się zdziwieni. Potrząsali głowami, jakby ryk otrzeźwił na chwilę także ich.

Nie trwało to długo. Sekundę, może dwie. Ale wystarczyło.

Mężczyzna, który wcześniej – teraz Kaśka była już tego pewna – zamrugnął, wpadł pomiędzy pozostałych. A ona zrozumiała, czemu sprowadzany przez gorączkę szal nazywano berserkiem.

Pierwszego z opętanych po prostu rozerwał na strzępy. To wydawało się niemożliwe, ale Kaśka mogłaby przysiąc, że w jednej chwili widziała mężczyznę, a w drugiej tylko eksplodującą w powietrzu chmurę krwi i wnętrzości. Atakujący nawet nie zwolnił. Chwycił najbliższą stojącą kobietę

za głowę, szarpnął, przyciągnął do siebie i wgryzł się w jej gardło.

Pomimo gwałtowności ataku nie zdołałby uratować Kaśki, nie zdążyłby się rozprawić ze wszystkimi oprawcami, gdyby tamci nadal zajmowali się dziewczyną. Ale oni bardzo szybko zrozumieli, że stanęli wobec nowego zagrożenia. Że z łowców zmienili się w ofiary. Zachowali się po swojemu – nie wydając żadnego dźwięku, ruszyli ku bestii potworniejszej nawet od nich.

Ta porzuciła ciągle jeszcze drgające ciało kobiety. Ruchy mężczyzny w zielonej kurtce stały się teraz tak szybkie, że Kaśka z trudem nadążała za nimi wzrokiem. Ogarnięty berserkiem nie przejmował się liczbą przeciwników. To nie oni atakowali, lecz on. Wciąż rycząc, roztrącił ich na boki. Pierwszemu zmiażdżył krtań. Wyrwał scyzoryk Kaśki z piersi następnego i błyskawicznym ciosem wbił mu go w oko aż po rękkość. Jedna z kobiet z całej siły zdzieliła go w plecy kawałkiem deski. Obrócił się do niej z wyciem raczej triumfalnym niż bolesnym i skrzył jej kark. Strącił z pleców ostatnią z kobiet, po czym skoczył jej na pierś, miażdżąc żebra. Przyjął dwa ciosy pięścią na szczękę i tylko roześmiał się dziko. Wymierzony weń kopniak nie dosięgnął celu. Berserker złapał stopę napastnika obiema dłońmi i wykręcił ją, obalając go na ziemię. Zaraz ruszył ku temu, który uderzył go w twarz. Uchylił się przed kolejnym ciosem, a sam wbił kciuki w oczy tamtego. Nacisnął. Odepchnął oślepiętego i odwrócił się ku ostatniemu z wrogów, który właśnie wstawał. Przez sekundę

po prostu stali naprzeciwko siebie pośród tych wszystkich zakrwawionych, wstrząsanych jeszcze drgawkami ciał. Gdyby to był normalny świat, ten ostatni opętany z pewnością rzuciłby się do ucieczki. Nie mógłby nawet myśleć o zaatakowaniu potwora, który w ciągu zaledwie kilkunastu sekund zamordował siedem osób.

Ale tu wszyscy byli szaleni. A ostatniego z opętanych także trawiła gorączka.

Skoczyli na siebie równocześnie. Mężczyzna w zielonej kurtce przyjął kolejne dwa ciosy i znów wydawał się ich nie zauważać. Chwycił przeciwnika za gardło i zmiażdżył je. Cisnął ciałem o ziemię, po czym zwrócił się ku pełzającemu oślepijonemu. Pochylił się nad nim i skręcił mu kark. Ponownie się roześmiał – lekko, radośnie, jakby zabijanie było najweselszą zabawą, jaka może przytrafić się człowiekowi.

Wtedy odwrócił się ku Kaśce. Białka jego oczu zdawały się świecić w ciemnościach. Cały pokryty był krwią pomordowanych. Wyglądał jak wcielenie śmierci, bóg zabijania, gdy tak, ciągle szczerząc zęby, ruszył ku dziewczynie.

Kaśka zdała sobie sprawę, że wcale nie próbował jej ratować. Że był szalony, może bardziej szalony od pozostałych i że pomógł jej przypadkiem, bo zabijanie sprawiało mu radość.

Przekląła własną naiwność i głupotę. Powinna była skorzystać z okazji i uciekać, a nie sterczeć tu, przyglądając się tej przerażającej i zdumiewającej rzezi. Miałaby szanse. Niewielkie, ale zawsze jakieś.

A teraz umrze.

Głupia! Głupia! Głupia! Jak mogła ciągle wierzyć w rycerzy ratujących ją w ostatniej chwili? Jeden okazał się tchórzem, a drugi bezmózgą bestią.

– Proszę... – szepnęła mimo wszystko, jakby to mogło zdać się na coś, gdy pochylał się nad nią, wyciągając ku niej zakrwawione, pokryte wciąż strzępami ludzkich ciał ręce. – Proszę...

Dotknął jej policzka. Roześmiał się, westchnął. Pomógł Kaśce wstać. Dziwnie sztywnym, mechanicznym ruchem próbował otrzepać jej ubranie z kurzu, lecz tylko ubabrał ją dodatkowo krwią. Stali naprzeciwko siebie długo, równie zdumieni tym, co się działo. Ona ocknęła się pierwsza.

– Dziękuję – powiedziała. – Czy pan... czy pan jest odporny?

Przekrzywił głowę. Zamrugął. Nie powiedział nic. Odwrócił się od Kaśki, by rozejrzeć się po pobojowisku. Podszedł do jednego z ciał, pochylił się nad nim. Objął dłońmi głowę trupa i zamarł, jakby zastanawiając się nad czymś. A potem zaczął powoli miażdżyć czaszkę. Kaśka przyglądała się temu zafascynowana. Znow zaświtała jej myśl, że powinna teraz uciec, ale bała się, że wtedy mężczyzna ocknąłby się z tego dziwnego czaru, który kazał mu uratować jej życie. Obserwowała więc, jak zmienił czaszkę i mózg tamtego w krwawą papkę, a następnie zaczął w niej grzebać. Znalazł coś. Wstał i podszedł do Kaśki, wyciągając przed siebie dłoń umazaną resztkami mózgu.

Pomiędzy nimi leżał jej scyzoryk.

O Boże! Ma go wziąć do ręki? Ale co się stanie, jeśli nie weźmie? Może ten mężczyzna i ocknął się z gorączki, z pewnością jednak wypaliła mu ona mózg. Nie był teraz mądrzejszy od jakiegoś cholernego King Konga.

Ostrożnie dotknęła jego dłoni, wyjmując z niej nóż. Otarła ostrze o trawę. Za mało, ale na razie musiało wystarczyć. Najwyżej pomęczy się potem. Złożyła ostrze, schowała scyzoryk.

– Co teraz? – zapytała.

Jej wybawiciel nie miał pojęcia. Gdy po krótkim wahaniu Kaśka skierowała się w stronę Wawelu, ruszył za nią i odprowadził ją prawie pod samą bramę zamku.

Wawel jeszcze nigdy nie wydawał się jej tak olbrzymi. Stojąc u jego bram, uwierzyła w słowa Maćka. Tak, ta twierdza mogła dać schronienie przed opętanymi.

Tylko jak dostanie się do środka? Krata w bramie została opuszczona. To poniekąd dobrze, bo oznaczało, że w środku ktoś był.

– Hej! – zawołała. – Jest tu kto?

Urwała przestraszona, że swoim krzykiem mogłaby zdenerwować towarzysza.

– King Kongu? – Obróciła się za siebie i ze zdziwieniem odkryła, że mężczyzny nie było już przy niej. Dostrzegła, jak sadząc wielkie susy, zbiegał ku skrzyżowaniu ulic Stradom i Świętej Gertrudy. Poczowała żal. Opuścił ją jak wszyscy.

Może dlatego, że sądził, iż była już bezpieczna? Jeśli tak, to był naiwny. Wcale nie była. Stała pod murami wielkiego

warownego zamku przed zamkniętą bramą. Tu też mogli ją dopaść opętani. Naprawdę bezpieczna będzie dopiero za murami, a nie przed nimi.

– Hej! – krzyknęła głośniej. – Mam tu stać, aż coś mnie zeżre? Przyniosłam narzędzia i lekarstwa! Heeej!

– Nie wydzieraj się tak po nocy – odkrzyknął wreszcie jakiś nieznajomy chłopak. – Chcesz przyciągnąć tamtych?

Nie podniósł kraty, jak się spodziewała, ale spuścił z muru sznurową drabinę, chyba domowej roboty, bo skleconą z kilku różnych kawałków sznurów i lin. Kaśka wspinała się po niej powoli, zmęczona i coraz wyraźniej odczuwająca tak trudy nocy, jak i ciężar plecaka. Pokonała jednak mur.

Po jego drugiej stronie czekało już na nią trzech chłopaków i dwie dziewczyny.

– Dwoje jednej nocy – mruknął najwyższy z nich, wyglądający tak śmiesznie w koronie na głowie i ze zbyt dużym mieczem przy boku, że prawie parsknęła śmiechem. Zamiast tego rzuciła mu się z płaczem na szyję.

– No już dobrze. – Wyraźnie zakłopotany klepał ją po ramionach. – Nata, Miśka, zabierzcie ją do szpitala.

– Nic mi nie jest – chlpała Kaśka. – Chyba. Nic mi nie zrobili.

– Jesteś cała we krwi – uświadomił ją, odsuwając delikatnie od siebie.

– To nie moja krew – odpowiedziała. Dopiero patrząc na jego minę, uświadomiła sobie, jak musiało to zabrzmieć. Roześmiała się. Tak dziko, że aż się przed nią cofnął. Spróbowała

zapanować nad sobą. – Przepraszam, to nerwy. Prawie mnie dorwali.

– Prawie! – Maciek wyskoczył zza pleców chłopaka w koronie.
– Kaśka! Widziałem, jak... – Urwał.

– Wiele nie widziałeś! – syknęła. – Za bardzo byłeś zajęty uciekaniem.

– Kaśka! – jęknął żałośnie. – Sama byś tak zrobiła na moim miejscu. Nie miałaś szans!

– Nie? – Podeszła do niego, by stuknąć go palcem w pierś. – Nie miałam? To co tu robię?

– Nie wiem – szepnął. Zwiesił głowę. – Eryk... To jest Kaśka. Uciekaliśmy razem. Ja... Przyszedłem po nią do domu, żeby ją tu przyprowadzić. Opowiadałem ci o niej.

– Opowiadałeś. – Chłopak w koronie skinął głową, przyglądając się to jednemu, to drugiemu. – Kaśka, jestem Eryk. Jeden z królów... – Skrzywił się. – Głupio brzmi, co? Słuchaj, idź z Natą i Miśką. Umyj się. Sprawdźcie, czy nie jesteś ranna. Potem może coś zjedz albo się wyśpij. Porozmawiamy rano. Jezu, wyglądasz, jakbyś wykąpała się we krwi. Będzie czego słuchać.

Spała prawie do południa. A gdy wstała i zjadła śniadanie, opowiedziała wszystkim ocalałym dzieciakom zebranych na wawelskim dziedzińcu swoją historię. Było ich wówczas nieco ponad trzydzieścioro i żadne nie uwierzyło w tajemniczego zbawcę, przebudzonego berserkera.

– To musiał być po prostu społeczny oszalały – zawyrokował Maciek, któremu albo minęło już zawstydzenie, albo nauczył się je dobrze maskować.

– W przeciwieństwie do prospołecznych opętanych? – szydziła Kaśka. – Tych miłych?

Nata, bardziej rozmowna z sanitariuszek, zachichotała. Pogadały w nocy trochę z Kaśką i zdążyły przypaść sobie do gustu.

– Nie miłych. – Maciek udawał, że nie przejął się kpina, ale wyraźnie poczerwieniał. – Sama widziałaś. Są tacy, którzy trzymają się w grupach, i tacy... pojedynczy. Ten był samotnikiem. W szale zaatakował grupę, a ty uciekłaś.

– Odprowadził mnie.

– Wymyśliłaś to. Potrzebujesz takiego wzorca szlacheckiego rycerza, więc go sobie wydumałaś.

– No tak. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Bo na ciebie nie mogłam liczyć.

– Opuśćcie oboje! – Jacek, „Król Dnia”, zarządzający Wawelem od świtu do zmroku, uniósł pojednawczo ręce. – To, co działo się poza Wawelem, pozostaje poza Wawelem. Kaśka, Maciek zachował się jak dupa...

– No! – zaprotestował chłopak.

– Zachowałeś się jak dupa – powtórzył Jacek, poprawiając zbyt dużą, opadającą mu na czoło koronę zagarniętą z wawelskiego skarbcza. – Zostawiłeś ją tam na pewną śmierć. Chcesz pogadać, spróbować nas przekonać, że to był bohaterski gest?

– Nie – bąknął Maciek. – Ale wcześniej po nią poszedłem!
Przez całe opętane osiedle!

– Czyli raz ci wyszło, a raz nie. Teraz się zamknij. Kaśka, Maciek zachował się jak dupa. Każdy to przyzna. Nawet on. Ale... szczerze, nikt nie wie, jak by się tam zachował. Wśród tych bestii. Każdy się boi. Więc mu odpuść. Teraz jesteście oboje tutaj. Nikt nie chce żadnych kwasów.

Musiała przyjąć to do wiadomości, choć zdawała sobie sprawę, jak naiwne było takie gadanie. Maciek nigdy nie zapomni, że stchórzył, a ona nigdy nie zapomni, że nie można na niego liczyć, gdy robi się naprawdę źle.

Wieczorem dostała gorączki.

– Przemoczone buty – narzekała. – Żeby tylko nie skończyło się zapaleniem płuc.

– Każdy tu choruje – pocieszała ją Nata. – To chyba z nerwów.

Po trzech dniach stanęła na nogi. Zaczęła pomagać w porządkowaniu zdobyczy na Wawelu, a nawet pełnić warty przy bramach. Udało jej się pomóc dostać do środka jeszcze ośmiorgu dzieciakom. O wiele za często musiała oglądać zza murów, jak opętani dopadali próbujące ukryć się na Wawelu dzieci.

Zaczęła ćwiczyć się w strzelaniu z procy, a nawet ze znalezionych w zbrojowni kusz. Namówiła królów, by postarali się robić łuki. Uzbrojona w kuszę spróbowała któregoś dnia pomóc chłopcu uciekającemu przed trzema oszalałymi. Trafiała niewielkiego mężczyznę w samą pierś. Siła uderzenia odrzuciła

go do tyłu prosto pod nogi dwóch pozostałych. Zaplątali się o siebie nawzajem i poprzewracali. Ale i tak starczyło im czasu, by dopaść chłopca i rozerwać go na strzępy ledwie kilkanaście metrów od bramy.

Dorośli krążyli wokół zamku, choć jego mieszkańcy starali się nie przyciągać ich uwagi. Rzadko zdarzało się, by opętani próbowali szturmować mury lub bramy. Za pierwszym razem dzieciaki nie wiedziały, co robić, gdy patrzyły na oszalałych mężczyzn i kobiety daremnie usiłujących przedostać się przez ciężką, stalową kratę.

– Czuję się jak w *The Walking Dead* – ocenił Eryk.

– Tyle że oni myślą. To nie są żywe trupy – przypomniała mu Kaśka. – W końcu wpadną na to, że mogą wspinać się po murach. Albo i po samej kratce.

Posłał jej wtedy znużone spojrzenie. Ale skinął głową, zacisnął dłonie na długiej włóczni pamiętającej podobno czasy Sobieskiego i krzyżąc głośno, pobiegł pod bramę, by z całych sił wbić ostrze w brzuch jednego z opętanych. Jego poddani przyglądali się temu bez słowa, aż Kaśka też rzuciła się do ataku ze swoim długim sztyletem. Prędko dołączyli do niej następni.

Odparli szturm. Lecz musieli zabić wszystkich, którzy brali w nim udział.

– Tylko nie przyzwyczajajcie się do zabijania – zrzędził potem na naradzie Maciek. – Czytaliście *Władcę much*? Nie możemy się tak stoczyć.

Większość z nich nie wiedziała, o czym mówił. Opowiedział im więc. Wstrząsnął nimi. Nawet Kaśką, choć teraz podawała w wątpliwość jego mądrości.

– Bez zabijania się nie obejdzie – zgasiła go.

– Powiesz to samo, jeśli przed bramą staną twoi rodzice? – zapytał, patrząc jej w oczy. Po raz pierwszy od nocy, kiedy ją porzucił.

– Świnia!

– Ale mam rację.

Więcej starali się nie rozmawiać ze sobą. Królowie tak podzielili nocne i dzienne warty, by mieli jak najmniej okazji do spotkania się.

Przez ten czas nie opowiadała już nikomu o King Kongu, swoim wybawcy. Powoli sama zaczęła wątpić w jego istnienie. Może rzeczywiście był po prostu zarażonym samotnikiem? Jednak wypatrywała go z murów. Na szczęście nigdy go nie dostrzegła. Co by zrobiła, gdyby ogarnięty szaleńcem szturmował bramę lub mury?

Nie mogła przestać myśleć o rodzicach. Czy mogli jeszcze żyć? Czy byłoby to gorsze od śmierci?

Po trzech tygodniach królowie zwołali naradę, podczas której przedstawili plan wypadów na zewnątrz. Zaskoczyli tym większość ocalałych.

– Jest nas już prawie pięćdziesięcioro – tłumaczył cierpliwie Jacek. – Zapasów żywności starczy nam jeszcze na dwa, trzy tygodnie. Pod warunkiem, że nie będziemy przyjmować uciekinierów.

Rozległy się protesty.

– Właśnie. – Skinął głową i oczywiście natychmiast musiał poprawić koronę. Skrzywił się. Ktoś zachichotał. – Ale nawet jeśli nikt już nie przyjdzie, ta żywność kiedyś się skończy. A za parę miesięcy nadejdzie zima. Potrzebujemy opału, lekarstw, ubrań... Wszystkiego. Musimy zacząć wyprawiać się na zewnątrz. Zbierać rzeczy z domów, ze sklepów. Może przy okazji znajdziemy innych ocalałych, kto wie?

– Opętanych jest już zdecydowanie mniej – poparł go Eryk. – Nie widzimy ich tak wielu. Pozabijali się nawzajem. Maciek wyliczył, że to postępowало bardzo szybko. Na początku, nawet jeśli każdy z nich zabił tylko jedną osobę, to pierwszej nocy mogło zginąć i trzysta tysięcy ludzi. To prawie połowa. Teraz łążą w grupach, lecz nawet w nich czasem ze sobą walczą. To właściwy moment, by zacząć gromadzić zapasy. Ale oczywiście będziemy głosować.

Potrzebowali pół dnia, by przekonać większość dzieciaków. Nawet wtedy zdecydowano, że na szaber wyruszać będą wyłącznie ochotnicy. Kaśka należała do pierwszych, którzy się zgłosili.

Szło im różnie. Czasem wracali z bogatymi łupami, a czasem patrole przepadały na kilka dni, podczas których musiały kryć się przed bandami opętanych. Tych wprowadzie rzeczywiście znacząco ubyło, zrobili się jednak bardziej zajadli. Choć polowali na siebie nawzajem w sforach, to jednoczyli się, gdy widzieli kogoś zdrowego. Jakby ich imperatywem stało się wybicie do nogi zdrowej części ludzkości. Przyglądając się im,

Kaśka przypominała sobie słowa Maćka o mózgu jako zawirusowanym systemie. Instynkty przeżycia i rodzicielski zostały zastąpione przez fałszywe wiersze poleceń nakazujące mordować wszystko, co żyje, lecz przede wszystkim innych, zdrowych ludzi.

Zwierzęta nie chorowały, ale zniknęły z miasta, ponieważ stały się obiektem polowań.

Trzeci patrol wrócił mocno przetrzebiony. Z pięciu osób stracili trzy. Królowie na jakiś czas wstrzymali wyprawy. Kaśka spędziła trzy dni na przekonywaniu kogo się dało, że nie przetrwają, jeśli nie będą ryzykować. Udało jej się i stanęła na czele następnego zwiadu.

Dwa tygodnie później znów spotkała King Konga.

Mieli pecha. W środku nocy, obładowani tobołami pełnymi jedzenia, wracali przez Planty. Twarze zasłaniali chustami, by nie czuć smrodu rozkładających się ciał. A zalegały one wszędzie – im bliżej centrum, tym pełniej było od trupów. Nikt ich nie sprzątał, zabrakło nawet padlinożerców, którzy mogliby oczyścić miasto. Tylko owady się starały, ale nawet ich było za mało, choć roje much stały się dokuczliwsze niż kiedykolwiek dotąd. Wszelkiego rodzaju robactwo rozpleniło się po całym mieście i bywało, że na Wawelu to właśnie szturmy insektów uważano za bardziej kłopotliwe od ataków opętańców. Maciek ostrzegał przed zarazą, która mogła się zrodzić z trupów. Ale co mieli z nimi robić?

Ponieważ z Krakowa uciekły prawie wszystkie ptaki, nawet te, które mogłyby nieźle się pożywić na ciałach

pomordowanych, istną plagą stały się komary. W konsekwencji za prawdziwy skarb uważano na Wawelu wszelkie odstraszające je środki.

Grupa Kaśki ogołociła między innymi aptekę, toteż niosła ze sobą wyjątkowo cenny łup. Mimo to, gdy z Collegium Novum wysypały się nagle zastępy oszalałych, porzucili wszystkie zdobycze bez chwili wahania.

– Zasadzka! – krzyknęła Kaśka. – W nogi! Rozproszyc się!

Nauczyli się już, że walka z opętanymi w polu nie miała żadnego sensu. Ogarnięci szalem zdawali się nie czuć bólu. Można było ich dźgać, miażdżyć im kości, a i tak parli przed siebie. Za murami broń był skuteczna, ale poza nimi każda próba stawienia czoła grupie zarażonych musiała kończyć się śmiercią. Pozostawała tylko ucieczka. Najlepiej w rozproszeniu, bo opętańcy niechętnie oddalali się od własnych band. Zapewne dlatego, że każdy samotnik szybko stawał się obiektem polowania innej sfory.

Dlatego patrole ćwiczyły ucieczkę w rozproszeniu. Zazwyczaj opętani skupiali się na pościgu za tylko jedną ofiarą, co w najgorszym wypadku zwiększało prawdopodobieństwo ocalenia pozostałych. Nawet ten, który ściągał na siebie uwagę, miał szanse. Przez wszystkie tygodnie apokalipsy paru sztuczek zdążyli się nauczyć.

Na przykład zarażeni nie lubili wysokości. Tym, którym udało się uciec na dachy kamienic, zwykle zdołali przeżyć. Patrole poświęcały więc nieco czasu na to, by sprawdzać, na które dachy na trasach szabru da się wyjść. Tam, gdzie było to

możliwe, otwierano klapy ewakuacyjne na dach. Między kilkoma kamienicami eksperymentalnie przerzucono liny, choć nikt nigdy nie wypróbował takiej drogi ucieczki.

Zabezpieczano się też w inny sposób. W trawie na Plantach porozkładano potykacze – kawałki liny i drutu naciągnięte nad ziemią, mniej więcej na wysokości kostek dorosłego człowieka. Jeśli tylko pamiętało się, żeby podczas biegu stawiać wysoko stopy, można było uniknąć pułapek. Opętani prawie zawsze się na nich przewracali.

Zaskoczeni członkowie patrolu rozpierzchli się więc po trawnikach, sadząc nieco zabawne susy, częściowo biegnąc, a częściowo skacząc. Kaśka wybrała mniej wygodny kierunek – w głąb ulicy Piłsudskiego, przy której mieściła się jedna z kamienic przystosowanych do ucieczki po dachach. Niestety, dopiero w połowie dość długiej ulicy.

A jak na złość sfora pobiegła właśnie za nią.

Teraz żałowała, że nie zabrali ze sobą koktajli Mołotowa, za pomocą których odparli ostatni, naprawdę wielki szturm opętanych. Jeszcze nigdy nie musieli się mierzyć z tak liczną grupą. Pod mury Wawelu przybyło prawie stu szaleńców. Część z nich skupiała się na atakowaniu bram, część wspinała się po murach. Gdyby nie przygotowali się wcześniej i nie obrzucili nacierających bestii butelkami zapalającymi, pewnie by nie przetrwali. I tak dwóm zarazonym udało się wykorzystać zamieszanie i wedrzeć na Wawel.

Nina i Miśka zastrzeliły jednego z łuków bloczkowych zdobytych w sklepie sportowym. Drugiego pięciu chłopaków musiało zadźgać włóczyniami.

Jednak Kaśka sądziła, że podczas patrolu butelki z benzyną okażą się nieskuteczne. Przecież w przypadku zasadzki zabraknie im czasu, by wyjąć je z plecaków, zapalić nasączoną szmatę, a potem jeszcze celnie cisnąć pociskiem w nadbiegającego opętanego. Choć zarażeni nie szabrowali sklepów w poszukiwaniu jedzenia, to pokarmu im nie brakowało. Zjadali siebie nawzajem.

Biegła co tchu, ale i tak ją dopadli na ulicy Smoleńsk. Skręciła w nią, bo nie udało jej się dotrzeć do bezpiecznej kamienicy przy Piłsudskiego. Drogę do niej odcięła Kaśce kolejna sfera, nadchodząca niespiesznie od strony Błoń. Opętani nie mogli tego zaplanować, z pewnością nie mogło być tak, że jedna grupa naganiała ofiarę drugiej. Po prostu Kaśka miała tego dnia niewiarygodnego pecha.

Świtało, mgła wypełzła z Wisły, aby rozlać się po całej okolicy. Dała Kaśce nieco nadziei, ale niestety okazała się zbyt rzadka, by zapewnić prawdziwą osłonę. Coraz bardziej opadająca z sił dziewczyna wciąż jeszcze wymykała się prześladowcom, ale wiedziała, że już po niej. Nie dobiegnie do Wawelu. Rzuciła się do drzwi najbliższej kamienicy. Nie miała pojęcia, skąd weźmie energię, żeby wspiać się po schodach na ostatnie piętro, była to jednak jej ostatnia szansa. Po warunkiem, że wyjście na dach będzie otwarte. Jeśli nie, umrze w ciemnościach jakiejś zatęchłej klatki schodowej.

Oszczędzono jej tego. Brama okazała się zamknięta. Trafiła jej się jeszcze jedna przeklęta kamienica strzeżona przez domofon! Kolejny wynalazek technicznej cywilizacji zabójczy dla jej spadkobierców.

Oparła się plecami o zatrzaśnięte drzwi. Wyjęła nóż z za pasa, tym razem nie kieszonkowy scyzoryk, ale finkę ojca.

Może by tak upaść na własne ostrze? Dużo rozmawiali o tym na Wawelu. Czy nie lepiej skończyć ze sobą szybko i czysto? Zwolennikiem takiego rozwiązania był Maciek zachwycony starożytnymi Rzymianami.

„Jak sobie chcecie” – kończyła takie dyskusje Kaśka. „Maciek jest bezpieczny. Nie uczestniczy w patrolach. Jeśli o mnie chodzi, gdy mnie dopadną, zakończę żywot, gryząc, kopiać i wrzeszcząc”.

Otaczali ją spokojni, pewni swego. Jak zwykle śmiertelnie cisi. Nienawidziła tego ich milczenia. Było takie nieludzkie.

Teraz wiedziała już, jak uderzać. Mogli nie czuć bólu albo ignorować go, ale jeśli rozplatać takiemu gardło, wbić ostrze w mózg lub prosto w serce, umierał. I to dość szybko.

Uniosła broń do ciosu, choć wiedziała, że nie przejmą się tą groźbą.

Tego dnia nie musiała jednak nikogo zabijać.

Usłyszała znajomy ryk. A potem prawdziwy drapieżnik wyłonił się z mgły. Był sam przeciw trzynastu. Ale to oni nie mieli szans. Kaśka tylko usiadła na schodach i patrzyła, jak ginęli, cicho, lecz nie spokojnie. Bronili się, walczyli do końca,

najpewniej nie wierzyli, że ktoś może ich zabijać z taką łatwością. Ale ich opór był daremny i nie trwał długo.

A gdy po wszystkim podszedł do niej – znów cały pokryty krwią, chwiejąc się dziwnie na nogach – i pochylił się nad nią, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Cześć, King Kongu. Chodź ze mną. Znam bezpieczne miejsce.

Wtedy ją zaskoczył.

Najpierw zamrugał, a później odrzekł ochryłym, niewyraźnym, jakby odwykłym od słów głosem:

– Nie jestem King Kong. Jestem... Rafał? Tak. Rafał. Rafałrafałrafał... A ty? Kim ty jesteś?

Rozplakała się i padła mu w ramiona.

CZĘŚĆ TRZECIA

Powarkiwania

*now we're busy making all our busy plans
on foundations built to last
but nothing fades as fast as the future
and nothing clings like the past*

Peter Gabriel, *More Than This*

Rozdział 13

KAROL

W celi, którą zajął, na ścianie naprzeciwko okna wychodzącego na dziedziniec Karol powiesił mapę Krakowa. Należała do zdobyczy zabranych z głównego budynku urzędu miasta. Inni ocaleni skupiali się na rabowaniu sklepów, urzędowi zaś nie poświęcali uwagi, uważając, że nie znajdą tam nic cennego. Poniekąd mieli rację. Dla nich zawartość urzędowych szaf i biurka rzeczywiście nie przedstawiała żadnej wartości. Ale dla kogoś, kto jak Kapitan myślał nie tylko o przetrwaniu, lecz i o panowaniu nad częścią tego, co ocalało z zagłady cywilizacji, miejskie dokumenty mogły mieć pewne znaczenie.

Niestety, nawet w tak konserwatywnym i może nieco zacofanym mieście jak Kraków urząd miejski zbyt wiele zaufania pokładał w elektronice. Mnóstwo danych przepadło więc wraz z elektrycznością. Okazało się jednak, że wystarczająco dużo urzędników dochowywało wierności starym biurokratycznym przesądom. Ci lubowali się w szeleście dokumentów. Upychali wydrukowane kopie elektronicznych plików w segregatorach opisanych kodami, których znaczenia prawie nikt już nie pojmował.

Kapitanowie rozważali przez jakiś czas, czy nie uczynić pałacu Wielopolskich, w którym mieścił się urząd miasta, swoją siedzibą. Taki gest miałby symboliczną wymowę – oto nowa

władza zastępowała starą. Jerzy, już wówczas myślący o sobie jako o proroku, cieszył się bliskością kościoła Franciszkanów. Ostatecznie jednak uznali, że lepiej wybrać miejsce położone bliżej Wisły, za to oddalone od Rynku, na którym wciąż płonęły stosy. Początkowo wzięli na cel Wawel. Gdy wyszło na jaw, że ma on już nowych lokatorów, w dodatku szalenie nieufnych i wojowniczych, przenieśli się na Kazimierz. I tam nakazali sprowadzić tyle dokumentów z urzędu, ile tylko się dało.

Nie okazały się zupełnie bezwartościowe. Choć historia Krakowa, jaką można było z nich wyczytać, sprowadzała się głównie do wewnętrznych spraw urzędu oraz różnych prób kształtowania przyszłości, które teraz stały się daremne, a dane statystyczne straciły znaczenie po gorączce, Karol uznał, że wszystkie te dokumenty, tworzące obecnie bezładną hałdę w jednej z piwnic, przydadzą się zimą. Będzie można palić nimi w piecach.

Najchętniej oddałby je ogniovi już teraz. Czuł obrzydzenie, ilekroć o nich myślał. Trudno było o lepszy przykład pychy starego świata, wyrazistszy dowód na to, jak lekko traktowano wówczas życie i jak je marnowano. W samym Krakowie blisko dwa tysiące ludzi poświęcało kolejne dni i tygodnie na rozprawianie o pustce i daremności, kształtowanie świata pozorów.

Gorączka położyła kres ich bezmyślności, zabiła cywilizację skupioną wyłącznie na sobie samej, zmusiła ludzi, by zaczęli żyć naprawdę.

Jednak mapa okazała się interesująca. Różniła się od planów miasta dostępnych w sklepach. Przedstawiała plany inwestycji. Ukazywała Kraków jako obszar składający się z wyraźnie zaznaczonych różnymi kolorami obwodnic dzielących całość na kilka części. Z jednej strony stanowiła obraz zaplanowanej przyszłości, jaka już nigdy nie miała nadejść, z drugiej pozwalała Karolowi lepiej orientować się w miejskiej przestrzeni, odnajdywać strategiczne punkty Krakowa i trasy, którym należało poświęcić baczniejszą uwagę.

Przyglądał jej się teraz, rozmyślając o nadchodzącej wojnie z Hutą. Zdawał sobie sprawę, że mało który z jego ludzi rozumiał potrzebę i nieuchronność tego konfliktu. Wydawało im się, że skoro przeżyli, należeli do wybranych, do nowej rasy ludzkiej. Większość z nich to byli prości ludzie, którym wcale nie żyło się najlepiej w starych czasach. Gnębiły ich kredyty, wiecznie zamartwiali się, czy starczy im pieniędzy do końca miesiąca i ciągle musieli odmawiać sobie zbytków. Oglądali w telewizji filmy i programy o ludziach zamożnych. Mogli napawać się widokiem wspaniałych limuzyn, czytać na portalach plotkarskich opowieści o celebrytach narzekających na brak miejsc parkingowych dla ich lśniących samochodów wartych więcej niż mieszkania zwyczajnych śmiertelników. Ale wszystkie te cuda były dla nich obcym światem; należały do krainy baśni leżącej wprawdzie nie za siedmioma rzekami, a tuż za rogiem, ale ciągle niedosiężnej.

Godzili się na to. Nie pragnęli rewolucji, a nawet jeśli, nie byli zdolni jej rozpętać. Liczyli swoje uciulane grosze, ciesząc się,

jeśli udało im się odłożyć ich tyle, by stać ich było na krótkie wakacje. Kupowali na kredyt tanie samochody i ciasne mieszkania. Chodzili wciąż w tych samych spodniach i butach. I jakoś radzili sobie z życiem w świecie, który nie należał do nich.

Po gorączce trafili do krainy obfitości.

Drogich nowoczesnych samochodów zostało w Krakowie chyba więcej niż ludzi. Gdy ocaleni rozszabrowali sklepy spożywcze, przypomnieli sobie o salonach, w których wciąż stały nowiutkie fury. Miasto opanowała nowa gorączka – szal rozbijania się luksusowymi autami.

Wbrew pozorom nie było to takie proste. Ulice pełne były porzuconych pojazdów. Berserk spadł na ludzi nagle, gwałtownie. Tracili kontrolę nad sobą w ciągu kilkunastu sekund. Wysiadali wtedy z samochodów, zazwyczaj nawet nie wyłączając silników. Gdy szaleństwo minęło, tysiące poobijanych wozów wciąż blokowało ulice. Rowery, które Karol wybrał na główny środek lokomocji dla Strażników, okazały się wygodniejsze w użytkowaniu także dlatego, że dało się nimi lawirować w labiryntach, w jakie zmieniły się ulice.

Nie tylko samochodów było tak wiele, że każdy mógł w nich przebierać. Wszystkiego było w nadmiarze: drogich ubrań, biżuterii, nawet jedzenia. Ocalałym wydawało się, że po tym, jak przeszli przez piekło, zamieszkali w raju. Tylko nieliczni rozumieli obawy takich osób jak Karol – ludzi spoglądających w przyszłość i widzących ją w ponurych barwach.

Samochody zostaną na całe dziesięciolecia, choć wkrótce zaczną brakować do nich paliwa. Złoto i biżuteria może znów stanąć się cenne, a może nie. Na razie każda kobieta, która tego zapragnęła, mogła chodzić obwieszona świecidełkami niczym starożytna królowa. Karol pozwalał im na to. Osobiście uważał klejnoty za bezwartościowe, na wszelki wypadek nakazał jednak Strażnikom zgromadzić tyle złota, ile tylko zdołają. Większość ukrył w piwnicy przerobionej na skarbiec.

Najbardziej martwiła go kwestia żywności. Wody mieli pod dostatkiem. Czerpali ją z Wisły, a następnie poddawali długotrwałej filtracji. Na planach pozyskanych z urzędu znaleźli miejsca, w których niegdyś znajdowały się studnie. Jak dotąd sprawdzili trzy z nich, lecz tylko jedna nadawała się do użytku, ponieważ rzeczywiście sięgała prawdziwych źródeł wody, pozostałe zostały podłączone pod kanalizację. W piwnicach klasztoru tysiące litrów wody spoczywało w zabezpieczonych plastikowych baniakach jako rezerwy na ciężkie czasy. Że takie nadejdą, Karol nie miał wątpliwości. Pytanie tylko kiedy.

Największym problemem z pewnością okaże się żywność. Bo kiedyś wyczerpią się wreszcie zapasy zgromadzone w sklepach i magazynach. Część żarcia już pogniła, choć przechowywano ją w prowizorycznych piwnicznych chłodniach. Mimo to zaopatrzenie nie nastroczało jeszcze kłopotów. Najprawdopodobniej nawet zima nie okaże się zbyt trudna dla Strażników. Ale potem nadejdzie następna. I ludzie jak zawsze zaczną walczyć o zasoby.

Karol wezwał do siebie Strzemińskiego, którego niedawno awansował na porucznika. Facet potrafił planować, cieszył się zaufaniem wśród Strażników i posiadał charyzmę wystarczającą, by zapanować nad nimi w razie kryzysu. Kapitanowi potrzeba było kogoś takiego – zastępcy, który mógłby zdjąć mu z barków część obowiązków.

Strzemiński, gdy zjawił się w celi, wyprężył się służbiście i zasalutował, przykładając dwa palce prawej ręki do czoła. Kapitan odpowiedział mu skinieniem.

– Mianowałem Kruchego śledczym – poinformował podkomendnego. – Pawełek i Ochota będą mu pomagać. Ale lekarce niech nikt nie zawraca głowy, póki nie zrobi sekcji zwłok zabitego. Możliwe, że będziemy musieli zapolować na ludojada, poruczniku.

– Czy to może być jakiś zarazony? Ludzie by się niepokoili.

Strach przed nawrotem choroby należał do powszechnych lęków. Ocaleni mogli sobie wmawiać, że ich organizmy uodporniły się na gorączkę, lecz nikt nie wiedział, czym tak naprawdę była, nie mogli więc mieć pewności. Jednym z głównych zajęć Krystyny było badanie berserku. Ponieważ jednak po ustąpieniu szaleństwa spalono większość ciał, nie dysponowała tak dużym materiałem do badań, jakiego potrzebowała. Pobrała krew wszystkim Strażnikom, nakazała także pozyskiwanie próbek z ciał, które wciąż znajdowali. Ale nie odkryła nic nadzwyczajnego. Żadnej bakterii albo wirusa, które mogłyby odpowiadać za chorobę. Co wcale nie znaczyło, że wcześniej ich nie było. Może umierały wraz z nosicielami

albo zniknęły razem z szaleństwem? A może Krystyna nie miała właściwych narzędzi, by je odkryć? Nie ukrywała też, że jej wykształcenie może okazać się niewystarczające. Nie specjalizowała się w zwalczaniu wirusów, lecz w krojeniu ludzi.

– Nie sędzę. Ostatniego zarzonego dorwaliemy ponad miesiąc temu. Oni nie potrafią się długo ukrywać, gorączka zawsze bierze górę. Nie, to ktoś uleczony z berserku. Ale z pewnością szalony na stary sposób. Polubił zabijanie, a może i ludzkie mięso. Dorwiemy go. Jak patrole?

– Wróciły trzy. Ta hurtownia mrozonek przy Dąbka okazała się nietknięta. Kazałem przygotować zespół pozyskiwaczy.

– Pewnie chcieliby pojechać samochodem?

– Zna ich pan.

Pozyskiwacze zawsze domagali się zezwolenia na podróż ciężarówką. Kapitan czasem udzielał im go, choć niechętnie. Rozumiał jednak, że węgla zdobytego w elektrociepłowni nie można było przewozić na rowerach.

– Jak wyglądają tam ulice?

– Lipska jest przejezdna. Dąbka... Cóż, nawet za lepszych czasów to były wertepy. Najtrudniej będzie przejechać przez Nowohucką. Z drugiej strony zrobiliśmy na niej przejazd przy okazji transportowania węgla. Trochę będą musieli się pomęczyć, ale dadzą radę. Tak twierdzą.

– Dobra, niech wezmą wóz. – Karol machnął ręką. – A pozostałe patrole? Co z nimi?

– Nic ciekawego. Jeden natknął się na grupę Nomadów przy Wielickiej. Porozmawiali, lecz tamci nie mieli nic na handel.

Zdaniem sierżanta Błosika wydawali się trochę nieufni i bezczelni. Ale Nomadzi już tak mają.

– Ilu ich było?

– Pięciu. Wszyscy na motorach. Uzbrojeni w broń krótką, noże i te ich włócznie. Jeden miał szablę.

– Wyglądali, jakby szli na wojnę?

– Zdaniem Błosika mieli tylko standardowe wyposażenie. Chętnie bym kiedyś zobaczył, jak miotają tymi swoimi włóczniami. To musi być coś.

Nomadzi używający motocykli uwierzyli, że byli teraz nowym typem rycerzy. Zbroili się w miecze i szable, przekonani, iż na motorach da się walczyć tak samo jak konno. Niewielu jednak umiało posługiwać się bronią palną. Próby pojedynków na szable w pełnym pędzie kończyły się zwykle wypadkami. Całkiem spora grupa nauczyła się za to celnie miotać krótkimi włóczniami, którym pęd motoru dodawał siły podczas rzutu. Tak w każdym razie twierdzili, Karol nigdy nie widział tej broni w działaniu. I miał nadzieję, że tak pozostanie. Nomadzi mogliby wprawdzie okazać się sojusznikami podczas wojny z Hutą, wolał jednak, by nie mieszały się w sprawy miasta. Jak sobie właśnie uświadomił, będzie musiał z nimi o tym pogadać. W każdym razie z tymi bandami, które regularnie odwiedzały Kraków. Czy oni w ogóle posiadali jakąś strukturę? Czy współpracowali ze sobą? A może poza granicami miasta toczyli między sobą bitwy?

Strażnicy tyle wiedzieli o Nomadach, ile od nich usłyszeli. Krążyły opowieści o tym, że są wśród nich prawdziwi dranie

napadający na samotne gospodarstwa, ale nie znalazł się nikt naprawdę poszkodowany, Karol nie miał więc pewności, czy w nie wierzyć. Dlaczego Nomadzi mieliby się zachowywać inaczej niż większość znanych mu ludzi, którzy ciągle jeszcze nie otrząsnęli się po szaleństwie i przemoc wciąż napawała ich obrzydzeniem? Z drugiej strony on nie miał problemów z zabiciem trzech osób. I co najmniej jeszcze jedna osoba w Krakowie także potrafiła mordować.

Nie pierwszy raz przyszło mu do głowy, że może to właśnie umiejętność zabijania sprawiła, iż Strażnicy nadal darzyli go zaufaniem. Wiedzieli, że w razie czego nie zawaha się odebrać komuś życia. Czy mógł to samo powiedzieć o nich? Oby sprawdzili się, gdy nadejdzie dzień próby.

Zabawne, że w świecie, w którym wszyscy chodzili uzbrojeni, mało kto odważyłby się naprawdę użyć broni.

Kto wie, może to i lepiej? Gdyby udało się zachować wstręt do przemocy, Ziemia naprawdę mogłaby stać się rajem. Karol wątpił jednak, by to było możliwe.

– Coś jeszcze, poruczniku?

– Miałem przypomnieć panu o wizycie Kardynała.

– Boże! – Karol zerknął na zegarek. Przynajmniej w nim bateria jeszcze działała. Strażnicy znaleźli wprawdzie kilka nakręcanych chronometrów u jubilerów i w lombardach, jednak Kapitan nie potrafił rozstać się ze swoim starym druhem. Kiedyś być może nadejdzie ta chwila, lecz niezbyt szybko. Na wszelki wypadek zaopatrzył się w spory zapas baterii. – Już?

– Czeka w kościele.

– A to sobie wybrał miejsce! – Skrzywił się. – Skurczybyk. Dobra, poruczniku, jesteście wolni. A ja pójdę pogadać z tym kutasem.

Zastał Kardynała modlącego się przy ołtarzu. Wysoki, szczupły mężczyzna, choć przyznał sobie prawo do purpury, ubierał się wyłącznie na czarno. Nosił sutannę przepasaną parcianym pasem, do którego przymocował kaburę z pistoletem. Karol nie widział go też nigdy bez kamizelki kuloodpornej. Ksiądz wyglądał przez to, jakby uczestniczył w wojnie, choć żadna w pobliżu się nie toczyła. Jedyne wystrzały, jakie czasem zakłócały ciszę w mieście, towarzyszyły ćwiczeniom zarządzanym przez Karola.

– Podobno zabił pan tu człowieka? – Kardynał podniósł się z klęczek. – W domu Bożym?

– Jerzy uważał go za swój dom. Miał się za proroka.

– Proroka Pana?

– Nie, swojego. Sam siebie prorokował. Zwariował i był szkodliwy.

– Więc miał się raczej za mesjasza niż proroka.

– Dla mnie to żadna różnica, Kardynale. Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Podejrzewam, że się pan domyśla.

Miał rację. Karol był przekonany, że tamten przyszedł, by namawiać go na krucjatę przeciwko Pokutnikom. Kardynał reprezentował drugi, nie mniej upierdliwy odłam odrodzonego chrześcijaństwa. Krzyżowcy, na czele których stał w Krakowie,

nie zgadzali się, że Bóg zabrał zbawionych do raju, a na Ziemi zostawił odrzucone owieczki, by dogorywały w ogniu potępienia. Zgadzali się, że gorączka stanowiła dopust Boży, uważali jednak, iż była tylko kolejnym oczyszczeniem, jak potop albo zagłada Sodomy. Ocaleni nie zostali więc potępieni, przeciwnie – należeli do sprawiedliwych, których potomkowie mieli posiąść Ziemię i zaludnić ją na nowo.

W związku z tym Pokutników traktowali jak heretyków i chcieli postąpić z nimi tak, jak Kościół rozwiązywał podobne problemy w starych, dobrych czasach, gdy miał władzę i dywizje na zawołanie.

Obecnie kłopot polegał na braku tychże dywizji.

– Nie wyruszę na wojnę z Pokutnikami, Kardynale. Dla mnie to tacy sami ludzie jak pan czy ja.

– Dla pana to ludzie, których nie warto rabować, bo nie bardzo jest z czego. – Kardynał uśmiechnął się z życzliwością pasującą raczej do rozmowy o czekającym na każdego zbawieniu. – Rozumiem to. Ale myli się pan.

– Czyżby? Ukrywają w swoich kościołach coś cennego?

– Coś najcenniejszego, Kapitanie. Ludzi.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Możliwe, że rzeczywiście pan nie rozumie. Usiądziemy na stopniach prowadzących do ołtarza? Stanie mnie męczy, a niestety nie zachowały się tu żadne krzesła ani ławy.

– Możemy przejść do mnie. Tam jest na czym siedzieć.

– Nie, nie. Chciałem spotkać się z panem właśnie tutaj.

– Bo sądzi Kardynał, że kościół daje mu przewagę? Jestem niewierzący, dla mnie to po prostu budynek.

Poszedł jednak za gościem i usiadł obok niego. Kardynał odetchnął z wyraźną ulgą.

– Mam już sześćdziesiąt lat. – Znowu się uśmiechnął. – Nawet spacery sprawiają mi wysiłek. Proszę mieć litość dla słabości starego człowieka.

– Bez tej kamizelki byłoby księdzu lżej.

– Wierni muszą wiedzieć, że żołnierze Pana są zawsze na służbie.

– Nic mi nie wiadomo o żadnej wojnie, Kardynale.

– Wojna ze złem trwa zawsze.

– Nie wydaje mi się, by kamizelka kuloodporna stanowiła zabezpieczenie przed metaforami. Albo przed szatanem.

– Te niemetaforyczne wojny też się wkrótce zaczną. Jest pan zapewne ostatnią osobą, jakiej muszę to tłumaczyć. Nie zbudowałby pan swojej armii, gdyby nie szykował się pan na bój.

– *Si vis pacem, para bellum*, księżę.

– Och, łacina. Zna pan?

– Tylko kilka sentencji z kalendarza. Ta wydaje mi się niezła.

– Wojna wybuchnie. Wcześniej czy później. Wszyscy chodzą obładowani bronią. Na razie nie mają jeszcze o co walczyć, ale niech tylko zaczną się głód... Albo niech uświadomią sobie, że istnieją cenne zasoby, których już teraz nie starcza dla wszystkich.

– Podpowie mi ksiądz jakie? – Karol poczuł, że naprawdę ciekawiło go, co Krzyżowiec ma na myśli. Tamten, co przyznawał niechętnie, myślał podobnie jak on. Może wszyscy przywódcy rozważali to samo? Przewodniczący raczkującej republiki Nowej Huty stawiał swój mur. Możliwe, że tylko maluczcy, którzy przerzucili ciężar przejmowania się przyszłością na barki swoich szefów, cieszyli się beztrąską odziedziczonego świata.

– Na przykład kobiety.

– Widzę, że Kościół naprawdę nie opuścił epoki średniowiecza. Kobiety to ludzie, księżę.

– A ludzie to zasoby. Rosjanie wygrali drugą wojnę światową nie dlatego, że byli lepiej wyszkoleni czy uzbrojeni od Niemców, lecz dlatego, że mieli więcej ludzi. Wojny i zagłady potrafiły przetrwać tylko te narody, które odpowiednio szybko się rozmnażały. Na pewno pamięta pan, co działo się tuż przed berserkami, ten pochód islamu na świat zachodni. Omal nie zatriumfowali nad nami głównie dlatego, że wciąż pamiętali, iż płodzenie dzieci to także rodzaj broni. Ludzie to broń, Kapitanie. Kobiety i mężczyźni to zasoby. Czy nie tak nazywała ich ekonomia? Zasobami ludzkimi?

– A jak to się ma do Pokutników?

– Marnują najcenniejszy z zasobów. Pan sądzi, że mnie chodzi o kwestie religijne. Oczywiście, tak jest. Ale one pana nie interesują. Dlatego panu o nich nie opowiadam. Wie pan, ilu ludzi przetrwało w Krakowie?

– Nie ustaliliśmy tego.

– W centrum, wliczając w to Kazimierz, około dwóch tysięcy osób. W Podgórzu blisko trzy. W Hucie... nie wiem. Nie pozwalają nam zakładać tam parafii.

– Kolejni heretycy. – Karol mrugnął do niego porozumiewawczo. Nagle spoważniał. A jeśli ten facet naprawdę mógł zostać jego sojusznikiem? Wyglądało na to, że jednego wspólnego wroga już mieli. Wprawdzie nie bardzo podobało mu się rozpętanie wojny religijnej, jeśli jednak mogła mu się ona przysłużyć, być może warto zaryzykować. – Skąd ma ksiądz te wszystkie dane?

– Strażnicy skupiają się na dobrach materialnych, my na ludziach. Zakładamy parafie, udzielamy wsparcia. Ludzie chętniej rozmawiają z księżmi niż z wojskiem. Według mnie w Krakowie mieszka obecnie około dwudziestu tysięcy ocalonych.

– To oznacza większe straty, niż sądziliśmy.

– Podczas choroby mordowaliśmy się wszyscy z niezwykłą skutecznością, Kapitanie. Rzecz w tym, że dwadzieścia tysięcy to bardzo, bardzo mało. Nawet jeśli do Pokutników należy dziesięć procent ocalałych, oznacza to straszliwe marnowanie zasobów.

– Pan wybaczy, ale wiara to jeszcze nie marnowanie. Z całego serca popieram taką postawę, choć dziwi mnie akurat u księdza. Niemniej...

– Może pan sobie kpić – przerwał mu Kardynał, wyraźnie poirytowany. – Kpina to stary oręż głupców i nieświadomych.

– Więc jestem głupi? Ciekawie ksiądz negocjuje.

– Nie głupi, lecz nieświadomy. Pan wie, że oni uprawiają samobiczowanie?

– To faktycznie paskudna sprawa. Ale jeszcze nie tragedia.

– To początek. Poumierają w końcu od tych ran. Przy obecnym stanie medycyny to pewne. Do tego słabo się odżywiają, bo żyją w permanentnym poście. I nie uprawiają seksu...

– Naprawdę mnie ksiądz zadziwia! To teraz grzech? Przyznaję, jestem bliski nawrócenia.

– A pan w kółko swoje! Zakazują seksu, więc się nie rozmnażają. Dzieci, Kapitanie. Dzieci to nasza jedyna szansa na przyszłość. Ale to nie wszystko. Mam tam swoich szpiegów.

– U Pokutników?

– Tak. Zadbalem o to.

„Ciekawe, o co jeszcze” – Karol spojrzał na Krzyżowca z niechętnym szacunkiem. Ten facet już zbudował siatkę wywiadowczą! Czy miał szpiegów także wśród Strażników? Pewnie tak.

– Wyrazy podziwu – mruknął.

– Wiem, co planują. – Kardynał złapał Karola za rękę i uścisnął ją mocno. – To chorzy fanatycy, Kapitanie. Szykują się do zbiorowego samobójstwa. Jeśli nic nie zrobimy, kilkaset osób wkrótce zginie!

Rozdział 14

R A F A Ł

Do Wawelu zbliżał się jak zwykle od strony ulicy Stradom. Zostali na niej zatrzymani z Lucyną przez patrol Strażników. Dowodził nimi niewysoki, drobno zbudowany mężczyzna o oczach tak nieufnych i czujnych, że można było dostać dreszczy pod wpływem jego spojrzenia. Rafał pokazał mu swoją naszywkę z herbem Strażników, a także niewielki notes, jaki od nich otrzymał, zwany buńczucznie „księgą dyżurów”. Zapisywano w nim każdą przepracowaną dla Strażników godzinę, wyliczano też pobrane za to wynagrodzenie.

– A pani? – Dowódca patrolu zwrócił się do Lucyny.

– Ja jestem wolna – odpowiedziała zaskakująco ostro. – Pracuję sama dla siebie.

– Nomadka?

– Nie. Zwyczajna kobieta.

– A, jedna z tych. Ma pani jakieś dokumenty?

Roześmiała się, ale podała mu stary dowód osobisty. Obejrzał go uważnie, spisał z niego wszystkie personalia.

– Nadal mieszka pani pod tym adresem? – zapytał.

– Nie. Teraz mieszkam, gdzie mi się podoba. Czasem w Rynku Podgórskim, czasem na Dębnikach. Raz nawet nocowałam przy Krakowskiej.

– Dawno?

– Z tydzień temu.

– Tydzień... – zamruczał, ciągle notując. – Gdzie się wybieracie?

– A co? – naskoczyła na niego. – To strefa wojny? Godzina policyjna?

Rafałowi nie podobało się, dokąd zmierzała ta rozmowa. Nie wiedział, co tak rozdrażniło Lucynę, wolał jednak uniknąć awantury.

– Idę na Wawel – wtrącił się. – Pogadać z dzieciakami.

Strażnik spojrział na niego z nowym zainteresowaniem.

– Na Wawel? – zdumiał się. – Życie panu niemiłe? Dzieciaki pana ustrzelą.

– Mnie nie.

– Ach! To pan. Pan jest tym gościem od dzieci.

– No, jestem tym gościem. Właśnie idę poszukać siostry tej pani.

– Życzę powodzenia. – Strażnik oddał Lucynie dokumenty. – Uważajcie na siebie i nie płaczcie się po nocy. Niedawno zamordowano tu człowieka.

– Kto? – zapytał wstrząśnięty Rafał. Morderstwo? Czyżby ludzkość wracała na stare, krwawe koleiny?

– Badamy kto – odpowiedział Strażnik, przyglądając im się podejrzliwie. – Właśnie tym się zajmujemy.

– Za chwilę powie pan, że wszyscy jesteśmy podejrzani – parsknęła nerwowo Lucyna.

– Dopóki nie złapiemy drania, tak właśnie jest – odparł poważnie. – Do widzenia.

Strażnicy odeszli, nie oglądając się za siebie.

– Morderstwo. – Rafał pokręcił głową, po czym ruszył z powrotem ku Wawelowi. – Masz pojęcie? Ktoś znowu jest zdolny do zabijania.

– Wszyscy byliśmy zdolni. Kurde, Rafał, wszyscy jesteśmy mordercami. Zabijanie powinno być dla nas łatwiejsze niż kiedyś!

– No nie wiem. Przecież stało się na odwrót. Gorączka była jak... nie wiem, jak jakiś obrzęd przejścia, *katharsis*. Wszyscy mamy krew na rękach, wszyscy, którzy przeżyli. A jednak dzięki temu każdy czuł wstręt na samą myśl o przemocy.

– Może tylko tak się wydawało? Słyszysz różne opowieści. O Nomadach z przedmieść, o Maskach... Krzyżowcy wprost ogłosili krucjatę.

– Ale metaforyczną. A Maski... Moim zdaniem są zmyśleni.

– Nie są. Widziałam ich.

– Widziałaś? Kiedy?

– Ja... – Zakrztusiła się nagle. – To znaczy... kiedyś, chyba przedwczoraj, jak wyszłam z domu wcześniej rano, żeby pobiegać. Stali i gapili się na mnie. A potem nagle uciekli. Trzej faceci w długich płaszczach i maskach przeciwigazowych na głębach. Może to oni zamordowali?

– Może... Powinnaś była powiedzieć o nich Strażnikom.

– Żeby mnie zabrali, zamknęli w jakichś kazamatach i przesłuchiwali przez następny miesiąc? Mamy robotę do wykonania. Ty i ja.

– Tylko ja – poprawił ją. – Nie idziesz ze mną na Wawel. To nie podlega dyskusji.

– Na sam Wawel nie, ale...

– Tu się rozstaniemy – zdecydował. Dotarli na skrzyżowanie pod hotelem Royal. Z zamku byliby już widoczni, gdyby ktoś ich obserwował. Jednak dzieciaki pozwalały na poruszanie się w pobliżu hotelu, a nawet po Plantach. Ostrzegawczy strzał powitałby dopiero tych, którzy spróbowaliby dalej powędrować ulicą Podzamcze. Ona, podobnie jak Powiśle i część Kanoniczej, należała do strefy wpływów dzieci. Nawet ciała ludzi, którzy zginęli tam podczas gorączki, wciąż spoczywały na swoich miejscach. Obok zwłok nieszczęśników próbujących je zebrać w dniach wielkiego palenia.

– Chcę zostać. Będę tylko patrzeć z daleka. Przysięgam!

– Dzieciaki już nas widzą. Jeśli zostaniesz, mogą to uznać za zagrożenie. Wtedy nici z wyprawy, a co gorsza, nadszarpnę ich zaufanie. Wracaj do domu. Najlepiej do mnie. Jeśli twojej siostry nie ma tutaj, będziemy musieli poszukać jej na Prokocimiu. Wtedy zajrzemy po drodze do domu, by zabrać rowery, bo nie będzie mi się chciało tam zasuwać pieszo.

– Ale...

– W tym temacie nie ma dyskusji. To nie jest jakiś mój kaprys, Lucyna, to zasady dzieci. To my chcemy czegoś od nich, nie one od nas. Musimy przestrzegać ich reguł. Idź już.

Była gotowa protestować. Widział, że znów się rozgniewała, prawie jak podczas rozmowy ze Strażnikami. Wciąż nie pojmował tego jej wzburzenia. Chciał ją zapytać, czemu okłamała ich co do miejsca swojego zamieszkania, ale jakoś zapomniał o tym. Wiedział już, że bardzo ceniła sobie niezależność, lecz jego zdaniem owo przywiązanie do wolności zaczynało przypominać obsesję. Czy mogła nienawidzić Strażników tylko za to, że próbowali zorganizować ludziom życie według jakichś zasad? Może teraz z tego samego powodu buntowała się przeciw regułom dzieci?

Czyżby trafiła mu się zaangażowana, szczerza anarchistka? Ależ by trafił.

Ustąpiła.

– Zwariuję z niepokoju – rzuciła na odchodne. – Będiesz mnie miał na sumieniu.

Odprowadzał ją wzrokiem tylko przez chwilę. Nie sądził, by była na tyle szalona, żeby zawrócić i spróbować dostać się pod zamek. Nawet ona musiała sobie zdawać sprawę z tego, że z dziećmi nie ma żartów. Mogła się łudzić, że jego obecność zapewni jej ochronę, ale to wszystko. Gdyby spróbowała zbliżyć się do murów sama, choćby zmierzając tropem Rafała, dzieciaki zabiłyby ją bez zbędnych ceregieli.

Na ironię zakrawał fakt, że ponieważ nie zostały dotknięte gorączką, nie ograniczały ich też wyrzuty sumienia.

Ale teraz, jeśli Strażnik nie kłamał, ktoś do nich dołączył. Ktoś pokonał blokadę. Czy okaże się kamieniem poruszającym lawinę?

Rafał jako jeden z nielicznych nie nosił ze sobą broni. Owszem, miał zawsze przy sobie przynajmniej dwa noże, trudno jednak było je uznać za narzędzia stworzone do walki.

Rozwinął chorągiew, uniósł ją nad głową. Długim, lecz łagodnym podejściem zaczął wędrować w cieniu zamkowych murów. Okolice Wawelu były jedynym miejscem w okolicy, w którym rosły jeszcze drzewa. W szale wznoszenia stosów nie oszczędzono nawet Plant. Ale wzdłuż alejek przylegających do zamku ciągle kwitły rozłóżyście. Dzieciaki zastrzeliły każdego drwala, który przekroczył wyznaczoną przez nie umowną granicę. Wtedy jeszcze ludzie nie zdawali sobie sprawy z nowych zasad, nie wiedzieli o dziecięcych enklawach.

Może poza Rafałem. Jednak na początku zapomniał o tym opowiadać. Był równie zdumiony nowym światem i zagubiony w nim jak inni.

Spojrzał w górę. Bachory obsiadły mury i śledziły każdy jego krok. Kilkoro mierzyło do niego z kuszy, inne napinały cięciwy łuków. Paru chłopców z trudem utrzymywało w rękach zabytkowe muszkiety i karabiny zrabowane z muzeum. Najpewniej nie nadawały się do użytku, ale robiły wrażenie.

Dzieci starały się wyglądać jak najgroźniej, sprawiać wrażenie gotowych na wszystko. Gdyby mogły, pewnie wytoczyłyby na mury armaty.

Od Kaśki Rafał wiedział, że naprawdę były zdeterminowane. Podczas gorączki musiały odpierać szturmy ogarniętych szałem dorosłych. Jak straszne bywały to walki, można było ocenić nawet teraz. Nikt nie zebrał trupów spod zamku. Pod

murami i w okolicach bram coraz wyraźniej bieleły kości szkieletów w gnijących ubraniach. Część odzieży była wyraźnie spalona.

Największe wrażenie robiła ich liczba. Dziesiątki, być może nawet setki ciał. Opętanym naprawdę musiało zależeć na zdobyciu zamku. Być może dlatego, że pod koniec gorączki coraz trudniej było upolować kogoś na mieście. Szaleńcy podzielili się na walczące ze sobą stada. A gdy zabrakło innych ofiar, atakowali się nawzajem.

Czy tak było na całym świecie? Nomadzi podróżujący między miastami, a czasem nawet zapuszczający się poza granice Polski twierdzili, że wszędzie wyglądało to tak samo. Zwały trupów, czasem palonych, czasem zakopywanych w zbiorowych mogiłach zasypanych wapnem, i nieliczne niedobitki ocalałych. Obrabowane doszczętnie sklepy, brak elektryczności, załężki nowych władz i ostentacyjny pacyfizm – oto obraz nowej ludzkości.

Nigdzie nie przetrwało wiele dzieci. W miastach, w których nie stworzyły sobie enklaw na podobieństwo krakowskich, zostały niemal doszczętnie wybite. Ale dziecięcych społeczności wrogich wobec dorosłych powstało zaskakująco wiele. Przez jakiś czas Rafał bawił się myślą o powtarzających się schematach zachowań i podobieństwach zapisanych gdzieś głęboko w mózgu strategii. Potem Kaśka wytłumaczyła mu, że gdy gorączka dopiero się zaczynała, znalazła się banda dzieciaków, która przez Internet dyskutowała o przygotowaniu się na apokalipsę.

Uznał za niesamowite, ale poniekąd logiczne, że to właśnie dzieci okazały się najlepiej przygotowane na upadek cywilizacji. Dorośli czepiali się złudzeń, do końca wierzyli, że technologia przyniesie ocalenie. A dzieciaki wybrały najprostsze rozwiązania.

Kiedy stanął przed bramą, wykrzyczał powitanie, swoje imię i nazwisko, a także cel wizyty. To należało do rytuału. Potem zdjął plecak, położył go na ziemi i usiadł obok niego, splatając dłonie na karku. Zaufanie bachorów miało swoje granice.

Kaśkę zobaczył już z daleka. Pomachała mu zza kraty. Jakiś wysoki chłopak otworzył jej boczne, stalowe drzwi. Dopiero gdy podbiegła do Rafała, wolno mu było wstać. Przywitała się jak zwykle, rzucając mu się na szyję.

– Tulenie się do dorosłych jest inne – zawołała. – A tulenie się do ciebie to już zupełnie osobna sprawa, najosobniejsza pod słońcem!

Jak zwykle przy niej poczuł się nieswojo. Mógł tylko żywić nadzieję, że mała nie zaczęła się w nim podkochiwać.

– Poczekaj chwilę! – Nie tyle odniosła, ile odciągnęła ciężki plecak pod bramę. Eskortujący dziewczynę strażnik przejął go. Podniósł. Stęknął z wysiłku i pokiwał z satysfakcją głową. Spodobało mu się, że dostali aż tyle prezentów. Zaraz też zamknął drzwi na klucz. Gdyby teraz Rafałowi przyszło do głowy zrobić coś głupiego, Kaśce trudno byłoby uciekać.

Inna sprawa, że bachory wciąż czuwające na murach po prostu by go zastrzeliły.

– Masz zdjęcie tego dziecka? – zapytała Kaśka, wracając. – Pokaż. Nie, nie znam jej. Nie widziałam jej wśród naszych. Jak się nazywała?

– Iza Pawlicka. Szuka jej siostra, Lucyna.

– Dorosła?

– Tak. Mają różnych ojców.

– Dobra.

Zaniosła zdjęcie pod bramę, podała je między kratami niewysokiemu, milczącemu chłopcu.

– Jacek przekaze je dalej. Może ktoś coś o niej wie. Posiedź ze mną. To nie potrwa długo, zwołali zebranie z okazji twojego przybycia.

– Taki jestem ważny?

– Muszą wspólnie ocenić fanty. U nas wszystko jest wspólne. Wiesz przecież.

Wiedział. Chętnie opowiadała mu o ustroju panującym w enklawie. Nie krytykował go, choć wydawał mu się utopią możliwą tylko wśród dzieci, z których najstarsze nie skończyło piętnastu lat. Oczywiście był ciekaw, co wydarzy się dalej. Jeśli zdołają przetrwać w odosobnieniu, bańka będzie musiała prysnąć, gdy większość z nich wejdzie w wiek dojrzewania. Co wtedy? Czy nadal wszystko będzie wspólne? A może, przyzwyczajeni do zabijania, zaczną walczyć na śmierć i życie o kobiety? Jak zareagują na pierwsze ciążę?

Nie mówił o tym wszystkim Kaśce. Bał się zburzyć to coś, co połączyło ich oboje w trudny dla niego do zrozumienia sposób.

– Jak u was z żarciem? – zapytał zamiast tego. – Nie macie problemów?

– Jeszcze nie. Za twoją radą pozrywaliśmy część chodnika i asfaltu, posadziliśmy warzywa. Mamy kłopoty z ptakami, próbują wyżerać nasiona.

– Macie ptaki?

– Nie mówiłam ci? Parę wron, jakieś gołębice i sikorki. Schroniły się, jak my, na Wawelu. Czują, że nic im nie zrobimy. Że dzielimy ich los. Mamy nawet dwa psy. I kota.

– Psy?

– Paru dzieciakom udało się uratować pupili. Przyprawdzili je ze sobą.

– Jezu! Czemu wcześniej mi nie powiedziałaś?

– Ciągle nie mogę przywyknąć, że pozabijaliście także zwierzęta. – Pokręciła głową. – Jakoś o tym nie pomyślałam. Ale czy to taka ważna informacja?

– Możliwe, że ludzie płaciliby wam za to, żeby chociaż na nie popatrzeć. Nie masz pojęcia, jak niektórzy tęsknią za swoimi zwierzakami. Musiałem odprawić kilka osób, które chciały zlecić mi ich poszukiwanie.

– Czemu odmówiłeś?

– Niby jak miałbym ich szukać? Kogo pytać? No i musiałbym się wybrać za miasto. Jakoś nie mam na to ochoty.

– A moi rodzice? – pytała jak zwykle. – Wiesz coś nowego?

– Przeszukałem okolice Bonarki. Z galerii handlowej zostały zgliszcza. Sam, cholera, pomagałem ją podpalić. Ale samochody zaparkowane naokoło w większości ocalały. Nie znalazłem

wśród nich białej skody. Parking... Nie wygląda to najlepiej. Szukałem wśród szczątków. I też nie znalazłem ani samochodu, ani rejestracji. Rozpuściłem wici wśród ludzi, nawet w Hucie. Na razie nie mam żadnych wieści, przykro mi.

– Rozumiem. Szanse, że ocaleli... są małe. Ale jeśli przestanę próbować, to będzie jak zdrada.

– Szukam ich, Kaśka. Pamiętam o tej sprawie.

– Dziękuję.

Przysiedli na krawężniku, czekając na informacje i decyzję rady. Rafał zerkał przez ramię na szkielety leżące ledwie parę metrów za jego plecami. Kaśce zdawały się one nie przeszkadzać. Opowiadała o zapasach żywności i planach na zimę. Jej stary kumpel Maciek, z którym się o coś – Rafał nie wiedział o co – poróżnili, okazał się jednym z głównych mózgowców. Zalecał zwiększenie kontaktów z dorosłymi, nawiązanie stosunków handlowych przynajmniej ze Strażnikami. Twierdził, że bez tego mogą nie przetrwać zimy.

Na razie niewielu chciało go słuchać. Trauma wciąż była zbyt duża.

– No i ciągle większość z nas wierzy, że nie wyzdrowieliście do końca.

– Nadal? Po tylu tygodniach spokoju?

– Nadal. Sądzymy, że w każdej chwili możecie ponownie oszaleć. Niektórzy chyba nawet tego oczekują, wręcz chcieliby, żeby tak się stało.

– Wariactwo!

– Wcale nie. Umiemy się przed wami obronić. A w dodatku znowu walczylibyście między sobą. Gdybyście wzajemnie się pozabijali, Kraków stałby się dla nas bezpieczniejszy. A wasze zapasy należałyby do nas.

Trudno było słuchać czegoś takiego z ust dziecka. Zdradliwa wyobraźnia podsuwała mu paskudne obrazy. Przez chwilę zamiast Kaśki widział swoją córkę, równie spokojnym tonem tłumaczącą mu, że najlepiej by było, gdyby pozabijali się nawzajem z mamusią, żeby mogła wreszcie przestać się ich bać.

– Wierzysz w to? – zapytał ochrypłym głosem. – W te brednie?

– Ja cię lubię. Ale nie wszyscy myślą tak jak ja. Wy, dorośli, macie szczęście, że nic nie pamiętacie. Nie masz pojęcia, jak to jest codziennie bać się, że dorośli dopadną cię, rozerwą na strzępy, może pożrą. My pamiętamy was ogarniętych szaleństwami, dzikich, wstrętnych. I tak nieludzkich. Najgorsza była ta cisza!

Prawda, mówiła mu, że większość polowała w ciszy. Trudno było mu to zrozumieć. Sądził, że furia musi wiązać się z wrzaskiem.

Podobno z nim tak właśnie było. Krzyczał, zagryzał wargi do krwi, toczył pianę z ust.

Miała rację. Dobrze, że tego nie pamiętał.

– Jest taka dziewczyna, Julia. Totalnie wyobcowana. Przyjechała akurat z Warszawy, gdy wszystko się zaczęło...

– Jej rodzice musieli być niezłymi świrusami.

– Żebyś wiedział! Uciekli do Krakowa, bo to święte miasto papieża. Uważali, że tu zaraza diabła, jak nazywali gorączkę, nie dotrze. No i została sama, nikogo z naszych nie zna.

– Jak w ogóle przeżyła?

– Cudem. – Kaśka zachichotała. – Masz pojęcie? Cud ją uratował. Jej starzy zaciągnęli ją na Wawel, bo sądzili, że tu ich uchronią święci. I dzwon Zygmunta. Nawet zadziało. Starzy Julii oszaleli, ale ona schowała się między królewskimi grobami. Więc jakoś tam ją ci święci uratowali. Gdy tu przyszli pierwsi z naszych, to ją znaleźli. No więc ta Julka całkiem od tego wszystkiego zwariowała. Prawie nie wychodzi z katedry. Opowiada, że królowie, wśród których śpi, cały czas do niej mówią. I że świat nie będzie do końca oczyszczony, póki żyją dorośli. Że nadejdzie druga fala, która zmiecie ocalałych. I wtedy nastanie królestwo Boże na Ziemi. A dzieci, czyli niewinni, będą rządzić w tym raj.

– Ktoś jej słucha?

– Paru się znalazło. Niby się z niej naśmiewali, ale jakoś ostatnio przestali. W sumie to powinieneś kibicować Julce i jej kretynom.

– Dlaczego?

– Bo ona uważa, że nie powinniśmy was zabijać. Że to grzech odbierający nam niewinność. Maciek za to nawołuje do... ech, takie durne słowo. Jakby džihad, ale nie muzułmański.

– Może krucjata?

– Właśnie to. Maciek uważa, że powinniśmy was wszystkich pozabijać. Bo inaczej wy pozabijacie nas.

- Twój były to niezgorszy świr.
- No! – Szturchnęła go. – Żaden mój były! Błeee... Chyba bym się zabiła, gdyby do mnie teraz startował. Albo zabiłabym jego.
- Mrugnęła do Rafała. – Moim zdaniem on w ten sposób leczy swoje kompleksy.
- Kompleksy?
- No przecież mówiłam ci już kiedyś, że prawie nie walczył. Raz, gdy miał okazję, to uciekł, tchórz. A potem też trzymał się na uboczu. Nie wiem, czy kogoś w ogóle zabił. To teraz mu głupio.
- Jezu, Kaśka...
- Co: jezukaśka? Co cię znowu ruszyło?
- To straszne słuchać, jak dziecko mówi, że innemu dzieciakowi jest głupio, bo nikogo nie zabił!
- Miękki jesteś. Jakbym nie widziała, jak... – Urwała. Odwróciła wzrok. – Nie ma już dzieci, ty mój przyszywany wujku. Ojcie krwiochrzestny.
- Nie znoszę tego przezwiska.
- Powinieneś je kochać, bo ja ci je nadałam. I jest prawdziwe. Przełałeś za mnie krew. Już mnie prawie zabili. To tak, jakbyś pomógł mi urodzić się na nowo. Nie ma już dzieci, Rafał. Musisz to zrozumieć. Są tylko zarażeni, którzy znowu mogą oszaleć, i my, nietknięci. Duży i mali, zdrowi i chorzy, ale wszyscy mordercy.

L U C Y N A

Chciała śledzić Rafała i małą ukradkiem. Wyprzedzić ich dopiero wtedy, gdy upewni się, że faktycznie wracają do domu po rowery. Choć jednak ukrywała się w bramie hotelu, ta dziewczynka od razu ją wypatrzyła. Wskazała budynek Rafałowi, coś do niego powiedziała. Skrzywił się, a potem zawołał na Lucynę, żeby już się nie wygłupiała, tylko przyszła do nich, głupia kretynka.

– Następnym razem zwiążę cię i zaknebluję – ofuknął ją. – Przywiążę do pieprzonego kaloryfera. Coś ty sobie myślała? Mogłaś zawalić całą misję!

Nie zwracała na niego uwagi. Nie mogła oderwać oczu od jaśniejącej dziewczynki. Co za blask! Co za siła!

Lucyna wciąż nie potrafiła odczytywać z blasków, jakimi darami zostali obdarzeni ich nosiciele. Dostrzegała tylko ich siłę, umiała odróżnić czystość od skażenia – to wszystko.

Dziewczynka też przyglądała się jej uważnie. Przechyliła głowę, zmrużyła oczy. Na krótką chwilę jej blask wzmocił się.

– No, no! – mruknęła.

– Jak mnie wypatrzyliście? – zapytała Lucyna. Sama zdawała sobie sprawę, że mówi zbyt gorączkowo, ale nie była w stanie się opanować. – To ona pokazała ci, gdzie się ukrywam? Jak mnie dojrzałaś, dziecko?

– Nie dziecko, tylko Kaśka – poprawiła ją dziewczyna. – I nie ja, tylko chłopaki na murach. Nie ma chwili, żeby ktoś nie obserwował okolicy. Od razu cię zobaczyli. Mieli niezłą bekę z tego twojego chowania się.

– I nie zabili mnie?

– Za daleko na dobry strzał. No i nie przekroczyłaś granicy. To ty szukasz siostry, tak?

Iza! Z wrażenia Lucyna prawie zapomniała o Izie. A przecież mało o kim myślała przez ostatnie tygodnie tyle, co o niej. Tęskniła za młodszą siostrą, którą kiedyś traktowała jak własne dziecko. Lucyna więcej czasu poświęcała małej niż jej rodzona matka, wiecznie zapracowana i zabiegana.

– Tak, to ja. Wiecie coś o niej?

– U nas jej nie ma. Ale taki jeden Olek ją kojarzy. Chodzili do tej samej szkoły. Nie kumplowali się, więc jej nie powiedział o Wawelu. Zresztą oboje byli z Biezanowa. Chowałby się w szpitalu, gdyby nie to, że jego starzy chcieli wywieźć go z miasta i utknęli na Salwatorze. To już bliżej miał tu. W każdym razie, jeśli gdzieś się ukrywa, to w szpitalu. Pojedziesz z nami?

– A pozwolisz?

– Ja jestem za. – Kaśka wzruszyła ramionami. – Lubię poznawać ludzi. To Rafał się piekli.

Odsapnął. Chyba odliczył w myślach do dziesięciu, bo przymknął oczy i nie odzywał się przez chwilę. Wreszcie oświadczył, że Lucyna oszukała go i zawiódła jego zaufanie. Że zastanawia się, czy nie rzucić jej zlecenia w cholerę.

– No weź! – stanęła w jej obronie Kaśka. – Szuka siostry! Tu nie ma półśrodków.

– Ale powinny być zasady.

– Nie! – Dziewczyna potrząsnęła żywiłowo głową. – Zasad też nie ma. Siostra to siostra! Odpuść jej i chodźmy. Chcę zobaczyć, jak zmienił się świat.

– Bocznyimi drogami – przypomniał jej. – Niech cię jak najmniej osób zobaczy!

Tu miał rację, nawet Lucyna musiała się z tym zgodzić. Ludziom mogło odbijać na widok dzieci.

Oddalili się od Wawelu i skręcili w ulicę Świętej Agnieszki, a potem Koletek, omijając Krakowską, na której pewnie pętały się patrole Strażników. Dotarli w ten sposób nad Wisłę, zupełnie jak dwie noce wcześniej Lucyna uciekająca przed Maskami. W dzień na szczęście nie było po nich śladu. Ale i tak rozglądała się na wszystkie strony.

– Kogoś szukasz? – zainteresowała się Kaśka.

– Tak się rozglądam...

– Widziała tu stwory z legend – zakpił najwyraźniej ciągle zagniewany Rafał. – Ludzi w maskach.

– Czemu z legend? – zdumiała się Kaśka. – Też ich widzieliśmy.

– Jacy „my”. – Rafał aż się zatrzymał.

– No, my dzieci. Wszyscy. Przychodzą każdej nocy. Są straszni. – Wzdrygnęła się. – Po prostu stoją i gapią się. I co noc ich przybywa. Najpierw był tylko jeden. Prawie nie zwróciliśmy na niego uwagi. Ale następnej nocy przyszło już trzech. Potem kolejni. Ostatniej naliczyliśmy szesnastu.

– Oni naprawdę istnieją?

– Są żywi jak ty i ja. Dorośli ich nie widują?

– Niektórzy... – Rafał obejrzał się na Lucynę. – Ale do tej pory sądziłem, że to miejska legenda. I co, nie strzelacie do nich?

– Trzymają się granic. Na przykład stoją na drugim brzegu Wisły. Albo wchodzą na dachy domów, między innymi tego hotelu, w którym się przed nami chowałeś – zwróciła się do Lucyny. – A może oni tam się lęgną?

– Lęgną? – Lucyna spróbowała się uśmiechnąć. – Mówisz o nich jak o jakichś robakach.

– No, ludzie to to nie są – odparła spokojnie Kaśka. – Żaden człowiek nie wytrzymałby bez ruchu kilku godzin, a oni potrafią tak stać. I uciekają przed słońcem.

– Więc może to wampiry? – szydził Rafał.

– Może i wampiry. – Dziewczyna potraktowała jego słowa poważnie. – Wam się zdaje, że gorączka to była taka zwyczajna choroba. A my wiemy, że ona was przemieniała. Różne rzeczy widać z Wawelu.

Rafał tylko potrząsnął po swojemu głową z niedowierzaniem i przyspieszył kroku. Kaśka niespodziewanie wyszczerzyła się do Lucyny i mrugnęła do niej. Zaraz jednak podbiegła do Rafała i chwyciła go pod rękę.

Lucyna nie miała wątpliwości, co znaczył ten drugi gest. Mrugnięcie mogło świadczyć o jakimś rodzaju porozumienia między kobietami. Ale Rafał, zdaniem dziewczyny, należał tylko do niej.

Nie szkodzi. Dla Lucyny Rafał przestał się już właściwie liczyć. Jej cały świat wywrócił się do góry nogami za sprawą Kaśki.

Zgadzała się z małą co do podstaw. Gorączka przemieniła ludzi. To po niej u niektórych pojawił się blask, jaki dostrzegała. Także ona otrzymała swój dar po berserku. Może to wszystko nie było więc szaleństwem, lecz okresem dojrzewania? Biologicznym przepoczwarzeniem się, ekspresową ewolucją, która miała pewne paskudne skutki uboczne?

Do tej pory teorie snute przez Lucynę koncentrowały się na takich przypuszczeniach i z grubsza pasowały do siebie.

Kaśka stanowiła problem.

Bo przecież dzieci nie zachorowały.

Rozdział 15

K R U C H Y

– To ten facet od dzieci? – powtórzył Pawełek, obserwując odchodzącą parę. – Niezłą dupę sobie na to poderwał.

– Dla mnie za chuda – ocenił Ochota. – Złapać nie ma za co.

– Ale oczy ma fajne, duże.

– Lubię, jak co innego mają duże – roześmiał się Ochota. – Ty, myślisz, że dlaczego gówniarze go nie zabijają?

– Bo ja wiem?

– Podobno uratował jedno z nich – wyjaśnił Kruchy. – Tak słyszałem. Że ocknął się jakoś wcześniej. I zabił opętanych, którzy próbowali ją dorwać.

– Jeden facet zabił kilku opętanych? – zdumiał się Pawełek. – Pachnie mi to ściemą. Jak żeśmy przyłapali jednego, co się ostał i nie chciał wyzdrowieć, to pięciu chłopów z trudem sobie z nim poradziło. Skurwiel nie czuł bólu. Kul nie czuł. Wpakowałem w niego pół magazynka, a on ciągle biegł.

– Może miał spluwę? – zastanawiał się Ochota. – Ten od dzieci.

– Zaraz po tym, jak się ocknął? Niby skąd?

– Może to był za życia policjant albo żołnierz? Spluwę miał normalnie, w kaburze. Ocknął się, zobaczył potwory i je zastrzelił.

– To nawet prawdopodobne. – Pawełek poskrobał się brudnymi paluchami po czole. – Ale nadal cuchnie ściemą. Jak dla mnie, ma z nimi jakiś układ. Może tam siedzi jakieś jego dziecko?

Kruchy zwrócił uwagę na co innego.

– Ochota! – warknął. – Coś ty powiedział?

– No, że ten facet mógł być... – Urwał. – Aha. – Sapnął. – Kurde, przepraszam. Tak jakoś samo się...

– „Samo się”! – przedrzeźniał go Kruchy, wykrzywając się wściekle. Musiał zadzierać głowę w górę, by patrzeć znacznie wyżej od siebie żołnierzowi prosto w oczy, ale to tamten cofał się przed nim. – O to, kurwa, chodzi, że wam się to „samo” mówi! To znaczy, że tak myślicie! Wiesz, Ochota, jak by się skończyło, gdyby to Kapitan cię usłyszał?

– Karcer? – Strażnik przełknął ślinę. Zbladł.

– Karcer! – zakpił Kruchy. – Myślisz, że wykręciłbyś się karcerem? Jasne, posiedziałbyś z tydzień o chlebie i wodzie. Ale najpierw chłosta.

– Stary jest ostry – poparł przełożonego Pawełek. Kapral rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, bo odniósł wrażenie, że szeregowiec chce powiedzieć coś jeszcze. Coś, co mogłoby zabrzmieć jak krytyka dowódcy.

– Szefie! – wybełkotał przerażony Ochota. – Ja ostatni raz! Przysięgam! Nigdy więcej!

– Mam nadzieję. – Kruchy stuknął Strażnika palcem w pierś. – Bo jak jeszcze raz usłyszę od kogoś z was to „za życia”, to sam wam nogi z dupy powyrywam!

– Za zwykłe słowa? – spróbował pobuntować się jeszcze trochę Pawełek.

Co wstąpiło dzisiaj w tych dwóch?

– To nie są „zwykłe słowa”! – ryknął na niego Kruchy. Poczł prawdziwą wściekłość. Często nie rozumiał decyzji dowódcy, ale zakaz używania zwrotu „za życia” na określenie tego, co działo się przed gorączką, pojmował aż za dobrze. „Za życia byłem kierowcą ciężarówek, nauczycielem, ślusarzem” – mówił ktoś i wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Ale brzmiało to, jakby życie się skończyło, a oni wszyscy byli już tylko trupami, do których nie dotarło jeszcze, że umarli. Zdaniem Kapitana takie skróty myślowe groziły popadnięciem w kolejny mistycyzm. Kruchy uważał, że wzmagają przygnębienie i mogą zabić Strażników skuteczniej niż kule. – To jest popierdolony sposób myślenia! Żyjemy, do kurwy nędzy! Tu, teraz! To jest nasze „za życia”. Te pieprzone patrole, uprawianie ziemi, budowanie murów. Nawet to pojebane szukanie pojebanego morderczego świra to też jest nasze, kurwa, życie. Zrozumiano?

– Tak jest! – zawołali. Ochota, bo czuł strach, a Pawełek dla świętego spokoju.

– No! Macie jeszcze coś do powiedzenia? Pawełek, chcesz się podzielić jakąś światłą myślą?

Spojrzenia, które wymienili, bardzo nie przypadły Kruchemu do gustu.

– Co jest? – wywarczał.

– Twoja baba mówi, że powinniśmy sobie życie normalizować – bąknął Pawełek. – Że gdy uwierzemy, że wszyscy są naszymi

wrogami, to tak się stanie. Tylko że my wtedy będziemy popieprzeni. Zafiksowani na wojnie. A chowanie się za coraz większymi murami nie ma sensu. Psuje, a nie naprawia.

– Moja baba – westchnął Kruchy – zdechłaby z głodu, gdyby Kapitan siłą nie wyciągnął jej z kościoła. Tak się zaśluchała w brednie głoszone przez Kapitana Jerzego, że przestała od tego jeść. Nie jest głupia. Kurde, sam wiem, że to być może najmądrzejsza baba pod słońcem. Ale baba. I czasem musi popierdolić bez sensu, boby zwariowała. Rozumiecie?

Pokiwali głowami bez przekonania. Krystyna co najmniej raz leczyła bądź zszywała każdego z nich. Zyskiwała sobie coraz większy autorytet, a Kruchy najlepiej ze wszystkich mężczyzn na świecie zdawał sobie sprawę, że co jak co, ale gadać potrafiła. Używała argumentów, do których człowiek nie potrafił się przyczepić, nawet jeśli wszystkie razem wzięte układały się w jakąś dziwną, mętną wizję.

Zresztą o tym, że się z nią nie zgadza, człowiek zaczynał myśleć dopiero wtedy, gdy przestał z nią rozmawiać i otrząsnął się trochę spod jej wpływu.

„Będę musiał z nią poważnie pogadać” – uświadomił sobie Kruchy i ta myśl przygnębiła go bardziej niż konieczność poszukiwania mordercy. „Musi przestać mieszać chłopakom w głowach. Za co ona tak nienawidzi Kapitana?”

Spojrzał na swoich ludzi. Należało spróbować przekonać chociaż ich.

– Krystyna – zaczął – to świetna baba. Bardziej niż sobie wyobrażacie, wy durne sukinsyny. Ale jej się wydaje, że świat

może być lepszy tylko od tego, że zaczniemy się wszyscy trzymać za ręce i pleść wianki z kwiatków. Wyobrażasz sobie siebie w wianku, Ochota?

– No, może Pawełka... – zarechotał Strażnik.

– Nawet Pawełka trudno sobie w nim wyobrazić – ciągnął Kruchy. – Słuchajcie, każdy rozumie, że byłoby fajnie żyć w raju. Żeby nikt nikogo nie prał po gębie, nie było dyscypliny i chłosty. Żebyśmy się wszyscy nawzajem kochali.

– A to byłoby tak źle? – Pawełek spojrzał na niego spode łba. – Ludzie już nie chcą się zabijać. Te chłosty... Kapitan musi je sam wymierzać. I jeszcze zabił Jerzego... Zgoda, Jerzy był pojebany. Ale...

– Idź zaprzyjaźnij się z zabójcą tego kolesia ze Stradomskiej – wyszczerzył się do niego Kruchy. – Poklep go po ramieniu, wytłumacz, że psuje ci wizję pięknego świata. Tak to widzisz? Że gdy go złapiemy, to pójdziemy z nim na wódkę pogadać o starych czasach? A potem przekonasz go, żeby teraz już był grzeczny?

– No nie – bąknął Pawełek. – Wiadomo, że tego skurwiela trzeba usunąć... Jakoś.

– Aha. A kto by miał to zrobić w pięknym świecie, w których wszyscy chodzimy poobwieszani kwiatami? A jak pojawi się następny? Albo jak Nomadom odbije? Albo Pokutnikom? Kto będzie wtedy bronił ludzi? Moja baba?

Pospuszczali głowy.

– Dyscyplina musi być – zakończył Kruchy. – Czyli jak trzeba, to nawet i chłosta. Ile czasu minęło od epidemii szaleństwa?

Trzy miesiące? Niecałe. Kto wie, co będzie dalej. Myśleliście o zimie? Wiecie, tej porze roku, kiedy przestaje być ciepło i żadne zarcie nie rośnie na ulicach? A jeśli jacyś Nomadzi uznają, że przydadzą im się nasze zapasy? Przykro mi, chłopaki, wojsko jest potrzebne. To jak, chcecie pofilozofować, czy idziemy łapać pojeba?

– Łapać pojeba! – zawołali.

– No! – odsapnął. – Zapamiętajcie ten opieprz, żebym nie musiał go powtarzać. A z Krystyną sobie pogadam.

Ruszyli w stronę Wisły. Przy Skawińskiej, w dokładnie splądrowanym już przez Strażników szpitalu mieszkał jeden wariat płaczący się po całym mieście. Gościa napędzała prawdziwa obsesja, jedna z tych, które w dawnych czasach byłyby czymś najnormalniejszym na świecie, a teraz wydawały się dziwactwem. Facet chciał złapać zabójcę swojej żony. Musiał naoglądać się zbyt wielu kryminałów, bo zdjął odciski palców z ciała, które znalazł. I teraz ganiał po mieście ze słoikiem popiołu, częściowo pochodzącego ze skremowanej w końcu małżonki. Kogo dopadł, tego namawiał, by zanurzył palce w tym popiele, a potem odcisnął ich ślady na miękkim, choć grubym papierze, z którego pozszywany był noszony stale przez niego notatnik.

Teraz mógł się przydać. I świr, który znał wielu ludzi w Krakowie, i ten jego notatnik. Kruchy przypomniał sobie o nim niespodziewanie po przebudzeniu tego ranka. Często, gdy się budził, nie wstawał od razu, tylko leżał kilkanaście minut, myśląc o nadchodzącym dniu. Właśnie wtedy, w ciszy i

półmroku, gdy rozgardiasz nie zapanował jeszcze w twierdzy Strażników, a Krycha nie krzątała się po swoim gabinecie, przychodziły mu do głowy najlepsze pomysły.

„Skończyłaś już kroić tego zamordowanego?” – zapytał swoją babę, gdy wreszcie wstała. Krystyna lubiła sobie pospać; gdyby mogła, nie ruszałaby się z łóżka do dziesiątej rano.

„To się nazywa autopsja” – odburknęła. Nowa fucha zdecydowanie nie przypadła jej do gustu. – „Nie, jeszcze nie. Na razie wszystko potwierdza, że to był brutalny atak. Ofierze zadano szereg ran, ale nie wiem, która ostatecznie okazała się śmiertelna. Możliwe, że żył jeszcze, gdy napastnik rozpoczął konsumpcję”.

„Żył, gdy ten świr zjadał mu mózg? To w ogóle możliwe?”

„Źle się wyraziłam. Mózg nie, choć teoretycznie i taka szansa istnieje. No, nie w takich okolicznościach, oczywiście. Ale ten ktoś kąsał go po głowie, obgryzał ją do kości. Wtedy jeszcze żył”.

„Dobra, zresztą nie o to chodzi. Myślisz, że moglibyśmy zdjąć z ciała odciski palców?”

„Po co? I tak nie masz ich z czym porównać. Bazy danych policji też były elektroniczne. Chociaż... W sumie może gromadzili je na stary sposób? Chyba nie, skoro w biurze paszportowym robili to elektronicznie...”

„Po pierwsze, chcę w razie czego mieć dowód” – przerwał jej. – „Po drugie, istnieje zbiór odcisków palców ocalałych. Więc dasz radę, czy nie?”

„Istnieje zbiór?” – Poparzyła na niego zdumiona i chyba przestraszona. – „Chcesz powiedzieć, że Kapitan posunął się do tego, że...”

„Nie Kapitan”. – Był już zmęczony jej obsesją. – „Taki jeden wariat. Ściągaj z trupa odciski, a ja spróbuję zdobyć tę bazę”.

„Będzie ich tam trochę” – ostrzegła go. – „Twoje, moje... Kapitana...”

„I kogoś obcego. Zabójcy. Chcę je mieć”.

Przed szpitalem zatrzymali się na chwilę. Nikomu nie spieszyło się z wchodzeniem do środka. Choć setki tysięcy ludzi ginęły na ulicach Krakowa, to właśnie szpitale okazały się najpaskudniejszymi miejscami. Zgromadzeni w nich pacjenci tak samo zapadali na gorączkę jak inni. Spośród wszystkich zarazonych to oni musieli w największym stopniu przypominać zombi z filmów. Powolni, czasem przywiązani do łóżek, a czasem ciągnący za sobą kroplówki, a nawet urządzenia, do których bywali podłączeni. Najślabsi ginęli w łóżkach. Innych zmieniony w bestie personel szpitali ganiał po korytarzach, mordował na salach operacyjnych.

Wprawdzie ciała wnoszono i ze szpitali, by wrzucać je na stosy, ale nikt nie przejmował się ich sprzątnięciem po tym, jak zostały już splądrowane. Toteż wszędzie widać było tu zaschnięte plamy krwi. Gdzieś dało się dostrzec przegapiony przez czyścicieli i pozyskiwaczy skalp, kawałek oderwanej skóry, a nawet resztki gnijących strzępów mięsa.

– Szpitale zawsze mnie przygnębiały. – Pawełek splunął na schody. – A teraz są jeszcze gorsze.

Kruchemu także nie chciało się wchodzić do środka.

– Leszek! – zawołał, przykładając dłoń do ust. – Leszeeeeek!
Jesteś tam?

Nikt nie odpowiedział.

– Przyprowadziłem ci chłopaków do testu! Leszek!

Odwrócił się do podwładnych.

– Może spać i nie słyszeć. Spróbujemy jeszcze raz, na trzy:
Leszeeeeek! Co się głupio szczerzysz, Ochota?

– Bo przypomniało mi się z dzieciństwa, jak żeśmy całą zgrają
dzieciaków stawali pod oknami i wrzeszczeli: „Mamo!”.

– I co, wszystkie matki wystawiały głowy przez okna? –
przypomniał sobie Kruchy.

– Tak było.

– Piękne wspomnienie. A teraz przestań się chichrać i
wrzeszcz razem z nami.

Nikt nie zareagował. Albo na całej ulicy znajdowała się tylko
ich trójka, albo Leszek wolał się z nimi nie widzieć.

– No trudno – skapitulował Kruchy. – Poszukamy gnoja.
Rozdzielimy się. Ochota, bierzesz parter głównego budynku.
Jak skończysz, wracasz tutaj i pilnujesz, czy ktoś nie wychodzi.
Pawełek, do ciebie należy tamto skrzydło – wskazał
dysponujący osobnym wejściem budynek po prawej. – Ja biorę
piętra głównego gmachu. Zaglątajcie nawet do kibli i pod
łóżka. Przeglądajcie grube zeszyty, może zostawił tu swoją
kolekcję odcisków.

– Wątpię – mruknął Pawełek, który znał obłąkańca.

– Ja też. Ale sprawdzić trzeba.

– A jak go nie znajdziemy?
– To jeden z nas grzecznie tu na niego poczeka. No, do roboty!
– Rozdzielamy się! – mruzczał ponuro Ochota, ostrożnie przestępując próg szpitala. – Tak się to zaczyna w każdym horrorze!

KAROL

Przeglądał meldunki, aż rozboleła go od tego głowa. Michał – gryziپیórek, który chciał być dziennikarzem – przyglądał mu się ze współczuciem. Za to Ewa, była księgową, tylko dokładała mu kolejne tony papieru na biurko.

– Zużycie wody – meldowała. – Zużywamy więcej, niż pozyskujemy. Proszę. Wszystko widać w tej tabelce. Jasno i wyraźnie.

– Tabelki! – jęknął. – Boże drogi, a myślałem, że skoro zdechła elektronika, uwolniłem się od Excela!

– Nie uwolnił się pan. Stracił pan znakomite narzędzie.

– Ewa kochała Excela – roześmiał się Michał. – Tęskni za nim bardziej niż za telewizją. A właśnie, skoro już o tym mowa. Świat się trochę normalizuje. Nie sądzi pan, Kapitanie, że wobec tego...

– Nie – warknął. – Nie uruchomimy gazety.

– Chyba nie boi się pan wolnej prasy?

– Boję się straty czasu i energii. – Karol spojrział na chłystka surowo. Skąd wziął się w nim ten opór? Ostatnio wszyscy robili się beczelniejsi. Dyscyplina topniała niemal w oczach. Czy

powinien skazać kogoś na chłostę dla podniesienia morale? Nie był pewien, czy ten sposób jeszcze działał.

Co gorsza, mniej go to w tej chwili interesowało. Wcześniej cieszył się z niemal całkowitej utraty emocji po gorączce. Teraz zastanawiał się, czy nie traci w ten sposób nie tylko kontaktu z pewnym aspektem rzeczywistości, ale też czy nie zaczyna mu brakować powodów, by jeszcze się starać. Czy tak wiele by się zmieniło, gdyby któregoś dnia spakował się i odszedł w dal? Zapewne sporo, Strażnicy potrzebowali przywódcy. Ale czy ich los naprawdę go obchodził? Starał się ich zorganizować, ponieważ wydawało mu się, że oferuje im najlepszą możliwą przyszłość w danych okolicznościach. Dokonywał trudnych wyborów i wcielał w życie czasem nieprzyjemne plany, bo uważał, że tak trzeba.

Ale to wszystko nie przynosiło mu radości ani satysfakcji.

„Jestem zmęczony” – uznał. – „To po prostu zmęczenie”.

Trudno mu było odpoczywać, skoro unikał snu. A spać nie chciał, gdyż ostatnią emocją, jaka mu pozostała, był strach. Strach przed własnymi snami.

Teraz był już pewien, że gdy tylko zasypiał, powracały do niego wspomnienia z czasów szaleństwa. Kiedy wydawało mu się, że dotarł w koszmarach do końca, do miejsca, w którym się budził, cykl rozpoczynał się od początku. Znowu biegał tymi samymi ulicami Krakowa, polując na te same ofiary i uciekając przed tymi samymi wrogami.

Czy sny mogły oznaczać, że opętanie powracało do niego? A może nigdy nie odeszło? Żałował, że nie ufał nikomu na tyle, by

porozmawiać o swoich obawach. Czy inni cierpieli na takie same przypadłości? Jeśli tak, wiedzę o nich, podobnie jak on, zatrzymywali dla siebie.

Lepiej skupić się na problemach możliwych do rozwiązania. Woda. To akurat proste. Trzeba zbadać kolejne studnie, a równocześnie innej ekipie zlecić zbudowanie lepszych filtrów, dzięki którym mogliby używać wody czerpanej z Wisły. Niech mózgowcy Strażników zrobią wreszcie użytek z wiedzy pozyskiwanej w archiwach Politechniki Krakowskiej i AGH.

Zerknął na zegarek. Nie miał już czasu na zajmowanie się tabelkami. Był umówiony na mały spacer z sierżantem Ochłapem i jego ludźmi.

Ochłap i trzech szeregowców tworzyli jego grupę do zadań specjalnych. To oni poturbowali kiedyś wiernych Jerzego i to Ochłap umieścił głowę dawnego dowódcy na dachu kościoła. Karol nie lubił ponurego, skłonnego do okrucieństwa sierżanta, ale doceniał jego wyzwolenie się spod mocy wyrzutów sumienia. Jeśli trzeba było zachować się nieco brutalniej, Ochłap i jego chłopcy okazywali się nieocenieni.

W drodze na plac wpadł na porucznika.

– Słuchaj, trzeba powrócić do programu badania studni. Zbierz grupę – polecił mu. – I wyślij posłańca do naszych mózgowców... Gdzie teraz siedzą?

– Przy Alejach Trzech Wieszców, na AGH-u.

– Doskonale. Mają do końca tygodnia dostarczyć nam więcej filtrów wody.

– Tak jest. Kapitanie...

- Coś nie tak? Co się stało? Wyglądasz niewyraźnie.
- Mówi się, że szykuje pan akcję przeciw Pokutnikom.
- Kto konkretnie mówi?
- Lekarka. Spowiadała się u Kardynała. I zdaje się, że on też trochę się jej wypowiadał.
- Idę do Pokutników z wizytą, to fakt. Muszę z nimi ustalić parę rzeczy.
- I zabiera pan Ochłapa i jego ludzi?
- To jakiś problem, poruczniku?
- Ochłap nie jest typem negocjatora.
- Nie. – Karol spojrzał na podwładnego zimno. – Proszę przejść do rzeczy. Masz jakieś obiekcje?
- Część z naszych ludzi jest wierząca. Nie tylko ci, którzy słuchali Kapitana Jerzego, ale i inni. Pacyfikowanie Pokutników może im się nie spodobać.
- Nikogo nie zamierzam pacyfikować, poruczniku. Poniekąd wręcz przeciwnie. Ci ludzie... Pokutnicy są w niebezpieczeństwie. Podobno. Muszę to sprawdzić. I tak, Ochłap to brutal, ale może się okazać, że jego umiejętności będą potrzebne. Coś jeszcze, czy mam też wytłumaczyć się z potrzeby poszukiwania studni?
- Nie, to wszystko, Kapitanie. Dziękuję. – Porucznik usunął mu się z drogi.

Stanowczo będzie trzeba zrobić coś z dyscypliną, uznał Karol. Jeśli nawet jego zastępca tak się zachowuje, to znaczy, że wśród Strażników nastąpiło zdumiewające rozprężenie. Czy Kapitan będzie się teraz musiał tłumaczyć ze swoich decyzji

przed każdym szeregowcem? Jerzy próbował tego sposobu i całkowicie stracili do niego szacunek.

Trzeba będzie zarządzić jakieś ćwiczenie. Albo zagnać więcej ludzi do pracy i do ścigania tego ghula, czy kim tam był ten morderca ludojad. Jak urobią się po łokcie przy zrywaniu asfaltu i ganiu cieni w mieście, nie będą mieli ani sił, ani czasu na myślenie o głupotach i kwestionowanie rozkazów.

Ochłap na widok Kapitana wyprężył się jak struna. Zasalutował. Jego małe chytre oczka pozostały jednak pełne złośliwości. Karol zdawał sobie sprawę, że tamten nie wybaczył mu chłosty. Szanował jednak autorytet dowódcy, nawet jeśli w duchu przeklinał go.

– Pokutnicy, o ile wiem, siedzą w kościołach: Świętej Katarzyny, Nawrócenia Świętego Pawła i Świętego Józefa. Ten ostatni jest za Wisłą, więc na razie go pominiemy. Pójdziemy do Katarzyny, porozmawiamy sobie z ich proboszczem. Potem być może odwiedzimy Pawła i tam powtórzmy rozmowę. Pytania?

– Na co mamy się szykować? – zapytał Ochłap.

– Być może kogoś aresztujemy.

– Z panem jest nas czterech. To wystarczy?

– O ile wiem, Pokutni przemocy używają wyłącznie wobec siebie. Więc chyba tak. Macie pałki, w razie czego ich użyjecie. Ale tylko na mój rozkaz. Zrozumiano?

– Tak jest!

Ulicą Bożego Ciała przeszli ku ulicy Świętego Józefa, tam skręcili w Krakowską. Przy Józefa jakiś mężczyzna przyglądał

im się z okna niegdysiejszej knajpy, jakich dawniej pełen był Kazimierz. Przypatrując mu się, Karol zastanawiał się, czy w Krakowie starczyłoby obecnie ludzi na wypełnienie choćby tej niewielkiej dzielnicy. Mężczyzna z okna pomachał do niego, a Karol po chwili wahania odpowiedział na pozdrowienie.

Krakowską u wylotu Józefa tarasował jeden z tych wielkich nowoczesnych tramwajów, podobno wyprodukowanych specjalnie dla Krakowa. Był jednym z największych, o ile nie największym takim pojazdem w Polsce. Jego przód sięgał teraz prawie do skrzyżowania z ulicą Dietla, podczas gdy tył nie opuścił jeszcze do końca przystanku przy Krakowskiej. Przewrócony na bok wyglądał jak wieloryb wyrzucony na brzeg – ogromny, ciągle trochę majestatyczny, ale bezradny.

Wnętrze tego cywilizacyjnego cudu ociekało krwią. Trudno o brutalniejsze walki niż te, które rozgrywały się w zamkniętych tramwajach, gdy ludzie wpadali w nich w szal w godzinach szczytu. Nawet takie monstra jak tramwaj „Krakowiak” bywały wypełnione pasażerami niemal po same brzegi. Kiedy w jednej chwili wszyscy zmienili się w opętane furia bestie, jatka była szczególnie krwawa.

Pasażerowie tego tramwaju dosłownie się pozagryzali, w tłoku zęby okazały się najdoskonalszą bronią. Nie ocalał nikt, drzwi pozostały zamknięte do końca. Żeby wydobyć zwłoki, Strażnicy musieli wybijać okna. Rozważali pozostawienie ich w środku i podpalenie pojazdu, ale zrezygnowali z obawy, że mogłyby zająć się od niego ciasno przylegające do ulicy kamienice.

W tamtych czasach, zaledwie niespełna trzy miesiące temu, przejmowali się takimi sprawami. Teraz Karol sądził, że nawet gdyby całe miasto poszło z dymem, nie byłaby to wielka strata. Może nawet tak byłoby lepiej? Ludzie otrząsnęliby się z niemocy, musieliby skupić się na walce o przetrwanie.

Kapitan przypomniał sobie, że był kiedyś taki cesarz, który spalił Rzym, by wznieść nowocześniejsze i piękniejsze miasto. Może to nie był wcale głupi pomysł? Jeśli ludzie będą skazani na życie w cieniu ruin upadłej cywilizacji, skąd znajdą siły na stworzenie czegoś nowego? Zresztą te wszystkie opustoszałe budynki sprawiały przygnębiające wrażenie. Gdyby spalić je do cna, może wyrosłyby tu sady i pola?

Zbliżając się do kościoła Świętej Katarzyny, Karol pomyślał, że i drugi element planu Nerona przypadłby mu do gustu. Najpierw spalić miasto, a potem obarczyć odpowiedzialnością za to chrześcijan. Oto proste rozwiązanie dwóch problemów jednocześnie.

Tyle że jego celem było ocalenie tych ludzi. W każdym razie większości z nich. Bo Kardynał niestety miał rację. Ludzie stali się cennym zasobem.

Rozdział 16

R A F A Ł

Ucieszył się, gdy nie zastał na miejscu Tomasza z Sylwią. Nie wiedział, dokąd poszli. Po kolejne zachomikowane gdzieś zapasy? Do Strażników, żeby wpisać Sylwią na listę ich pomocników? Wszystko jedno, grunt, że nie było ich, kiedy przyprowadził Kaśkę. Rafał wolał, by spotykało ją jak najmniej dorosłych. Zdarzało im się dziwnie reagować na dzieci.

Zaprowadził Kaśkę z Lucyną do mieszkania, a sam zszedł do piwnicy, w której korytarzach przechowywali rowery. Znosili je tam po każdej wyprawie, choć równie dobrze mogli po prostu zostawiać je na klatce schodowej. Mało prawdopodobne, by ktoś je ukradł, a byłoby mniej zachodu z taszczeniem ich tam i z powrotem. Jednak ukrywanie rowerów w piwnicy, a nawet przypinanie ich łańcuchami do rur i poręczy stanowiło reliktdawnych czasów, przyzwyczajenie z poprzedniego życia. Kradzieże rowerów były wtedy na porządku dziennym. Teraz nie chodziło już o to, by chronić sprzęt, który był znacznie mniej cenny po gorączce – dostępnych w Krakowie rowerów przetrwało znacznie więcej niż ludzi, którzy mogliby ich używać. Nie, ważne było kultywowanie choćby szczątkowych

dawnych zachowań. Nawet jeśli dziś miały być tylko pustymi rytuałami.

Dlatego rowery lądowały w piwnicach, a Tomasz każdego dnia uparcie odrywał kartkę z kalendarza wiszącego w kuchni. Zapowiadał, że na Wszystkich Świętych wybierze się na groby bliskich, w Wigilię natomiast wykombinuje skądś choinkę. Najchętniej jednak przestrzegał wolnych niedziel, podczas których zamykał się w swoim mieszkaniu i spędzał dwanaście godzin wyłącznie na odpoczynaniu.

Rafał wyniósł dwa rowery i zawahał się. Co teraz? Lucyna będzie się pewnie upierała, żeby jechać z nimi. Mógłby po prostu zamknąć przed nią piwnicę, ale wiele by to nie zmieniło. Znała cel ich podróży, a wystarczyłoby jej przejść kilkadziesiąt metrów, by natknąć się na warsztat rowerowy, w którym wciąż można było znaleźć kilka bicykli nadających się do użytku. Niezbyt mu się podobało jej towarzystwo, jak zwykle jednak uznał, że woli trochę odpuścić, byle tylko uniknąć sporu.

Tomasz wyśmiewał tę jego cechę, nazywał Rafała durnym pacyfistą. „Kiedyś będziesz musiał zacząć stawiać na swoim – irytował się. – A nawet bić się o swoje”.

Miał rację. Rafał nie żywił złudzeń co do ludzkiej natury. Ale starał się odwlekać walkę tak długo, jak to tylko możliwe, gasić konflikty w zarodku, nawet jeśli oznaczało to ustępstwa z jego strony. Dlatego wyniósł z piwnicy i trzeci rower.

Ledwie wyszedł przed blok, zobaczył Adama i Jacka w towarzystwie ich kobiet. Mężczyźni przyglądali się rowerom, Adam sprawdzał naciągnięcie ich łańcuchów. Kobiety – drobna

Jadźka, brunetka ledwie po trzydziestce, i zbudowana jak modelka Kama o platynowych włosach – trzymały się nieco z boku.

– Jest – oznajmiła Jadźka. – Przyszedł!

Rafał odstawił powoli rower, oparł go o ścianę budynku.

– Witajcie – powiedział celowo cicho, pojednawczym tonem. – Macie coś do mnie?

– Ładne rowery – pochwalił Adam, wyprostowując się. – Zadbane. Łańcuchy naoliwione, amortyzatory też. Chyba macie niezłe zapasy smarów, co?

– Zaopatrzyliśmy się.

– W tym rzecz. – Adam uśmiechnął się, mrugnął do Jacka, a ten odpowiedział mu prędkim, nerwowym uśmiechem. – W tym rzecz, sąsiedzie, że jesteście świetnie zaopatrzeni. We wszystko. Gdybym przejrzał wasze zapasy, pewnie znalazłbym tam szpej na każdą okazję, co? Ani potop, ani deszcz meteorów, ani nawet inwazja Marsjan by was nie zaskoczyły, nie?

– Sklepy ciągle są pełne towarów, sąsiedzie. Żyjemy w czasach obfitości. Ludzie wynosili przede wszystkim jedzenie. Narzędzia, smary, części zapasowe... tego ciągle jest w bród. Nawet w warsztacie naprzeciwko Korony znajdziesz wszystko, czego ci potrzeba.

– Taaa... To prawda. Nie, dziewczyny? – Adam obejrzał się na kobiety, a te pokiwały energicznie głowami. Uśmiechały się, ale Rafałowi nie podobały się ich spojrzenia. Dostrzegał w nich niepokojące, drapieżne oczekiwanie. Laski wydawały się żądne

sukcesu swoich mężczyzn. Jakiegoś ich czynu, który mógłby upewnić je, że wybrały dobrze.

A że Adam i Jacek też musieli zdawać sobie z tego sprawę, w każdej chwili mogło zrobić się nieprzyjemnie.

– To wszystko prawda, sąsiedzie – powtórzył Adam, tym razem zwracając się do Rafała. Podszedł do niego dwoma szybkimi krokami, by spojrzeć mu prosto w oczy z bliska. – Nic do ciebie nie mam, Rafał. Rozumiesz? Chcę, żebyś to wiedział. Ty jesteś w porządku.

„W porządku” zdaniem tego samozwańczego samca alfa oznaczało zapewne: „gotów, żeby mi się podporządkować”.

– Powstaje zatem pytanie. – Rafał wciąż mówił spokojnie, gotów był jednak na konfrontację. Może właśnie nadchodził ten moment, w którym czas kompromisów i ustępstw dobiega końca? – Kto według ciebie nie jest w porządku?

– To chyba oczywiste, nie? – Adam wyszczerzył się i oparł dłoń na ramieniu Rafała. – Widzisz, stary, nie chodzi o to, że wyście się zabezpieczyli lepiej niż inni, choć wielu ludziom nie podoba się wasz sposób myślenia. Nie. Ale jeden z was się z tym obnosi. Jakby był lepszy od innych. To nie jest fajne, stary.

– I jeszcze sprowadził sobie jakąś zadzierającą nosa sikse! – prychnęła Kama.

– Spokojnie, dziecinko. – Adam, nie odwracając się, uniósł dłoń, by uciszyć kobietę. Drugą rękę wciąż opierał na ramieniu Rafała. Mrugnął do niego. – Rozumiesz, stary, jakie są te laski. Pojawi się jakaś lepsza dupa w okolicy, to od razu robią się zazdrosne. Ale, widzisz, przyszło mi do głowy, że to też jest coś,

o czym warto by porozmawiać. Bo czasy się zmieniły. Nie musimy już żyć według starych zasad. I ja na przykład nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś czasem stuknął sobie Jadźkę, jak ci przyjdzie na to ochota...

Za jego plecami Jacek przestał się uśmiechać. Poblądł. Gdy uświadomił sobie, że Rafał patrzył i na niego, znów się uśmiechnął, jeszcze krzywiej i sztuczniej niż poprzednio.

– ... albo nawet Kamę, gdyby i ona miała ochotę – kontynuował Adam. – A myślisz, że Tomasz by się podzielił z nami swoją dupą? Raczej nie. – Pokręcił smutno głową. – Prawda? On nie chce się dzielić. On chce się wywyższać. Wszyscy tak uważają. Ciebie lubią. Ale Tomasz...

– Wszyscy, czyli kto? Wasza czwórka?

– A skąd! To znaczy my też. Ale rozmawialiśmy i z Bożeną z białej kamienicy, i z tymi młodymi z kościelnych domów, z Mirkiem i Justyną znaczy. Ze wszystkimi, którzy tu mieszkają. W sumie dziewięć osób. I nikt nie lubi Tomasza, chłopie. To poważniejsze, niż myślisz.

– Rozumiem. Pogadam z nim.

– Nie. – Adam westchnął ciężko. – Myślisz, że nie próbowaliśmy? Ale on w ogóle nie chce gadać z takimi jak my. Ma nas za gorszych. Czas rozmów minął. Społeczność – zaakcentował to słowo – podjęła decyzję.

– Społeczność? – powtórzył Rafał, przetykając ślinę. Nacisk na jego ramieniu nagle się wzmógł. To już nie była dłoń, lecz zaciskająca się pięść. – Mamy jakąś społeczność?

– No, mamy. Wspólnotę kamienic. Zawiazaliśmy takie porozumienie, żeby lepiej nam było przetrwać. I na pierwszym zebraniu podjęliśmy decyzję, że czas samolubów minął. Że działamy wspólnie. Więc widzisz, stary, sprawa wygląda tak: albo należysz do wspólnoty, albo idź zamieszkać gdzie indziej.

– Pewnie bez swoich zapasów?

– To byłaby kradzież. Zbrodnia przeciwko wspólnotocie.

– I mamy się z Tomkiem zapisać?

– Nie, sąsiedzie. Ty możesz się zapisać. Tomaszek to już przeszłość.

– To dlatego go tu nie ma? – Rafał zeszywniał. – Wygnaliście go? Co im zrobiliście?

– Po co zaraz te oskarżenia? – Adam przybrał minę skrzywdzonej niewinności. – No nie, widzieliście? Ja do człowieka z sercem, a on mnie tak traktuje! Polazł gdzieś z tą swoją dupeczką. Pewnie znowu po jakieś skarby. Tym razem nawet tobie nie powiedział, co? Sam widzisz, jaki z niego numer. Nie masz co nadstawiać karku za takiego gnoja. Decyduj, sąsiedzie. Po której stronie stajesz?

– Teraz?

– Teraz. – Adam przestał się uśmiechać. – Tu nie ma się co zastanawiać. Albo jesteś swojak, albo egoista. Nad tym chyba nie musisz się głowić godzinami, nie? Wiesz, kim jesteś. No więc, sąsiedzie, porządny z ciebie człowiek czy kawał gnoja? Mów!

A zatem do tego doszło. Rafał chciał się cofnąć, odruchowo zwiększyć dystans, choćby po to, by mieć więcej miejsca na

wyprowadzenie ciosu, gdyby zaszła taka konieczność. Czuł, jak wzbiera w nim gniew. Na Adama, na głupich sąsiadów, którym nie chciało się ruszyć z domów i poszabrować na własną rękę, skoro mogli okraść kogoś w pobliżu. A także na siebie i na Tomka za to, że przegapili wcale nie subtelne sygnały zwiastujące nadchodzące zmiany. Adam dojrzał już do przemocy i przekonał innych, że warto postawić na konflikt.

A przecież wszystkiego było w bród. Nie było o co walczyć. O terytorium? Bez względu na to, ilu ludzi przeżyło w Krakowie, każdego było stać na to, by mieszkać choćby i w kilku kamienicach. Nadal nie brakowało jedzenia i sprzętu. Nie licząc kłopotów z wodą, której zdobycie i oczyszczanie wymagało pewnych zabiegów, żyli prawie w raju.

Przesyconym zapachem palonych zwłok, pozbawionym elektryczności i ogrzewania, ale mimo wszystko raju. Nie było tu szefów przekonanych o własnej nieomyślności, deadline'ów, gotówki, której do tej pory zawsze brakowało. Cały świat należał do nich.

A mimo to wyglądało na to, że dojdzie do walki. O jakąś bzdurę. Przez poczucie godności urażone faktem, że ktoś inny szybciej zareagował na zmiany. Albo z powodu durnej ambicji kogoś, kto za wszelką cenę chciał pokazać, że to on tu rządzi.

Rafał zrozumiał, że powody zawsze się znajdują. Mogą pochodzić ze starego albo z nowego świata. Tak naprawdę stanowią tylko preteksty.

Ludzkość omal nie wyrznęła się nawzajem, ale nie zmądrzała od tego. Wystarczyły niecałe trzy miesiące i oto jakiś dureń stał

przed Rafałem, szczerząc groźnie zęby i zaciskając pięść na jego ramieniu.

– Wojna – mruknął Rafał, mając świadomość, że wcale nie jest lepszy od tych palantów. I w nim rozkwitała już złość. Czuł narastający wewnętrzny ogień, a nawet podniecenie. Chciał chwycić tamtego za rękę, wykręcić ją, aż Adam zawyłby z bólu i wylądował na kolanach. Na oczach swojego przydupasa i kobiet. – Wojna nigdy się nie zmienia, prawda? Zawsze chodzi o to samo. O ego.

– Co? – Adam zamrugnął oczami wyraźnie wybity z rytmu. – Co ty pieprzysz? Nie pociskaj mi tu bredni! Nie próbuj się migać. Tak albo nie. Jesteś z nami albo przeciwko nam.

– On mówi, że ma robotę. – Rafał usłyszał głos Lucyny dobiegający zza swoich pleców. Musiała zobaczyć przez okno, co się dzieje i zeszła na dół. Zerknął szybko za siebie. A niech ją! Stała, opierając dłoń na trzonku małej siekiery przywieszanej przy pasie. Odciągnęła połę kurtki, przez co przypominała rewolwerowca szykującego się do strzału. Gorzej, że nie zeszła sama. – Misję. Więc te wasze tańce godowe nie są w tej chwili dla niego najważniejsze. Możecie porównywać długość fiutów innym razem.

Zaskoczyła Adama. Tak bardzo skupiał się na Rafale, że przegapił jej przybycie.

– Kto to jest? – warknął. – Ta baba?

– Adaś! – pisnęła Kama. Oczy otworzyła szeroko, nienaturalnie.

– Oni mają dziecko?

Jadźka tylko krzyknęła głucho. Nawet Jacek zapomniał o tym, że ma się uśmiechać i zabełkotał niewyraźnie.

– Dziecko? – Adam z wrażenia puścił Rafała. Cofnął się. – Dziecko?

Zachwiał się. Chciał minąć Rafała i podejść do dziewczynki przyglądającej mu się zza pleców Lucyny, ale zdołał zrobić tylko pół kroku i znów się cofnął. Powtarzał: „dziecko!”, wyraźnie nie wiedząc, co robić. Rozejrzał się spanikowany, ale żaden z sojuszników nie był zdolny mu pomóc.

– Mam na imię Kaśka – odezwała się dziewczyna.

– Adam – bąknął. – Ja...

Spojrzał na Rafała, nawet u niego szukając wsparcia. Szybko jednak odwrócił wzrok.

– Bardzo ładna z ciebie dziewczynka – wyrzucił z siebie prędko, prawie ze strachem. – Zupełnie jak moja Dorcia. Ja... miałem córkę, trochę starszą od ciebie, wiesz? Pochowaliśmy ją o tam... – Machnął ręką w kierunku Rynku Podgórskiego. Rafał ze zdumieniem zobaczył, że oczy Adama nagle zaślniły łzami. – Ze wszystkimi, na stosie... Ja... Jakbyś czegoś potrzebowała, dziecko, to daj znać. Jezu! – zawył. – Musimy iść, Kasieńko. Mamy takie dorosłe sprawy i... Do widzenia!

Odwrócił się i chwycił za ramię Kamę, by odciągnąć ją pospiesznie. Kobieta chyba po raz pierwszy stawiała mu opór. Szarpnęła się, obejrzała na Kaśkę i uśmiechnęła się do niej najłagodniej i najcieplej jak potrafiła. Rafał nigdy nie widział jej takiej.

Jadźka w ogóle nie ruszała się z miejsca. Zamarła. Nawet powieka jej nie drgnęła, gdy wpatrywała się w Kaśkę. Dopiero ponaglany przez Adama Jacek wyrwał ją z otępienia, wzorem szefa ciągnąc swą kobietę za sobą. Wtedy się ocknęła.

– Przyjdź do nas czasem! – szepnęła.

Rafał nie odzywał się, dopóki cała czwórka nie zniknęła za drugą bramą podwórka, wychodzącą na Rynek Podgórski. Dopiero wtedy odwrócił się do Lucyny i Kaśki.

– Teraz są w szoku. Ale gdy dojdą do siebie, zaczną się nawzajem przekonywać, że Tomek i ja jesteśmy nawet gorsi, niż sądzili. Że nie tylko mamy piwnice pełne skarbów, lecz w dodatku załatwiliśmy sobie dziecko! – oznajmił ze smutkiem, ale i gniewem. – O czym ty myślałaś, sprowadzając ją tu na dół!

– Myślałam, że zaraz dostaniesz po gębie – odpowiedziała, uśmiechając się filuternie. – I że nawet najgorsi dranie czasem odpuszczają, gdy staje przed nimi ktoś czysty i niewinny.

– Czysty i niewinny. – Potarł czoło. Wydało mu się rozpalone, jakby nagle dostał gorączki. – Zakładam, że nie masz na myśli siebie?

– Bardzo śmieszne. Nie. Wiedziałam, że przy dziecku nie zaczną cię bić.

– Bardzo się cieszę, że tym razem to ja mogłam uratować ciebie – oświadczyła Kaśka z taką powagą, że Rafał mógł tylko skinąć głową i podziękować.

„Czysta i niewinna” – dumiał, prowadząc dziewczynkę do młodzieżowej damki, którą zabrał z jednego ze sklepów dwa

tygodnie wcześniej specjalnie dla niej. Ciekawe, czy Lucyna myślałaby tak o Kaście, gdyby wiedziała, że ta należała do czołowych wawelskich wojowników. Że zabijała ludzi, mężczyzn i kobiety, choć jej samej nie ogarnął szal.

A jednak ta sama dziewczyna, która ciskała z wawelskich murów koktajlami Mołotowa, dźgała opętanych włócznią i strzelała z kuszy, na widok roweru wpadła w upojenie typowe dla dzieci zaskoczonych radosną niespodzianką. Płacząc ze szczęścia, rzuciła się Rafałowi na szyję, a potem napatrzyć i nadotykać się nie mogła swojej nowej zabawki.

– Mój! Mój! – powtarzała z zachwytem, przesuwając dłońmi po kierownicy i ramie białego roweru, podszczypując naprężone opony.

A gdy się uspokoiła, zaczęła myśleć jak ktoś, kto przypomniał sobie o odpowiedzialności za społeczność.

– Możesz zorganizować takich więcej? Dla każdego na Wawelu?

– Trochę to potrwa, ale da się zrobić – odparł. – Teraz jednak jedziemy do szpitala. Tylko najpierw zostawię Tomkowi informację, że zaczyna się robić gorąco. Musi być gotów.

– Będziecie walczyć? – zapytała poważnie.

– To możliwe. Tomek nie ustąpi tak łatwo. A i ja dotarłem chyba do punktu, za który nie chcę się cofać.

– Więc tamci mają przerąbane – podsumowała z przekonaniem.

Rafał się roześmiał. Nie rozumiał, skąd brała się ta jej wiara w jego potęgę.

LUCYNA

Coś dziwnego działo się z blaskiem Rafała, gdy stał naprzeciwko tego butnego prymitywa stroszącego piórka przed swoim harem. Ani on, ani jego pomocnik, ani żadna z kobiet nie jaśnieli w oczach Lucyny. Całe szczęście. Ich blaski z pewnością okazałyby się plugawe, a wtedy nie wiadomo, do czego by doszło. Lucyna nie miała pewności, czy zapanowałyby nad sobą.

Światło Rafała intensywniało, w miarę jak w mężczyźnie narastał gniew. Gdy ten cały Adam oparł dłoń na jego ramieniu, w blasku Rafała pojawił się czerwony odcień, jakby ogień zapłonął pośród jasności. Wtedy Lucyna zrozumiała, że musi się wtrącić, nim dojdzie do czegoś naprawdę złego.

Zastanawiała się, czy powiedzieć Rafałowi o blasku. Zdawała sobie sprawę, że tylko ona go dostrzegała. Czy nie wzięłby jej za wariatkę? Niestety wiele wskazywało na to, że należał do tych upartych materialistów, którzy nie przyjmowali do wiadomości żadnych nowych informacji, o ile nie zostały one poparte tomiszczami dowodów.

Z kolei z Kaśką Lucyna nie chciała rozmawiać o blasku. Czuła niepokój, ilekroć dziewczyna spoglądała na nią w ten dziwny, uważny sposób, sugerujący, że może dostrzegać więcej niż ktoś inny. Przez moment Lucyna myślała nawet, że Kaśka też widzi blask. Ale w oczach dziewczynki pojawiły się niepokój i ciekawość, jakby ujrzała coś jeszcze innego. Jakby dowiedziała się o Lucynie rzeczy skrywanych przed światem.

Jakby skradła kobiecie wszystkie jej tajemnice.

Lucyna wsiadła na ofiarowany jej rower trochę przestraszona, że zapomniała już, jak się na nim jeździ. Nawet przed gorączką nie korzystała z rowerów, do głowy by jej to nie przyszło. Uwielbiała prowadzić samochód, najchętniej poza miastem, autostradą, gdy mogła docisnąć gaz i mknąć swoim maleństwem, ile tylko fabryka dała. Nawet miejskie korki męczyły ją mniej, póki opierała dłonie na kierownicy.

A tu proszę, rower. Dwa koła. Z zazdrością przyglądała się Kaśce, która po prostu wskoczyła na siodełko i pognała przed siebie, jakby przez całe życie nie robiła nic innego.

– Pomóc ci? – zaoferował Rafał i Lucynie zrobiło się głupio na myśl, że dostrzegł jej przestkach.

– Dam radę! – Odepchnęła jego dłoń i przygryzła wargi. Usadowiła się na siodełku, oparła stopy na pedałach i ruszyła przed siebie. Początkowo chwiejnie, ale z każdym metrem coraz pewniej. Szybko musiała zatrzymać się, bo trzonek siekiery uderzał ją w uda. Niechętnie wrzuciła broń do plecaczka. Dobrze, że nóż miała wciąż pod ręką, choć też musiała przesunąć go na plecy.

Przejechali przez Rynek Podgórski, mijając ten kościół, który jeszcze w czasach, gdy był podświetlany po zmroku, kojarzył się Lucynie z zamkiem z bajki Disneya, po czym zjechali w Rękawkę. Jak zapewniał Rafał, wąską boczną ulicą jechało się łatwiej i przyjemniej niż jedną z głównych arterii miasta – ulicą Wielicką, ponoć całą pozastawianą porzuconymi samochodami.

I rzeczywiście, niedługo po tym, jak minęli w pełnym pędzie więzienie, za którego murami żyli nieopuszczający go nawet teraz więźniowie, wyjechali na dość szeroką jak na Kraków ulicę i na niej właśnie musieli zwolnić.

Samochód stał tu obok samochodu. Niektóre powpadały na siebie, przegradzając nienaturalnie jezdnię, poobijane i uszkodzone. Te należało omijać szczególnie starannie.

Na Lucynie ta rzeka zastygłych pojazdów zrobiła przygnębiające wrażenie. Porzucone, niechciane cudeńka, które sprawiłyby tyle radości odpowiednim kierowcom, czekały już tylko na śmierć. Może za sto, dwieście lat ludzkość znów rozmnoży się na tyle, by zająć na powrót większość z domów i poodnawiać je. Może nawet przywróci światu elektryczność i drożną kanalizację.

Ale te auta nie doczekają tych szczęśliwych czasów. Przestaną nadawać się do użytku już za parę lat. Deszcze zmienią je w pordzewiałe wraki. Może następne pokolenie uzna je za coś całkowicie bezużytecznego i będzie korzystać z ich pięknie profilowanych karoserii, tnąc je na prymitywne noże? Wyrwie z nich fotele, by ustawiać je w mieszkaniach?

Nagle zapragnęła uruchomić każdy z tych samochodów choćby na chwilę, zaofiarować im możliwość ostatniej jazdy przed śmiercią. Niestety, pewnie życia by jej na to nie starczyło. No i nie dałoby się już jeździć po tej drodze, zmienionej w jedno wielkie, ciągnące się bez końca złomowisko.

Lawirując między wrakami, poruszali się wolno. Nawet zjazd na chodnik nie mógłby im pomóc, bo tam również drogę

blokowały samochody – odrzucone nań bądź pospychane w wyniku kolizji.

– Pieszo nie byłoby szybciej? – zapytała Lucyna, gdy po raz kolejny musiała się zatrzymać, opierając dłoń o bok auta, które właśnie próbowała ominąć.

– Mimo wszystko nie. – Rafał jechał cały czas przed nią. – No i gdy już przejedziesz tędy kilka razy, nauczysz się ścieżek między wrakami. Nikt nie zmienia ich układu. Strażnicy oczyścili trochę Nowohucką, ale tu sobie odpuścili.

Minęli cmentarz i biurowce wzniesione niedługo przed gorączką. Zatrzymali się obok McDonalda, co ponoć należało do tradycji pieszych wędrówek Rafała i Kaśki. Weszli do środka i siedli przy jednym ze stolików, by przy nim zjeść drugie śniadanie. Rafał przeskoczył ladę i ze skrytki na zapleczu przyniósł niewielki grill turystyczny i worek pełen rozpałki.

– Wszystko pochodzi z tej stacji benzynowej obok – z entuzjazmem opowiadała Lucynie Kaśka. – Znaleźliśmy je kiedyś i wymyśliłam, że można zjeść jak w Macu. Jak ze starych czasów. No, prawie bo jednak normalnych hamburgerów nie ma.

– Są lepsze! – zapewnił Rafał, wyciągając ze swojego plecaka puszkę i paczkę dietetycznego pieczywa. – Żaden plastik, tylko prawdziwa polska mielonka z puszki. Z grilla. Z cebulką i pomidorem z naszego ogrodu. – Położył wszystkie te skarby przed Lucyną. – Pokrójcie je, dziewczyny, a ja rozpalę grilla.

– Dym nie przyciągnie uwagi? – zaniepokoiła się Lucyna.

– Tu nikt nie mieszka – uspokoiła ją Kaśka. – Wszyscy wyginęli albo się wynieśli. Ludzie wolą teraz stare kamienice, bo są solidniej zbudowane i czasem mają jeszcze piece. Tak mówi Rafał.

– Prawdziwy autorytet, co?

– Dużo zwiedził, dużo widział. Lubisz go, prawda?

Aha, jedno z takich pytań musiało wreszcie paść.

– Słuchaj, mała. – Odpowiedź na to konkretne pytanie miała już przygotowaną. – Jesteśmy na misji, jasne? Idę z wami, bo może znajdziecie moją siostrę. To wszystko.

– Wcale nie. – Kaśka otarła łzy. Odłożyła na chwilę nóż i cebulę, przez którą wyglądała, jakby ta rozmowa była dla niej szczególnie trudna, choć najpewniej bawiła się doskonale. – Przecież widzę, jak na niego patrzysz. No i przede wszystkim ja wiem.

– Wiesz? – Lucyna spróbowała zązartować, ale poczuła nagłą suchość w gardle.

– No, wiem. – Dziewczyna spojrzała na nią zaczerwienionymi oczami. Uśmiechnęła się, co dziwnie kontrastowało z nowymi łzami spływającymi po jej policzkach. – Ja tak mam: patrzę na człowieka i wiem, co robił kiedyś, co niedawno i co czuje. A czasem nawet co myśli.

Dawniej, przed gorączką, Lucyna, jak każdy dorosły, uśmiechnęłaby się pobłaźliwie, może nawet rzuciła coś w rodzaju: „Oczywiście, kochanie”. Ale teraz nie było jej do śmiechu. Berserk przeorał mózgi ludziom, a część z nich

odmienił na zawsze. Zdawała sobie z tego sprawę. Przecież widziała blask.

– Mówiłaś o tym Rafałowi? – zapytała, raczej po to, by odwlec inne pytanie, niż z prawdziwej ciekawości.

– Jasne. – Kaśka skończyła kroić cebulę i z wyraźną ulgą chwyciła jeden z pomidorów. – Ale on mi nie uwierzył. Myśli, że to takie dziecięce gadanie. Ale ty mi wierzysz, czuję to.

– Wierzę. – Lucyna skinęła głową. – Ja...

– Nie przeszkadza mi, że zabiłaś tych ludzi – oznajmiła Kaśka zwyczajnym tonem, jakby rozmawiały o pogodzie. – Miałaś swoje powody. Może ich nie rozumiem, ale miałaś je. I widzę, że nam nie chcesz nic zrobić.

– Jezu, dziecko! To takie...

– Wszyscy zabijaliśmy. Ty, Rafał, ja. W takim żyjemy świecie, że nie jest to nic niezwykłego. Ale Rafałowi nie mów. On by się przestraszył, że jesteś dla mnie groźna. A przecież lubisz go i on też cię lubi. I nie, nie przeszkadza mi to.

Wyjęła spomiędzy zastygłych dłoni Lucyny ostatniego pomidora. Łagodnie odsunęła ostrze noża, którym kobieta omal nie przejechała sobie po palcach. Dokończyła pracę w milczeniu. Obie nasłuchiwały cichych przekleństw Rafała utyskującego na oporną rozpałkę.

– No, mam żar! – zakrzyknął triumfalnie po kilkunastu minutach. – Niech się to rozpali, a my tymczasem przygotujemy nasze postapokaliptyczne hamburgery!

– A on? – zdobyła się na odwagę Lucyna. – Co widzisz w Rafale?

– To największy i najstraszliwszy wojownik na świecie – odparła Kaśka. – Cieszę się, że jest mój.

Zebrała kawałki mielonki i pobiegła do swojego ochroniarza, który chuchał właśnie w poparzone palce.

„Największy wojownik na świecie” – Lucyna uśmiechnęła się z ulgą. Dobrze wiedzieć, że Kaśka to mimo wszystko ciągle jeszcze dziecko.

Rozdział 17

K R U C H Y

Pamiętał, jak przyszedł do szpitala po raz pierwszy. Należał już wtedy do Strażników, załóżki tej formacji wykształciły się w czasie dni palenia ciał spośród ludzi, którzy jakoś w naturalny sposób podporządkowali się Kapitanom. Sam Kruchy nie pamiętał, jak doszło do tego, że nagle zaczął wykonywać czyjeś rozkazy. Może czekał na to, by ktoś wskazał mu cel? Bo jak wielu innych po przebudzeniu po prostu włączył się bez celu po mieście, potykając się o trupy.

Szpital był wtedy bez porównania paskudniejszym miejscem. Wszędzie zalegały ciała w tak różnych stadiach rozkładu, że oczywiste było, iż po pierwszej rzezi doszło w nim do następnej. Zaraz po wybuchu gorączki pacjenci i lekarze pozabijali się nawzajem, jak wszędzie. Ale potem cała horda opętanych musiała tu wrócić. Dlaczego to zrobili?

Kruchy nie zastanawiał się nad tym, gdy z grupą pierwszych Strażników oczyszczał budynek szpitala ze zwłok. Nie przybyli tu w tym celu. Pierwotny plan polegał na roszabrowaniu zapasów medykamentów. Jednak w budynku panował smród nie do wytrzymania, a leżące wszędzie umarlaki utrudniały poruszanie się. Ostatecznie uznano więc, że najlepiej będzie powyciągać trupy, załadować je na wózki i spalić na placu Wolnica, gdzie wciąż nie wygasły wszystkie stosy.

Jedyną osobą zainteresowaną przyczynami zróżnicowania stanu ciał był wtedy Kapitan Jerzy. W owych dniach zachowywał się jeszcze w miarę normalnie. Angażował się w organizowanie milicji, wydawał niegłupie rozkazy. Zaczynał już snuć swoje wizje, ale wówczas jeszcze nikomu one nie przeszkadzały. Wydawało im się wręcz imponujące, że ktoś wybiegał myślą tak daleko.

Kapitan Jerzy biegał więc między ciałami, które wynosili ze szpitala, oglądał je i wymyślał jedną teorię za drugą. Fascynowało go powtórne przybycie całej grupy opętanych w to samo miejsce. Próbował odczytywać z tych faktów wzorce ich zachowań. Koniecznie chciał zdobyć jak największą wiedzę na temat czasów szału. Dowiedzieć się, co myśleli i jak działali ludzie w stanie berserku.

Nikt nie dzielił z nim tej pasji. Większość cieszyła się z amnezji. Błogosławiono ją.

Nawet wtedy, stąpając pomiędzy, a często wręcz po zwłokach, ciągnąc je za sobą po schodach, drepcząc w zaschniętej krwi, pośród ciemności, Kruchy nie czuł się tak nieswojo jak teraz. A wędrował przecież po ciemnych wprawdzie, ale od biedy oczyszczonych korytarzach. Znajdował się na swojskim, poznanym już terenie. A jednak bał się. W gardle czuł narastającą kulę strachu, nerwowo reagował na każdy cień pobudzony światłem latarki. Echo jego własnych kroków, wyłapanie niespodziewanie, wywoływało u niego łomotanie serca.

Może to dlatego, iż spodziewał się, że gdzieś tutaj czai się morderca? Kruchy zaczynał też wierzyć w nadnaturalne byty, jak upiory w maskach gazowych. Przecież sam widział syrenę w Wiśle. No dobrze, może nie syrenę, tylko rybę o ludzkiej twarzy. Albo przynajmniej przypominającą ludzką. Sam już nie był pewien, co widział tamtego poranka. Nie rozmawiał o tym nawet ze swoją babą.

Nie potrafił zaprzeczyć, że świat niedługo po przebudzeniu wydawał się inny, prostszy. Po raz pierwszy w historii wszyscy ludzie byli naprawdę równi, łączyła ich wspólnota ubabrana krwią. Nie istnieli niewinni, wszyscy okazali się mordercami. Otepiali od ciężaru win, byli jednak w stanie patrzeć sobie w oczy nawzajem, wierzyć, że teraz mogą nastąpić już tylko lepsze czasy.

Rzeczywistość, w której po Krakowie grasował trupojad rozsmakowany w mózгах, w Wiśle mogły żyć syreny, noc należała do Masek, a w dodatku zbliżała się wojna z Nową Hutą, wydawała się Kruchemu znacznie bardziej skomplikowana i niepojęta. Teraz naprawdę wszystko mogło czaić się w ciemnościach.

Dlatego Kruchy bał się. Bał się chyba po raz pierwszy od czasów gorączki. Ostatnią rzeczą, jaką sprzed niej pamiętał, też był strach. Ale on dotyczył konsekwencji przekroczenia terminu w robocie. Terminu od początku nierealnego, co starał się wytłumaczyć szefowi. Doczekał się jednak tylko wątpliwego komplementu wyrażonego przekonaniem, że na pewno da radę. Nie dał. Zawalili dostawcy, ale winę ponosiło też narastające

rozprężenie wywołane kolejnymi wieściami o atakach szafu, jakim ulegali byli ludzie na całym świecie. Im mniej o nich mówiono w mass mediach, tym bardziej nieufni Polacy nabierali przekonania, że dzieje się coś, co rządy starają się ukryć. Wzmagały się plotki, a wraz z nimi zdenerwowanie oraz agresja.

W takich właśnie okolicznościach Kruchy szedł wolno korytarzem w stronę gabinetu szefa.

I na tym wspomnienie się urywało. Następne, co pamięta, to jak stał zdziwiony na Plantach, przypatrując się grupce dzieciaków biegnących szybko w stronę Wawelu. Uciekały przed kimś? Przed kim?

Skąd tu się w ogóle wziął? Jakim cudem teleportował się z wąskiego korytarza biurowca przy ulicy Wrocławskiej na Planty?

Rozejrzał się. Dostrzegł kilka innych osób, mężczyzn i kobiet, przyglądających się jemu i sobie nawzajem z podobnym zdumieniem. W pierwszej chwili wziął ich za żebraków. Mieli na sobie wymięte, zniszczone ubrania, ich twarze były umorusane, dłonie zaciśnięte w pięści. Jakaś kobieta patrzyła z niedowierzaniem na kawał zardzewiałego żelastwa, który trzymała w ręku.

Dopiero później dostrzegli ciała. Wiele ciał leżących w alejkach, na trawnikach.

Pierwsze wspomnienie po przebudzeniu. Większość ludzi dzieliła podobne.

Nikt nie pamiętał niczego z czasów szału. Czy byli wtedy zdolni myśleć, planować? Chyba tak, skoro cała grupa opętanych wróciła do szpitala.

A może nie byli to opętani? Skoro dzieci nie zachorowały, może znaleźli się i inni odporni? Albo jacyś ludzie przebudzili się wcześniej. Jeśli pojedyncze przypadki berserku pojawiały się na trzy tygodnie przed wybuchem powszechnej epidemii, to może i wygasła ona stopniowo?

Kruchy nie zazdrościł przedwcześnie przebudzonym. Jeśli czuli się równie zagubieni jak on, musieli mieć wiele szczęścia, by przeżyć pomiędzy opętanymi. Ale może śmierć była lepsza od życia polegającego na ukrywaniu się przed szaleńcami?

Myślał teraz o tym wszystkim, by odwrócić swą uwagę od cieni i ech, od zastanawiania się, co mogło czaić się w ciemnościach szpitala. Może stąd przychodziły Maski, czymkolwiek były?

Nagle zamarł. Odruchowo. Jeszcze zanim mózg przetworzył informację o nowym bodźcu, już reagował instynktownie.

Uszy Kruchego przechwyciły jakiś inny dźwięk, jakby szuranie. Nie echo jego własnych kroków, nie odgłos wywołany przez kikut okna poruszany podmuchami wiatru. Nieregularny dźwięk, jaki mogłaby wydawać istota ciągnąca po ziemi worek... Albo ciało.

Strażnik przywarł do ściany. Ostrożnie zdjął karabin przewieszony dotąd przez plecy. Odbezpieczył go. Zgarbił się, wyciągając przed siebie broń. Co teraz? Dźwięk dobiegał chyba

zza drzwi na końcu korytarza. Iść tam? Nie może siedzieć tu przez całą wieczność.

Na razie przyczaił się, czekał, czy odgłos się nie powtórzy. Bo przecież mogło mu się tylko wydawać. Albo wiatr wdarł się do środka pomieszczenia i poruszył stos szmat. Choć upadek cywilizacji przyniósł zagładę tylko ludzkości, a nie dobrom materialnym, domy też nie wyszły z tego całkiem bez szwanku. Owszem, stały prawie nienaruszone i w większości nadawały się do zamieszkania, jednak ich okna dość często okazały się zniszczone. Najwyraźniej w przypiływie szału ogarnięci gorączką wyważali je i roztrzaskiwali, wyskakując na zewnątrz.

Nie wiedział, jak długo stał bez ruchu. Ścierpły mu ręce od ciężaru broni, nogi zaczęły boleć. Albo naprawdę nikogo poza nim na tym piętrze nie było, albo ten drugi też postanowił wziąć go na przetrzymanie. I okazał się lepszy.

Kruchy poruszył ostrożnie, najwolniej jak potrafił, prawą nogą. Udało mu się ją postawić praktycznie bez wydawania jakiegokolwiek dźwięku. Dobrze. Byle tak dalej. Stawiał krok za krokiem prawie bezgłośnie. Równocześnie śmiał się sam z siebie w duchu. Nikomu o tym nie opowie (chyba że po pijanemu), jak z duszą na ramieniu i karabinem w coraz bardziej pocących się dłoniach skradał się w pustym szpitalu, jakby czaiło się na niego stado Masek i ghuli. A wszystko po to, żeby ostatecznie zastrzelić kłęb szmat albo papiery, które powypadały z jakiegoś segregatora.

Gdy dotarł do drzwi sali, zza której dobiegło szuranie, już prawie sam sobie uwierzył. A jednak zawahał się. Co teraz? Naciśnie klamkę, pchnie i...

Za dużo myślenia nie przystoi zwyczajnym żołnierzom, uznał. To obowiązek oficerów.

Nacisnął więc lewą ręką klamkę. Ustąpiła, ale z oporem, w efekcie narobił przy tym więcej hałasu, niż chciał. Nie certoląc się już, znowu podenerwowany i przestraszony, uchylił drzwi, kopnął w nie wściekle i wpadł do środka, ostrzegając wrzaskiem, że nikt nie powinien się ruszać.

Ciasny pokój przeznaczony był maksymalnie dla dwóch osób, co w polskiej rzeczywistości oznaczało upchnięcie w nim czterech łóżek. Ktoś przewrócił je wszystkie, tworząc z nich dość prymitywną barykadę. Z metalowych szkieletów wysuwały się szarawe materace pełne ciemnoczerwonych plam. Przez roztrzaskane okno przesłonięte strzępami żaluzji wpadało nieco światła, w którym kurz pobudzony gwałtownym wtargnięciem Kruchego lśnił złościście.

– Nie ruszać się! – powtórzył Kruchy, stając pośrodku tego wszystkiego z kolbą karabinu opartą o ramię.

– Nie ruszam się! – zapewnił męski głos zza barykady. – Nic się nie ruszam! Przysięgam! To znaczy ruszam ustami, kiedy to mówię, ale poza tym nic a nic! Nawet nie myślę o ruszaniu się! Boże, ja nawet nie umiałbym się teraz poruszyć! Taki mnie zdjął strach! Więc czy jesteś Maską, czy innym potworem, wiedz, że się nie ruszam i chciałbym cię zapewnić, że tak pozostanie. Byleby nie na zawsze. Na zawsze nie. Byłbym

bardzo wdzięczny, gdybyś nie sprawił, że przestanę się poruszać na wieki. Zauważ, że jestem skłonny do współpracy tchórzem, który w niczym ci nie zaszkodzi, a będzie starał się wykonywać polecenia. Oczywiście w miarę możliwości, bo pamiętaj, kimkolwiek jesteś i o ile w ogóle rozumiesz moje słowa, choć sądzę, że rozumiesz, bo przecież sam zagadałeś do mnie po ludzku...

Im bardziej tamten nakręcał się swoim słowotokiem, tym spokojniejszy robił się Kruchy. Znał tylko jednego człowieka reagującego w taki sposób.

– Odcisk! – przerwał nareszcie tyradę tamtego. Z ulgą ściągnął palec ze spustu. Opuścił karabin i zabezpieczył go. – Odcisk, to ja, Kruchy ze Strażników. Szukałem cię!

– ... poza tym należy wspomnieć, że posiadam cel w życiu... Kruchy? Szukałeś mnie?

Chuda twarz o zapadniętych oczach wychyliła się zza barykady. Mężczyzna o długich siwych włosach nakrytych zawsze prostą wełnianą czapką przyglądał się przybyszowi, nie przestając mówić.

– Kruchy... Kruchy... – mamrotał do siebie. – A! Wiem! Numer sto trzydzieści dziewięć, niewinny. Ale skąd mogę mieć pewność, że to Kruchy? Każdy może się tak przedstawić. A wróg nie śpi!

– Odcisk – zniecierpliwiał się Kruchy. – To ja. Nie poznajesz mnie? Masz moje odciski w swojej księdze.

– Każdy może tak powiedzieć – nie ustępował siwowłosy. – To znaczy każda z trzystu siedemdziesięciu dwóch osób. Albo nie.

Powiedzieć może każdy, ale tylko każda z nich będzie mówić prawdę.

– Mam dla ciebie niesprawdzonego – kusił Kruchy.

– Niesprawdzonego? – Odcisk wyskoczył z ukrycia. Miał na sobie fartuch lekarski narzucony na skórzaną kurtkę i mocno przybrudzone dżinsy. – Kruchy! Przyjacielu!

Nagle zamarł.

– A jeśli to ON? – szepnął. – Jeżeli to ten skurwysyn zabójca?

Sięgnął pod fartuch i wyszarpnął długi nóż pozyskany chyba z jakiejś kolekcji fanów Rambo. Ktoś wprawny zdołałby nim zapewne uciąć jednym ruchem łeb kaszalotowi. Poza tym szczególnym przypadkiem taka broń była, zdaniem Kruchego, średnio użyteczna. Robiła jednak wrażenie.

– Jestem gotowy! – oznajmił Odcisk. – Pełen otuchy, wiary, a nawet sił witalnych. Nie waham się teraz i nie zawaham się potem. Jeśli tylko okaże się, że moja misja dobiegła nareszcie końca, Kruchy, przyjacielu, będziesz mógł prosić mnie, o co tylko zechcesz! Nie będzie takiej...

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy masz ze sobą tę swoją księgę.

– Oczywiście, że mam! Gdzieżbym mógł się rozstać z dziełem mego życia, z tym, co nadaje sens temu niepoukładanemu światu? Noszę ją ze sobą zawsze i wszędzie. Niewyobrażalnym strachem przejmuje mnie myśl, że mógłbym spotkać JEGO... Wiesz, kogo mam na myśli?

Kruchy zapewnił, że wie i nie zważając dłużej na słowa niemilkącego ani na moment Odciska, sprowadził go na parter. Nieszczęsny szaleniec był jedynym znanym mu

człowiekiem, który uparł się odnaleźć zabójcę bliskiej sobie osoby. Reszta ludzkości zdawała się pogodzona z faktem, że ich krewni zostali zamordowani, a oni nigdy nie dowiedzą się, kto był sprawcą. Być może działo się tak, ponieważ wielu ludzi obawiało się, że to oni pozabijali swoich najbliższych. Opętani nie wybierali, atakowali tego, kto znajdował się w ich zasięgu. Dzieci, żony, rodzice... W pierwszych dniach szaleństwa często padali ofiarą krewnych i sąsiadów. Dopiero potem, gdy początkowe, nieprzebrane rzesze morderców znacznie się przerzedziły, zabójcy zaczęli wędrować w poszukiwaniu ofiar. Tak w każdym razie twierdził Kapitan, który o zachowaniach opętanych zdawał się wiedzieć wyjątkowo dużo. Pewnie dlatego, że kierował polowaniami na nieprzebudzonych w pierwszych dniach po ustaniu gorączki. Szykował się też, choć nie obwieszczał tego powszechnie, na powrót choroby.

„To tylko zabezpieczenia” – tłumaczył wstrząśniętemu Kruchemu, niebiorącemu takiej możliwości pod uwagę. – „Muszę się zastanawiać, co będzie, jeśli to draństwo wróci”.

„Ale moja baba mówi, że nasze ciała się uodporniły. Wytworzyły antyciała!”

„Antyciała na co? Bo wciąż nie wiemy, czy to bakterie, wirusy, choroba nerwowa...”

Przy całej swojej skłonności do myślenia o zbyt wielu sprawach naraz oraz do wyciągania przykrych konsekwencji za byle przewinienie, nawet Kapitan nie myślał o ściganiu ludzi za zbrodnie popełnione podczas berserku. Tych opętanych,

których kazał zabijać, a którzy nie ocknęli się z szału, traktował tak ze względów bezpieczeństwa, a nie z zemsty.

A pocieszny, nieco zwichrowany Odcisk uparł się, że odnajdzie zabójcę swojej żony. Gdy spotkali się z Kruchym po raz pierwszy i nieco zaskoczony Strażnik zastanawiał się, czy dać sobie ubrudzić palec popiołem, zapytał Odciska, czy ten sprawdził już sam siebie.

„Każdy jeden o to pyta – odparł tamten. – Jakby to była najważniejsza rzecz na świecie, jakby wszyscy podejrzewali właśnie mnie. Ale ja to rozumiem. Po pierwsze, musi być sprawiedliwie: jak inni, to i ja. Po drugie, zawsze najbardziej podejrzany jest mąż. Więc tak, siebie też sprawdziłem. Zostałem swoim podejrzany numer jeden. Taki właśnie mam numer w mojej księdze odcisków”.

Przed szpitalem zastali Ochotę, który niby się uciszył na ich widok, ale tak naprawdę był zły, że przerwali mu leniuchowanie. Kruchy jeszcze bardziej zepsuł mu humor, wysyłając go po Pawełka. Szeregowy westchnął ciężko, coś tam pomruczał o niesprawiedliwości losu i ruszył w kierunku skrzydła przeszukiwanego przez kolegę. Nim wszedł, podjął próbę zaoszczędzenia sobie trudu. Stał pod bramą i długo wrzeszczał na Pawełka, że już po wszystkim. Bez rezultatu.

– A jak go tam co zabiło? – zapytał, odwracając się ku przełożonemu.

– To wróć o tym zameldować.

Ochota opuścił głowę na znak głębokiego nieukontentowania, po czym poczłapał niemrawo do wnętrza budynku.

– Czemu się ukrywałeś? – zapytał Odciska Kruchy. – Zwykle całymi dniami ganiasz ludzi po mieście.

– Maski mnie goniły. Dzikie a straszne Maski chciały mnie dopaść. Łaziły całymi nocami po ulicach, wystawiały swoje długie ryje, wytrzeszczały wielkie oczy. Niuchały, nasłuchiwały, wypatrywały. Chciwe są mojej skóry. Nie wiem czemu. Może one widzą we mnie coś specjalnego? Może chcą mojej księgi? Myślę, że nie ma takiej drugiej na całym świecie. Może zostanę uznany za...

– Widziałeś je? Maski?

– Tak jak ciebie teraz widzę! Chociaż nie, inaczej, bo na szczęście z daleka. Szły grupami, szpalerami. Wiatr unosił im płaszcze jak skrzydła wielkim ptakom. Nie mieli twarzy, lecz maski. Myślisz, że czemu je noszą? Ze wstydu czy dla ochrony?

– Myślę, że to pojeby.

– O to to! – ucieszył się Odcisk. – To na pewno. Ale to straszne pojeby. Mają jakiś swój ukryty cel. Czegóż chcą. Mnie oczywiście, ale chyba nie tylko mnie. Powiedz mi, Kruchy, czy wy się jakoś szykujecie na wojnę z nimi?

– Co ci przyszło do głowy?

– Różnie ludzie gadają. Że musi być wojna. Ale jak już, to niech będzie przeciwko Maskom, co? Oni mi dobrowolnie odcisków nie dadzą. A musisz wiedzieć, że tak samo jak twarze ukrywają dłonie. Wszędzie i zawsze chodzą w rękawiczkach...

– Coś sporo zobaczyłeś z daleka.

– Czepia się słów! O jak się czepia! Ale może dobrze, że się czepia? W słowach, w szczegółach tkwi prawda. Więc im

bardziej się człowiek czepia, tym bliższy jest prawdy. Ale po co ci prawda, Kruchy? Dużo wiem, bo pytam ludzi o Maski. Różni je widzieli, to mi mówią. Ja wiele z ludźmi rozmawiam, więcej niż inni. Z dwustu siedemdziesięcioma dwoma osobami już rozmawiałem. A nie, z jedną mniej, bo pierwszy numer to ja. Pamiętasz, jak mnie o to pytałeś? Wszyscy mnie o to... Ooooo! To ten, Kruchy? To jest ten skurwysyn morderca?

Istotnie, nieznanemu dotąd Odciskowi Pawełek wychodził ze szpitala w towarzystwie poirytowanego Ochoty.

– Słyszał, jak wołałem! – oburzał się Ochota. – Słyszał, a nie złazł! Złośliwy drań!

– Och, poruszałeś się trochę dzięki temu – bagatelizował Pawełek. Nagle zjeżył się na widok pędzącego ku niemu Odciska, ciągle z wielkim nożem w dłoni. Na wszelki wypadek sięgnął po broń.

– Zostaw! – zawołał prędko Kruchy. – Nic ci nie zrobi. O ile nie okażesz się zabójcą jego żony.

– Nic nie miałem do jego żony – zapewnił Pawełek.

– Jak my wszyscy, szeregowy. Ale każdy z nas mógł ją zabić. Będę trzymał kciuki, żebyś nie okazał się akurat tym gościem, którego szuka.

Wciąż nieufny Pawełek pozwolił wysmarować sobie palec wskazujący i kciuk popiołem, który Odcisk zawsze nosił przy sobie. Odbił ich ślady w księdze, a Odcisk natychmiast porównał je z „odciskami zero” pobranymi z ciała żony.

– To nie ten – westchnął ze smutkiem, opisując odciski Pawełka kolejnym numerem. – Szkoda. Ale dziękuję ci, Krecha.

– Kruchy.

– Tak, Kruchy. Numerze sto trzydzieści dziewięć. Zatem, jeśli pozwolicie, wrócę do siebie...

– Poczekaj. Lepiej wróc z nami. Chodź do nas.

– Do Strażników? Dziękuję za miłą propozycję, ale czy nie będę tam tylko kolejną gębą do wykarmienia i niczym więcej? Tu, Kruchy, jestem sam sobie panem. Co bym robił u was? Musztry nie znam, zresztą chyba bym jej nie polubił. Ten wasz Kapitan dosyć mnie, prawdę mówiąc, przeraża, chociaż muszę przyznać, że odcisk dał sobie pobrać, nie krzywił się, nie narzekał, a i okazał się niewinny. Jednak być u was, choć bezpiecznie, to jednak jakby być w więzieniu. Kroku nie można zrobić bez...

– Odcisk – przerwał mu Kruchy. – Chodź z nami, żeby pokazać naszej lekarce, wiesz, mojej babie, jak się zbiera odciski palców z ciała. A jak już je zbierzemy, to porównamy je z tymi w twojej księdze. Potem możesz sobie wracać.

– A po co wam to wszystko? Po co wam mój...

– Szukamy zbrodniarza. Mordercy. Kto wie, może to ten, co zabił twoją żonę?

– Bierzesz mnie pod włos, co? Próbujesz przechytryć, skusić? Jakbym był durniem albo dzieckiem, co to łatwo je złapać w pułapkę, wystarczy pomachać przynętą pod nosem? Oj, Krecha...

– Kruchy.

– Wiem, teraz celowo przekręciłem, żebyś poczuł, jak to jest, gdy się kogoś znieważa i poniża. Właśnie tak się czuję, gdy zastawiasz na mnie te swoje prymitywne sidła. Ale wygrałeś. Idę z wami. Tylko nie myśl, że nie wezmę odcisków i od twojej baby, podstępny zdrajco. Że nie odważę się...

Kruczy znów przestał słuchać.

– On tak zawsze? – zapytał półgłosem Pawełek. Cały czas pocierał dłonie, usiłując pozbyć się z nich popiołu. – Co to za cholerstwo, którym mnie upačkał?

– Po pierwsze, zawsze. Po drugie, nie poznajesz? To popiół. Zresztą ze zwłok jego żony.

– Albo to była najtłuściejsza baba pod słońcem, albo z czymś ją zmieszał. Jezu, na co nam się przyda ten świr?

– Może dzięki niemu zgarniemy mordercę. Albo wykluczemy prawie trzystu podejrzanych. To też coś, nie?

Wrócili na ulicę Bożego Ciała, starając się nie słuchać nieprzerwanego monologu Odciska. Ten ciągle gadał niezrażony ich brakiem reakcji. A że była to opowieść wciąż rwąca wątki, pełna dygresji i trudnych zwrotów, nic z niej nie zrozumieli, a mało co zapamiętali. Odcisk zaczął od podzielenia się z nimi zachwytem nad urodą swej przedwcześnie zgasłej małżonki, a następnie próbował im opisywać każdą osobę, od której udało mu się pobrać daktyloskopijne pamiątki. Gładko przeskakiwał od krakowskich legend do historii o ścigających go zaciekle Maskach, od wieszczania rychłej zagłady absolutnie wszystkiego do plotek o narodzinach nowego mesjasza.

Z ulgą przekazali go Krystynie. Ta bez wahania podarowała przybyszowi odciski własnych palców, a potem zabrała go do piwnicy, w której trzymali zwłoki zamordowanego. Jedną godzinę spędzili na ich dokładnym badaniu, a drugą na porównywaniu zdobytych śladów ze zbiorem Odciska.

Zbliżał się zmrok, gdy wyszli na zewnątrz. Miny mieli zadowolone, choć Odcisk mamrotał coś do siebie, najwyraźniej zaskoczony i skonsternowany, że lekarka Strażników odniosła sukces tak szybko, podczas gdy on chybiał już prawie trzysta razy.

– Mamy go? – zapytał porucznik.

– Mamy! – ogłosiła triumfalnie Krystyna. – Lepiej niech pan zwoła zebranie.

Rozdział 18

R A F A Ł

Nie podobało mu się, że Kaśka i Lucyna wymieniały dziwnie niepokojące go porozumiewawcze spojrzenia podczas obiadu. O czym, u licha, rozmawiały, gdy nie słuchał zajęty rozkładaniem i rozpalaniem grilla? Czyżby ominęło go zawarcie jakiegoś tajnego porozumienia kobiet?

Trudno mu było przyznać się do tego, ale odczuł to prawie z bólem. Dość długo był jedynym dorosłym w życiu Kaśki. Do tej pory nie przedstawiał jej nawet Tomasza. Nie musiał, po raz pierwszy zaproponował Kaśce właśnie rowerową wyprawę. Zrobił tak częściowo dlatego, że sądził, iż dziewczynie spodoba się jego prezent. W dodatku, choć ciągle trwało lato, dni nie robiły się teraz coraz dłuższe, a nie chciał ryzykować powrotu nocą. Gdyby zabawili zbyt długo w szpitalu, Kaśce pozwolono by w nim przenocować. On musiałby szukać dla siebie noclegu w którymś z porzuconych bloków na pobliskim osiedlu. Nie stanowiło to wielkiego wyzwania, odkrył jednak, że zaczął cenić nocowanie we własnym łóżku.

Po skończonym posiłku jak zwykle schował sprzęt i podpałkę. Choć wydawało mu się mało prawdopodobne, by ktoś pchał się

do burgerowni na tym bezludziu, nauczył się, że warto wciąż od nowa kształtować w sobie przydatne odruchy. Świat ciągle był stosunkowo bezpiecznym miejscem, a w każdym razie Kraków. Rafał uważał jednak, że jeśli dołączy do ludzi nadto przyzwyczajających się do bezpieczeństwa, może za to drogo zapłacić.

– Martwisz się o swojego kumpla? – próbowała odgadnąć Lucyna. – Milczałeś podczas obiadu.

– Bo wy dwie paplałyście za troje. Zresztą wolę słuchać niż mówić.

Wsiadł na rower i od razu narzucił szybsze tempo. Musiał jednak skapitulować już po kilkuset metrach. Wjechali na odcinek Wielickiej, gdzie łączyła się ona z drugą ważną arterią. Tutaj wraków było jeszcze więcej. Co gorsza, skrzyżowanie z ulicą wiodącą w stronę Kurdwanowa blokowały aż trzy stojące jeden za drugim tramwaje. Musieli nadłożyć drogi, by je ominąć. Za to gdy to zrobili, mogli zjechać na prawą stronę ulicy, przeciąć tory tramwajowe oddzielające w tym miejscu ulicę od chodnika i ponownie przyspieszyć. Kiedy droga zaczęła opadać w dół, nabrali jeszcze większego tempa i gdy zbliżali się do wzgórza, na którym stał szpital, gnali już jak szaleni. Kaśka pokrzykiwała z radości i nawet Lucyna, wciąż kurczowo ściskająca kierownicę, uśmiechała się, czerpiąc wreszcie przyjemność z jazdy.

Przez to uniesienie przegapili grupę Nomadów i prawie na nią wpadli.

Pięciu mężczyzn w czarnych skórzanych kurtkach wypatrzyło ich z daleka. Po prostu czekali, nie zsiadając z motorów, częściowo ukryci między wrakami samochodów i kolejnym porzuconym tramwajem.

Tu, prawie na obrzeżach miasta, nie czyszczono ulic z trupów tak dokładnie, jak bliżej centrum. Na przykład pozostawiano te, które znajdowały się w samochodach, tramwajach i autobusach. Pełne rozkładających się ciał pojazdy komunikacji publicznej zawsze robiły na Rafale szczególnie przygnębiające wrażenie. Celowo starał się nie przyglądać wnętrzu niebieskiego wagonu stojącego na zakręcie i przesłaniającego szpital, dlatego przegapił Nomadów. Zorientował się, gdy było już za późno. Zahamował gwałtownie, by nie wpaść na żadnego z nich. Wiedział, jaką wagę przywiązują do swoich maszyn. Zwykle nie miał zatargu z żadną z ich grup, wszystko jednak mogłoby się zmienić, gdyby zarysował lakier któregoś motocykla.

Nomadzi otoczyli ich niespiesznie. Ich zachowanie kojarzyło się Rafałowi z taktyką wilczej sfory, na razie tylko zaciekawionej, ale zachowującej maksymalną ostrożność i w każdej chwili gotowej do ataku.

Prawdopodobnie do niczego złego by nie doszło, gdyby nie mieli ze sobą Kaśki.

– Czachnul! – zawołał rudowłosy Nomada z czaszką pokrytą diamentami namalowaną na plecach kurtki. – Zobacz! Mają dzieciaka!

– No proszę... – Nazwany Czachnulem podjechał bliżej dziewczyny. Czarna przepaska przesłaniała mu jedno oko, a łysą głowę miał całą w bliznach. Część z nich wyglądała na stosunkowo świeże. – Dzieciak! Jak pragnę zdrowia, prawdziwy dzieciak! Skądżeście go wytrzasnęli? Wasz?

Rafał na wszelki wypadek zsiadł z roweru i położył go delikatnie na chodniku. Uniósł obie ręce na wysokość piersi.

– Nie chcemy kłopotów – oznajmił.

– Jasne. Nikt nie chce – zgodził się Czachnul, podjeżdżając jeszcze bliżej Kaśki. – My też nie. Taki klimat. No więc jak, dzieciak jest wasz?

– Swoja jestem! – odpowiedziała mu Kaśka. – Należę do Wawelu!

– Dzieciak z Wawelu! – powtórzył swoim ludziom Czachnul, a ci zaczęli wznosić wiwaty.

Teraz nie kojarzyli się Rafałowi z wilkami, lecz z grupą westernowych Indian, którzy dopadli na prerii gromadę osadników. Ale to skojarzenie było jeszcze gorsze od poprzedniego.

– Jak to możliwe, że dzieciak z Wawelu wymknął się ze swojego gniazdka? – Czachnul zatrzymał się wreszcie. Nie wyłączył jednak silnika. Przechylił delikatnie motocykl, zaparł się lewą nogą o ziemię. – Czy wszystko poza zamkiem nie jest dla was tabu?

– Nie wiem, co to tabu – odparła Kaśka. Wytrzymała spojrzenie wpatrującego się w nią Nomady. – Nie ruszamy się zbyt często z Wawelu, bo nie chcemy ryzykować.

– Pewnie obawiacie się spotkania z nami! – zawołał Czachnul.
– Powiedz, mała, boisz się mnie?

Zanim odpowiedziała, spojrzała pytająco na Rafała. Pokręcił powoli głową. Spodziewał się, jakich słów chciała użyć. Zapewne byłoby wśród nich zdanie albo dwa na temat zbyt bezczelnych dorosłych przebijanych strzałami.

To nie byłyby najlepsze słowa w obecnej sytuacji. Przyglądając się Nomadom, Rafał odniósł wrażenie, że byli dziwnie podnieceni. Oceniał szybko ich uzbrojenie. Strzelby myśliwskie w olstrach, włócznie przymocowane z przodu motocykli. Do tego szable, tasaki, jeden z nich miał nawet rapier.

– Chyba nie, proszę pana. – Kaśka przybrała ton i minkę grzecznej dziewczynki. – Przecież nie zrobi mi pan krzywdy?

– Nie. Skądże. – Czachnul wydawał się urażony samym pomysłem. – Skrzywdzić dziecko? Nigdy! Prawda chłopaki?

Nomadzi zapewnili chórem, że tak straszna myśl nie zaświtałaby im w głowach.

– Nie – pokręcił głową Czachnul. – Dla dzieci jesteśmy wyłącznie mili. Zresztą jak wszyscy dorośli na świecie. Zdajesz sobie sprawę, mała, jak ludzie tęsknią za dziećmi? Jak marzą o tym, by porzuciły swoje twierdze i zamieszkały z nimi w domach? Zostając ich córkami i synami?

– Pan też?

– Nawet ja – przyznał Czachnul po krótkim zastanowieniu. – Chociaż kocham wolność. Jazdę przed siebie bez zobowiązań i ograniczeń. Sądząc po tym, jak pędziłaś z tamtej górki, też to kochasz. W każdym razie prędkość. Więc, mała, ja bym cię nie

adoptował. Ale chętnie zabiorę cię ze sobą, jak trochę dorośniesz. Bądź cierpliwa, to się doczekasz.

– Chyba nie chcę. – Kaśka wydeła wargi, a Nomadzi roześmiali się gromko. Czachnul śmiał się najgłośniej i najdłużej.

– Nawet nie wiesz, ile tracisz. – Pogroził dziewczynie palcem.

– No, pożartowaliśmy sobie, czas, żeby każdy jechał w swoją stronę, prawda?

– Ja was zatrzymywał nie będę.

– I słusznie. Powiedz tylko, ile za nią chcesz i lecimy.

LUCYNA

Ten Czachnul zupełnie nie przypadł Lucynie do gustu. Coś było z nim bardzo nie tak. Nie należał do ludzi dotkniętych blaskiem, ale to nie mogło dziwić. Zaskakująco niewielu otrzymało dar jasności po gorączce. A spośród nich tylko część dysponowała nieskalanym blaskiem.

Jednak nie potrzeba było żadnych niezwykłych mocy, by zrozumieć, że ten facet nie jest łagodnym, udręczonym wyrzutami sumienia ocalonym, jak większość mieszkańców miast. Jego drapieżność nie była na pokaz, a w jego jedynym oku aż iskrzyło od chciwości. Wszystkie wypowiedziane przez niego żarty niosły zakamuflowane groźby. A pozorny dobry humor krył coś złowrogiego.

Korzystając z okazji, że prawie wszyscy Nomadzi skupili się na Kaśce i Rafale, Lucyna ostrożnie wysupłała rękę z jednego

ramiączka plecaka. Powoli opuściła go na chodnik. Teraz wystarczy jej sekunda, może dwie, by wyjąć z niego siekierę. Jeśli dojdzie do czegoś, pokaże tym draniom, że nie warto jej lekceważyć.

Wolałaby jednak pokojowe rozwiązanie. Kaśka mogła sobie zabijać opętanych z wysokości zamkowych murów. Tu, na otwartym terenie, wobec potrafiących myśleć mężczyzn była bezbronna. A Rafał... Lucyna wciąż nie wiedziała, na czym polega jego dar. Ale niemal ostentacyjny pacyfizm i skłonność do uległości Rafała nie wróżyły dobrze w przypadku walki. Zresztą nawet gdyby był naprawdę niezły, jak upierała się zachwycona nim Kaśka, to ciągle było pięciu Nomadów na ich dwoje.

Wbrew intuicji poczuła przypływ nadziei, gdy Czachnul zaczął się zęgnąć. Ale potem padło to nieszczęsne pytanie.

– Słucham? – Rafał wydawał się szczerze zdziwiony. – Ile chcemy za co?

– Nieładnie tak mówić o ludziach – cmoknął Czachnul. – Ile chcecie za małą?

– Za Kaśkę?

– Teraz ma tak na imię, kiedyś może mieć inaczej... Słuchaj, panie cyklisto, powiem ci, jak jest. Nie wiem, ile dzieciaków ocalało w Krakowie, ale pewnie niewiele. Byliśmy w Zakopcu, Katowicach, teraz wracamy z Tarnowa. Wszędzie jest tak samo. Niedobitki gówniarzy pozamykały się w twierdzach i mordują każdego, kto się do nich zbliży. Jakby miały jakiś

plan. Jeszcze zanim to wszystko się zawaliło, one już miały plan. Nie wkurza cię to? Nie zastanawia?

– Jestem nadzwyczajnie spokojnym gościem. Nic mnie nie wkurza, nawet twoja oburzająca propozycja.

– Pięknie gadasz. Ale nie potrzebuję błazna ani filozofa. Rozumiesz, to jeszcze nie ten moment. Cywilizacja musi się najpierw odbudować, zanim przyjdzie czas na takiego śmieszka jak ty. Ale doceniam dowcip. Widzisz, Stańczyku, mamy cholerny deficyt dzieci. Wiesz, co to oznacza?

– Że jest na nie popyt?

– Brawo. Za tę małą możemy dostać nawet parę świniaków i zacząć własną hodowlę. Pewnie nie wiesz, jakie to bogactwo, co? Na wsiach chłopcy urządzali rzezie swoim świnkom, krówkom... Też nie przetrwało ich wiele. A te, które ocalały, zdziczały. Ale mimo wszystko są mniej warte niż twoja mała. Oddaj nam ją. Słuchaj, Bóg chciał, żebyś ją do nas przyprowadził! Nie da się tego inaczej wyjaśnić. Akurat tędy przejeżdżaliśmy, a jedyne dziecko w Polsce, które wyłazi z twierdzy, przyszło do nas. To opatrność, przeznaczenie.

– Nie handluję dziećmi.

– Do tej pory pewnie na to nie wpadłeś. Jesteś mądraliński, ale łba do interesu wyraźnie nie masz. Słuchaj, wyciągnąłeś z zamku jedno, dasz radę wyciągnąć i drugie. Możemy zostać współnikami. Być bogaci.

– Nadal nie mam ochoty...

– Ćśśśśś! Czekaj! Rozumiem. Masz mnie za gołodupca. Ty do mnie z takim skarbem, a ja tylko gadam o świniach. Myślisz,

że nie mam ci nic do zaoferowania. Ale to nieprawda! Jak masz na imię?

– Rafał.

– A zatem, Rafale. Cenię poważne podejście do interesów. Ty masz skarb, ja fortunę. Możemy się zamienić, chcesz? Rogacz! Dawaj mi tu! Jedna torba dla pana Rafała!

Wyjątkowo opasły motocyklista w ponemieckim hełmie ozdobionym doczepionymi krowimi rogami podjechał do Rafała i cisnął mu pod nogi skórzaną torbę.

– Otwórz – zachęcał Czachnul. – Zobacz, jakie to skarby!

Rafał pochylił się, otworzył torbę i przez chwilę przyglądał się jej niewidocznej dla Lucyny zawartości. Kobieta widziała za to doskonale, że jego blask zaczyna wzrastać i zmieniać barwę na czerwoną, jak podczas rozmowy z Adamem.

– Co tam jest? – zapytała Kaśka. Jako jedyna z całej ich trójki nie wyglądała na przejętą. Albo nie zdawała sobie sprawy z tego, co się działo, albo to jej zaufanie do Rafała było tak wielkie, że niczego się w jego obecności nie bała.

Co oznaczało, że jej talent miał, zdaniem Lucyny, poważne ograniczenia. Wystarczyło bowiem spojrzeć na Rafała, by zrozumieć, że był przestraszony.

– Pieniądze – odpowiedział, nie patrząc na nią. – Mnóstwo pieniędzy. Same wysokie nominały. Może tu być i milion. Albo więcej. Coś w sam raz dla twojej supermocy.

– Supermocy? – zainteresował się Czachnul i po raz pierwszy spojrzął na Lucynę. – A co to za moc?

– Jestem... Byłam księgową.

– W takim razie trafiłem lepiej, niż sądziłem! To nagroda wprost stworzona dla ciebie! No, panie Rafale, bierz pan gotóweczkę. Podjęliśmy ją z banku zaledwie wczoraj! Kupujemy dziewczynę za milion, a może i więcej. Czy ta oferta nie jest hojna aż do przesady?

– Doceniam dowcip – odparł Rafał, prostując się. – A teraz się pożegnajmy.

– Czyli, że nie? – zapytał Czachnul, pochylając głowę nad kierownicą.

– Czyli nie.

Nomada niespodziewanie roześmiał się. Głośno, prawie radośnie. Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się gromko, aż echo tego śmiechu poniosło się w dolinę, uderzyło w ściany bloków i powróciło.

Nagle równie niespodziewanie spoważniał.

– Pożartowaliśmy – oznajmił. – Fajnie było. A teraz posłuchaj. Wiem, co sobie myślisz. Że gorączka, wyrzuty sumienia, bla, bla, bla. Ale to całe pieprzenie już nie ma znaczenia. Wy tutaj w miastach nic nie wiecie, nic nie widzieliście. A na wsiach trwa wojna. Tam naprawdę walczą o życie. Na widły, siekiery, noże. Nie masz pojęcia, jak szybko cichną wyrzuty sumienia. Zabijesz raz i czujesz się potwornie. Zabijesz drugi i jest ci przykro. Zabijesz po raz trzeci i trach! – strzelił palcami. – Bańka pęka. Żadnych wyrzutów sumienia. Żadnego płaczu nad tym, co się robiło podczas berserku. Jeszcze tego nie pojmujesz. Ale może będziesz miał czas się nauczyć, jeśli grzecznie oddasz mi dziewczynę. Wiesz, mógłbym cię po prostu zabić i ją zabrać.

Ale na razie nie chcę sobie robić kłopotów w Krakowie. Ze szpitala pewnie gapią się na nas gówniarze. Więc trochę mi na twoim życiu zależy. Ale nie jakoś bardzo. Rozumiesz?

– Nie oddam wam Kaśki.

– Rogacz? Ilu ludzi do dziś zabiłem?

– Tylko wczoraj trzech, szefie. W banku.

– W banku... – zamyślił się Czachnul. – Masz pojęcie, Stańczyku, że zginęli, bo nie chcieli mi oddać tej kasy? Ty myślisz, że ona jest nic niewarta. I ja też tak myślałem. Poszliśmy do tego banku dla jaj. Ale okazało się, że oni, w tym śmiesznym banku, się z nami nie zgadzali. Nie wiem czemu. Ludzie w irracjonalny sposób przywiązują się do różnych pierdół. Oni do kasy, ty do gówniary. Więc weź, do kurwy nędzy, ten milion, a może i więcej, ten szmal wart życia trzech ludzi. I odejdz w jebanym pokoju. Albo zapomnę, że nie chcę sobie robić kłopotów. Zabiję cię. Zgwałcę i zaszlachtuję tę twoją chudą księgową. A gówniara i tak będzie moja.

Lucynie zrobiło się wstyd, lecz w tym momencie uznała, że propozycja Nomady wcale nie była taka zła. No trudno, straciliby Kaškę. Ale przeżyliby. Nawet ona nie wierzyła, że poradzą sobie z piątką zabójców. Nie była pewna, czy da radę choć jednemu. Obu mężczyzn, których zabiła, podeszła od tyłu. I wierzyła, że ich skażona jasność dodawała jej sił.

– Rafał... – szepnęła, ale nie dokończyła.

Już prawie nie było w nim zwykłej jasności. Pożarła ją krwista, choć wciąż pełna blasku czerwień.

Gdy się odezwał, jego głos ciągle drżał, lecz nie była już pewna, czy to efekt strachu.

– Nic z tego – oznajmił Nomadom. – Spróbujcie, jeśli chcecie. Pewnie wygracie. Ale któryś z was też może zginąć.

Wyjął z pasa swoją śmieszoną małą finkę o czarnym ostrzu. Nawet ręka, w której ją trzymał, drżała. Lucyna nie czekała dłużej. Wyszarpnęła z plecaka siekierkę. Umrą tu, niech to szlag. Chyba że dzieciaki ze szpitala przyjdą im z odsieczą. Może już się skradają, ukryte między samochodami? Może za chwilę Nomadzi skończą ze strzałami w gardłach?

Czachnul westchnął demonstracyjnie.

– Ogień – rzekł do rudowłosego – zajmijcie się ze Skrzatem księgową. Rogacz, Miluś, pilnujcie, żeby mała nie zwała. Ja ukatrupię Stańczyka.

A potem znów zwrócił się do Rafała.

– Nielicho mnie wkurwiłeś, błaznie – zawołał, odrywając stopę od ziemi i ruszając ku Rafałowi w nagłym, gwałtownym zrywie motocykla.

CZĘŚĆ CZWARTA Noc

*I am standing up at the water's edge in my dream I cannot make a single sound
as you scream it can't be that cold, the ground is still warm to touch this place is
so quiet, sensing that storm Peter Gabriel, Red Rain*

Rozdział 19

KAROL

Zaraz za bramą kościoła natknęli się na czwórkę udreńczonych Pokutników przywiązanych do drewnianych rzeźb przedstawiających jakichś nieznanym Karolowi świętych. Pokutnicy wtulali się w figury wielkości dorosłych ludzi, zarzucając im związane w nadgarstkach ręce na szyję. Byli półnaczy, po niedawno potraktowanych biczem plecach wciąż jeszcze ściekała świeża krew.

Każdy z nich na czole miał wrzynającą się w ciało koronę z cierni.

To było gorsze nawet od wyczynów Jerzego, uznał Karol. Kardynał miał rację: dochodziło tu do niesłychanego marnowania ludzkiego potencjału. Choć już wcześniej Kapitan zdawał sobie sprawę z praktyk Pokutników, nigdy dotąd nie przyglądał się jednemu z ich rytuałów z tak bliska. No i wcześniej nie myślał o nich jako o zasobach. Czy mogło mu brakować wizji?

Zdawał sobie sprawę, że należał do pragmatyków. Okazał się sprawnym organizatorem, nie wahał się podejmować trudnych decyzji i najwyraźniej starczało mu charyzmy, by utrzymać Strażników w ryzach. Możliwe jednak, że wciąż potrzebował kogoś w rodzaju Jerzego – człowieka pełnego ideałów, posiadającego wyobrażenie o tym, do czego powinna zmierzać

ludzkość. Jedyne kłopot polegał na tym, by ów wizjoner nie okazał się równocześnie szalony jak Jerzy albo prorocy Pokutników.

Za jego plecami Ochłap splunął na podłogę.

– Pojebańcy – mruknął.

W kościele Świętej Katarzyny, tak samo jak w kościele Bożego Ciała, panował półmrok rozpraszany wyłącznie światłem świec palących się przy ołtarzu. Choć za murami świątyni letnie popołudnie ulegało kolejnej fali upałów, wewnątrz panował chłód, Karolowi zrobiło się wręcz zimno. Od razu przyszło mu do głowy, że przy odrobinie wysiłku dałoby się wykorzystać to pomieszczenie jako chłodnię. Pewien problem wiązałby się wyłącznie z kwestiami logistycznymi. Choć Święta Katarzyna formalnie znajdowała się na terytorium Strażników, a w dawnych czasach dystans między dwoma kościołami dałoby się zapewne pokonać w dziesięć minut pieszo, obecnie dzielące je odległości wydawały się większe. Kapitan musiałby podzielić swoich ludzi, by część z nich stale czuwała nad zapasami kościoła-chłodni. Chyba że przeprowadziliby się tutaj wszyscy? Nie, nie po to rozbudowywali i fortyfikowali okolice swojego klasztoru, by teraz je porzucać.

Być może kiedyś, w przyszłości, gdy wzrosną w siłę, Święta Katarzyna się przyda. Na razie było na to za wcześnie.

Poprowadził swoich ludzi w kierunku ołtarza. Znaleźli pod nim zmaltretowanego mężczyznę, który spazmatycznymi wyrzutami rąk wciąż starał się biczować sam siebie. Krwawił z wielu ran i wyraźnie brakowało mu sił. Ochłap wyrwał mu bicz

z ręki, po czym obrócił Pokutnika na plecy i posadził na schodach. Mężczyzna jęknął, gdy poranione ciało uderzyło o drewno ołtarza. Ochłap nie silił się na delikatność.

– Szukam kogoś, kto tu rządzi – zwrócił się do Pokutnika Karol. – To ty?

Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, uderzył przesłuchiwanego w policzek. Raz, drugi. Bił bez złości, nie wkładając w ciosy zbyt wiele siły. Chciał jedynie, by tamten zwrócił na niego uwagę. Ale choć Pokutnik jęknął kilka razy, nic nie wskazywało na to, by od bicia wzrosły jego umiejętności komunikacyjne.

– Oni mogą to lubić, Kapitanie – zarechotał Łach.

– No dobra. W takim razie spróbujcie wyciągnąć coś z tych przywiązanych.

– Jak bardzo możemy ich przycisnąć, Kapitanie? – upewnił się Ochłap.

– Tyle, ile będzie trzeba, sierżancie. O ile to cokolwiek da.

– Przyjmą ochoczo każdą pokutę. – Wszyscy Strażnicy odwrócili się gwałtownie w kierunku, skąd dochodził głos kogoś nowo przybyłego. Ujrzeni wysokiego mężczyznę w białej szacie. Gdy wszedł w krąg światła świec, dostrzegli, że był łysy, a jego czoło nosiło blizny po cierniach. – Umrą, jeśli będzie trzeba. Ale nic nie powiedzą. Śluby milczenia stanowią część ich pokuty.

– Książdz tu dowodzi? – zapytał Karol.

– Nie jestem księdzem. Nigdy nie przyjąłem święceń. Zresztą przed dniami sądu nawet do głowy mi nie przyszło, że mogę

zostać obdarowany powołaniem. Chyba nie wierzyłem w Boga. W każdym razie nie zastanawiałem się nad tym. Proszę nazywać mnie bratem Krzysztofem.

– A zatem, brat tu dowodzi?

– Sądzę, że można tak to nazwać. Jestem starszym tego zboru. W czym mogę wam pomóc, bracia Strażnicy? Przybyliście po nawrócenie?

Przed nastaniem gorączki Karolowi zdarzało się czytać powieści o mrocznych czasach średniowiecza, epoce pełnej wojen, w której Kościół sprawował władzę nieporównanie większą niż w XXI wieku. Często występowali w takiej literaturze fanatycy podobni do Pokutników. Udręczeni, brudni i niedożywieni, zazwyczaj zarządzani przez cwaniaków opływających we wszelkie dostatki i skrycie gardzących zasadami głoszonej przez siebie wiary.

Brat Krzysztof nie przypominał tych karykaturalnych, złowrogich purpuratów. Poruszał się ciężko, powoli, czasem krzywiąc się przy niektórych ruchach. Jakby co gwałtowniejsze z nich otwierały niewidoczne pod białym habitem rany. Podobnie jak inni Pokutnicy przebywający w kościele wyraźnie cierpiał na niedożywienie. Także blizny na czole dowodziły, że nieobce były mu umartwienia szeregowych owieczek. Wszystko to według Karola wskazywało, że należał do fanatyków. Trzeba więc było na niego uważać.

– Moim zdaniem religia to luksus, na jaki mogą sobie pozwolić ludzie, którzy zaspokoiли już wszystkie inne, ważniejsze potrzeby – odpowiedział Pokutnikowi. – A więc nie, nie

przyszliśmy się u pana nawracać. Póki co staramy się ratować świat.

– Zatem mamy ze sobą coś wspólnego. – Brat Krzysztof uśmiechnął się. – Bo właśnie tym się zajmujemy.

– Zapewniacie ochronę? Produkujeć żywność, żeby rozdawać ją potrzebującym?

– Oczyszczamy nasze splugawione dusze. Także pańską. Ci ludzie – wskazał przywiązanych do rzeźb – cierpią za pana, nie tylko za siebie. Starają się odkupić grzechy całej ludzkości.

– Obejdzie się. Wolę sam spłacać swoje długi.

– Więc proszę dołączyć do nas.

– Żeby się okaleczać? A może w końcu zabić w imię wiary?

– Zabić? – Brat Krzysztof zmarszczył brwi. – Skądże znowu! Samobójstwo to grzech śmiertelny. Nie upadamy w jeden grzech, by zmazać inny. Nie, bracie Strażniku, opatrujemy rany po pokucie, by zapobiegać infekcji. Gdyby Pokutnicy umierali od ran, które sami sobie zadają, grzeszyliby. Cały nasz trud szedłby na marne. Cierpimy, umartwiamy się. Pościmy, spędzamy całe dnie na modlitwach. Składamy trudne śluby i dotrzynamy ich. Ale nie łamiemy przykazań Pańskich. A jedno z nich zakazuje zabijać. Także siebie.

Czy Pokutnik mógł kłamać? Po co? By przeszkodzić Karolowi w powstrzymaniu zbiorowego samobójstwa? Domyślił się jakoś celu wizyty Strażników i naprędce wymyślał argumenty, by ich zniechęcić?

A może mówił prawdę? Choć Karol uważał się za ateistę, znał oczywiście z grubsza Dekalog, wiedział więc, że obejmował on

zakaz zabijania. Czy dotyczył też samobójstw? Chyba tak. Dawniej tych, którzy targnęli się na własne życie, chowano poza murami cmentarzy. Na znak, że byli potępieni.

Gdyby zatem Pokutnicy byli prawdziwymi chrześcijanami, faktycznie nie mogliby się sami zabijać. Ile w nich jednak zostało ze starej religii? Głosili przecież, że Bóg opuścił ludzkość. Dla Karola nie brzmiało to zbyt chrześcijańsko. Z drugiej strony uważali, że żyli już w czasach po apokalipsie, po zakończeniu historii ludzkości. Zbawieni poszli do nieba, reszta mogła liczyć tylko na Boże miłosierdzie.

Niemniej Kardynał mógł oszukać Karola. Niemal od początku powołania Strażników starał się ich wykorzystać przeciwko Pokutnikom. Może opowieść o zbiorowym samobójstwie była nową pułapką?

– Wasze zgromadzenie znajduje się na terytorium Strażników – oznajmił. – Może wam się wydawać, że nie podlegacie naszym prawom. Ale dbamy o porządek tutaj. O ludzi, których otaczamy opieką. Dotąd nie przeszkadzaliśmy w waszych rytuałach. Lecz dotarły do nas niepokojące wieści. Musimy je sprawdzić.

– Zapewne od Krzyżowców? – odgadł brat Krzysztof. – Nie powinieneś ich słuchać, bracie. To szaleńcy, fanatycy. Nie dopuszczają do siebie głosu Pana! Sądzą...

– Teologia mnie nie interesuje – przerwał mu Karol. – Tylko prawda.

– Zapewne nie zdajesz sobie sprawy z ironii zawartej w twoich słowach – westchnął Pokutnik. – Pan nasz, Jezus Chrystus, z

którego męki czerpiemy siłę i inspirację, powiedział: „Ja jestem Drogą, Prawdą i Życiem”. Jeśli szukasz prawdy, bracie...

– Ta moja jest trochę mniej absolutna. Niech pan na chwilę przestanie mnie nawracać i posłucha. Zrobimy tak: nie podejmę na razie żadnych działań przeciwko wam. Ale sprawę trzeba wyjaśnić. Pójdzie pan z nami i zostanie u nas do czasu, aż upewnimy się, że nic wam nie grozi.

– Twoja propozycja świadczy o tym, że w głębi ducha starasz się być dobrym człowiekiem. Ale...

– To nie jest propozycja. Ochłap!

Sierzant jednym susem przesadził stopnie ołtarza i dopadł Pokutnika. Chwycił go za rękę, wykręcił ją, a mężczyznę obalił na podłogę kościoła. Skuł go szybko i sprawnie.

– Proszę się uważać za przewencyjnie aresztowanego – oświadczył Karol. – Czy oprócz pana i tej pozostałej piątki jest w kościele ktoś jeszcze?

– Nie ocalało nas wielu, bracie. To wszyscy moi parafianie.

– Dobra. Więc odczepimy tych przywiązanych do rzeźb, żeby nie umarli pod pana nieobecność. Przyślę tu potem lekarza i paru ludzi z czymś do żarcia. Ale pana zabieramy ze sobą.

K R U C H Y

Kruchy zwolnił Pawełka i Ochotę. Pognali od razu do kantyny. Kapralowi nie chciało się jeść. Wolałby pogadać z Kapitanem, ale ten wybrał się do Popielnych. Po co, Kruchy nie wiedział. Usiadł pod wewnętrznym murem twierdzy, obecnie

najstarszym jej umocnieniem, pochodzącym jeszcze z czasów sprzed gorączki. Wyjął z kieszeni jeden z ukradzionych Krystynie papierosów. Lepiej myślało mu się, gdy palił.

A musiał się zastanowić nad paroma sprawami. Zbyt wiele rzeczy ostatnio mu się nie podobało.

Nie należał do myślicieli. Nie starał się na przykład wymyślać, skąd wzięła się gorączka i czym naprawdę była. Słuchał, jak inni Strażnicy rozmawiali o tym. Pamiętał nauki Kapitana Jerzego, a czasem pozwalał swojej babie wygadać się na ten temat. Ale tak naprawdę guzik go to wszystko obchodziło. Gorączka przyszła i minęła. Może jeszcze kiedyś wróci, a może nie. Żadna z tych rzeczy nie zależała od Kruchego. Podziwiał i Kapitana, i Krystynę, że chciało im się poświęcać czas na rozważanie wielkich spraw i siłowanie się z rzeczywistością. Ale kapral Kruchy był jednym z tych małych ludzi przywykłych, że inni decydują za nich. Tak naprawdę chciał mieć tylko święty spokój i gwarancję, że nie będzie musiał harować jak wół na starość. Gorączka nie zmieniła wiele w jego postrzeganiu świata. Tak jak przed nią pozostał trybikiem w maszynie. Bardzo mu to odpowiadało.

Ale ta przeklęta syrena, którą zobaczył, zburzyła jego spokój. Nie chciała mu wyjść z głowy! Skąd się wzięła? Czy stanowiła jakiś nieznaną Kruchemu gatunek ryb albo innych rzecznych stworzeń? To możliwe, nigdy nie interesował się zoologią, ani w ogóle biologią. Wędkarzem też nie był. Czy możliwe, że takie stworzenie wyewoluowało samo

z siebie? A może to faktycznie był jakiś mutant, dzieło ścieków i smogu?

A może, choć z trudem dopuszczał do siebie tę myśl, to był znak? Nie wielkie objawienie adresowane do kaprała – Kruchy nie nadawał się na proroka i świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Ale syrenka, jeśli w ogóle istniała, mogła stanowić znak nowych czasów. Bo jeśli berserk nie był wirusem ani załamaniem nerwowym całej ludzkości, to czym był? Może początkiem nowego świata? Świata, w którym ludzkość straci na znaczeniu i będzie musiała dzielić Ziemię z innymi istotami?

Po co Kapitan polazł do tych Popielnych? Dotąd bagatelizował ich, wyśmiewał. Wysyłał tylko patrole, by sprawdzały, co u nich słychać. A teraz wybrał się osobiście. Coś musiało go do tego skłonić. Ale co?

Czyżby podobne wahania jak te, które zawładnęły Kruchym?

A potem, gdy niebo pociemniało, a ciemnoczerwone słońce spłynęło za Wisłę, zza której zakrwawiło cały horyzont, Kapitan wreszcie powrócił. Zatrzymał się zdziwiony widokiem prawie wszystkich Strażników zebranych na dziedzińcu. Blisko pięćdziesięciu ludzi przypatrywało się bez słowa jemu i jeńcowi, którego przyprowadził.

Kruchemu nie podobało się to milczenie. Coś się szykowało. Czemu nie wiedział co?

Przed Strażników wyszła jego baba w towarzystwie porucznika i Kardynała.

– Ostrzegałem! – zawołał ten drugi. – Ostrzegałem! Już zaczął swoją wojnę!

– Niczego nie zacząłem. – Kapitan ruszył ku zebrany. – Przyprowadziłem tylko czasowo zatrzymanego. Będziemy musieli poważnie porozmawiać, Kardynale.

– Chwileczkę, Kapitanie. – Porucznik wyszedł mu naprzeciw. – Zaszły pewne nowe okoliczności. Wygląda na to, że dzięki kapralowi Kruchemu i pani doktor zidentyfikowaliśmy zabójcę. Wie pan, tego od zjadania mózgow.

– Zatrzymaliście go?

– Jeszcze nie. – Porucznik zawahał się. Opuścił wzrok. – Wszystko wskazuje na to, że to pan, Kapitanie.

– Ja? – Po raz pierwszy, odkąd Kruchy poznał Kapitana, ten wyglądał na zdumionego. – Zwariowaliście, poruczniku? Kruchy! Melduj się! Co to za brednie?

– Żadne brednie! – Krystyna poparła porucznika. – To tylko straszliwa zbrodnia oszalałego dyktatora! Zwołaliśmy tu zgromadzenie Strażników, Kapitanie, by osądziło pańskie czyny! Mamy dowody i przedstawimy je!

– Ach tak? – Cofnął się, oparł dłoń na rękojeści rewolweru. – A te dowody znalazła zapewne pani? Dostyc tego! Tolerowałem pani nienawiść do mnie, ale teraz zagraża pani Strażnikom. Kończymy z tą farsą!

Sięgnął po broń, ale nie wyciągnął jej. Ciężkie łapsko stojącego za jego plecami Ochłapa spadło na jego dłoń i tak jak wcześniej brata Krzysztofa, tak teraz Kapitana obezwładnili

ludzie, których sam uważał za najbrutalniejszych wśród Strażników.

– Opowiem wszystko! – zawołał Ochłap, odbierając dowódcy broń. – Złożę zeznania! Opowiem, jak próbował mnie zmusić do wymordowania Pokutników!

Obalony na kolana Kapitan uniósł głowę, by spojrzeć na swojego sierżanta, a potem na Krystynę i Kardynała.

– Ach tak – mruknął. – Głupiec ze mnie.

– Dowody! – zawołał ktoś z tłumu. – To Kapitan! Przedstawcie dowody, dranie!

Może nie zyskał entuzjastycznego poparcia, lecz gniewny pomruk, jaki przetoczył się przez dziedziniec, dowodził, że Strażnicy, zszokowani rozwojem wypadków, nie spieszyli się do wystąpienia przeciwko swemu Kapitanowi.

– Będą i dowody! – zawołała Krystyna. – Ale najpierw zeznania. Kruchy! Kapralu Kruchy! Jesteś tu?

Kruchy cisnął na ziemię niedopałek czwartego wypalanego tego dnia papierosa. Szedł ku swojej babie niechętnie. Znając ją, podejrzewał, że zaplanowała wszystko zbyt dobrze, by Kapitan zdołał się wywinąć. A skoro go wołała, pewnie i on miał wziąć udział w tym buncie.

Nie podobało mu się to. Nie rozumiał części decyzji Kapitana, niektórych nie pochwalał. Miał go za zimnego, pozbawionego uczuć drania. Ale równocześnie uważał, że ten drań był najlepszym dowódcą, jaki mógł im się trafić. I znał nienawiść Krystyny do niego. Możliwe, że spiskowała przeciwko Kapitanowi od dawna, odkąd uratował jej życie.

– Jestem! – zameldował się. Demonstracyjnie najpierw zasalutował klęczącemu i przytrzymywanemu przez ludzi Ochłapa Kapitanowi, a dopiero później porucznikowi. Na swoją babę nawet nie spojrział.

– Mów głośno, kapralu – pouczył go porucznik. – Wszyscy muszą słyszeć twoje zeznania. Zrozumiałeś?

– Tak jest.

– Dobrze. Pierwsza sprawa. W tym tygodniu przeprowadziłeś zwiad w Nowej Hucie, tak?

– Tak jest!

– W mundurze Strażnika?

– Nie, po cywilnemu!

– Czemu?

– Miałem się nie rzucać w oczy. Pogadać z ludźmi nieformalnie. Zobaczyć, co się tam wyprawia.

– A co się wyprawia?

– Budują mur. Miałem wybadać, czemu to robią, jak wielki ma być. Takie sprawy.

– I czemu to robią?

– Różnie mówią, poruczniku. Jedni, że to ze strachu przed Nomadami. Inni, że na wszelki wypadek. Jeszcze inni, że ich przywódca, wiecie, ten cały Jan, miał jakąś wizję. A ten mur ma być ogromny. Otaczać całą starą Nową Hutę. Żeby go zbudować, rozwalają nowe osiedla na budulec. Robią to na poważnie, poruczniku.

– Czy Kapitan wysłał cię tam osobiście?

– Tak jest.

– Czy mówił, jaki jest cel tej misji?
– No, zbadać mur, pogadać z ludźmi...
– Inaczej: czy mówił, co za nią stoi?
– Pan nie wie?
– Chcę to usłyszeć od ciebie.
– Kapitan spodziewa się, że dojdzie do wojny. Nas z nimi.
– Spodziewa się, że dojdzie, czy planuje zaatakować Hutę? – wtrąciła się Krystyna. – Bo to istotna różnica!
– Kapitan chciał, żebym wybadał słabe strony. Żebym sprawdził możliwość przeprowadzenia ataku – uściślił Kruchy.
– Ale moim zdaniem...
– Nie interesuje nas twoje zdanie, kapralu! – upomniał go porucznik. – Tylko fakty!
– A faktem jest, że Kapitan szykował się do ataku na Nową Hutę! – zawołała Krystyna. – I nie tylko na nią!
– Teraz druga sprawa, kapralu. – Porucznik odczekał, aż ucichły rozmowy pobudzone oświadczeniem lekarki. – Wasze śledztwo. Opowiedzcie nam o nim.
Cały czas unikając wzroku swojej baby, Kruchy opowiedział, jak znaleźli zwłoki przy Stradomskiej. O swoim tropieniu krwawych śladów i o tym, jak Kapitan z Krystyną przyjechali obejrzeć trupa. Streścił cały dzień daremnych poszukiwań świadków i pochwalił się swoim pomysłem na sprawdzenie odcisków palców. Gdy przeszedł do części z Odciskiem, przez tłum przebiegł szmer nerwowego śmiechu. Większość Strażników znała Odciska i jego szajbę.

– Czyli zdobył pan księgę Odciska i zaprowadził go do pani doktor Krystyny, żeby wspólnie zdjęli odciski palców z ciała zamordowanego i jego ubrań?

– Tak jest, oddałem go swojej babie – przyznał Kruchy. – Więcej nic o sprawie nie wiem.

Nieprawda. Spodziewał się już, do czego to wszystko zmierzało. Nie wiedział jednak, jak zapobiec nieuchronnemu rozwojowi wypadków. Na razie był bezsilny.

– W takim razie jesteś wolny, kapralu. Póki co. Wzywam na świadka Odciska!

To, zdaniem Kruchego, nie był najlepszy pomysł. Nieszczęsny pomylenieć może zagadać wszystkich na śmierć, a przy okazji tak pogmatwać zeznania swoimi dywagacjami, że świt zastanie ich tu znudzonych i ledwie pamiętających, o co właściwie chodziło. Kapral odszedł i przystanął nieco z boku. Nie zdecydował się wejść między Strażników, nie chciał też stać między oskarżycielami. W tłumie odnalazł wzrokiem Pawełka i Ochotę. Wydawali się równie zaskoczeni jak cała reszta zebranych. Ale przy tym zafascynowani.

Też jak wszyscy Strażnicy.

Kapitan nie ma szans, uznał Kruchy. Nie pokonają go fakty, lecz widowisko, jakie moja baba urządziła za ich pomocą.

Odcisk zeznawał płaczliwie i nieskładnie, jednak porucznikowi udało się wydobyć z jego wypowiedzi to, co najistotniejsze, a Krystyna podkreślała wszystkie wygodne dla niej fakty, wykrzykując je głośno. Tak, Odcisk od początku nowego życia zbiera odciski ocalałych i jest w tym specjalistą.

Tak, zna się na tym, ukradł z Biblioteki Jagiellońskiej książki poświęcone daktyloskopii. Pomagał pani doktor zdejmować odciski pozostawione na ciele i ubraniu ofiary. Było ich kilka. Prawie wszystkie zidentyfikowali w księdze Odciska. Tak, znalazły się wśród nich odciski palców Kapitana.

Tłum zaszumiał ze zdumieniem i zgrozą. Niczym na spektaklu teatralnym.

– Co dowodzi tylko tyle, że dotykałem trupa! – zawołał Kapitan. – Na przykład ładując go na wóz! Odciski Pawełka i Ochoty też tam pewnie są! I lekarki!

– Są! – potwierdził ochoczo Odcisk, szczęśliwy, że może opowiadać o swojej pasji. – Wszystkie dokładnie sprawdziłem!

– Dysponujemy i innymi dowodami! – ogłosiła Krystyna. – Przyjdzie na nie pora. Teraz chcielibyśmy...

Porucznik odchrząknął stanowczo, a ona umilkła.

– Wzywam na świadka Kardynała Krzyżowców! – zawołał.

Zbolałym głosem klecha wyznał, że wezwany przez Kapitana ze zgrozą dowiedział się, iż ten planuje zaatakować i wybić Pokutników. Starał się odwieść go od tego zbrodniczego zamiaru, ale dowódca Strażników był nieprzejednany. Pieklił się, klął. Groził Kardynałowi śmiercią. Krzyczał, że zaprowadzi porządek, choćby po trupach wszystkich ocalałych.

„Przegiął – uznał Kruchy. – Nikt mu nie uwierzy. Wszyscy wiedzą, że kapitan ma tyle uczuć co głąz”.

Kiedy jednak spojrział na swoich kolegów, stracił pewność siebie. Oni wyglądali na przekonanych. Kruchy przypomniał sobie, że większość z nich nie zna dowódcy tak dobrze jak on.

Że widzieli go czasem zagniewanego, choć udawał tylko gniew, sądząc, iż zdobywa nim mores. Pamiętali, że zabił Jerzego, a część z nich skazywał na chłostę. Dla nich obraz ogarniętego furiją dowódcy wcale nie musiał być fałszywy.

Następny zeznawał Ochłap. Opowiedział, że Kapitan chciał rozwalić wszystkich Pokutników na miejscu i spalić ich kościół. Opuścił, gdy Strażnicy odmówili wykonania tak zbrodniczego rozkazu.

– Może przepytacie brata Krzysztofa, a nie faceta, którego osobiście wychłostałem? – zaproponował Kapitan.

– Nie słyszałem, o czym rozmawiali Strażnicy – oświadczył Pokutnik. – Ten człowiek – wskazał Ochłapa – sponiewierał mnie i skuł.

– Robiłem to, by ocalić ci życie! – zaperzył się Strażnik.

– Możliwe. Wybaczam ci, bracie. Kapitanowi także wybaczam, jeśli chciał mnie zabić.

I tyle przyszło z jego zeznań. Nie pomogły Kapitanowi uniknąć opinii krwawego despoty szykującego się do wojny ze wszystkimi ocalałymi.

– To nie wszystko! – Krystyna uniosła ręce, by uciszyć szemrzący tłum. – Najważniejszy dowód zachowałam na koniec. Wiemy już, że Kapitan szykował się do ataku na Nową Hutę. Wiemy, że chciał pozabijać Pokutników. Pamiętamy, że własnoręcznie wykonywał kary chłosty, jakby czerpał z tego przyjemność. I że własnoręcznie zamordował trzech naszych towarzyszy. Nie ukarał ich, nie wygnał. Po prostu ich

zastrzelił. A potem kazał nadziać głowę Kapitana Jerzego na krzyż na dachu kościoła. I awansował tego, kto to zrobił!

– Tak było! – bąknął Ochłap, ale niepewnie. Być może uświadomił sobie właśnie, że może stać się następnym oskarżonym. – Protestowałem! Ale co mogłem zrobić?

Co najmniej połowa zebranych pamiętała, jak Ochłap chełpił się swoim wyczynem. Część z nich mogła też zaświadczyć, że była to jego inicjatywa. Ale nikt nie zaprotestował. Możliwe, że pojęli, co się działo i woleli stać po stronie zwycięzców. A może tak bardzo dali się wciągnąć w spektakl, że uwierzyli w jego przekaz nawet wbrew własnej wiedzy?

Kruchy nie mógł mieć do nich pretensji. On też nie protestował. Nie miało to najmniejszego sensu. Krystyna od tygodni czarowała swoimi opowieściami każdego, kto chciał słuchać. Opowiadała o Jerzym, jakby był świętym męczennikiem, i stopniowo zacierała w pamięci Strażników obraz świra opętanego manią wielkości. Przygotowywała grunt pod to, co miało wydarzyć się tej nocy.

– Dlaczego Kapitan robił to wszystko? – zapytała zgromadzonych. Wędrowała wzdłuż szeregu Strażników i wydawało się, że mówi do każdego z nich z osobna. Niektórzy, uwiedzeni nastrojem, próbowali jej odpowiadać, ale nikt ich nie słuchał. – Z troski o Strażników? Ponieważ wydawało mu się, że w ten sposób zabezpieczy naszą przyszłość? A może dlatego, że jest niebezpiecznym szaleńcem, który tęskni do zabijania? Który nigdy do końca nie ocknął się z amoku? Ja wam mówię, że to właśnie o to drugie chodzi. On kocha zabijać! Jest bestią

ukrytą pośród nas! Marzy, by skąpać się w ludzkiej krwi! Ale to tylko moje zdanie. Byłam uczennicą Jerzego. Mogę się mylić, być zła na Kapitana, prawda? Czy potrzeba wam jeszcze więcej dowodów?

– Na razie to nie dowody, tylko brednie i poszlaki – odpowiedział jej Kapitan.

Nie zwróciła na niego uwagi.

– Chcecie dowodu? – zawołała. – Ostatecznego dowodu? Przemówcie!

– Chcemy dowodu! – zawołało kilku Strażników.

– Nie słyszę! – Przyłożyła dłoń do ucha. – Nie słyszę! Nie jestem jak on. Nie zrobię nic przeciwko wam i w ukryciu przed wami. Więc powiedzcie mi, czy chcecie dowodu.

– Daj nam dowód! – ryknął tłum.

I w tym momencie, jak uznał Kruchy, było już po Kapitanie. Tak naprawdę Strażnicy nie potrzebowali ani słowa więcej. Krystyna zapanowała nad nimi. Wiwatowali, popędzali ją i nagradzali pochwałami, gdy opowiadała, jak podczas pierwszych oględzin ciała zamordowanego od razu zauważyła, że rany zadano maczetą. Że początkowo nie przejęła się tym, bo mnóstwo ludzi w Krakowie miało maczety. Ale potem, kiedy dowiedziała się o krwawych planach Kapitana i odnalazła jego odciski palców na ciele i ubraniu ofiary, postanowiła kopać głębiej. W karku zamordowanego znalazła ukruszony kawałek stali. Mógł pochodzić z maczety. Trzeba go było tylko dopasować do odpowiedniej broni.

– Mogę się jeszcze mylić! – zawołała. – Mogę być w błędzie! Ale sprawdzimy wszystko tu, na waszych oczach. Bo wy jesteście świadkami! Wy jesteście sędziami! Wy jesteście Strażnikami!

– Jego maczeta! – krzyk tłumu zatrzęsł murami otaczającymi kościół. – Dawać jego maczetę!

– Kapitanie? – Odwróciła się do człowieka, który chyba już zdawał sobie sprawę z tego, że został skazany. – Pańska maczeta?

– On ją ma. – Kapitan wskazał ruchem głowy Ochłapa, trzymającego w ręku pas, do którego przytroczona została kabura z rewolwerem i maczeta. – Od jakichś... – zerknął na zegarek – ... dwóch godzin.

Krystyna przyjęła maczetę z rąk Ochłapa. Uniosła ją nad głowę, by wszyscy mogli zobaczyć broń Kapitana. Nie widzieli wprawdzie dokładnie, ciemności nocy rozpraszały tylko pochodnie trzymane przez kilkunastu Strażników. Ale niepotrzebny był już dowód, a jedynie gest. Na oczach wszystkich Krystyna wyjęła z kieszeni woreczek z ułamkiem metalu i podała go porucznikowi. A ten wydobył niewielki fragment stali znaleziony ponoć w ciele zabitego i przyłożył go do szczyrby w ostrzu maczety.

– Pasuje! – oznajmił ze smutkiem.

Tłum zawył. Krystyna pozwoliła się wykrzycheć Strażnikom. Odczekała, aż sami zaczną cichnąć, a wtedy uniosła dłoń.

– Mamy dowód! – zagrzmiała. – Kapitan jest winny!

Znów musiała przerwać, nikt nie byłby w stanie natychmiast zapanować nad rykiem zdumionych, ale przekonanych, że mówiła prawdę, Strażników. Coraz wścieklejszych, że pozwalali rozkazywać zbrodniarzowi.

– Ten bezlitosny morderca – wskazała Kapitana – znał rozkłady posterunków, sam je układał. Z łatwością mógł się między nimi przemknąć, by zabijać, dawać upust swojej żądzy krwi. Masakrował ofiary! Ale tego było mu za mało. Pożerał je! W dodatku planował wszystkich nas zmienić na swój sposób. Marzył o wojnach, w które zamierzał nas wciągnąć. O rzece krwi. Przedstawiliśmy wam dowody. To potwór. Bestia. Czy jest winny?

– Winny! – zawył tłum niesiony poczuciem sprawiedliwości i pragnieniem słusznego przelewu krwi.

– Kara może być tylko jedna – oświadczył porucznik, wychodząc przed Krystynę. – Nie dlatego, że chcemy się zemścić, albo że jesteśmy jak on spragnieni zabijania. Ale to bestia. Nie możemy pozwolić jej żyć.

– Zabić go! – domagali się Strażnicy. – Zetnijmy mu łeb! I zawieśmy na kościele!

– To byłoby barbarzyństwo! – spróbował powstrzymać co bardziej ochoczych porucznik.

– Nie jesteśmy tacy jak on! – ponownie przejęła inicjatywę Krystyna. – Nie będziemy mordować skrycie! Jesteśmy Strażnikami! Chronimy prawa!

Zawahali się.

– Powiesimy go o świcie na placu Wolnica – ogłosiła. – Tam dawniej wykonywano wyroki. Przez noc ochotnicy zbudują szubienicę. Kto się zgłasza do pracy?

Prawie wszyscy podnieśli ręce. Kruchy starał się odnaleźć wzrokiem tych, którzy tego nie zrobili. Nie znalazł wielu.

Kapitana zawleczono do karceru. Tłum skandował: „Bestia! Bestia!”, gdy niegdysiejszy dowódca szedł między nimi. Krystyna upajała się swoją zemstą. Dostrzegła jednak Kruchego stojącego z boku. Podeszła do niego tanecznym krokiem.

– Nie jesteś zadowolony, że sprawiedliwości stało się zadość?
– zapytała.

Doszukał się pomruku groźby w jej głosie. A może tylko mu się zdawało?

– Sprawiedliwość jest super. Skoro jest winny, niech zawiśnie. Ale martwię się tym, co będzie dalej. Ten tłum... To może być początek anarchii.

– Och, nie martw się, kochanie. – Poglaskała go po policzku. – Porucznik, Kardynał i ja zapanujemy nad nimi. To początek nowych, lepszych czasów.

– Obyś się nie myliła. – Uśmiechnął się. – W takim razie gratulacje, moja pani Kapitan. Mam nadzieję, że o mnie nie zapomnisz.

– Och, przestań! – roześmiała się sztucznie. – Pani Kapitan! Też wymyśliłeś! Jestem lekarzem, mój drogi, nikiem więcej. Chodź, porucznik kazał otworzyć beczkę piwa. Dziś świętujemy. Dołącz do nas!

– Oczywiście!

Wmieszał się w tłum, wypił kufel, potem drugi. Ludzie gratulowali mu udziału w śledztwie, a on śmiał się z nimi, ściskał ich, wznosił toasty za swoją babę. Kiedy stracili nim zainteresowanie, wymknął się do Doktora. Jednego z tych, którzy nie podnieśli ręki.

Rozdział 20

R A F A Ł

Znów ocknął się w kręgu ciał. Stał pośród nich, w ręku trzymając jakąś broń, do ciężaru której nie był przyzwyczajony. Spojrzał na nią zdziwiony. Szabla. Szabla jednego z Nomadów. Skąd się u niego wzięła?

Czuł piekący ból w ramieniu, gdzie musnęło go ostrze włóczni tego... Wysiłił pamięć, by przypomnieć sobie imię dowódcy motocyklistów. Czachnula.

Poczuł wstyd na myśl o tym, że zawiódł. Musiał oberwać na samym początku walki i stracić przytomność. A teraz... Tamci nie żyli. Ktoś ich zabił. Kto?

– On nie pamięta? – usłyszał za plecami przejęty zgrozą, ale i zdumieniem głos Lucyny.

– Chyba nie – odpowiedziała Kaśka. – Za pierwszym i drugim razem też nie pamiętał.

Kaśka! Lucyna! Żyły!

Odwrócił się ku nim. Lucyna krzyknęła przestraszona, gdy ruszył w jej kierunku. Cofnęła się odruchowo. Za to Kaśka wybiegła mu naprzeciw i przytuliła się do niego.

– Uratowałeś mnie! – zawołała. – Wiedziałam!

Ręce mu opadły. Jak to: on uratował?

– Co tu się stało? – zapytał głucho.

– Naprawdę nie pamiętasz? – Lucyna przyglądała mu się nieufnie. – Uchyliłeś się przed ciosem tej włóczni, ale za wolno, musnęła cię w ramię. A potem... Twój blask po prostu eksplodował szkarłatem. Prawie mnie oślepiłeś! Zrzuciłeś tego całego Czachnula z motoru. Chwyciłeś go, gdy cię mijał, uniosłeś, jakby nic nie ważył, i cisnąłeś o tamten słup. – Wskazała latarnię uliczną, pod którą leżało pogruchotane ciało Nomady. – Wtedy reszta straciła nami zainteresowanie. Zaatakowali cię. I wtedy... – Przerwała. Zasłoniła usta dłonią.

– Nie wiem, jak to opowiedzieć. To był...

– Berserk – dokończyła za nią Kaśka. – Wpadłeś w berserk. Byłeś jak opętany. Jak zwykle, gdy mnie ratujesz.

– Ja ich zabiłem? – Powoli docierało do niego, co mówiły. – W szale? Zachorowałem? Zaraz, Lucyna, jaki blask? Jaki szkarłat?

– Musimy mu powiedzieć! – zdecydowała Kaśka wciąż wtulona w Rafała. Powstrzymała go przed upadkiem, gdy osłabł nagle i zachwiał się na nogach.

– Puść! – szarpnął się, kiedy zrozumiał, że rzeczywiście mógł znów paść ofiarą szaleństwa. Przecież było jak wtedy: dziura w pamięci i krew na rękach. Niby skąd wzięła się ta szabla w jego dłoni? Musiał ją wyrwać któremuś z Nomadów podczas walki! – Uciekajcie ode mnie! Jeśli wpadłem w berserk, to jestem niebezpieczny! Należałoby mnie zabić!

Lucyna wyglądała, jakby zastanawiała się, czy go nie posłuchać. Ale Kaśka tylko chwyciła go mocniej.

– Nic nam nie zrobisz! – zawołała. – Zobacz: myślisz, mówisz. Nie jesteś opętany!

– Teraz nie jestem – zgodził się. – Ale przed chwilą byłem, prawda? Proszę, puść mnie. Nie ucieknę. Muszę usiąść.

Klapnął na chodnik. Ukrył twarz w dłoniach. Ciągle był zarażony! Wystarczyła chwila, ból w ramieniu i wpadł w zabójczy szal. To cud, że nie pozabijał dziewczyn.

– Musimy mu powiedzieć – nie ustępowała Kaśka. – Jest wstrząśnięty. Przerażony. Ucieknie od nas, jeśli wszystkiego mu nie wyjaśnimy. Najpierw ja, potem ty.

– Może to niegłupi pomysł, żeby sobie uciekł? – rozważała Lucyna. – Albo żebyśmy my uciekły? Albo niech wszyscy uciekają, każde w swoją stronę?

– Lucyna! – Kaśka spojrzała na nią surowo. – Beze mnie nie znajdziesz swojej siostry. A ja z tobą nie pójdę, jeśli mu nie pomożesz.

Rafał słyszał ich rozmowę, lecz nie do końca ją pojmował. Lucyna się go bała, to jasne. Sam się siebie bał. Za to Kaśka wydawała się nieulekła. Czy nie taka sama była wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy? Ale przecież to jeszcze dziecko. One reagują inaczej, czasem głupiej. Wierzą we własną nieśmiertelność. Lucyna miała rację. Powinien zabierać się od nich w cholerę, zanim którąś skrzywdzi. Musi tylko chwilę odpocząć i...

– Opowiem ci wszystko od początku. – Kaśka usiadła obok niego. – Od naszego pierwszego spotkania.

– Co nieco pamiętam z tamtego dnia.

– Nic nie pamiętasz. Bo ten, który pamiętasz, nie był naszym pierwszym spotkaniem. Ono nastąpiło wcześniej. Około miesiąca wcześniej.

– Miesiąca? Wtedy musiałem być...

– Oczywiście. Ale nie przerywaj mi proszę. Wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia. A potem posłuchaj Lucyny. Wtedy porozmawiamy.

Skoro i tak nie miał sił, żeby gdziekolwiek teraz iść, uzbroił się w cierpliwość. Kilka razy chciał przerwać Kaśce jej opowieść, zaprotestować. Wy tłumaczyć, że to niemożliwe, by ogarnięty szaleństwem powstrzymał gorączkę zabijania. Ale zagryzał wargi i słuchał cierpliwie. Może dlatego, że jej słowa, choć bez wątplenia zmyślała, dawały mu nadzieję?

– Więc dwa razy? – upewnił się. – Na początku berserku i pod jego koniec?

– Trzy razy – przypomniała. – Na początku, na końcu i teraz. Teraz. Skrzywił się. Wolałby zapomnieć o teraz.

– Przepraszam, Kasiu, ale to mało prawdopodobne.

– Czyli kłamie? – naburmuszyła się.

– Przestań. Wiem, kiedy dziewczyna robi obrażoną minę na pokaz. Nie kłamiesz. Bardzo chcesz mi pomóc. Ale nie ma we mnie nic wyjątkowego. Niby jak miałbym być jedynym człowiekiem na świecie, który powstrzymał atak berserku?

– Powiedz mu! – zażądała Kaśka, odwracając się do Lucyny.

– Ja... – Kobieta urwała i wbiła wzrok w ziemię. Wreszcie zakłęła i zaczęła mówić: – Ja widzę coś w ludziach. Nie we wszystkich. Po gorączce coś się zmieniło w niektórych z nas. Pojawił się blask.

– Blask?

– No, takie światło wewnątrz nas. Wiesz, że podobno byli w starym świecie ludzie, którzy widzieli wokół innych aury?

– Znachorzy. Naciągacze. Szarlatani. Tak, słyszałem o nich.

– Sama widzisz! – zawołała Lucyna. – On nie uwierzy! Taki już jest! Prawda przyszła i ugryzła go w dupę, ale on wciąż nie chce uwierzyć!

– Mów dalej! – upierała się Kaśka.

– Ten blask jest jak aura, tylko wewnątrz. Nie każdy go ma. Właściwie mniejszość. Ale ty masz. I ja pewnie też, skoro go widzę, chociaż u siebie akurat nie potrafię go dostrzec. I Kaśka go ma. U niej jest najsilniejszy. Czasem aż mnie razi. No, powiedziałam to.

– Powiedziałaś – zgodził się. – Jakiś stek bzdur o aurach. Kurde, zwariowałem, że tego słucham! Ty też zwariowałaś. Temu dziecku się nie dziwię, ale...

– Hej! – nie pozwoliła mu dokończyć Kaśka. – Jeszcze raz nazwiesz mnie dzieckiem, a pożałujesz!

Rozbroiła go. Uśmiechnął się i przeprosił ją.

– Mów dalej – nakazała Kaśka Lucynie.

– Ale co? Wszystko już powiedziałam!

– O darach powiedz.

– Ach! – Lucyna przełknęła ślinę. – To... Uważam, że blask wiąże się z jakimś darem. Zanim znów zaczniesz mówić, że zwariowałam, pomyśl o faktach. Choroba zrobiła coś z naszymi mózgami, z układami nerwowymi, prawda? Czemu zmiany, które zapoczątkowała, nie mogłyby być głębsze. Nie u wszystkich, u niektórych. Ja dostrzegam ludzi, u których mózgi, a może nawet całe układy nerwowe zostały trwale zmienione. Nie w sposób magiczny. Może wyrobiłam w sobie wrażliwość na jakiś rodzaj promieniowania, może na feromony wytwarzane przez taki odmieniony organizm? A widzę to jako światło, bo mózg tak to sobie tłumaczy. Mózg tak ma, wiesz? To, co widzimy i słyszymy, tłumaczy na swój własny język. Powiedz, czy to brzmi aż tak niedorzecznie?

– Domyślałam się, jaki jest mój talent – rzekł, ostatnie słowo wypowiadając z przekąsem.

– Wpadłeś w berserk i wyszedłeś z niego, gdy przestał ci być potrzebny. Nie zaatakowałeś nas. Kaśka mówi, że to już trzeci raz.

– No dobra. A Kaśka? Co z nią? Też ma blask i dar?

– No jasne, że mam! – zawołała z entuzjazmem Kaśka. – Ja patrzę na ludzi i wiem, co robili wczoraj albo kilka dni wcześniej. Czasem nawet przed berserkiem! Widziałam na przykład... – Przerwała i spojrzała na Lucynę spłoszona.

– Dokończ – zażądał Rafał.

– Widziałam, jak uciekała przed Maskami. – Głos Kaśki zabrzmiał inaczej, dziwnie. Rafał nabrał pewności, że kłamała albo przynajmniej nie powiedziała mu prawdy.

– I dlatego uważam, że obie zwariowałyście – rzekł, wstając. – Nie bój się, Kaśka, nie ucieknę. W jednym macie rację. Wpadłem w szal i wyszedłem z niego. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Może rzeczywiście jakoś zmutowałem podczas choroby. Ale pomyśl o jednym, Kasiu. Skoro Lucynę i mnie odmienił berserk, to jakim cudem ty masz ten swój blask i dar? Przecież dzieci nie zachorowały.

Podszedł do najbliższych zwłok i zaczął je przeszukiwać.

– Mamy robotę, prawda? – Obejrzał się na towarzyszki. – Być może Iza czeka na nas w szpitalu. Po to wybraliśmy się na przejażdżkę. Żeby ją znaleźć. Pomóżcie mi przeszukać te trupy. Może dzieciaki ze szpitala dadzą się przekonać dodatkowymi fantami.

– Dalej nam nie wierzysz, prawda? – zapytała Lucyna.

– Nie wiem, w co mam wierzyć. Dostałem ataku szału, zabiłem pięciu ludzi. Więc może jakaś część mojego mózgu panuje nad berserkiem, ty widzisz światła ludzkich układów nerwowych, a Kaśka czyta ludziom przeszłość z ich twarzy. A może wszyscy troje zwariowaliśmy. Wiem, że zbliża się osiemnasta. Możemy spędzić tu noc, rozmawiając o tym bez końca, albo udać się do szpitala i może nawet wrócić dziś przed zmrokiem do domu.

– Na motorach? – ucieszyła się Kaśka. – Nigdy nie jechałam na motorze!

– To tak jak ja. Nie umiem. Więc o ile Lucyna nie należała przed gorączką do Aniołów Piekieł, to jednak pozostaniemy przy rowerach.

K A Ś K A

Była zła na Rafała, ale rozumiała jego obiekcje. Sama też nie miała pojęcia, czemu posiada zdolność dostrzegania przeszłości ludzi. Mogłaby uwierzyć, że wymyśliła sobie to wszystko, ale przecież Lucyna potwierdziła jej domysły. Nawet to, że zabiła tamtych dwóch ludzi. Po co miałyby się przyznawać do morderstw, gdyby to nie była prawda.

A i Kaśka pewnie bałaby się morderczyni, gdyby nie to, że wspomnienia Lucyny spłynęły na nią niczym obrazy z gry komputerowej. Ona BYŁA Lucyną, czuła jej gniew i podniecenie. Widziała jej oczami skazę w blasku tamtych dwóch mężczyzn.

Niestety, Rafał nie chciał albo nie potrafił tego zrozumieć. Może bał się tego, co się z nim stało? To nic dobrego – dowiedzieć się, że berserk ciągle siedzi w człowieku. Wprawdzie tym razem szal uratował im życie, ale Rafał nie musiał wierzyć, że będzie tak zawsze. Wiedział za to, że ocaleni brali udział w polowaniach na tych, którzy nie zdołali się przebudzić z szaleństwa. I zabijali ich bez wyrzutów sumienia.

– O czym myślisz? – zapytała Rafała, gdy prowadząc obładowane mieniem Nomadów rowery, szli wspinającą się na wzgórze ulicą. Trzymała go za rękę nie po to, by nie pozwolić mu uciec, ale by dodać mu otuchy.

– O tych Nomadach.

– Żal ci ich?

– Nie... – rzekł po namyśle. – Nie, rzeczywiście nie żał mi ich. To chyba niedobrze, ale trudno mi żałować ludzi, którzy chcieli nas zabić. I jak sami powiedzieli, zabijali dla zabawy. Nie pojmuję tego. Już łatwiej zrozumieć opętanych.

– Dlaczego? – Lucyna szła za nimi. Kaśka uznała, że kobieta woli się trzymać na dystans. Niby widziała blask Rafała i wciąż uważała, że nie został skalany, ale wcale nie była pewna, czy mężczyzna lada moment nie wpadnie w szal. – Ludzie zabijali się od zawsze. To niemal czyni nas ludźmi. Jakby zabijanie się o byle co było efektem ubocznym posiadania inteligencji. Zwierzęta walczą o pokarm, o terytoria łowieckie. Lecz nasze powody zwykle bywały wydumane. Religia, ambicja, przyjemność. To wszystko pochodne inteligencji. Zabijam za nic, więc jestem ludzki. Czemu tu się dziwić?

– Masz rację – przyznał. – Nie dziwię się. Martwię. Wiedziałem, że to nadejdzie, że oswoimy się z zabijaniem i wyrzuty sumienia znikną. A ludzie otrząsną się ze wstrętu do przemocy. Ale nie sądziłem, że nadejdzie to tak szybko. Czekają nas ciężkie czasy.

Zatrzymali się w miejscu, które dzieci ze szpitala traktowały jako umowną granicę swojego terytorium – obok wywróconej karetki leżącej jakieś dwieście metrów od bramy szpitala. Rafał wyjął z kieszeni swoją flagę i rozwinął ją.

– Zostań tu – upomniał Lucynę, a ona tym razem nie zaprotestowała. – Poczekaj. Mam nadzieję, że wrócimy z dobrymi wieściami, ale...

– Wiem. – Usiadła obok karetki. – Mówiłeś mi, jakie są szanse.

Ruszyli dalej we dwoje. Kaśka musiała puścić dłoń Rafała, by utrzymać przeciążony i chwiejący się od ładunku rower. Gdy byli ledwie trzydzieści metrów od szpitala, o asfalt przed nimi stuknęła strzała. Nie wbiła się. Grot odbił się od twardej nawierzchni i strzała wpadła między szprychy roweru Rafała.

Zatrzymali się oboje gwałtownie.

– Hej! – zawołała oburzona Kaśka. – Co wy sobie myślicie?

– Ani kroku dalej! – odpowiedział łucznik stojący przy bramie.

– Wszystko widzieliśmy! Ten gość jest opętany!

– I dlatego grzecznie stoi obok mnie? – Kaśka ujęła się pod boki. – Chyba cię poznaję! Kuba, tak? Kuba, pieprzysz jak opętany!

– Pieprzysz? – zdziwił się Rafał. – Takie słownictwo u młodej damy?

– Cieszę się, że wraca ci forma – syknęła. – Dowcipny wujku. Z nimi trzeba ostro. Nie są tak fajni jak my z Wawelu.

Uniwersytecki Szpital Dziecięcy w Krakowie nie stanowił tak świetnej twierdzy jak Zamek Królewski. Nie posiadał umocnień, a wzgórze, na którym się znajdował, nie było dość wysokie i strome, by powstrzymać choćby jednonogą prababcię. Jednak kumple Maćka – internetowi spiskowcy – uznali, że w pobliżu nie ma lepszego miejsca. Pobliski supermarket z całą masą wielkich wejść wydał im się zbyt trudny do obrony. Z kolei niedalekie poaustriackie forty okazały się ruiną niespecjalnie nadającą się do zamieszkania. Zabarykadowali

więc drzwi i okna na parterze oraz pierwszym piętrze szpitala i mieli nadzieję, że to wystarczy. Nie wystarczyło. Ponieśli znacznie większe straty niż dzieci z Wawelu.

Niemniej przetrwali. I uważali się za jedynych prawdziwych twardzieli w mieście. Z kolei Kaśka nabrała przekonania, że zdziczeli.

– Wiem, co widziałem! – upierał się Kuba. – Wpadł w szal i pozabijał wszystkich Nomadów.

– Bo oni chcieli zabić nas, głupku! Tego nie widziałeś?

– Widziałem, jak rozmawialiście, a potem on zaczął mordować.

– Bo chcieli mnie porwać! Zresztą was pewnie też! Uratowaliśmy wam życie, debil! Puścisz nas bliżej?

– Ciebie tak, jego nie.

– W porządku. – Rafał położył jej rękę na ramieniu. – Idź sama. Ja poczekam. I tak nie wpuszcziliby mnie do środka.

– Strasznie mnie wkurzają! – prychnęła. Posłuchała jednak.

Najwyżej głupki dostaną mniej fantów. Nie zamierzała wracać po rower Rafała.

Gdy podeszła do bramy, obok Kubę stała już Ola, zastępczyni komendanta szpitala, Michała. Kaśka i Michał poprzytykali się trochę podczas jej ostatniej wizyty, może więc nie chciał jej widzieć.

– Cześć, Ola! – zawołała Kaśka. – Czy ten twój może do mnie przestać celować? Łapa mu zaraz zdrętwieje, a ja oberwę strzałą.

– Opuść łuk – poleciła Ola. Nie uśmiechnęła się na powitanie, nie wyciągnęła ręki. – Też wszystko widziałam, Kaśka. To wyglądało jak berserk.

– A to jak wygląda? – Kaśka wskazała stojącego bez ruchu Rafała. – Też jak berserk?

– Nie. Ale tam... Słuchaj, wszyscy wiemy, jak ruszali się opętanci. Jak nie obchodziły ich własne rany i atakowali, czym mogli. Ten twój ochroniarz zachowywał się tak samo.

– Ale teraz grzecznie stoi, prawda?

– Prawda – ustąpiła Ola. – Chodź, wyjaśnisz nam wszystko. Kuba, miej oko na tego nie-berserka. Ja przejrzę szpej.

Przejęła rower od Kaśki, pozdejnowała z niego wielkie ikeowskie torby, w których Rafał zawsze zdawał się nosić ze sobą niewyczerpywalne zapasy, i zaczęła przeglądać ich zawartość.

– Część zgarnęliście od tych pięciu, co? – odgadła.

– Jako premię możemy dorzucić motory. Ale po nie to już sami będziecie się musieli pofatygować.

– Ja bym poszedł! – napalił się Kuba. – Jezu, takie fajne maszyny na chodzie!

– Po grzyba nam motory – wzgardziła cudami techniki Ola i entuzjazm Kuby natychmiast się ulotnił. – No dobra, Kaśka, niezły towar. Czego chcesz w zamian?

– Trochę lekarstw by się przydało. Najlepiej odkażających i przeciwgorączkowych. I informacje o tej lasce. – Podała Oli zdjęcie. – Ma na imię Iza. Siostra ją szuka.

Ola tylko rzuciła okiem na zdjęcie. Podała je Kubie, a ten pokiwał głową.

Kaśka nie musiała pytać, wiedziała już wszystko, ale ponieważ nie chwaliła się na prawo i lewo swoim darem, jednak zapytała.

– Znacie ją?

– No. Możesz powiedzieć siostrze, że poszukiwania dobiegły końca.

– Jest tutaj?

– Pochowaliśmy ją na cmentarzyku. Padła podczas drugiego szturmu. Jak chcesz, to nakłamię siostrze, że ocalała szpital, walcząc do końca.

– A tak naprawdę?

– Dwóch bydlaków, którzy przedarli się przez barykadę, rozerwało ją na strzępy, nim zdążyła cokolwiek zrobić. W końcu ich zabiliśmy. Jeśli to stanowi jakąś pociechę.

– Może? Pewnie nie wpuścicie tej siostry na grób?

– To ta, co siedzi za karetką? Nic z tego. Za stara.

– My też kiedyś będziemy za stare. Zastanawiasz się czasem, co wtedy z nami będzie?

– Będziemy – zgodziła się Ola. – Wiesz czyj to problem?

– Kaśki i Oli z przyszłości – odgadła Kaśka i roześmiały się obie. Nerwowo, trochę ponuro, ale jednak. – Macie i bliższe problemy. Ci Nomadzi, których załatwiliśmy... Oni chcieli mnie porwać.

– Po co?

– Uważają dzieci za towar. Podobno wieśniacy szukają takich jak my do adopcji.

– Pewnie jako niewolników – prychnął Kuba. – Głupie wieśniory! Mogą se pomarzyć!

– Mogą se po was przyjść – zgasiła go Kaśka. – Jesteście na pograniczu. A wasz szpital to, bez obrazy, twierdza tylko ciut lepsza od Ponyville. Na opętanych wystarczyła. Ale jak przyjadą tu zorganizowani łowcy niewolników, to po prostu rozpędzą się którąś z tych ciężarówek, których naokoło jest cała masa. Wpieprzą się nią w drzwi i będzie po wszystkim.

– Nie zadzieraj nosa, wawelowo – zaperzył się Kuba. – W środku mamy tyle pułapek...

Umilkł, gdy Ola posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Co radzisz? – zapytała Kaśki. – Mamy przenieść się do was, mięczaki zza murów?

– Nawet nie mogę wam tego zaproponować. Królowie zjedliby mnie za to żywcem. Nie wiem, Ola. Nie przyszłam układać dla was strategii. Mówię, że się pozmieniało. Ludziom mija otępienie, zaczynają myśleć jak dawniej. Pewnie chcą nam pozakładać obroże dla naszego dobra. Jak to starzy.

– Pomyślimy o tym. Dzięki.

– Jak będzie z lekarstwami?

– Dostaniesz parę pudełek aspiryny. Może wapno. Nie możemy szaleć. – Uśmiechnęła się krzywo. – Wiesz, nadchodzi zima. Czeka tu, przyniosę ci.

– I może kilka sztuk gazy? – zawołała za nią Kaśka.

Dostała gazę i nawet kilkanaście bandaży. Ola miała najwyraźniej dzień szczodrości. Pożegnały się serdeczniej, niż przywitały. Przy przewróconej karetkce Kaśka przekazała Lucynie złe wieści. Nie dodała jej otuchy kłamstwami o heroicznej obronie. Chciała objąć kobietę, która aż przysiadła na chodniku i zaczęła płakać, ale Rafał odciągnął ją na bok.

– Dajmy jej chwilę dla siebie – poradził.

– Głupi jednak jesteś – ofuknęła go. – Sposób myślenia typowy dla faceta. W takich momentach człowiek nie chce być sam!

Wyrwała mu się, podbiegła do Lucyny, objęła ją i przez jakiś czas płakały we dwie.

Rozdział 21

KAROL

Przeszukali go, zdarli z niego kurtkę i odebrali kapelusz, który zawłaszczył Ochłap wraz z rewolwerem. A potem cisnęli na podłogę w piwnicy.

– Ty żeś mnie wychłostał, a ja cię powieszę. – Ochłap uśmiechnął się szeroko, nim wyszedł.

Gdy zamknęły się drzwi za ostatnim Strażnikiem, w piwnicy zapanowała kompletna ciemność. Kapitan wstał, po omacku odszukał najbliższą ścianę i usiadł, opierając się o nią. Skute z tyłu ręce pewnie mu od tego jeszcze dodatkowo ścierpną, ale i tak nie było z nich wielkiego użytku.

Nie rozpatrywał szans na ratunek. Nie miał żadnych. Uświadomił sobie, że wrogowie, jakich narobił sobie podczas dowodzenia Strażnikami, nienawidzili go bardziej, niż sądził. Do tej pory myślał, że Krystyna będzie go głównie obgadywać za plecami, może umacniać legendę Jerzego. Że Ochłap nigdy nie zapomni mu chłosty, ale poprzestanie na spluwaniu na widok swojego Kapitana i wyżywaniu się na słabszych.

A oni chcieli go zabić. Wciągnęli do tego Kardynała... Cóż, tego sojuszu mógł się spodziewać. Krystyna w głębi duszy była dewotką. Gdy zabrakło jej jednego proroka, chętnie skorzystała ze wsparcia innego. A Kardynał skrzętnie wykorzystał okazję, by pozbyć się Kapitana ateisty.

Jeśli coś naprawdę zabolalo Karola, to łatwość, z jaką zwrócili się przeciw niemu pozostali Strażnicy. Porucznika pewnie skusił awans. Ochłap go nienawidził. Ale pozostali? Tak po prostu uwierzyli w te brednie?

Odruchowo zaczął analizować przyczyny. Dowody przeciwko niemu mieli słabe. Odciski palców nic nie znaczyły. Całe to ciało było w odciskach wielu osób. Maczeta... To teoretycznie wyglądało solidnie. Pod warunkiem, że nikt nie zastanawiał się, czy wagi dowodu nie podważa fakt, iż jeden ze świadków oskarżenia przetrzymywał tę broń przez blisko dwie godziny. Z łatwością mógł ją podmienić na tę, z której odłamano kawałek ostrza. No i skąd dowód, że ów odłamek faktycznie pochodził z ciała zabitego? Bo tak powiedziała Krystyna? Przecież każdy wiedział, że nienawidziła Karola.

Teraz, kiedy o tym myślał, zdawał sobie sprawę, że byłby w stanie obalić wszelkie fałszywe dowody i poszlaki oskarżycieli. A jednak równocześnie rozumiał, że nic by to nie dało. Krystyna zawładnęła duszami jego ludzi. Odgadła ich potrzeby i zapewniła im pełne emocji widowisko, którego ukoronowaniem stanie się poranna egzekucja. Mógłby starać się przekonywać swoich ludzi, ale byłyby to daremne wysiłki.

Oni chcieli go zabić. Być może nie zdawali sobie z tego sprawy, ale narastał w nich głód śmierci, chęć ukarania kogoś, rozładowania gromadzącej się tygodniami agresji. A on doskonale się nadawał na kozła ofiarnego: był surowym szefem i – cóż, tu Krystyna miała trochę racji – mordercą. Nieważne,

że półtora miesiąca wcześniej wielbili go za zabicie Jerzego. Teraz go za to zgładzą.

Nie bał się śmierci. Nie tęsknił do niej, ale nie potrafił wykrzesać z siebie choćby krztyny emocji na myśl o czekającej go rankiem kaźni. Przystanie istnieć, powinno mu być przykro. Powinien walczyć o życie, wyć ze zgrozy. Niestety, jego emocjonalne kalectwo pozbawiło go nawet strachu.

Nie wiedział, ile czasu spędził w celi, analizując swoje postępowanie od czasu przebudzenia, by nie zasnąć i nie pograć się we wspomnieniach szafu. Piwnica była pozbawiona okien, na zewnątrz mogła więc trwać noc, ale mógł też już wstawać dzień. Karol zupełnie stracił poczucie czasu.

Gdy szczęknął zamek w drzwiach i zazgrzytały zawiasy, Karol był przekonany, że to Ochłap przyszedł po niego, by osobiście zaprowadzić go na szafot. Spróbował wstać, by przywitać godnie swoich oprawców, lecz okazało się, że zbyt długo siedział bez ruchu. Nogi ścierpły mu całkowicie. Poczł ukłucie setek igieł, kiedy nimi poruszył, ale podnieść się nie mógł. Były jak z waty.

Nikły promień latarki padł mu na twarz.

– Żyje pan? – zapytał kapral Kruchy.

– Ty? – zdumiał się Karol. – Co tu robisz?

– Wyciągam pana z łajna, Kapitanie.

– A Strażnicy?

– Prawie nikt nie pilnował drzwi. A ten jeden nieborak, co go postawili na straży, zasnął. Dopomogłem mu ciosem w łeb. Reszta też śpi jak zabita. Doktor doprawił czymś gorzałkę.

– Upił wszystkich Strażników?

– Aj, długo by gadać. Jak chłopaki wypili beczkę piwa, zaczęli domagać się więcej. Wynieśliśmy z Doktorem parę butelek z piwnicy, ale po drodze on doprawił je jakimś ziołem. I pospali się wszyscy jak dzieci.

– Doktor i ty? To wszyscy moi zwolennicy? – Kapitan starał się rozmasować sobie nogi. Gdy Kruchy pomógł mu wstać, zachwiał się.

– Nie należę do pańskich zwolenników, Kapitanie.

– Ale mnie ratujesz.

– Bo to było cholernie naciągane śledztwo. I jeszcze mnie w to wciągnęli. Nie chcę wojny z Nową Hutą. Jestem wdzięczny mojej babie, że pana powstrzymała. Ale nie zgodzę się, żeby pana zabili na podstawie sfalszowanych dowodów, Kapitanie. I w dodatku z moim udziałem. Pan się myli, ale to jeszcze nie zbrodnia. A tego mordercę to sam znajdę. Obiecuję.

– Skomplikowany z siebie człowiek, kapralu.

– Gdzie tam! Właśnie że prosty. To wy, intelektualiści, wszystko komplikujecie. No, może już pan ustać sam?

– Chyba mogę.

Kapitan zrobił dwa samodzielne kroki. Zabolalo, zachwiał się, ale utrzymał równowagę.

– Dam radę! – zapewnił.

– Świetnie. Proszę, niech pan trzyma. – Kruchy wcisnął mu do ręki kapelusz i pas z rewolwerem. – Ochłap to sobie wzięł. Ale spił się jak bela, nawet nie poczuł, gdy mu zdejmowałem. Kurtkę też mam, lecz zostawiłem z plecakiem na górze.

– Z plecakiem?

– Poupychałem panu trochę zarcia, dobry nóż, rozpałkę. Całkiem goły nas pan nie opuści.

– Mam uciekać? Nie walczyć o władzę?

– O władzę to trzeba było walczyć przez ostatnie tygodnie, jak panu moja baba robiła koło dupy. Teraz już za późno.

Wspięli się po schodach. Karol na wszelki wypadek wciąż opierał się rękami o ścianę w obawie, że nogi mogą go zawieść. Na górze Kruchy przezornie wyłączył latarkę.

– Tego swojego kapelusza niech pan na razie nie ubiera – poradził byłemu dowódcy. – Nawet w ciemnościach łatwo pana przez to rozpoznać po samej sylwetce. Jak pan wyjdzie na dziedziniec, proszę biec bokiem, do bramy od Wawrzyńca. Ale niech się pan w tę ulicę nie pcha, tylko leci dalej, Gazową do Wisły.

– Przez kładkę nie przejdę. Chyba że na zewnętrznych posterunkach też żeście wszystkich upili.

– Przez kładkę ani przez mosty nie da rady. Ale przy barkach na dole, tych, co tam dawniej były knajpy, znajdzie pan łodzie. Jak pan popłynie taką po cichu, to ani pana nie zauważą, ani nie usłyszą. A po drugiej stronie Wisły to już pan zrobi, co chce. Na pana miejscu zostałbym Nomadą. No ale to już pańska sprawa.

– Powinieneś się zabrać ze mną, kapralu. Ze Strażników nic już nie będzie.

– Bo pana zabraknie?

– Bo ci, którzy mnie zastępują, nie nadają się do tego. Zobacz, pierwszy dzień i już więzień może uciec, bo wszyscy się spili. To koniec Strażników, Kruchy.

– Może i tak – zgodził się kapral. – Ale po co nam Strażnicy, gdy nie ma z kim walczyć?

– Teraz jeszcze nie, ale wkrótce ludzie zaczną się między sobą zabijać. Ten mur w Nowej Hucie to oznaka nadchodzących zmian. Świat stanie się paskudnym miejscem, kapralu. Człowiek bez wsparcia znów zmieni się w zwierzynę łowną.

– Może tak, może nie. Myślę, że znowu nie docenia pan mojej baby, Kapitanie. Proszę już iść. Do świtu zostało może ze cztery godziny. Jak tylko zorientują się, że pana nie ma, rozbiegną się na wszystkie strony świata.

– Nic ci nie grozi? Jeśli wpadną na to, że mi pomogłeś...

– Jak tylko pan wreszcie sobie pójdzie, wrócę do kantyny i opróżnię butelkę z tym specyfikiem do dna. Jutro będę najbardziej nieprzytomny ze wszystkich. A ludzie pewnie dojdą do wniosku, że sam pan uciekł. Mają pana trochę za demona. Co najwyżej Ochłapowi się oberwie, że za słabo pana przeszukał. No, niechże pan już idzie, do diabła!

Nie było to najserdeczniejsze pożegnanie, z jakim Karol się zetknął, ale nie protestował. Jeszcze raz podziękował kapralowi, a potem ruszył wskazaną przez niego drogą. Brama prowadząca na ulicę Świętego Wawrzyńca rzeczywiście okazała się niestrzeżona, lecz od placu Wolnica dobiegły Karola jakieś pokrzykiwania i odgłosy uderzeń młotkiem. Zapewne stawiali tam dla niego szubienicę. Przez chwilę czuł pokusę, by

dołączyć do nich w przebraniu, pomóc w budowie, niczym bohater jakiejś romantycznej opowieści albo król z historii o monarsze w łachmanach. To byłby rzeczywiście udany dowcip, ale szanse na jego realizację nie wydawały się wielkie.

Karol przebiegł więc na drugą stronę ulicy, wpadł w Gazową i pognął nią pędem. Nie bał się pościgu, to jeszcze nie ten czas. Chciał jednak jak najszybciej zostawić za sobą Strażników. Ta historia dobiegła dla niego końca. Musiał znaleźć dla siebie nowy sposób na przetrwanie zimy. Nie będzie łatwo. Najlepsze miejscówki zostały już zajęte, sklepy z żywnością niemal całkowicie rozszabrowano. Ale przy odrobinie szczęścia poradzi sobie jakoś.

Dobrze, że to wciąż sierpień.

Zatrzymał się przed ulicą Podgóorską. Jeśli tylko przebiegnie przez nią ku najbliższemu zejściu do Wisły, dalej powinno być już łatwo. Nikomu nie chciało się patrolować brzegu rzeki nocą. Tam panowała ciemność gęstsza i bardziej niepokojąca od tej na ulicach. Wszystkie rzeki nocą przypominają Styks, ich czarne wody pełne są niepokojących obietnic, kuszą i przyciągają. Hipnotyzują. Nieuważny przechodzień, jeśli podda się ich czarowi, może skończyć jako topielec – jego napuchnięte zwłoki z wygryzionymi przez ryby oczami wypłyną przy najbliższej zaporze, ale tak naprawdę dołączają do legend o wodnych stworach polujących na nieostrożnych wędrowców. I jeszcze te ryby! Jedyne stworzenia, poza ludźmi, które nie opuściły Krakowa. Zarażeni unikali rzeki, choć zdarzało im się przekraczać mosty. W przeciwieństwie do ssaków i ptaków

ryby czuły się więc bezpiecznie. Może nawet nie zauważyły epidemii. Albo i więcej – oznaczała ona dla nich czas obfitości. Może obzerały się ciałami spływającymi Wisłą, aż zrobiły się tak tłuste i leniwe, że poruszały się niechętnie, skubiąc wyłącznie najlepsze kąski?

Na pewno stały się jedynym, poza ludźmi, żywym źródłem dźwięków. To niezwykle, pomyślał Karol, jak człowiek łatwo przyzwyczaja się do wszystkiego. Oczywiście najłatwiej do wygody, komfortu. Do tego, że aby zdobyć coś do żarcia, nie musi wyprawiać się z maczugą na mamuta, tylko po prostu idzie sobie do sklepu i kupuje. Może nawet nie wychodzić, bo wystarczy, że zadzwoni do pizzerii, a ktoś mu to żarcie przyniesie na próg domu. Gdy jednak wszystkie te cuda cywilizacji zniknęły, ludzie przyzwyczaili się i do tego. Podobnie jak do zapachu spalonych ciał spowijającego Kraków, całkowitej ciemności po zmroku i wszechobecnej ciszy. Przywykli, że tramwaje nie tłukły się po nocach, alarmy samochodowe nie włączały się od byle powiewu wiatru, a ptaki nie śpiewały o świcie.

Dlatego wędrówka brzegiem rzeki, mrocznej i gęstej, uwodzącej umysł obietnicami wiekuistego spokoju, przerażała ocalałych jeszcze bardziej. Bo rzeka, nawet tak leniwa jak Wisła, posiadała swoje własne odgłosy. Byle chlupnięcie wywołane przez zaciekawioną rybę wyskakującą ponad powierzchnię potrafiło przyprawić o drżenie serca. Nagle okazało się, że gdy nie ma samochodów i ptaków, pijaków

śpiewających fałszywie przeboje sprzed trzydziestu i więcej lat, wtedy byle pluśnięcie słysząc niczym salwę armatnią.

Ludzie nauczyli się więc unikać Wisły nocą. I dlatego dotarcie do niej oznaczałoby dla Karola niemal pewne ocalenie.

Odkrył jednak, że wcale nie jest przekonany, iż chce ocaleć.

A co jeśli Krystyna miała rację? Karol zdawał sobie przecież sprawę z tego, o czym jego sędziowie i oprawcy nie wiedzieli. On nigdy do końca nie wyzwolił się z berserku. Wspomnienie szaleństwa wracało do niego co noc. Sądził, że sny wystarczyły, by wypalić zeń wściekłość. Ale jeśli nie? Przecież zabił Jerzego, zastrzelił też dwóch jego poruczników. Osobiście wymierzał każdą karę chłosty. A gdy szedł do siedliska Popielnych, zabrał ze sobą najbrutalniejszych Strażników, ponieważ szykował się na siłową rozprawę.

Może więc zasługiwał na szubienicę? Czy nie był przeświadczony o konieczności wojny z Nową Hutą i czy nie zastanawiał się, jak przekonać do niej Strażników? Czy to mógł być wpływ choroby?

Jeszcze raz przemyślał swoje plany. Kiedy patrzyło się na nie racjonalnie, nie wydawały się szalone. Ale przygotowując je, kierował się rozumowaniem człowieka ze starego świata – pełnego przemocy i chciwości. Czy teraz, gdy większość wciąż jeszcze czuła wyrzuty sumienia, a chciwość straciła wszelkie uzasadnienie, bo każde bogactwo znajdowało się w zasięgu ręki, zasady Karola w ogóle miały jakiś sens?

Może faktycznie powinien zawrócić i pomóc budować szubienicę, na której go powieszą?

„Nie – zdecydował. – Teraz wszyscy są syci. Ale gdy nadejdzie zima, zaczną postrzegać świat na mój sposób. Ja po prostu wybiegam wzrokiem w przyszłość. Myślę o tym, o czym nikomu innemu myśleć się nie chce”.

Podjął wędrówkę. Pewne ryzyko wiązało się z tym, że wszystkie zejścia nad Wisłę znajdowały się w pobliżu mostów. A te zabezpieczono ufortyfikowanymi posterunkami. Na rozkaz Karola. Sam sobie utrudnił życie.

Wydało mu się, że kątem oka dostrzegł jakiś ruch po lewej stronie. Zatrzymał się, przywarł do ściany narożnego domu. Oparł dłoń na rękojeści rewolweru i rozejrzał się ostrożnie. To mógł być wysłany za nim patrol. A może zabójca? Ten ghul, którego zbrodnie tak łatwo przypisano Karolowi.

Swoją drogą, ciekawe, co robi Krystyna, gdy furia znów kogoś zabije. Ach, prawda, skoro nie powieszą Karola, będzie musiała to zwalić na niego. Ale nie uniknie śledztwa. Kto jak kto, ale ona wiedziała, że prawdziwy ghul pozostawał na wolności.

Chyba że to ona zabijała, szykując pułapkę na znenawidzonego Kapitana.

Czekał kilka minut, a gdy upewnił się, że nikogo w pobliżu nie ma, ruszył na drugą stronę ulicy. Tam schylił się, by osłaniał go niewielki murek wieńczący wały wiślane. Zdecydował się wybrać drogę w prawo, ku kładce Bernatka, zbudowanej, by zapewnić przeprawę przez rzekę wyłącznie pieszym i rowerzystom. I na niej powinien znajdować się posterunek.

Jednak stamtąd bliżej było do porzuconych barek i stateczków zmienionych kiedyś w knajpy. A zatem i do zbawczej łódki.

Skradał się cały czas pochylony, aż zbliżył się do kładki na tyle, że mógł usłyszeć głosy Strażników. Rozmawiali głośno, by rozproszyć wszechobecną ciszę i zagłuszyć szum rzeki. Klęli, żartowali. Karolowi przyszło do głowy, że mogli nie zdawać sobie jeszcze sprawy z jego upadku. Dyżury na mostach trwały dwanaście godzin. Jeśli nikt nie przyniósł Strażnikom z kładki wieści o zmianach, być może wystarczyłoby, aby podszedł do nich, przywitał się i spokojnie przeszedł na drugi brzeg.

Mógłby ich też – aż zamarł i zatrząsł się na samą myśl o tym – zastrzelić. Podkraść się w ciemnościach, na przykład przy murze ogradzającym szpital Bonifratrów, a potem zdjąć jednego po drugim celnymi strzałami. Nawet by się nie zorientowali, kto do nich strzela i skąd. To byłby całkiem niezły plan, gdyby tylko Karol ufał swoim zdolnościom strzeleckim.

Znów uświadomił sobie, że nie powstrzymała go myśl o strzelaniu do własnych ludzi. Po pierwsze, to już nie byli jego ludzie, nawet jeśli o tym nie wiedzieli. Po drugie, sentymenty nie miały dla niego znaczenia. Liczyło się przeżycie. Karol, ten przebudzony z gorączki Karol, okazał się wręcz radykalnym pragmatykiem.

I dlatego nie zaryzykował. Nie zagrał *va banque*, podchodząc do Strażników, nie strzelał do nich. Nie przestając się skradać, zszedł ostrożnie po kamiennych schodach. Przemknął po trawniku na wiślanych bulwarach. Minął pierwszą z barek, tę

przysadzistą, brązową, z niezłą kuchnią i marynatami domowej roboty poustawianymi za barem. Nie znalazł przy niej łodzi. Nie miała jej też następna barka, ta oszklona, dwupiętrowa, zaopatrzona w elektryczną windę. Z niej wykradli swego czasu głównie alkohole. Została mu ostatnia, najprostsza.

I przy niej rzeczywiście znalazł podczepioną na linach, niedotyającą linii wody łódź. Ale gdy zastanawiał się, jak opuścić ją cicho na rzekę, ktoś odnalazł jego.

Poruszali się prawie bezszelestnie, jeśli nie brać pod uwagę ich ciężkich oddechów. Filtry podczepiane do masek przeciwgazowych sprawiały, że każde zaczerpnięcie powietrza zmieniało się w dyszenie. W ciemnościach pozwalało to wywierać Maskom groźne wrażenie. Nie dość, że ich sylwetki zostały zdeformowane przez długie płaszcze i pałatki, a twarze ukryto pod maskami, to jeszcze oddychali z trudem, niepokojąco. Wciąż przypominali ludzi, ale równocześnie wyglądali jak demony o niewyraźnych kształtach.

Wyłaniali się ze swych kryjówek niespiesznie, jakby mieli pewność, że zwierzyna im nie ucieknie. Wychodzili zza starego baru, z górnego pokładu – niegdyś kawiarnianego ogródka. Dwóch pojawiło się w ciasnym korytarzu prowadzącym do kuchni. Gdy Karol obejrzał się za siebie, oceniając szanse ucieczki, dostrzegł, że trzech następnych zmaterializowało się pośród ciemności spowijającej brzeg. Do tej pory opierali się o szary kamienny mur oddzielający alejki nad Wisłą od ulicy.

Dzięki przebraniu pozostawali całkowicie niewidoczni na jego tle.

Policzył Maski. Dziewięciu. Nie starczy mu kul w bębenu rewolweru. Ostrożnie, demonstracyjnie wolno, cofnął dłoń znad rękojeści broni. Uniósł obie ręce do góry.

Oczywiście słyszał legendy o Maskach. Powtarzane szeptem, niepojawiające się w oficjalnych meldunkach. Nie odrzucał istnienia takiej frakcji, choć raczej sądził, że to pojedynczy ludzie przekonani, iż maski przeciwigazowe pozwolą im uniknąć ponownego zarażenia. A tu proszę, wychodzi na to, że współpracowali ze sobą. Kim byli? Może grupą preppersów? Istnieli przed berserkiem ludzie uważający, że zbliża się upadek cywilizacji. Przygotowywali się na niego bez względu na to, czy miałyby to być wojna, zaraza czy katastrofa ekologiczna. Oni na pewno mieliby przyszykowane maski, a pewnie i inny sprzęt.

– Nie zamierzam z wami walczyć – oznajmił. – Chcę tylko przedostać się na drugi brzeg. Nie stanowią zagrożenia.

– Spokojnie, Kapitanie – odpowiedziała mu jedna z Masek głosem, który choć zniekształcony przez filtry, wydał się Karolowi znajomy. – Prawdę mówiąc, szliśmy panu z odsieczą. A gdy zorientowaliśmy się, że poradził pan sobie sam, eskortowaliśmy pana przez całą drogę.

– Współpracujecie z Kruchym?

– Z małym kapralem? A więc to on panu pomógł? Ciekawe... Nie. Działamy niezależnie. Proszę z nami, Kapitanie. Jest pan

już bezpieczny, ale lepiej, żebyśmy zabierali się stąd w cholere.
Mamy ponton.

– Giętki! – rozpoznał w końcu ten głos. – Niech mnie diabli,
sierżant Giętki!

Maska zsalutował mu kpiąco.

– Od początku byłeś szpiegiem, Giętki?

– Oj, zaraz tam szpiegiem. Ale tak, od początku, Kapitanie.
Działamy dłużej, niż się panu wydaje. I jesteśmy wszędzie.

Rozdział 22

R A F A Ł

Początkowo zamierzał oświadczyć Lucynie, że skoro robota skończona, nie mają już ze sobą nic wspólnego. Niech się wynosi do diabła ze swoim szaleństwem. Najchętniej pozbyłby się też Kaśki, może równie szalonej, a może zafascynowanej Lucyną. Ale za dziewczynę czuł się odpowiedzialny. Postanowił, że odprowadzi ją na Wawel, a potem się zobaczy. Może nie spotkają się już więcej?

Poczuł się nieswojo na tę myśl. Choć nie widywali się z Kaśką często, przywiązał się do niej.

Czy mówiła prawdę? Czy rzeczywiście uratował ją, jeszcze gdy był pod pełnym wpływem berserku? Z pewnością nie mógł zaprzeczyć, że coś podobnego zdarzyło się podczas walki z Nomadami.

Nomadzi! A co powinien zrobić z tą wiedzą? Ostrzec kogoś, że wędrujący pomiędzy miastami ludzie stali się niebezpieczni? Dotąd służyli za posłańców i kupców. Ponoć kilku, pod wpływem starego amerykańskiego filmu, założyło nawet Nową Poczta Polską. Ale, jak widać, pojawili się wśród nich i tacy,

którzy uznali, że świat należy teraz do nich, a stare zasady przestały mieć znaczenie.

Morderstwa, napady, handel niewolnikami. Czy naprawdę do tego zmierzali?

Czuł gniew i zmęczenie. Przygnębiała go kolejna misja zakończona niepowodzeniem, ale i przecucie, że gdy wróci do domu, czeka go następna walka. Czy ponownie wpadnie w berserk, jeśli Adam z Jackiem spróbują czegoś na poważnie? A może gdy wróci, zostanie już tylko zgliszcza i sąsiadów próbujących dorwać się do jego majątku? Zabezpieczali z Tomaszem swoje skarby. Ukrywali je, zamykali we wzmacnianych skrzyniach zapinanych na kilka kłódek. Złodziejom dobranie się do nich zajmie trochę czasu. O ile nie zaczną torturować Tomka.

Kiedy Lucyna wstała wreszcie z ziemi i podeszła do Rafała, wciąż pocieszana przez Kaśkę, zmienił zdanie. Nie może przecież porzucić jej teraz. Co najmniej dlatego, że Kaśka nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Wariatki czy nie, przez jakiś czas pozostaną razem.

Zresztą kto tak naprawdę był dziś normalny.

– Lepiej się zbierajmy – odezwał się pierwszy, nim którakolwiek z nich zdążyła coś powiedzieć. – Już po osiemnastej. Zostały nam może dwie godziny dobrego światła. Wracajmy jak najszybciej. Lucyna, przykro mi.

– Przynajmniej znam prawdę. Dokąd jedziemy? Na Wawel? Starczy nam czasu?

– Chciałabym zostać jeszcze z wami – poprosiła Kaśka. – Choćby jeden dzień.

– Powinnaś ostrzec swoich – przypomniał jej Rafał. – Ta piątka Nomadów wcale nie musiała być jedynymi, którzy doszli do wniosku, że dzieci to teraz towar.

– Nawet jeśli, to jutro jeszcze nas nie zaatakują. Jadę z wami i już.

– Do mnie? Widziałaś, co się tam działo. Moje podwórko wcale nie jest teraz bezpiecznym miejscem.

– Tym bardziej – poparła dziewczynę Lucyna. – Możemy ci się przydać. Obie. Ja do walki, a Kaśka... Nie wiemy, jak to działa, Rafał. Twój berserk. Ale zawsze kiedy się z niego budziłeś, Kaśka była obok. Możliwe, że jesteście jakoś połączeni. Albo jej dar...

– W porządku! – przerwał jej. Nie chciał słuchać o żadnych darach i blaskach. – Jedziemy razem. Do mnie. Ale uprzedzam: jeśli tylko zaczniecie rozmawiać o czarach, ja wysiadam. Zrozumiano?

– To nie są czary... – zaczęła Lucyna, lecz natychmiast zamilkła. – Ani słowa więcej. Przyrzekam.

– Tak trzymaj. I jeszcze jedno: w domu też ani słowa o tym... No wiecie.

Podróż powrotna okazała się mozolniejsza. Byli zmęczeni, a rowery obciążała dodatkowo część sprzętu zabranego Nomadom. Tomasz, bardziej przywykły do roweru i lepiej znający ścieżki między samochodami przy Wielickiej, prowadził. Spieszył się niepewny, co zastanie po powrocie. Gdy

jednak orientował się, że zostawił swe towarzyszeki zbyt daleko za sobą, zwalniał, a nawet zatrzymywał się, czekając na nie. Niecierpliwiał się, zżymał. Drażniło go, że nie starały się bardziej. Ba, odnosił wrażenie, że celowo jechały wolniej, by rozmawiać ze sobą po drodze. Ilekroć jednak szykował się, by stanowczo je upomnieć, przypominał sobie o berserku i tłumiał emocje.

Co bowiem się stanie, jeśli tym razem nie ocknie się z szału?

Spróbował zapomnieć o zwariowanych teoriach Lucyny. Czy jego atak mógł świadczyć o tym, że choroba wracała? A jeśli tak, to ilu było podobnych do niego? Poprzednia gorączka też zaczynała się od pojedynczych przypadków.

Czy tak miało być już zawsze? Ludzie zaczną cyklicznie wpadać w niekontrolowane berserki, aż pozostanie ich za mało, by gatunek mógł przetrwać? Może lepiej byłoby porzucić miasta, zostawić je dzieciom i wyrzynać się nawzajem z dala od nich? Poradzą sobie z odpieraniem ataków pojedynczych szaleńców, którzy pojawią się w granicach miasta.

Zastanawiał się, czy nie powinien porozmawiać o tym z Pokutnikami i może ze Strażnikami. Ci pierwsi powinni chyba łatwo przystać na taki plan, traktując go jako jeszcze jedną okazję do umartwiania się. Ale Strażnicy? Spotkał ich Kapitana tylko raz. Sprawiał wrażenie surowego, rozsądnego gościa. A to oznaczało, że przestałby słuchać Rafała w tej samej chwili, w której ten przyznałby się do powracającego berserku. Nie pytając o więcej, strzeliłby Rafałowi w łeb z tego swojego

słynnego rewolweru, a potem kazałby spalić jego zwłoki. I tyle wyszłoby ze współpracy.

Nie, trzeba będzie wymyślić coś innego.

Gdy zbliżyli się do Rękawki, zaczynało już szarzeć. Rafał zatrzymał się, by znów poczekać na Kaśkę i Lucynę. Spojrzał na zegarek. Dziewiętnasta czterdzieści. Niezbyt dobre mieli tempo.

– Jedziemy Rękawką? – zapytała Lucyna, hamując obok niego.

Ciasna boczna uliczka – z jednej strony ograniczana skarpą wzgórza Krzemionki, na szczycie którego Austriacy wzniesli kiedyś fort, a z drugiej rzędem dwupiętrowych kamieniczek – kusiła. Prawie nie było na niej samochodów. Przejechaliby nią szybciej.

– Nie chcę po ciemku przejeżdżać obok więzienia – przyznał Rafał.

– A co jest w więzieniu? – Kaśka dotarła akurat na czas, by zainteresować się posepnym budynkiem.

– Nikt tego nie wie – odpowiedział niezbyt chętnie. – Podobno niedobitki więźniów, którzy nie opuścili go podczas berserku. Albo upiory i zombiaki. Ilu ludzi, tyle opowieści. Ponoć z wewnątrz dobiegają jakieś tajemnicze dźwięki. Nikt tam nigdy nie zagląda.

– Chcę jechać obok więzienia! – zdecydowała Kaśka.

– Już jechałaś. W tamtą stronę.

– Ale wtedy nie wiedziałam, że to takie fajne miejsce, ojciec krwiochrestny! Jedźmy! Proooszę!

– Jednak potrafisz być dzieckiem. – Uśmiechnął się mimowolnie. – Jutro. W pełnym blasku słońca. Teraz pojedziemy ulicą Limanowskiego. Nadłożymy raptem parę minut.

– Ciotka? – Kaśka zwróciła się do Lucyny. – Jakie jest twoje zdanie?

– Ciotka? – Rafał spojrzał na kobietę z zaciekawionym wyrazem twarzy. – Szybko poszło.

– Takie tam... Słowo dobre jak każde inne. – Zaczerwieniła się. – Popieram Rafała – zdecydowała się. – Nie wiemy, kiedy i skąd wyłażą Maski. A ta uliczka jest za ciemna. Jedziemy Limanowskiego.

– Zgredy! – Kaśka pokazała im język, ale pierwsza ruszyła główną ulicą, choć klęła, zupełnie jak dorosły, ilekroć uderzyła kolanem w któryś z ciasno tu poupychanych samochodów.

Zdążyli przed zmrokiem. Słońce całkiem zniknęło za rzędami kamienic przesłaniających horyzont, lecz na niebie wciąż widać było ostatnie odblaski jego ciemnoczerwonych promieni, kiedy Rafał z ulgą zsiadł z roweru pod żelazną bramą swojego bloku.

– Wchodźcie – zakomenderował szeptem, otwierając drzwi. Bał się tego, co mógł zastać. Na podwórku nie dostrzegł jednak śladów walki. Kuchenne okno na pierwszym piętrze jaśniało łagodnym światłem świec, a z prowizorycznego komina płynęły wąskie strugi dymu. Słysząc było dobiegającą z wewnątrz spokojną rozmowę.

– Może nie zrozumieć – mówił Tomasz. – To niezły gość, ale łeb ma zakuty.

– Zobaczy, to zrozumie – odpowiedziała mu Sylwia.

Rafał, tknięty przeczuciem, że mówią o nim, miał ochotę ukryć swoje przybycie i podsłuchać rozmowę, ale wtedy prowadzony przez Kaśkę rower uderzył o ścianę tak nieszczęśliwie, że blaszany dzwonek przy kierownicy jęknął rozdzierająco. Wymiana zdań w kuchni urwała się natychmiast. Ktoś szeroko otworzył okno.

– To ty? – zapytał półgłosem Tomasz. – Rafał?

– Ja. Nie sam. Z gośćmi.

– Właźcie prędko! Nie wiadomo, czy te buce nie czają się po krzakach! Pogoniłem ich, ale Adam to kawał zajadłego skurwiela.

Zrezygnowali z ukrywania rowerów w piwnicy. Poprzypinali je do poręczy na parterze i półpiętrze. Rafałowi nie chciało się nawet zdejmować tobołów z bagażnika. Marzył, by wreszcie się położyć do łóżka i nie wstawać do rana.

– Dzięki za wiadomość – powitał go w drzwiach Tomasz. – Wolałbym wprowadzić, żebyś został i pomógł mi skopać im dupy zamiast jechać na wycieczkę krajoznawczą. Ale przynajmniej zdążyłem się przygotować.

– Byli tu? – Rafał usunął się z drogi Kaśce i Lucynie. Na widok dziewczynki Tomek zamilkł. Szczęka mu opadła.

– Można się tu gdzieś umyć? – zapytała Lucyna.

– Pod dwójką trzymamy wodę. – Tomasz wskazał środkowe drzwi na piętrze. – Otwarte. Wiadra w łazience i dużym pokoju to właśnie woda do mycia. Znajdziecie tam też mydło i szampony.

– Chodź z nami. – Lucyna ujęła Rafała pod ramię. – Zwłaszcza ty musisz się umyć. I chcę jeszcze raz obejrzeć twoją ranę.

– Ranę? – zdziwił się Tomasz.

– Wszystko po kolei – odparł Rafał. – Lucyna, umyćcie się pierwsze. Nie będę wam przeszkadzał. Ja tu chwilę muszę pogadać.

– Teraz będziesz się mnie krępował? – zachichotała Lucyna. – Swoje już widziałam.

– Ale Kaśka nie. Byli tu? – zapytał Tomasz, gdy odeszły.

– Byli. Wszyscy nasi kochani sąsiedzi. Ale że mnie uprzedziłeś, to przygotowałem spluwy, co żeśmy je zwinęli z komisariatu. Wystawiliśmy je z Sylwią przez okna i kazaliśmy się im zabierać w cholerę. Podziałało. Ty, co to za rana? A ta mała? To ten dzieciak, o którym mi mówiłeś?

– Ten dzieciak. Przepuść mnie do kuchni. Marzę o tym, żeby usiąść.

– To lepiej chodźmy do pokoju. W kuchni wszyscy się nie pomieścimy.

– Bylebym dostał herbaty. I coś do zarcia.

– Da się zrobić. Sylwia? Kochanie, dorób kanapek. Jeszcze dla trzech osób. I tyle samo herbaty.

Z kuchni dobiegło ich niezbyt zadowolone prychnięcie.

– Jeszcze nie jesteśmy małżeństwem!

– Ta rana – przypomniał Tomasz, gdy już usiedli w pokoju i pozapalali znicze, by widzieć się nawzajem. – To robota Adama?

– Skądże. Spotkaliśmy po drodze pięciu Nomadów. Agresywnych jak cholera.

– I...?

– Zarobiłem dziurę w ramieniu i trochę ich sprzętu.

– Chcesz powiedzieć, że sam załatwiłeś pięciu gości, pacyfisto?

– To, że nie lubię walczyć, nie znaczy, że nie potrafię – mruknął Rafał, zły na siebie, że nie skłamał. Mógł powiedzieć, że Nomada był jeden. Ale ze zmęczenia zbyt wolno myślał. – Przegapiłeś najważniejsze. Pięciu agresywnych Nomadów w mieście. Podobno wcześniej zabili jakichś ludzi w Tarnowie.

– Pogadaliście, zanim objawiłeś swoje supermoce i załatwiłeś ich splunięciem?

– Kpij sobie. Nie byłem sam.

– Aha. Z babą i z dzieckiem.

– To właśnie o Kaškę poszło. Chcieli ją ode mnie kupić, albo wziąć siłą, gdybym się nie zgodził.

– Po co?

– Żeby sprzedać wieśniakom. Podobno jest straszny popyt na dzieci.

– Nic dziwnego, nie? Nie kręć, tylko gadaj, jak ich załatwiłeś.

– Nie zrobiłem tego w pojedynkę – skłamał Rafał. – Uciekliśmy pod sam szpital. Tam dostali strzałami od dzieciaków.

– No, to już brzmi bardziej prawdopodobnie. Cholera. Czyli Nomadzi świrują. Patrz, stary, zupełnie jak nasi sąsiedzi. Układa ci się coś w głowie?

– Najwyraźniej wstyd ludziom mija.

– I wracają stare, złe czasy, nie? Myślisz, że uda nam się przemówić sąsiadom do rozumu?

– Po tym numerze ze spluwami? Pewnie są jeszcze bardziej wściekli.

– Miło, że się zgadzamy. Jest plan, jak to rozwiązać, chłopie.

– Chcesz ich wystrzelać?

– Chcę się stąd wynieść – zaskoczył go Tomasz. – Co robisz takie wielkie oczy?

– Ciebie ostatniego bym o to podejrzewał. Włożyliśmy kupę roboty w tę naszą twierdzę. Myślałem, że prędzej pozabijasz wszystkich naokoło, niż odpuścisz.

– Bo nie znałem lepszej alternatywy. Ale poczekaj, opowiem ci wszystko po kolei. Najpierw zdejmuj te pokrzwawione szmaty, sam obejrzę twoją ranę.

Podniósł jeden ze zniczy stojących na stole i podszedł bliżej Rafała, by przyjrzeć mu się uważniej. Gwizdnął.

– Ty cały jesteś w jusze! Pokazuj szybciej ranę, bo mi tu zaraz zejdziesz.

– To nie moja krew...

– Przede mną się nie popisuj, twardzielu. Nie polecę na ciebie. Kurde, wszystko do wyrzucenia, nie będziemy tego prac.

– Ciuchów mamy od cholery.

– Niby tak, ale zdaje się, że te były ci potrzebne do roboty z bachorami, nie?

– Chyba nie będę się w to już bawił.

– I dobrze. Świat się zmienia na gorsze. Trzeba skończyć z samotnymi włóczęgami. Dobra, pokaż mi tę swoją ranę

chwały... No, trochę cię dziabnął. Zerwał kawałek skóry, musnął mięso. Ale do kości chyba nie doszło. Przeżyjesz.

– Dziękuję, doktorze drwalu. A teraz co, operacja piłą mechaniczną?

– Przemyć to trzeba. Ale nie wodą z mydłem. Na szczęście twój ulubiony lekarz zawsze ma na takie okazje spirytus.

Weszła Sylwia z kanapkami.

– Rany boskie! – zawołała. – Co ci się stało?

– Nadział się na Nomadę – wyjaśnił za współlokatora Tomasz.

– Ale pokonał pięciu wrogów i zeżarł ich serca, więc szybko się zagoi. Jeśli zostało trochę przegotowanej wody, przynieś jej, proszę.

Kiedy Tomasz opatrywał Rafała, Sylwia przysiadła na krześle w ciemnym kąciku, przyglądając się im bez słowa. Odsunęła od siebie najbliższy stojący na stole znicz, by jej nie oślepiął, i dzięki temu pozostawała prawie niewidoczna w półmroku. Mimo to, gdy Lucyna z Kaśką wróciły z kąpieli, dziewczynka natychmiast dostrzegła nieznaną sobie kobietę. Zatrzymała się w progu pokoju, wydając krótki, przestraszony okrzyk.

Mężczyźni poderwali się z miejsc. Sylwia spojrzała na Kaśkę z zaciekawieniem.

– Co się stało? – zapytał Rafał, podbiegając do małej.

– Ta kobieta. – Dziewczyna wyciągnęła palec w stronę Sylwii.

– Ona jest Maską!

Lucyna natychmiast wyszarpnęła zza pasa nóż. Zasyczała niczym kotka chroniąca młode. Rafał, obracając się ku Sylwii, spostrzegł wyraz twarzy Tomasza.

– Wiedziałaś – odgadł odruchowo, zajmując pozycję tak, by stanąć między współlokatorem a Kaśką.

– Od kilku godzin. Zamierzaliśmy wam to powiedzieć. Tylko czekaliśmy na wszystkich.

– To są te zmiany, o których mówiłaś?

– Tak. Wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż sądziliśmy. Proszę, wysłuchajcie jej. Nie jest dla was groźna.

„Was” – powtórzył w myślach Rafał. – „A zatem Tomek już wybrał, po której stronie stoi”.

Dopiero wtedy sobie uświadomił, że i on sam się określił. Odruchowo uwierzył dziewczynie, choć przedtem podawał w wątpliwość jej zdolności.

– Uspokójmy się wszyscy – tym razem zwracał się do Kaśki i Lucyny. – Schowajmy broń. Usiądziemy teraz przy stole, zjemy kolację.

– Może być zatruta! – ostrzegła Lucyna.

– Nie jest – odpowiedziały równocześnie Kaśka i Sylwia, nie odrywając wzroku od swoich twarzy.

Usiedli więc jak dwie partie szykujące się do rokowań. Lucyna z Kaśką po jednej stronie stołu, a Tomasz z Sylwią po drugiej. Z braku innego miejsca Rafał wylądował pośrodku niczym gospodarz albo rozjemca. Ponieważ nikt się nie kwapił, by zacząć posiłek bądź rozmowę, Rafał zainicjował jedno i drugie. Odgryzł kawałek kanapki, przeżuł, przełknął.

– Nic mi nie jest – oznajmił po kilkunastu sekundach. – A teraz, Tomek, wyjaśnij mi, co się dzieje.

– Właściwie to Sylwia powinna...

– Sylwię znam od paru dni, ciebie od dwudziestu lat. Jesteś Maską?

– Nie. Jeszcze nie? – Obejrzał się na Sylwię, a ta uśmiechnęła się i skinęła głową. – Kiedy cię nie było, Rafał, ona opowiedziała mi wszystko. Zabrała mnie do ich centrali.

– Centrali?

– Więzienie przy Rękawce. Ta historia z więźniami to ściema. Nie ma ich tam od dawna. Ewakuowano ich jeszcze przed berserkim. To jest teraz siedziba Masek. Byłem tam. Nie uwierzysz, jakie cuda tam mają!

– Na przykład co?

– Na przykład elektryczność – odpowiedziała Sylwia. – Internet i łączność ze światem.

Tomasz pokiwał z zapalem głową.

– Żeby mieć trochę prądu, wystarczy generator, choćby na ropę – zastanawiał się na głos Rafał. – Nawet wydaje mi się prawdopodobne, że coś takiego znajdowało się w więzieniu. Ale Internet? On zdechł.

– Nie. – Sylwia mówiła spokojnie, nie podnosząc głosu. Chyba nie chciała nikogo spłoszyć. – To znaczy, ten wszystkim znany faktycznie padł. Ale zostały wojskowe sieci. Amerykanie mieli własną, Rosjanie i Chińczycy też. Nawet my, to znaczy polska armia, dysponowaliśmy podłączeniem do amerykańskiej w ramach NATO. Nie jest to klasyczny Internet, nie ma w nim zdjęć kotków i tym podobnego chłamu. Ale zapewnia łączność.

– Więc więzienie przy Rękawce przejęło NATO? – parsknął Rafał. – A teraz co, chce zmilitaryzować moje podwórko? Dlatego do nas przysłaś? Po te kluczowe zasoby?

– To człowiek jest teraz kluczowym zasobem – nie dała się sprowokować Sylwia. – Według naszych danych uratowało się jakieś dwadzieścia procent ludzkości. Porozrzucanej po całym świecie. Często w izolacji. Wielu z tych, którzy przetrwali, nie przeżyje najbliższej zimy. A następną... Zgodnie z naszymi szacunkami w ciągu dwóch lat stracimy blisko czterdzieści procent spośród ocalałych. W wyniku chorób, głodu, ale i wojen.

– Przestaję cokolwiek rozumieć. – Rafał pokręcił głową. Sięgnął po następną kanapkę głównie z obawy, że jeśli tego nie zrobi, Kaśka, która pałaszowała je z zapalem głodzonego przez lata dzikusa, pożre wszystkie. – Zgodnie z czyimi szacunkami? Masek? NATO? A może Maski i NATO to to samo? I nadal nie rozumiem, co tu robisz.

– Wszystko po kolei – odpowiedziała Sylwia. – Pozwól, że zacznę od początku...

LUCYNA

– ... to będzie wymagało od was nieco cierpliwości – mówiła ta wypindrzona lasencja. Łatwo oczarowała mężczyzn swoim urokiem. Gapili się na ten jej zadarty nosek, sztucznie przedłużone i zagęszczone rzęsy, wymodelowane brwi. Na usta w kształcie serca umiejętnie podkreślone ciemnoczerwoną

szminką. Na oczy, które wydawały się większe dzięki sprytnie zrobionemu makijażowi. Uwodziła tych nieszczęsnych kretynów specjalnie dobraną tonacją głosu, miękkimi ruchami dłoni, spojrzeniami, których żaden z nich nie nazwałby zalotnymi, choć Lucyna natychmiast rozszyfrowała tę zakamuflowaną kokieterię zawodowej uwodzicielki.

Maska! Siedzieli przy stole z cholerną Maską, a ci idioci spijali każde słowo z jej ust. Pewnie oczyma wyobraźni widzieli dziesiątki takich ślicznotek poukrywanych za pałatkami i maskami przeciwgazowymi. Możliwe nawet, że wmówili sobie, iż właśnie stąd bierze się zasłanianie twarzy i ukrywanie kształtów ciał – żeby nikt się nie zorientował, że nocami krążą po mieście piękne amazonki.

Na szczęście Lucyna potrafiła rozszyfrować tę całą Sylwię. Słuchała jej, ale ważyła każde słowo Maski.

– Wszystko zaczęło się wcześniej, niż sobie wyobrażacie – kontynuowała Sylwia. – Sygnały nadchodzącej zmiany pojawiały się od dawna. Przegapialiśmy je całymi latami, bo nie łączyliśmy ich ze sobą. Ocieplenie klimatu kojarzyliśmy oczywiście z wymieraniem niektórych gatunków, ale mało kto zwracał uwagę na to, jak wpływa ono na dynamikę chorób cywilizacyjnych. Te z kolei badano w kontekście na przykład procesów urbanizacyjnych oraz psychologii i psychiatrii, ale już nie w połączeniu z fizyką i pewnymi zmianami zachodzącymi na poziomie subatomowym. Nic w tym dziwnego. Nauka i technika rozwinęły się tak bardzo, że naukowcy zmienili się w

coś w rodzaju żyjących w izolacji plemion, coraz bardziej ograniczających możliwości komunikowania się między sobą.

– Bardzo dziwnie pani mówi – mruknęła Kaśka.

– Przepraszam. Staram się unikać naukowego żargonu, ale pewnych sformułowań po prostu nie da się zastąpić bez wyrzeczenia się precyzji.

– Jesteś naukowcem? – zdziwił się Rafał. – Sądziłem, że większość z was wyginęła podczas gorączki.

– Nie do końca. Część z nas w porę się ukryła. Wreszcie zorientowaliśmy się, co się dzieje... A właściwie zorientowaliśmy się, że coś w ogóle się dzieje.

Uśmiechnęła się nieśmiało i przepraszająco. Mężczyźni od razu zmiękli. Ale Kaśka i Lucyna tylko wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. One doskonale widziały, co tu się wyprawia.

– Pozwólcie, że opowiem wszystko po kolei – ponownie poprosiła Sylwia. – To naprawdę pozwoli wam łatwiej zrozumieć. Jeśli będziemy skakać z tematu na temat... – Rozłożyła ręce. – Przysięgam, odpowiem na wszystkie wasze pytania. No dobrze, na czym to ja... Aha! Istniał cały szereg zjawisk, które wydawały nam się odrębne od siebie, ponieważ nikt nie patrzył na nie całościowo. W efekcie przegapialiśmy to, co najistotniejsze. Ktoś walczył z globalnym ociepleniem, ktoś inny ostrzegał przed zmianami zachodzącymi w naszych mózgach coraz bardziej dostosowujących się do Internetu i języków programowania, a przez to podatnych na

programowanie niczym komputery. Napisano miliardy zdań o świadomej ewolucji... Wiecie, co to takiego?

– Ja wiem! – Kaśka podniosła rękę, jakby znów trafiła do szkoły. – Maciek truł mi o tym... No, nieważne! Chodzi o to, że ludzkość im bardziej się rozwija technologicznie, tym mniej jest zależna od biologii. I od ewolucji. I że zostaniemy tymi, no... postludźmi.

– Mniej więcej – skinęła głową Sylwia. – W potężnym uproszczeniu. Ten twój Maciek musiał być fanem fantastyki, prawda?

– Nie jest mój! – zaperzyła się Kaśka.

– W takim razie przepraszam. Ale czy dobrze rozumiem, że przeżył?

– Przeżył. Bo cały czas chował się za innymi jak tchórz.

– Uciezka i ukrywanie się to też jedna ze strategii przetrwania. Przodkowie ssaków tylko dzięki nim przeżyli. Może nie oceniaj tego Maćka tak źle?

– Pani nic nie wie! – Kaśka wzruszyła ramionami. – Ten tchórz zostawił mnie na pewną śmierć. Wie pani, gdzie mam taką strategię przetrwania?

– Nie zawsze przeżywają najodważniejsi... Och, znów dałam się wciągnąć w dywagacje! – Sylwia tak zatrzepotała rzęsami, że Lucyna z trudem opanowała chęć, by przerwać ten cyrk, przyłożyć flirciarze nóż do gardła i wydusić z niej wszystkie odpowiedzi szybko i konkretnie. – Zatem... postewolucja? Z grubsza wygląda to tak, jak powiedziała Kaśka. Im mniej zależni byliśmy od zmian środowiskowych, tym bardziej sami

kształtowaliśmy środowisko, a tym samym siebie. Niektórzy twierdzili, że istotnie przełamaliśmy reguły ewolucji i już prawie wcale nie podlegamy naturze. Czy mieli rację, to inna sprawa. Ale części z nich udało się wreszcie spojrzeć na sytuację ludzkości całościowo. I wpadli w przerażenie.

– Do tego wystarczyło czytać gazety – prychnęła Lucyna.

– Mass media to część równania – zgodziła się Sylwia. – Ale to raczej objawy niż czynniki sprawcze. Niemniej rzeczywiście stanowią niezły przykład. To chyba oczywiste, że szalenie się radykalizowały. Nie tylko u nas. Na całym świecie. Praktycznie przestały przekazywać informacje, skupiły się prawie wyłącznie na eksportowaniu emocji. Treść przekazu ustąpiła miejsca jego formie. Ten proces był globalny i dotyczył nie tylko mediów. Podlegała mu każda forma komunikacji. Rozmowa, sztuka, wszystko. To potęgowało postępującą izolację, której sprzyjał rozwój technologiczny. Nowoczesne społeczeństwa praktycznie się rozpadały, dzieliły na grupy połączone wyłącznie wspólnotą coraz radykalniejszych emocji, przeważnie negatywnych. Teoretycznie, gdy spojrzeć na to przez pryzmat technologii, cywilizacja stale się rozwijała, ale tak naprawdę pogrążała się w regresie. Bo cywilizacja opiera się na komunikujących się ze sobą ludziach. A komunikacja praktycznie zanikała. Co gorsza, ostatnie jako tako działające więzy społeczne bazowały przede wszystkim na strachu i wściekłości.

– I natężenie tego wszystkiego stworzyło berserk? – Rafał wyglądał, jakby starał się nadażyć. Lucyna zorientowała się, że

ona także śledzi słowa Maski. Kobieta wiedziała, jak zainteresować odbiorców. Nie tylko uwodziła mężczyzn, ale też odwoływała się do osobistych doświadczeń i wspomnień słuchaczy. Przecież każdy przed gorączką wiedział, że świat wariował. Tylko mało kto spodziewał się, że zwariuje tak doszczętnie.

– Niezupełnie – odpowiedziała Sylwia, spoglądając na Rafała, jak oceniła Lucyna, z fałszywym uznaniem. Ta lisica zmieniła wszystkich zgromadzonych w pokoju w gorliwych uczniów pragnących zasłużyć na jej uznanie. – To też jeden z czynników. Widzicie, jak to się dzieje? Opowiadam wam o czymś, skupiamy się na tym i błyskawicznie tracimy z oczu szerszą perspektywę. Rozpad społeczeństw i szum informacyjny to jedna kwestia. Zmiany w naszych mózгах – druga. Zjawiska przyrodnicze na Ziemi – trzecia. A do tego dochodzi przecież zmieniająca się cyklicznie aktywność Słońca, która, tak się złożyło, w wyjątkowo niekorzystny sposób zgrała się z przemianami zachodzącymi na Ziemi. No i subtelne zmiany w strukturze rzeczywistości, za którymi nie potrafili nadążyć nawet najbystrzejsi fizycy kwantowi...

– Mam dość! – przerwał jej wywód Rafał, zrywając się z miejsca. Poczzerwieniał na twarzy i Lucyna zaczęła się zastanawiać, czy od tego wzburzenia nie wpadnie zaraz w berserk. – Dziewczyno, to brzmi jak suma spisków połączona z ogólną teorią wszystkiego! Za chwilę dorzucisz mi tu jeszcze Reptilian toczących odwieczną wojnę ze starożytną Lechią! To stek bzdur!

– Tomek uprzedzał, że jesteś sceptyczny. – Sylwia wydawała się niezrażona. – Nie dziwię ci się. To jest trudne do zrozumienia. Sama zareagowałam podobnie jak ty.

– Pamiętaj, że byłem tam i wszystko widziałem – przypomniał Tomasz. – To, co ona opowiada, brzmi jak kosmiczna bzdura. Ale prowadzi do bazy Masek, która jest jak najbardziej realna.

– Szlag! – Rafał łypnął podejrzliwie na przyjaciela, ale w końcu usiadł. – Szlag! Sylwia, przejdź do rzeczy. Bo jak zaraz zaczniesz mówić, że akceleratory cząsteczek wyrwały dziurę w naszej rzeczywistości, naprawdę nie wytrzymam!

– Nie wyrwały. – Uśmiechnęła się pocieszająco. – Ale pozwoliły dostrzec pewne zjawiska... Masz rację. Za dużo tego na was zrzuciłam. Powiedzmy tak: grupy naukowców na całym świecie zaczęły dochodzić do wniosku, że wszystko zmierza do kolejnej fali masowego wymierania. Wiecie, że one powtarzają się na Ziemi?

– Jak dinozaury? – odgadła Kaśka.

– Tak jest. Przy czym to nasze miało być szczególne. Zwykle masowe wymierania, na ile mogliśmy to ocenić, wiązały się z gigantycznymi katastrofami obracającymi w perzynę większość życia na Ziemi. Tym razem miało być inaczej. To ludzkość miała zostać poddana resetowi. Tylko ona.

– Spisek – nie wytrzymał Rafał. – To ciągle teoria spiskowa.

– Nie. Pomyśl o tym, co mówiłam. Ludzkość całkowicie uzależniła się od cywilizacji technologicznej, a to wiązało się z życiem uzależnionym od społeczeństw. Żadne z nas nie mogło żyć w izolacji od innych. Jeden człowiek nie był w stanie

wyprodukować dla siebie żywności, a przy tym ubrania, lekarstw itp. Kromaniończyk potrafił upolować zwierzę dla mięsa, obdrzeć je ze skóry, z której robił dla siebie odzienie. A jeśli się zatrzał albo gorączkował, prawdopodobnie znał rośliny, które mogły mu pomóc. Jeszcze w średniowieczu, a na wsiach i na początku XX wieku, były to umiejętności, które posiadała większość. A zabezpieczenia przed wysoką temperaturą? Ile znasz roślin leczniczych? Kto z nas potrafiłby obniżyć gorączkę, jeśli w pobliżu nie byłoby apteki? Zaspokoić głód bez sklepu spożywczego? Straciliśmy podstawowe umiejętności gwarantujące przeżycie. Bo nie były nam potrzebne. Cywilizacja je nam zastąpiła. Ale równocześnie rozsadzaliśmy tę cywilizację od środka. Nie byliśmy w stanie żyć w izolacji od innych, lecz bezustannie dążyliśmy do coraz pełniejszej izolacji. Mimo to przetrwalibyśmy dzięki ekspertom. Ale gdy dodać do naszej pożerającej własny ogon cywilizacji inne czynniki, jak coraz trudniej radzące sobie ze zmianami ludzkie mózgi, globalne ocieplenie i tę nieszczęsną narastającą agresję... Zrozumcie, to nie spisek. To szereg czynników, które sprawiły, że ludzkość znalazła się w pułapce. Odrzucaliśmy ewolucję naturalną, woleliśmy sami się kształtować. Tyle że skręciliśmy w niewłaściwym kierunku. A Ziemia, cały wszechświat powiedziały: „sprawdzam”. I znaleźliśmy się w dupie.

– Na koniec wreszcie jakieś zrozumiałe słowa – pochwalił ją Rafał. – No dobra. Nie było spisku. Spieprzyliśmy sprawę, a w dodatku mieliśmy pecha. Ale jak to się ma do Masek?

– Ano tak – Sylwia nie opanowała kpiącego uśmiešku – że jednak był spisek. Tylko trochę inny, niż myślisz. Kiedy różne instytuty zorientowały się, że obraliśmy kurs na wymarcie, poszły z tym do rządów. Niestety, po pierwsze zrobiły to za późno, a po drugie biurokracja dodatkowo wszystko spowolniła. Gdy rządy zaczęły działać niezależnie od siebie, było już właściwie po wszystkim. Zagłada zdążyła rozkręcić się na dobre. Nie dało się powstrzymać jej procesów. Cywilizacja miała upaść. Ale to nie wszystko. Człowiek miał się zdegenerować, wrócić do stanu zwierzęcego. Wskazywały na to symulacje ewolucji naszych mózgów i symulacje zmian zachodzących w ludzkim DNA. Niestety, na poziomie zwierzęcym nie bylibyśmy w stanie konkurować z tymi gatunkami, które nie uzależniły się jak my od technologii. Zostalibyśmy przez nie wyeliminowani. I właściwie nie było przed tym ratunku.

– Coś czuję, że kluczowe jest słowo „właściwie” – rzucił Rafał kpiąco. – I co postanowiliście? Zbudować wielkie schrony, na przykład pod więzieniami w niektórych miastach, żeby przetrwała tam elita ludzkości?

– Nie. To znaczy, schrony oczywiście istnieją. Ba, istnieją całe sieci powiązań między nimi. Pod budynkiem więzienia przy Rękawce korytarze ciągną się przez pół miasta po tej stronie Wisły. Dodatkowo wykorzystaliśmy lochy minerskie po Austriakach...

– W Krakowie ich nie ma!

– Tak ci powiedzieli? Kto? Niemcy, którzy ich używali i powiększali je, czy komuniści, którzy wzięli z nich przykład i też wszystko poukrywali? Są. Sam zobaczysz. Ale do rzeczy. Nie, nie chodziło o ukrywanie się w schronach. To nic by nie zmieniło. Ci, którzy by się w nich schowali, nadal podlegaliby tym samym procesom co wcześniej. Jak już mówiłam, nie było ucieczki przed zagładą. Przegapiliśmy właściwy moment, by ją powstrzymać.

– No to co zrobiliście? – zawołał rozgorączkowany Rafał. Lucyna zdała sobie sprawę, że podziela jego podniecenie. – Co to za spisek?

– Nie dało się powstrzymać procesu zagłady, więc postanowiliśmy go przyspieszyć – odpowiedziała Sylwia i mrugnęła do nich łobuzersko, jakby właśnie opowiedziała wyborny dowcip.

Rozdział 23

KAROL

Pokonali Wisłę szybko i bezszelestnie. Karol tylko raz obejrzał się na brzeg, który pozostawiał za sobą. Nie czuł potrzeby, by tam wracać, odzyskiwać władzę, mścić się. Właściwie zamiast rozczarowania towarzyszyła mu ulga. Nie musiał już przejmować się losem podkomendnych, snuć planów umożliwiających przetrwanie, zastanawiać się, kiedy należy zaatakować potencjalnych przeciwników.

Mogło się wprawdzie okazać, że spadał z deszczu pod rynnę i zmieniał tylko więzienia. Chciał zadać wiele pytań sierżantowi Giętkiemu. Rozumiał jednak, że musi powstrzymać ciekawość przynajmniej, dopóki nie oddalą się od Wisły. Głos mógł nieść się daleko po wodzie, a nikt nie chciał zaalarmować żadnego z posterunków.

Spróbował przypomnieć sobie, co wiedział o Maskach. Miał ich za nową legendę miejską. Strażnicy uważali, że to demony poruszające się wyłącznie nocą, może zmutowani i paskudnie zdeformowani ludzie. Skoro należał do nich Giętka, nic nie wskazywało na to, by te opowieści miały okazać się prawdziwe. Karol dostatecznie często widział sierżanta bez maski zakrywającej twarz, by wiedzieć, że mężczyzna ten był zwyczajnym człowiekiem. Chyba że ukrywał zniekształcenia ciała pod mundurem. Nawet to wydawało się mało

prawdopodobne. Zgodnie z regulaminem Strażnicy przynajmniej raz w roku musieli przechodzić obowiązkową gorącą kąpiel. A że dla oszczędności wody i opału pod prowizorycznymi prysznicami kąpali się wspólnie, całymi plutonami, to ktoś by potencjalne mutacje Giętkiego zobaczył.

Zatem teorię o mutantach, podobnie jak tę o demonach, należało skreślić. Co pozostawało? Jakaś frakcja, konkurencyjna wobec Strażników? Skoro jej siedziba mieściła się w Podgórzu, może stamtąd właśnie się wywodziła?

Gdy przybili do brzegu, Giętki pomógł Karolowi wysiąść z pontonu. Maski wszystkie czynności wykonywały bez słowa, co przywoływało niemiłe wspomnienia z czasów gorączki. Zarażeni też starali się poruszać bez wydawania jakiegokolwiek dźwięku, co Karol pamiętał z późniejszych snów. Gdyby jednak otaczali go teraz opętani, nie przewoziliby go przez Wisłę, tylko zwyczajnie zamordowali i pożarli. Chyba że ulegający berserkowi też mogli się zmieniać.

Darował sobie pytania, póki nie wspięli się po schodach na szczyt muru przeciwpowodziowego. Stanęli pod dużym, wyrastającym ponad okoliczne kamieniczki hotelem. Przed sobą mieli plac, na którym ktoś kiedyś poustawiał krzesła-pomniki na pamiątkę poprzedniego krwawego szaleństwa, jakie opanowało ludzi. Z tamtego ludzkość zdołała się podnieść. Czy za kilkadziesiąt lat ktoś postawi pomnik mający uwiecznić pamięć o berserku? Co przedstawiałby taki monument? Ludzi w maskach? Biczujących się Pokutników? A może uciętą maczetą głowę wetkniętą na górne ramię krzyża?

Żadna z tych wizji nie przypadła Karolowi do gustu. Zaświtała mu myśl, że po gorączce nie przetrwało wiele rzeczy wartych ocalenia. Ciekawe, czy po drugiej wojnie światowej było tak samo?

– Dokąd idziemy? – zapytał Giętkiego, gdy oddalili się od hotelu. – Kim w ogóle jesteście?

– Strażnikami ludzkości – odpowiedział sierżant. – Sądził pan, że cywilizacja się nie zabezpieczyła? Że nikt nie wiedział, co nadciąga?

– Jesteś z armii? Z wywiadu? Z sił specjalnych?

– Nic z tych rzeczy. Ja dołączyłem do projektu już po gorączce. Jak wielu innych. Może pan też zostanie zwerbowany? Po to nas do pana wysłano. Dowódca wiąże z panem spore nadzieje.

– Dowódca?

– Pułkownik. Jeden z tych, którzy już przed gorączką wiedzieli, co się szykuje. Prawdziwy żołnierz.

– To czemu nie wylezie ze swojego bunkra? Chętnie bym mu oddał dowodzenie nad Strażnikami.

– Nie rozumie pan. Jeszcze nie pora. Naszym zadaniem jest póki co obserwacja. I działanie w ukryciu.

– Dlaczego?

– Wyobraża pan sobie, co by się działo, gdyby Pułkownik się ujawnił i ogłosił, że jest reprezentantem rządu? Że już wcześniej wiedział, co się szykuje? Ludzie gotowi byłiby znowu wpaść w berserk.

– Mogliby się wkurzyć, to prawda.

– Myślę, że na pewno by się wściekli. Poza tym pewnie znaleźliby się tacy, którzy uznaliby nas za konkurencję. Dlatego działamy w ukryciu. Rozsiewamy plotki, budujemy legendę złowrogich Masek. I jeszcze parę innych. Czekamy na właściwy moment.

– Czyli jaki? Aż zaraza powróci? Dlatego nosicie maski? Boicie się, że wirus wciąż jest w powietrzu?

– Gdzie tam. – Spod maski Giętkiego dobiegł chichot. – Większość naszych filtrów to już złom. Maski i całe to przebranie mają tylko wywierać efekt psychologiczny. Wyglądamy dziwnie, nieludzko, groźnie. Poruszamy się w przebraniach nocą, a nikt nie wie, kim naprawdę jesteśmy. Większość ludzi ucieka na nasz widok. A kiedy w dzień ściągamy maski, możemy być, kim chcemy. Sierżantami Strażników na przykład. Pokutnikami, Krzyżowcami, Nomadami...

– Ghulami? – wszedł mu w słowo Karol.

– Nie. Żaden z nas nie jest mordercą, którego pan ścigał.

– Skąd ta pewność?

– Bo jeden z naszych patroli widział mordercę.

– I nic nie zrobiliście?

– Na razie nie wolno nam reagować, chyba że Pułkownik rozkaże inaczej. Pierwsza dyrektywa.

– Co?

– Pierwsza dyrektywa Masek. Nie reagujemy w życie ocalałych, chyba że sytuacja wymaga tego w szczególnych okolicznościach.

– Wiesz, że to pomysł ze *Star Treka*?

– Czego?

– Takiego serialu science fiction. Wasz Pułkownik nazywa się może Kirk albo Picard?

– Czy mi się zdaje, czy pan kpi?

– Jesteście żołnierzami w niedziałających maskach przeciwigazowych postępującymi według regulaminu z serialu o Gwiezdnej Flocie. Trudno mi zachować powagę, sierżancie.

– Wszystko pan zrozumie, Kapitanie. Pułkownik panu wytłumaczy. Już niedługo. Jesteśmy prawie na miejscu.

Zamilkł, być może urażony.

– Może Pułkownik znał ten serial i zasada mu się spodobała?

– spróbował udobruchać go Karol.

– Zasada obowiązuje na całym świecie.

– Na całym świecie? Macie łączność z innymi miastami? Wszędzie są Maski?

– Nie z miastami, Kapitanie. – W głosie Giętkiego pojawił się ton wyższości. – Z państwami. Kontynentami. Nawet z działającymi satelitami. Pułkownik w centrum dowodzenia ma sprzęt prawie jak za dawnych czasów. Teraz proszę o ciszę, ta okolica jest zamieszkaana.

Karol zamilkł posłusznie. Przechodzili akurat między krzesłami-pomnikami z żeliwa i brązu. Część udawała powywracane, na niektórych dałoby się usiąść. Ktoś tu mieszkał? Karol próbował sobie przypomnieć dane zwiadowców. Zdaje się, że trzy grupy, około dziewięciu osób. Rozejrzał się i po drugiej stronie ulicy, wśród szeregu pustych

budynków, w nocy przypominających ciemną, zbitą masę kanciastych wzgórz, dostrzegł jedno okno, drobny prostokąt w mroku rozświetlany rozedrganym płomieniem świecy. Przez chwilę kusiło go, by zrobić Maskom psikusa i zacząć wołać ludzi, którzy jeszcze nie spali. Tylko co by mu to dało? Maski znakomicie wykonały swoją robotę i nocą ludzie bali się opuszczać domy. A gdyby nawet ktoś wyjrzał zaciekawiony przez okno, raczej nie przybiegłby Karolowi z pomocą, lecz widząc Maski, dodatkowo zabarykadowałby drzwi.

Poza tym, tak naprawdę, Karol nie chciał uciekać. Ciekawił go ten cały Pułkownik i jego zasoby. Ciekawiła opowieść o tym, jak rząd przed katastrofą przygotował się na nią. Po raz pierwszy od momentu powołania Strażników Karol poczuł, że coś na świecie znów go zainteresowało.

Zachował więc ciszę. Przeszli przez plac i weszli na ulicę, na której setki samochodów zastygło na wieki. W ciemnościach trudno było rozróżnić ich barwy i modele. Zmieniły się w jedną z bezużytecznych pozostałości po starym świecie, zwykłą zawadę. W pewien sposób przypominały fałszywe krzesła poustawiane na pamiątkę poprzedniej zagłady. Tyle że tamte upamiętniały ludzi wyrzuconych z domów i pozbawionych wszystkiego, a samochody stały się pomnikiem przesadnej obfitości, wspomnieniem świata, który w końcu udławił się sam sobą.

Karol nie był zdziwiony, gdy zatrzymali się przed budynkiem starego aresztu śledczego. Mniej już zważając na ciszę, Giętki uderzył dłonią w jego żelazną bramę. Z drugiej strony dało się

słyszeć zbliżające się kroki. Oto kolejna legenda odsłaniała swoje tajemnice. Więzienie naprawdę było zamieszkane.

– Macie układ z więźniami? – zapytał Karol.

– Od pół roku nie ma tu więźniów – odparł Giętki.

Pół roku? A więc rzeczywiście zaczęli przed berserkiem.

Ktoś odsłonił wizjer. Po chwili szczęknęły zasuw.

„Jak łatwo byłoby zdobyć to miejsce – pomyślał Karol. – Wystarczyłoby nocą wysłać ekipę z maskami na twarzach i zastukać we wrota. Jeśli nie mają tu innych sposobów identyfikacji...”

Tylko najpierw musiałby przekonać kogoś, na początek sam siebie, że taki szturm miałby jakikolwiek sens.

– Pańska broń, kapitanie – przerwał mu rozmyślenia Giętki.

– Słucham?

– Proszę o pańską broń. Dotąd pozwalaliśmy ją panu zachować, ale tam w środku to inna sprawa. Proszę się nie martwić. Jeśli zdecyduje się pan zostać, a Pułkownik przekona się o pańskiej niewinności, zwrócą ją panu. Jeśli postanowi pan odejść, też. Ale na razie...

Opór nie miał sensu, tamtych wciąż było więcej, niż on miał kul w bębenku. Odpiął więc niechętnie pas. „Jeśli postanowi odejść”, dobre sobie. Na pewno wypuszczą go po tym, jak Giętki już tyle mu wyjawiał.

Chociaż, z drugiej strony, komu miałby zdradzić ich tajemnice? Przecież nie kupi sobie nimi immunitetu wśród Strażników. Krystyna zbyt go nienawdziła. Wciąż nie do

końca rozumiał za co. Czy uratowanie życia tej kobiecie było jej zdaniem niewybaczalną zbrodnią?

Spodziewał się, że brama otworzy się ze zgrzytem, ale Maski dbały o to, by oliwić jej zawiasy. Niemożliwe było rozwarcie tych wrót bezszelestnie. Szczęk zamków odbił się echem w całej okolicy. Zimny, metaliczny dźwięk, nietłumiony przez żadne inne odgłosy w pozbawionym życia mieście, musiał robić nieliczne wrażenie, jeśli ktoś jeszcze nie spał. Zapewne jednak raczej zniechęcał do szukania jego źródeł, niż pobudzał ciekawość.

Na progu więzienia stanęło trzech ludzi w maskach. Jeden z nich wyciągnął przed siebie rękę i Karol podał mu pas z rewolwerem.

– Naprawdę? – zwrócił się do Giętkiego. – Nawet tutaj nosicie maski?

– Zawsze po zmroku – odparł sierżant. – To kwestia zasad i przyzwyczajenie. No i to trochę konspira, Kapitanie. Lepiej, gdy większość z nas nie zna nawzajem swoich twarzy. Tu pana pożegnam. Cieszę się, że udało się panu uciec.

Zasalutował na wzór Strażników. Ponieważ jednak Karol zapożyczył sposób salutowania od wojska polskiego, nie wiedział, czy Giętki honoruje go jako swego dawnego dowódcę, czy też wedle zasad wywodzących się z armii Masek. Na wszelki wypadek odpowiedział salutem.

– Nie wchodzisz ze mną do środka?

– To nie moja działka, Kapitanie. Tylko raz byłem w środku. Miałem zaszczyt zobaczyć, jak to wszystko działa, jak

naprawdę wygląda świat. Teraz po prostu robię swoje. Może się jeszcze spotkamy?

Odwrócił się i odszedł, prowadząc swoich ludzi z powrotem ku Wiśle.

„Dziwna zasada”, uznał Karol, odprowadzając go wzrokiem. Teraz, gdy został sam na sam z obcymi ludźmi, naprawdę poczuł, że zerwał ze swoim dawnym życiem. Cóż, nie pierwszy raz. Zresztą nie trwało to zbyt długo. Jakieś trzy miesiące. Zdumiewające, ile się w tym czasie wydarzyło.

– Ty, nowy! – odezwał się ten, który odebrał mu broń. – Nie stercz tak. Właź do środka!

Ledwie przekroczył próg, szybko, choć wciąż cicho, zamknięto za nim bramę.

– To teraz do Pułkownika? – zapytał.

Maski zachichotały. Jeden z głosów wydał się Kapitanowi kobiecy. Zatem tu też panowało równouprawnienie. Trudno było się temu dziwić. Po berserku nie bardzo można było przebierać w ludziach. Każdy, kto przetrwał, nie tylko był cenny, ale też musiał zasuwać jak wszyscy inni. Nawet Krzyżowcy będą musieli to w końcu zrozumieć. Choć, musiał to przyznać, w ich pomyśle na maksymalne zwiększanie płodności był cień sensu.

– Do Pułkownika? – Przewodzący trójce Masek mężczyzna opanował wreszcie wesołość. – Nie tak prędko, koleś. Najpierw sprawdzimy, czy nie chowasz jakichś niespodzianek. Troska, Łebski, pilnujcie wrót. Ty, koleś, idziesz ze mną. Zasuważ przodem, będę ci wskazywał drogę. Bez zbędnego gadania, nie

jestem przewodnikiem. Jakbyś już musiał, zwracaj się do mnie: „kapralu Menes”. Zrozumiano, gładkolicy?

– Tak jest. – Karola zaskoczyło, jak trudno było mu wypowiedzieć te dwa słowa. Przywykł do swojej rangi i szacunku, z jakim się wiązała. – Dokąd mam iść?

– Prosto, potem w lewo.

Dotarli w ten sposób do drzwi prowadzących do budynku więzienia. Znowu szczęknęły zamki i kolejne wrota otworzyły się bezszelestnie.

– O, rekrut! – ucieszył się niewysoki Maska, odsuwając się, by wpuścić Karola do środka. – Prawdziwy dziś urodzaj. Sylwia przyprowadziła już jednego, a podobno...

– Stul pysk, Pyskacz! – usadził go kapral Menes. – Chryste, wyśpiewałbyś wszystko nawet niepytany! Skąd wiesz, że to rekrut? Może więzień? Może wróg?

– Się słucha, się wie – mruknął Pyskacz. – To ten wielki szef Strażników.

Menes zbył go milczeniem. Pchnął Karola, by go pospieszyć. Przeszli krótki korytarz, sami otworzyli następne, tym razem już zwyczajne drzwi i nagle znaleźli się w prawdziwym więzieniu. Sporo tu było innych Masek. Siedziały na schodach i pod ścianami. Milkły, gdy Karol i eskortujący go kapral zbliżali się do nich.

– Na schody! – warknął Menes. – Potem w prawo. Dobrze. Czeka. Stój!

Otworzył przed Karolem drzwi jednej z cel.

– Do środka! – zakomenderował. – Dobra. Podaj mi ten plecak. A teraz zrzucaj ciuchy.

– Tak całkiem?

– Do goła. Nie pójdziesz w swoich łachach do Pułkownika. Różni tacy chcieliby go dorwać.

– Jacy różni? – zainteresował się Karol, zdejmując niechętnie spodnie. Miał stanąć przed tym prymitywem nagi? Nieźle się zaczynała jego potencjalna współpraca z Maskami. Od obdarcia go z godności. Kto niby miał szykować zamach na Pułkownika, skoro nikt nie wiedział o jego istnieniu?

– Nie twoja sprawa. Teraz góra. Tak, cwaniaku, majty też. Nie wiadomo, co w nich ukrywasz, nie?

Kilka odpowiedzi przychodziło Karolowi do głowy, ale że żadna nie należała do dyplomatycznych, ugryzł się w język. Znajdował się teraz na łasce i niełasce tych ludzi.

– Obróć się. Pochyl się. Rozchyl poślady. Nie bój się, nie zerznę cię, wolę baby. Ale w dupie też możesz coś chować. No dobra. Kopnij teraz te swoje szmaty w moim kierunku. Dobrze. Jest tak. Każda prycza twoja, nie mamy tu tłoku. Na stołku stoi dzban z w miarę świeżą wodą. Możesz się z niego napić. Jeśli Pułkownik uzna, że jesteś swój gość, dołożymy ci trochę luksusów. Popatrz w lewo. Widzisz szmaty na haku?

– Widzę. Wiele tego nie ma.

Na haku obok drzwi powieszono tylko długą pałatkę.

– Wystarczy, żeby zasłonić małego. Ekstra ciuchy dostaniesz, jak...

– Jak Pułkownik mnie polubi. Rozumiem.

– Cwaniak, co? No to siedź tu i czekaj, cwaniaku.

Menes zatrzasnął drzwi, kompletnie nie przejmując się hałasem, którego przy tym narobił. Zamknął je na klucz z drugiej strony i Karol został sam w całkowitych ciemnościach.

Znowu był więźniem. Tyle że teraz w prawdziwym więzieniu.

Rozdział 24

R A F A Ł

– Wyście to zrobili? – powtórzył po raz trzeci Rafał, bo to, co usłyszał od Sylwii, nie mieściło mu się w głowie. – Zabiliście siedem miliardów ludzi?

– Siedem miliardów ludzi pozabijało się nawzajem – odparła Sylwia z tym niezmaconym spokojem, który zaczął budzić w nim wściekłość. – My ratowaliśmy, co się da.

– Wypuszczając pieprzonego wirusa?

– Nie zrozumiałeś – westchnęła. – Nie myśmy go stworzyli. Wyizolowaliśmy z szumu informacyjnego w sieci pewien szczególny kod. Wasze mózgi i tak go szczytywały, ilekroć podłączyliście się do Internetu. My go tylko wzmocniliśmy. I nadaliśmy go na wszystkich kanałach i falach radiowych równocześnie na całym świecie. Wcześniej przeprowadziliśmy parę prób, o których dowiedzieliście się z telewizji i netu. Pozwoliliśmy na to, bo strach wzmacniał bodźce korzystne dla wirusa. Uzupełniliśmy to wypuszczeniem syntetycznego wirusa zdolnego wchodzić w reakcje z ludzkim DNA.

– I zabiliście siedem miliardów ludzi. Jezu, Hitler to przy was główniarz!

– Rafał, proszę cię. To i tak by nastąpiło. Tylko później. Może za dziesięć, może za piętnaście lat. Kiedy ludzkość nie byłaby już zupełnie gotowa na życie bez techniki. Uderzyliśmy natychmiast, intensyfikując siłę obu wirusów. Przyspieszyliśmy proces, ale na naszych warunkach. Ci, którzy ocaleli, są w większość lepiej przygotowani do życia w spustoszonej świecie, niż byłyby ich dzieci. A do tego liczyliśmy, że to będzie jak terapia szokowa dla organizmu. Że wytworzą się przeciwciała.

– Przeciwciała? Przeciwno czemu? Programowaniu mózgu przez Internet, którego już nie ma? Potrzebujemy tego jak Eskimosi lodówek!

– Nie słuchałeś uważnie. – Ku zdumieniu Rafała Sylwię poparła niespodziewanie Lucyna. Dziwne. Do tego momentu sądził, że nie znosiła Maski. Wywracała demonstracyjnie oczami przy co trzecim zdaniu Sylwii. – Ona teraz mówi o tym wirusie od DNA.

– A ty skąd nagle to wiesz? – zachnął się.

– Wiesz skąd.

– Chryste! – jęknął. – Twoja pieprzona teoria światel!

– Teoria światel? – nie rozumiała Sylwia.

Lucyna zgromiła Rafała wzrokiem.

– Jak chciałaś utrzymać to w tajemnicy, trzeba było mnie uprzedzić – warknął.

– Ciekawe kiedy? Nie wspominałeś, że twój kumpel to kochaś Maski, która opowie nam podczas kolacji, jak zamordowali świat.

– Teoria światel? – przypomniała Sylwia.

– Nie światel, tylko blasków, jasności – westchnęła Lucyna. – Pojawiły się u ludzi po gorączce. Nie wiem dlaczego, nie wiem jak. Ale niektórzy je mają. Ja chyba też, bo potrafię je dostrzegać. Nie wiem, może ich układy nerwowe rezonują teraz jakoś? Rafał takie ma. Kaśka też. Jak jaśniejiesz, to zwykle dysponujesz jakąś specjalną zdolnością?

– Na przykład? – zapytała Sylwia wyraźnie podniecona.

– No, ja widzę blaski innych. A Kaśka jest tak jakby telepatką. Spojrzy na ciebie i wie, co robiłaś. Tak cię rozpoznała.

– A ty? – zaciekawiał się Tomasz, patrząc na Rafała.

– Nie wiemy jeszcze – odpowiedziała Lucyna, nim Rafał zdążył zareagować. Obejrzał się na nią zaskoczony. Wołała ukryć jego zdolności? Czemu? Wstydziła się go? Bała się? Właściwie to się jej nie dziwił. Sam czuł do siebie wstręt.

– Nie szkodzi! – Sylwia aż klasnęła. – Wspaniale! Czyli udało się! O to właśnie nam chodziło. O nową rasę ludzką, zdolną do zrobienia następnego kroku ewolucyjnego! Co za fart, że na was trafiłam!

– Fart? – Rafał znów poderwał się z miejsca. Dostrzegł, że Lucyna i Kaśka zeszywniały na ten widok. No proszę, ile by nie gadały o jego wspaniałym darze, jednak bały się, że może wpaść w szal. Trudno było je za to winić. – Nie wierzę w kosmiczne zbiegi okoliczności! Chcesz mi wmówić, że zabujałaś się w Tomku, a on akurat okazał się kumplem koleśia

otaczającego się ludźmi z przemielonym DNA? Co, swoją drogą, też jest zbiegiem okoliczności na niezłą skalę!

– Nie ma żadnych przypadków. – Sylwia potrząsnęła głową. – A w każdym razie nie tak wiele, jak myślisz. Zostałam wysłana z naszej bazy, żeby dotrzeć do ciebie. Z meldunków wynikało, że trzymacie się z Tomaszem razem. A według naszych psychologów do Tomka łatwiej byłoby mi dotrzeć niż do ciebie.

– Szukałaś mnie? Dlaczego akurat mnie? Co czyni mnie wyjątkowym?

– Jako jedyny masz kontakt z dziećmi. A to one nas głównie interesowały.

– My? – zapytała Kaśka. – Czemu my?

– No właśnie! – Sylwia nie zdążyła odpowiedzieć, a Lucyna już atakowała następnym pytaniem. – Przecież dzieci nie chorowały! Ja nawet nie rozumiem, czemu Kaśka jaśnieje!

– Oczywiście, że chorowały. Nie wiedzieliście tego? Kaśka, naprawdę nie wiedziałaś?

– O ile wiem, nikogo nie pogryzłam. I pamiętam wszystko z czasu zarazy.

– Tak, bo przechodziłyście berserk łagodnie. Organizmy osobników, które dopiero dorastają, inaczej reagują na choroby, podobnie jak ich mózgi na zmiany. Jesteście, jakby to powiedzieć, elastyczniejsi. Dlatego uważaliśmy, że to wśród dzieci wirus ma największe szanse wywołać pozytywne efekty. Ale na pewno chorowałaś. Przypomnij sobie. Nie miałaś gorączki?

– Miałam – odparła zdumiona Kaśka. Pobladła. – Ale to dlatego, że przemoczyłam buty podczas ucieczki i przeziębiam się. I... – Urwała. – Mówili, że wszystkie dzieci chorowały – wyszeptala. – Że to gorączka z nerwów.

– Nie z nerwów. – Sylwia uśmiechnęła się łagodnie. – To berserk. Tylko dużo łagodniejszy. Teraz rozumiecie?

– Rozumiem, że potworne z was pojeby i masowi mordercy – nie ustępował Rafał. – No dobra. Wybrałaś nas, żebyśmy doprowadził cię do dzieci. A te zapasy w twoim mieszkaniu? Zdjęcia z mężem?

– Zapasy to podpucha, żeby bardziej was do mnie przekonać. Zdjęcia to drobiazg, jeśli masz komputer i drukarkę.

– A mają! – zawołał Tomasz. – Stary, oni tam mają wszystko!

– Więc czego od nas chcesz? – Rafał poczuł, że nagle słabnie. Może to skutek odniesionej rany, może zbyt wielu emocji. Wrócił na krzesło i usiadł. – Zwerbować nas do waszej armii ludobójców?

– Chcę was uratować.

– Właśnie się dowiedziałem, co w waszym języku oznacza ratowanie. Leczą pacjenta przez obcięcie mu głowy i czekanie, czy reszta ciała odrośnie. Nie, dziękuję.

– Nie bardzo macie wyjście.

– Nie? – Nie potrafił przywoływać berserku ot tak i po raz pierwszy tego pożałował. – Przyjdziecie tu całą bandą Masek i weźmiecie nas siłą?

– Nie to miałam na myśli, Rafał. Ale pomyśl, jak będzie wyglądało twoje życie tutaj. Wasi sąsiedzi już teraz was

nienawidzą. A co, jeśli dowiedzą się, że różnicie się od nich? Że berserk was przemienił?

– Ciekawe, kto mógłby im powiedzieć? – warknął.

– Nie da się wiecznie utrzymać tajemnicy. – Wzruszyła ramionami. – Ale to nie koniec. Sam opowiadałeś o Nomadach. Agresja w ludziach rośnie, znów wracają mordercze instynkty i chciwość. Na razie tłumi je wielka dostępność prawie każdego towaru. Lecz to nie potrwa wiecznie. Co stanie się zimą? Niech tylko przyjdzie głód, a znikną wyrzuty sumienia. Poradzisz sobie sam? Z sąsiadami być może. A z Nomadami, Strażnikami i Bóg raczy wiedzieć jakimi jeszcze grupami? Naprawdę sądzisz, że masz inne wyjście niż przyłączyć się do tych, których nie przerazi twoja inność? Dla których będzie ona wręcz skarbem?

– A Lucyna? Kaśka?

– Przyjmiemy was wszystkich. Zobaczycie lepszy świat. Daję wam słowo.

Spojrzał na Kaśkę. Wzruszyła ramionami.

– Może bym i poszła – przyznała niechętnie. – Ale najpierw muszę zanieść wieści o Nomadach na Wawel.

– A ty? – zapytał Lucyny.

– Mnie to kręci. Dziś poznałam więcej odpowiedzi niż przez ostatnie trzy miesiące. Żyję tak naprawdę po to, by szukać takich jak ja. Jezu, Rafał! Nie chcesz dowiedzieć się więcej o tym, czym się stałeś? Oni mogą mieć tam prawdziwych lekarzy i naukowców!

– I prawdziwe próbówki, w których poupychają kawałki twojego ciała po wiwisekcji – uświadomił jej. – I kamery, na których ją utrwała.

– Nie jesteśmy tacy! – zaprotestowała żywiłowo Sylwia.

– Na pewno? Bo przed chwilą opowiadałaś, jak zamordowaliście jakieś dziewięćdziesiąt procent ludzkości.

– Uratowaliśmy ludzkość – upierała się. – To było okropne, zgadzam się. Ale konieczne.

– Jestem pewien, że jeśli przyjdzie wam ochota, by zobaczyć, jak wygląda mój kręgosłup w słoiku, też znajdziecie jakiś powód, dla którego ukatrupienie mnie będzie konieczne. Masz rację, Sylwia. Życie tu nie będzie łatwe. Ale mimo wszystko mam większe szanse tu niż u was. Tak więc ja podziękuję. Nie idę. I wam też to radzę, dziewczyny – zwrócił się do Kaśki stojącej w zamyśleniu pod ścianą i Lucyny, która właśnie wstawiała. Podeszła do Rafała, stanęła za nim i oparła mu dłonie na ramionach.

– Mój rycerz – szepnęła, całując go w głowę. – Zawsze tak trzeźwo patrzysz na świat.

A potem, nim ktokolwiek zdążył zareagować, wyjęła z za pasa siekierkę i jej tępą stroną uderzyła go w tył głowy.

LUCYNA

– No, co się tak gapicie? – zawołała.

Rafał spadł z krzesła na podłogę. Jęknął. Spróbował wstać. Dostrzegła promyk czerwieni budzący się w jego blasku, więc

niechętnie uderzyła go jeszcze raz. Niech już straci przytomność, cholera. Nie chciała go zabijać.

A już na pewno nie chciała, żeby zabił ją. Teraz raczej nie objąłby jej immunitet jego berserku.

– Na co czekacie? – wrzasnęła na nich. – Zwiążcie go czymś! Tomek, macie tu chyba jakieś sznury, co?

Pierwsza ocknęła się Kaśka. Ale nie zareagowała tak, jak Lucyna sobie zażyczyła. Wrzeszcząc jak opętana, rzuciła się na Lucynę i zaczęła okładać ją pięściami. Gdyby wściekłość nie przytłumiła jej rozsądku, byłoby kiepsko. Na szczęście, gdy dziewczyna przypomniała sobie o nożu, był już przy niej Tomasz. Wykręcił jej rękę, a ją samą obalił na podłogę.

Dzięki temu Lucyna miała okazję zdzielić Rafała jeszcze raz. Bo znowu spróbował się podnieść. Tym razem upadł i zamarł bez ruchu.

– Zatłukłaś go! – zawyła Kaśka. – Zabiję cię za to! Zabiję!

Lucyna spróbowała nie przejąć się jej słowami. Przyjdzie czas, że mała zrozumie i może nawet padną sobie w ramiona. Teraz należy zdusić w sobie to uczucie żalu. Kaśka po prostu jest za smarkata, by pojmować reguły dorosłego świata. Czuła się strasznie dojrzała, bo zabiła parę osób. To za mało, kochanie. Zabić potrafi każdy. Trzeba się jeszcze nauczyć patrzeć w przyszłość i ponosić koszty swoich decyzji. Nawet tych najcięższych.

Pochyliła się nad Rafałem. Obróciła go na plecy, przytknęła dłoń do piersi.

– Żyje – oznajmiła. – Serce mu bije. Oddycha. Nie uderzyłam mocno. Nawet nie pogruchotałam mu czaszki. Tak sędzę.

– Zdrajczyni! – nie ustępowała Kaśka. – Wszyscy jesteście zdrajcy!

Tylko Sylwia wciąż nie ruszała się z miejsca. Nadal nie rozumiała, co się działo.

Lucyna na razie postanowiła ją zignorować.

– Puść małą – poleciła Tomaszowi. – Jeśli nie ma noża, sama sobie z nią poradzę. Ty idź po jakieś sznury. Bo wierz mi, jak twój kumpel się ocknie, lepiej, żeby był dokładnie związany.

Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy zwykły sznurek, choćby gruby, zdoła powstrzymać Rafała, gdy ten wpadnie w berserk. Wciąż nie miała pojęcia, jak działała gorączka. Ale może dzięki Maskom dowie się tego.

Pozwoliła Kaśce podejść do Rafała. Dziewczyna nachyliła się nad nieprzytomnym, sprawdzała rany na jego głowie.

– Posłuchaj – spróbowała wytłumaczyć jej Lucyna. – Ta Maska ma rację. Ludziom puszczają hamulce. Nie wiem, czy to potrwa tydzień, czy może miesiąc, ale rozpęta się tu piekło. Widziałaś sąsiadów Rafała. To źli ludzie. Musimy iść do Masek. Dowiedzieć się czegoś więcej o tym, kim się staliśmy. I nie możemy czekać, aż on zmieni zdanie. To mężczyzna, ma zakuty łeb.

– Ma twardy łeb. – Kaśka zapanowała nad sobą na tyle, by znów zacząć prawie normalnie mówić. Czuć było jednak w jej słowach gniew. – Przeżyje. Ocknie się. A wtedy z przyjemnością popatrzę, jak rozrywa cię na strzępy, ciotko!

Nienawidzę cię! Tam, pod szpitalem było mi cię żal! Ale teraz cieszę się, że Iza zginęła, zanim poznała cię taką, jaką jesteś naprawdę!

– Dorośniesz, zrozumiesz. – Lucyna pokręciła głową, starając się powstrzymać łzy. Słowa tej nieznośnej dziewczyny zabolowały ją. Niech szlag trafi dzieciaki i ich brak zahamowań!

Tomasz wrócił z nie byle czym, bo z cienką, ale wytrzymałą linką wspinaczkową. Taka powinna powstrzymać nawet mężczyznę ogarniętego berserkami.

– Rozumiesz, czemu to zrobiłam? – Lucyna zwróciła się do Sylwii.

– Jesteś rozsądna.

– Nie. O, przysięgam ci, że nie. Gdybym była, nie uderzyłabym go. Nie tego faceta. Nie, Masko. Jestem ciekawa. Ciekawa tego, czym się stałam. Ilu jest innych, takich jak ja. Jaka będzie nasza przyszłość. Dlatego chcę iść z wami. Ale nie sama. Chcę zabrać ze sobą dziewczynę i Rafała.

– Nie będzie ci wdzięczny.

– Z czasem zrozumie i będzie. Oboje będą. Ale teraz trzeba go zapakować na wózek; widziałam taki na złom, w piwnicy. I zawieźć do tego waszego więzienia. Nim on się ocknie i nim wstanie dzień i ktoś będzie nas mógł zobaczyć.

– Ja nie idę! – zawołała Kaśka. – Nie zmusicie mnie!

– Oczywiście, że cię zmusimy, kochanie. – Lucyna nienawidziła samą siebie, kiedy tak zwracała się do dziecka, które jeszcze parę godzin temu przytulało ją, gdy płakała. Które zaufało jej i nazywało ją ciotką. Ale, powtarzała sobie,

czasem trzeba okazać się trochę skurwysynem, żeby koniec końców pozostać dobrym człowiekiem. – Jest nas czworo silnych dorosłych.

– Zabijałam silniejszych!

– Może i tak. Ale nie musimy z tobą walczyć. Pomyśl, kochanie. Jeśli z nami nie pójdziesz, nigdy nie dowiesz się, co stało się z nim – wskazała Rafała.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła Kaśka. – I przysięgam, znajdę sposób, żebyś za to zapłaciła!

– Ale teraz idziesz z nami, tak?

– Teraz idę z wami.

K A R O L

Narzucił na siebie pałatkę. Nie czuł zimna, ale wiedział, że świt przyniesie chłód. Przede wszystkim jednak nie chciał, by drzwi otworzyły się nagle i ujawniono jego nagość. Nie czuł się dobrze bez ubrania, jakby bez spodni i bluzy przestawał być sobą. Przede wszystkim traktował nagość jak upokorzenie i był przekonany, że kapral Menes patrzył na to w ten sam sposób.

Usiadł na najbliższej pryczy. Chciało mu się pić, lecz nie ufał Maskom. Kto wie, co znajdowało się w wodzie nalanej z pozostawionego mu dzbanka.

Nie chciał zasnąć. Nie w domu tych obcych ludzi, o których wiedział zbyt mało. Nie chciał tu śnić snów o berserku. Jeśli naprawdę dysponowali starymi technologiami, mogli

obserwować go za pośrednictwem kamer nawet w ciemnościach.

Giętki mówił, że był im do czegoś potrzebny. Ciekawe, do czego? Teraz, gdy stracił stanowisko, nie miał nic, co mógłby zaproponować temu całemu Pułkownikowi. Musiał przyznać sam przed sobą, że należał do ludzi bezużytecznych. Sprzedawca z Sukiennic, z wykształcenia geolog. Cholernie przydatna profesja! O ile Pułkownik nie chciał uruchomić z powrotem kamieniołomów, nie przydałby się mu na nic.

Cóż, nie zamierzał obwieszczać tego świata. Diabli wiedzą, co Maski robiły z nieprzydatnymi ludźmi. Może ich zjadały?

Przyszło mu do głowy, że wzorem więźniów, o których czytał w powieściach przygodowych, mógłby wskrobać na ścianie swoje imię i datę. Tylko czym? Palcami? Może dzbankiem?

Absurdalne pomysły! Zamiast tego spróbował przeanalizować to, czego już dowiedział się o Pułkowniku, żeby przygotować się na spotkanie z nim.

Wojskowy. Prawdziwy wojskowy. Nie przetrwało ich wielu, choć mogłoby się wydawać, że to właśnie oni byli najlepiej przygotowani na katastrofy. W każdym razie szeregowcy i kaprale, a nie brzuchaci generałowie, którym walka wręcz wychodziła tylko wtedy, gdy ich przeciwnikiem była miska zupy albo pieczony kurczak. Nie, ci wysportowani, wytrenowani w boju twardziele, zawsze z nożem albo saperką pod ręką. Ich pech polegał jednak na tym, że gdy zaczęło się szaleństwo, znajdowali się najczęściej w pobliżu innych

podobnych im twardzieli, też z nożami za pasem. Wymordowali się nawzajem i wojsko wypadło z równania.

Tak więc Pułkownik. Pytanie, czy jakiś smutny brzuchacz z za biurka, czy też dowódca polowy? Kurde, w sumie facet nie musiał być nawet oficerem. Przecież Karol też kazał się nazywać Kapitanem, chociaż jego wcześniejszy kontakt z wojskiem wiązał się z dowodzeniem armią plastikowych żołnierzyków w dzieciństwie.

Giętki twierdził, że akcja z Maskami została zaplanowana jeszcze przed wybuchem epidemii. W takim razie należałoby założyć, że faktycznie mógł tym dowodzić jakiś żołnierz. Jeśli tak, to pewnie oficer. Do tak ważnej sprawy nie oddelegowano by byle dupka. Zatem fachowiec. Może nawet wykształcony. Nie, wróć. To Polska. Tu wystarczyło, że był kuzynem właściwego ministra.

Kurwa.

Jakieś inne dane? Podobno mają tu łączność z całym światem. Więc sieć Masek obejmuje pewnie glob. Tutejszy Pułkownik nie jest samodzielnym dowódcą, lecz komuś podlega. Ale co z tego? Praktycznie i tak dysponuje tu nieograniczoną władzą. I zapewne nie on wymyślił tę „pierwszą dyrektywę”. Szkoda, Karol wiedziałby przynajmniej, że tamten oglądał *Star Treka*.

Wypadało pogodzić się z klęską.

Szlag by to trafił.

Prawie zasnął, gdy zamek w drzwiach zazgrzytał po swojemu.

– Gotowy? – zapytał kapral Menes. – No to zbieraj się, rekrucie. Pułkownik spotka się z tobą podczas grupowej audiencji.

– Grupowej?

– Mamy taką jedną wybitną rekruterkę. Przyprowadziła czwórkę chętnych. Kurde, nawet dzieciaka. Masz pojęcie?

Dziecko? Jeśli Maski zdołały dotrzeć do którejś z dziecięcych twierdz, ich wpływy musiały sięgać naprawdę daleko.

– Tym razem schodami w dół – polecił mu Menes. – Zasuwamy do piwnicy, a potem jeszcze niżej.

– Nie masz dla mnie jakichś butów?

– Tutaj jest czysto jak u babci w kibelku! – zarechotał Menes.
– No, idziemy!

Karol otwierał kolejne drzwi, aż stanęli przed tymi piwnicznymi. Przez całą drogę nie zauważył żadnego śladu wskazującego na to, że więzienie naprawdę dysponowało własnym zasilaniem. Napotykanie po drodze Maski przyświecały sobie latarkami albo siedziały w otwartych celach przy świeczkach. Ani śladu elektryczności.

Ale gdy przekroczyli strzeżone przez dwóch strażników drzwi prowadzące do piwnicy, wszystko się zmieniło. Zwisająca na podciągniętym prowizorycznie kablu żarówka dawała raczej słabe światło, ale działała!

– Gały wybałuszone? – roześmiał się Menes i popchnął lekko Karola w plecy, by skłonić go do dalszej drogi. – Tu jest cywilizacja! A nie to, co w tym waszym bagnie!

Weszli do kolejnego strzeżonego pomieszczenia. Stała tam już grupa osób, najwyraźniej także oczekujących na audiencję. Dwoje z nich miało na sobie kombinezony Masek, ale troje chyba również zmuszono do rozebrania się do naga i narzucenia na siebie tylko pałatek. Karol poznał to po ich bosych stopach i zakłopotanych minach. Najspokojniejszy z tej trójki był wysoki mężczyzna, być może trochę otępiały po świeżym ciosie w głowę. Bandaż, którym owinięto mu czaszkę, wciąż nasiąknięty był krwią.

Karolowi wydawało się, że gdzieś już go widział, nie potrafił jednak skojarzyć z tą twarzą żadnego imienia.

– Widzisz? – mówiła bosa kobieta, przestępując z nogi na nogę. – Widzisz, dziecko, mają tu prąd! Prąd! A ty nie chciałaś tu przyjść!

Dziewczynka, do której kierowała te słowa, nie odpowiedziała. Trzymała za rękę mężczyznę.

Teraz Kapitan zrozumiał, skąd go znał. To ten dziecięcy posłaniec!

– No i przyprowadziłem ostatniego! – oświadczył Menes. – Otwierać wrota! Niech rekruci zobaczą raj!

Pozostali obrócili się, by spojrzeć na Karola. Jeśli nawet rozpoznali w nim Kapitana Strażników, nie dali tego po sobie poznać. Tylko kobieta w pałatce krzyknęła cicho na jego widok. Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia, a może przestraszu.

Wtedy zaskrzeczał głośnik oznajmujący, że drzwi do – jak powiedział Menes – rajy zaczynają się otwierać.

Rozsuwały się powoli, opornie. Ale przebijało przez nie jasne światło.

Karol poczuł, że zakręciło mu się w głowie.

LUCYNA

Nowy jaśniał! Lucyna dostrzegła to od razu. Nie był to może potężny blask, jak u Kaśki, ale niewątpliwie ostatni z rekrutów nosił w sobie dar. W pierwszej chwili ucieszyła się z tego, zaraz jednak poczuła niepokój. Jak to się stało, że właśnie teraz poznała następnego jaśniejącego? Przypadek? A może Maski polowały na takich jak oni? Sylwia nie musiała zdradzać im wszystkiego, przekłeta oszustka. Mogli mieć sposoby na rozpoznawanie obdarowanych.

Cała ta wyprawa przestała się podobać Lucynie, gdy tylko zamknęła się za nimi brama więzienia. Sam budynek nie był może brzydki, choć kraty w oknach robiły przygnębiające wrażenie. Jednak nocą, otoczony murami, wyglądał paskudnie. Zwłaszcza że sporo Masek krążyło wokół niego. Z zasłoniętymi twarzami, milczący i przypatrujący się przybyszom niczym sowy nie budzili miłych skojarzeń.

A potem jakiś Maska, podobno sierżant, kazał im wszystkim rozebrać się do naga. Rozwiązali wtedy Rafała, już przytomnego. I nie związali go z powrotem. Nie mieli się czego obawiać. Oni, uzbrojeni w pałki i pistolety, a on ranny i nagi. Lucyna musiała mu pomóc zdjąć ubranie. Nie odezwał się do

niej ani słowem. Kaśkę pogłaskał po głowie, coś tam do niej szepnął. Dziewczyna chwyciła go za rękę i już jej nie puszczała.

– Źle nas traktujecie – poskarżyła się Sylwii.

– Pułkownik to najważniejszy człowiek w Krakowie, a jeden z ważniejszych w Polsce i na świecie – odparła tamta zółta. – Musimy mieć pewność, że nowi przychodzą nieuzbrojeni.

– Nawet tacy ochotnicy jak ja?

– Przepraszam. Takie są procedury.

Rafał odezwał się tylko raz. Gdy maszerowali więziennym korytarzem w stronę piwnicy.

– Prawdziwy raj – mruknął. – Elektryczność, światła. I wszędzie komputery.

Lucyna zjeżyła się. Wiedziała, że mówił do niej. Faktycznie, wszystko tu pachniało ściemą.

– Nie zapalamy światła w budynku – odpowiedziała mu Sylwia. – Byłoby je widać z daleka, a nie chcemy przyciągać uwagi.

Jej słowa dodały Lucynie otuchy. No tak, to miało sens. Przecież działali skrycie. Mieli rozświetlić więzienie jak choinkę?

Jeszcze bardziej serce urosło w niej, gdy weszli na niewidoczny z zewnątrz, pozbawiony okien korytarz piwniczny. Ten był już oświetlony elektrycznie! Ha! Macie, niedowiarki!

Szkoda tylko, że podłoga była taka zimna, a Lucynę pozbawiono butów.

A potem kazano im czekać, aż przyjdzie ostatni z rekrutów. Jego widok wstrząsnął Lucyną i przepelnił ją nowymi obawami.

Wszystkie one jednak zbladły, gdy ujrzała wewnątrz kwatery głównej.

Tam naprawdę było jasno. W dwóch tego słowa znaczeniach. Po pierwsze, dzięki pobrzękującym jarzeniówkom, których całe rzędy zawieszono pod sufitem. A po drugie i najważniejsze, z powodu mężczyzny w wojskowym mundurze siedzącego na końcu sali za wielkim drewnianym burkiem. Jego blask przyćmiewał nawet niezwykle światło Kaśki.

Lucyna poczuła, że zakręciło jej się w głowie.

– Widzicie! – zawołał uradowany Tomasz. – A nie mówiłem? Wszystko jest! Światło, komputery! Praca wre!

– Rzeczywiście. – Głos ostatniego rekruta brzmiał ochryple. – Wszystko jest.

Rafał tylko się roześmiał. Dziko, jak szalenię. A kiedy już zaczął, najwyraźniej nie mógł przestać. Śmiech opanował go jak gorączka. Mężczyzna zanosił się spazmami wściekłego rechotu. Łapał głośno powietrze, próbował coś powiedzieć, ale nie potrafił. Wprost ryczał ze śmiechu.

Pułkownik jaśniejący tak mocno, że wręcz oślepił Lucynę, wstał zza biurka i wyszedł naprzeciw gościom. Odchrząknął.

– Witajcie – powiedział. Zwrócił twarz tak pełną światła, że Lucyna nie była w stanie dostrzec jej rysów, ku Rafałowi. – A temu co jest? Oszalał?

– Ja...? – Rafał zdobył się wreszcie na wysiłek i zdołał wyartykułować zrozumiałe słowa. – Ja zwariowałem? Co to jest? Tomasz, to jest ten wasz raj?

O co mu chodziło? Lucyna uniosła dłoń do czoła, by osłonić oczy przed oślepiającą światłością Pułkownika. Przez nią dostrzegała tylko cienie długich rzędów biurk z poustawianymi na nich monitorami oraz zarysy ludzi w maskach pochylających się nad blatami, jakby pisali coś na klawiaturach.

– Co jest, stary? – zdziwił się Tomasz. Podszedł do przyjaciela, położył mu ręce na ramionach. – Źle się czujesz? On został ranny w głowę, Pułkownik. To pewnie dlatego.

Ale nie tylko Rafał stanowił problem.

– Przecież to jakieś piekło – wyszeptała Kaśka. – Czemuście nas przyprowadzili do tego grobowca?

– Piekło? – powtórzyła zaskoczona Sylwia. – Ależ dziecko! To nowoczesna centrala łączności. Zobacz, na tym ekranie widać przekaz na żywo z Waszyngtonu. To nic strasznego. Może już odwykłaś od najnowszych technologii...

– Ja tu widzę tylko kupę popsutego złomu i jakichś idiotów tłukących w nieczynne klawiatury – przerwał jej ostatni z rekrutów. – Co to za szopka?

– Pan żartuje? – Tomasz spojrzał na niego wstrząśnięty. – Jaki złom? Najnowocześniejszy sprzęt...

Lucynie znów zakręciło się w głowie. Tym razem skutecznie. Nie utrzymała równowagi. Upadła na kolana. Poczowała, że kolacja napłynęła jej do ust. Co tu się działo? Za dużo tej

jasności. Zacisnęła kurczowo powieki, ale wiele to nie pomogło. Zwymiotowała.

– Kogoście mi tu przyprowadzili? – słyszała, jak pieklił się Pułkownik. – Jeden ranny wariat, druga rzyga! I ten trzeci, niby taki świetny Kapitan Strażników, a to jakiś pajac! Wyprowadzić ich! Tylko dziecko niech zostanie.

Rafał natychmiast przestał się śmiać.

– No! – zawarczał ostrzegawczo.

„Po to go tu zaciągnęłam – przypomniała sobie Lucyna. – Mój as w rękawie, gdyby wszystko poszło nie tak. Moja tajna broń...”.

Poczuła, że mdłości mijają. I zawroty głowy też. Niechętnie, wciąż obawiając się jasności Pułkownika, otworzyła oczy.

I nagle zobaczyła wszystko tak, jak od początku musieli to widzieć Rafał, Kaśka i Kapitan.

Tylko światło jarzeniówek było prawdziwe. I długie rzędy biurek. Jednak komputery, które na nich stały, były martwe, podobnie jak monitory. Żadne obrazy nie wyświetlały się na pozbawionych życia ekranach. Siedzące przy nich Maski z zapalonym wystukiwały na klawiaturach setki bezużytecznych słów i poleceń.

Lucynie wydawało się, że dostrzegła teraz, jak z jasności Pułkownika wypływają wąskie blade nici światła. Spowijały głowy wszystkich Masek, a także Sylwii i Tomasza. Daremnie jednak próbowały dobrać się do tych, którzy jaśnili własnym światłem. Także przed Lucyną unosił się rozkołysany promień, starając się na powrót zapanować nad nią.

Nic tu nie było. Żadnego centrum, żadnych naukowców, żadnej łączności ze światem. Jedynie potężny jaśniejący umysł i jego iluzje.

– On jaśnieje! – zawołała Lucyna, próbując podnieść się z kolan. – Maski widzą to, co on im pokazuje! To oszust! Oszust!

– Zabić ją! – wrzasnął Pułkownik. – Zabić ich wszystkich!

Maski zareagowały natychmiast. Zarówno strażnicy, którzy strzegli centrali, jak i ci, którzy siedzieli przy biurkach. Jeszcze nie wyciągali broni palnej. Zapewne sądzili, że przy takiej przewadze liczebnej poradzą sobie bez trudu.

I prawie im się udało.

Ktoś zdzielił Lucynę w głowę. Poleciała do tyłu, uderzając boleśnie o podłogę. Poczowała kopnięcia. Krzyknęła z bólu. Któryś z kopniaków obrócił ją na bok i wtedy zobaczyła, jak Kapitan tłucze o mur łbem Maski, która go przyprowadziła. Dwie inne Maski chwyciły go od tyłu, starając się odciągnąć go od ofiary, ale zdawał się tym nie przejmować.

Wtedy znów ktoś ją kopnął. Walnęła czołem o podłogę. Krew zalała jej oczy.

Nie musiała jednak widzieć, by wiedzieć, co się dzieje. Usłyszała przerażony krzyk Kaśki, a chwilę później potężny, nieludzki ryk, który wstrząsnął całym budynkiem.

– Na miłość boską, zastrzelcie to coś! – polecił spanikowany Pułkownik.

– Za późno – szepnęła Lucyna. – Mój kochanek, mój as w rękawie...

KAROL

Wiedział, że było już po nim. Nie przejmował się tym. Nie rozumiał nic z całej sytuacji, nie pojmował, czemu przyszło mu umrzeć w tym dziwnym, częściowo przerażającym, a częściowo komicznym miejscu. Miał to gdzieś. Gdy Pułkownik wydał swój rozkaz, Karol nie czekał. Obrócił się ku stojącemu za nim kapralowi Manesowi i wkładając w to wszystkie siły, strzelił tamtego pięścią w twarz. Chrupnęła miążdzona chrząstka. Maska złapał się za złamany nos, a Karol, ignorując nagły ból w dłoni, którą zadał cios, zaczął okładać tamtego po brzuchu. Potem kopnął go w jaja. Wreszcie chwycił za gardło i pchnął na ścianę. Cały czas dusząc nieznośnego, pyszałkowego kaprała, równocześnie tłukł jego głową o ścianę. Zabije tego skurwiela. Choćby nie wiem co, zabije go, nim sam skona.

Ktoś chwycił go od tyłu, próbował odciągnąć. Zignorował te wysiłki, wzmocił za to nacisk na szyję Menesa.

Boże, co za cudowne uczucie! Bo czuł! Czuł rozpierający go gniew. Na wszystko – na Krystynę, Kardynała, Strażników, którzy zdradzili go bądź w najlepszym wypadku wykazali się obojętnością. Na siebie samego, że dał się wciągnąć w idiotyczną pułapkę zastawioną przez jakąś bandę szaleńców, że pozwolił, by wzbudzili w nim głupią nadzieję.

Nie czuł nic, żadnych emocji od tak dawna! Sądził, że gorączka wypaliła je w nim do cna. Nawet gdy zabijał Jerzego, robił to na zimno. A tu proszę!

Kapral zwiotczał w jego dłoniach. Puścił go i obrócił się do Masek, które miał za plecami. Jedna z nich opuszczała właśnie pałkę. Karol nie zdołał uchylić się przed ciosem. Zasłonił się lewą ręką i krzyknął z bólu, gdy przyjęła na siebie uderzenie. Widział, jak druga Maska wyjmuje z kabury pistolet, ale wiedział, że nic nie może na to poradzić. Umrze tu, w tej więziennej piwnicy. Daremnie, wśród szaleńców przekonanych, że są tajną rządową armią i w martwych, czarnych monitorach widzą obrazki z całego świata.

No trudno. Emocje znów go opuszczały. Gniew wyparowywał w szaleńczym tempie. Karol nie potrafił się już przejąć własną śmiercią. Chyba powinna była nastąpić dawno temu. Przynajmniej uwolni się dzięki niej od tych przeklętych snów. Pozwolił jednej z Masek przyszpilić się do ściany i obojętnie przyglądał się, jak druga odbezpiecza broń.

I wtedy dziecko, które też tu zwabiono, zaczęło krzyczeć. Przerażliwie, jak tylko potrafią skarżyć się na ból i niesprawiedliwość świata dziewczynki, zdolne do wydawania najbardziej przerażających pisków dosłownie mrożących krew w żyłach.

Wiele by to nie zmieniło, gdyby nie odpowiedział jej facet, z którym tu przyszła. Przewodnik dzieci. Dotąd walczył słabo, pewnie z powodu rany na głowie. Przyjął parę ciosów, starając się osłaniać dziewczynkę, ale chwiał się na nogach. Gdy jednak osunął się na jedno kolano i któraś z Masek zdzieliła go w łeb, coś się zmieniło.

Nagle przyspieszył. Zaczął uchylać się przed ciosami, a nawet rozdawać własne. A kiedy dziewczynka, którą dwie Maski złapały za ręce, wydała z siebie pisk, mężczyzna odpowiedział rykiem, od którego tynk posypał się ze ścian.

Wciąż rycząc, wstał. Karol nie widział jego twarzy, ale dostrzegł przerażenie malujące się na obliczu Pułkownika.

Ryczący facet po prostu miażdżył głowy kolejnym Maskom. A Karol trafił do świata ze swoich snów. Znów oglądał berserk w działaniu.

Ale jaki berserk!

– Na miłość boską, zastrzelcie to coś! – teraz piszczał Pułkownik.

Próbowali. Karol mógłby dać słowo, że starali się jak diabli. Nawet ten, który szykował się na niego, celował w opętanego i naciskał spust, póki nie opróżnił magazynka. Lecz kule zdawały się nie imać berserkera. Może poruszał się zbyt szybko dla strzelców? Dziwnymi, rwanymi i trudnymi do przewidzenia susami zbliżał się w kierunku Pułkownika. A każdy skok kończył się agonialnym wrzaskiem jakiejś Maski.

Karolowi prawie było ich żal. Prawie. Wykorzystał roztrzęsienie Maski wciąż przyciskającej go do ściany, ale oglądającej się co chwila na przerażającą rzeź rozgrywającą się za jego plecami. Karol wyrwał mu pałkę z ręki, odskoczył na bok i z całej siły wbił ją w gardło przeciwnika. Tamten zacharczał. Upadł przed Karolem, a ten skrócił jego męki jednym uderzeniem.

W tym czasie berserker dopadł wreszcie Pułkownika.

– Nie możesz! – krzyknął wojskowy, próbując zasłonić się uniesionymi rękami. – Moja wizja...!

Opętaniec dosłownie rozerwał go na strzępy.

Zapadła nagła cisza. I wtedy ktoś wystrzelił z drugiego końca sali. Berserker zadrżał od uderzenia celnego pocisku. Odwrócił się w kierunku strzelca. Wyglądał jak demon, wcielenie śmierci. Twarz spływała mu krwią przypominającą teraz płynną maskę. Dłonie zaciśnięte nie w pięści, lecz w szpony, w których wciąż widać było resztki ciała Pułkownika, wyciągnął przed siebie. Zaryczał.

„Zabij go!” – ponaglał w myślach Maskę Karol. Może berserker uratował mu życie, a Maski były wrogami, ale Kapitan zdawał sobie sprawę, co nastąpi, gdy opętanemu skończą się wrogowie. Zapoluje na następnych. Tak działał berserk, a ten szalenciec był najpotężniejszym, jakiego Karol pamiętał. A przez powracające sny zapamiętał wielu.

Ale Maska zamiast strzelać, stał z wycelowanym pistoletem. Drżał na całym ciele. Mamrotał coś do siebie.

Może by i wystrzelił, lecz wtedy jakaś postać podniosła się z podłogi. Kobieta, jedna z tych sprowadzonych tutaj. Ktoś zerwał z niej pałatkę podczas walki. Stała więc za Maską naga, ociekająca krwią. Tym razem jednak już jej to nie przeszkadzało.

– On jest mój! – krzyknęła, wbijając z rozmachem w kark Maski nóż odebrany któremuś z jego martwych towarzyszy.

„No pięknie – pomyślał Karol. – Już było tak blisko. A teraz wszyscy zginiemy”.

Zdawał sobie sprawę, że nie wydobędzie się z więzienia żywi. Na górnych piętrach zostało jeszcze trochę Masek. Pewnie nie spodobałoby im się, co zrobili z ich dowódcą. Ale to Karolowi nie przeszkadzało. Nie chciał jednak umierać jak postacie z jego snów. Nie od ciosów berserkerów.

Opętany stęknął. Rozejrzył się po wnętrzu piwnicy, najpewniej zastanawiając się, którą z ofiar wybrać najpierw.

Dziewczynka wyszła mu naprzeciw. Berserker spojrzał na nią z namysłem. Zamrugął.

A potem uśmiechnął się i przytulił ją do siebie.

– Znowu to zrobiłem? – zapytał. – Bo nic nie pamiętam.

Ktoś zaklął obelżywie. Dopiero gdy wszystkie trzy ocalałe osoby spojrzały na niego, Karol zorientował się, że to on. Czując się niewymownie głupio, przeprosił.

– A myślałeś, że widziałeś już wszystko, co? – mrugnęła do niego naga kobieta cała we krwi. I zachichotała.

Nagle zaczęli się śmiać wszyscy. Histerycznie, dziko. Mury więzienia zatrzęsły się od ich śmiechu.

CZĘŚĆ PIĄTA Światła

*there is something else there when all that you had has all gone and more than
this I'm alone
feeling so connected and I'm all there right next to you more than this*

more than this

more than this

Peter Gabriel, *More Than This*

Rafał uparł się, że pogrzebie Tomasza i Sylwię razem, w tym swoim ogródku. Lucyna chciała mu pomóc, ale nie pozwolił jej.

– Ciągłe jesteś na mnie zły? – zapytała.

– Trochę tak. Ale wybaczę ci. Póki co nie umiem inaczej. Ale uważaj, bo to się może kiedyś skończyć. Pochować ich muszę sam. A ty idź pogadaj z kimś, kto nie jest tak miłosierny jak ja. Też musisz zrobić to sama.

Westchnęła. To będzie trudne zadanie. Być może najtrudniejsze w jej życiu.

Kaśka siedziała na trzepaku, machając nogami. Rozmawiała o czymś z tym okularnikiem, który teraz wyglądał jak parodia bohatera westernu. Wytrzasnął skądś czarny kapelusz o szerokim rondzie i długi płaszcz tego samego koloru. Jakby tego było mało, założył pas z rewolwerem. Pozer.

Kaśka odwróciła głowę, gdy Lucyna podeszła do niej.

– Chyba was zostawię – mruknął.

– Nie. Z nią nie chcę rozmawiać – zaprotestowała dziewczynka. – Z tobą chcę.

– To miłe. Ale wygląda na to, że mam robotę. – Skinieniem głowy wskazał nadchodzącego na czele grupy sąsiadów Adama. Tym razem przyszli uzbrojeni.

– Myślisz, że sobie poradzi? – spróbowała zagaić Lucyna.

– To twardziel – odpowiedziała Kaśka. – Dowodził Strażnikami, wiesz?

– Ale jego rewolwer ma sześć pocisków. A ich jest siedmioro.

Dziewczynka spojrzała na nią spode łba.

– Znów chcesz podpaść? – zapytała.

Wiatr pojawił się nie wiadomo skąd, rozwiewając jej rozpuszczone włosy i unosząc poły płaszcza Karola.

– Jezu, jak na filmie! – zawołała Lucyna.

Rafał wbił szpadel w ziemię. Nie była to najlepsza gleba na świecie. Piaszczysta, pełna kamieni. Ale podsypana torfem syciła pomidory, ogórki, marchewki. Dawało się w niej sadzić ziemniaki i buraki. Żywiła cebulę.

I jak się człowiek uparł, można w niej było wykopać w miarę niezły grób.

Przerwał pracę. Podszedł do ukwieconego kopczyka, pod którym spoczywała jego córka.

– Mam nadzieję, że się nie obrazisz – szepnął. – Po tylu miesiącach najwyższy czas, żebym się obudził. Cholera, wygląda na to, że coś we mnie siedzi. Ale chyba nie jest tak złe, jak sądziłem. Straszne, tak. Ale chyba nie złe.

Wyrwał kilka chwastów próbujących wyprzeć z kopczyka kwiaty, ucałował krzyż, jak kiedyś swoje dziecko, i wrócił do kopania grobów. Kątem oka widział, jak Adam z towarzyszeniem ucieka w panice. Lucyna i Kaśka klaskały zawzięcie.

Dobrze. Może lody zostały przełamane.

– Pomóc ci? – tym razem to Kapitan pytał. Podeszedł do trującego się z oporną ziemią Rafała i stanął za jego plecami.

– Już mi pomogłeś. Co im powiedziałaś.

– Nie chcesz wiedzieć. Ale powinni dać ci spokój. A jeśli nie...
Ich pech.

– No to wołałbym, żeby jednak dali. Ciągłe chcesz odejść?

– Nie chcę. Muszę. Krystyna nie da mi spokoju. Będzie mnie szukać. Dysponuje znaczną siłą. Gdyby mnie tu znaleźli... Cóż, to kiedyś byli moi ludzie. Nie chciałbym, żebyś ich pozabijał.

– Rozumiem. Ale... tam? Do Masek?

– Zdziatkowałeś ich, lecz paru pozostało. To oddział o sporych możliwościach, ale teraz są zagubieni. Potrzebują dowódcy. A ja chyba nie potrafię robić wiele więcej poza dowodzeniem.

– Zdajesz sobie sprawę, że to wszystko było iluzją? Nie było żadnego spisku naukowców, światowej sieci obrońców i planów założenia nowej ludzkości? To wszystko wymyślił tamten szaleniec i zaraził swoim obłędem innych. Sprowadzał ich do piwnicy, hipnotyzował i gdy stamtąd wychodzili, wierzyli, że widzieli super sprzęt. I te przekazy z innych miast. Teraz się przebudzili i wiedzą, że to bzdura.

– Potrafię stworzyć z nich coś nowego. Chociaż nie mam żadnych mocy.

– Lucyna uważa, że masz.

– Wierzysz w te jej blaski?

– Wiem, kim się staję. Wiem, że Kaśka ma swój dar. I wiem, że iluzja Pułkownika nas nie tknęła. Jestem twardogłowym

racjonalistą, Karol. Lecz nawet ja ustępuję przed nieznanym, gdy odgryzie mi pół dupy.

– Cholera.

– No, cholera. Powiesz mi, jaki ty masz dar?

– Jaki tam dar – westchnął Karol. – Każdej nocy śni mi się, co robiłem podczas berserku. Pieprzę taki dar. No, zwijam się. Jakby co, wiesz gdzie mnie szukać.

– Czyli Maski nie znikną?

– Pułkownik był zdrowo rąbnięty, ale pomysł z tą bronią psychologiczną nie wydaje mi się zły. Bywaj, berserkerze.

– Bywaj, kowboju.

Karol uśmiechnął się nieznacznie, a potem przejechał kciukiem po krawędzi kapelusza na pożegnanie i odszedł.

Rafał wrócił do kopania grobów. Nie szło mu najlepiej. Dokuczała mu rana od włóczni w ramieniu i pogruchotane żebra po postrzale. Do tego czuł się nieludzko zmęczony. Marzył tylko o tym, by położyć się do łóżka i spać przynajmniej przez tydzień.

Najpierw jednak będzie musiał załatwić parę spraw. Przerwał na chwilę kopanie, by spojrzeć na Lucynę i Kaśkę. Kłóciły się zawzięcie. Dobrze. To znaczy, że zaczęły ze sobą rozmawiać.

Świat się skończył, a teraz być może zaczynał się od nowa.

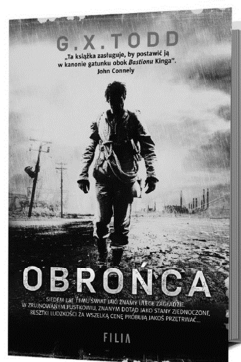
Paweł Grzegorz
1972 roku w
autor opowiadań
Pierwsze
wydano mu



Majka urodzony w
Krakowie polski
fantastycznych.
opowiadanie
drukiem w 1987

roku, w nagrodę za zajęcie 3 miejsca w konkursie Złotej Ostrogi organizowanym co roku przez Świat Młodych. Następne opowiadanie opublikował dopiero w roku 2006. Pracował w lokalnych mediach – prasie i rozgłośniach radiowych, później w jednej z ogólnopolskich telewizji. Jest autorem opublikowanych powieści: *Pokój światów*, *Dzielnica obiecana*, *Niebiańskie pastwiska* oraz *Człowiek obiecany* i *Wojny Przestrzeni*. Trzykrotnie nominowany był do Nagrody im. Janusza A. Zajdla, jest dwukrotnym laureatem Nagrody im. Jerzego Żuławskiego.

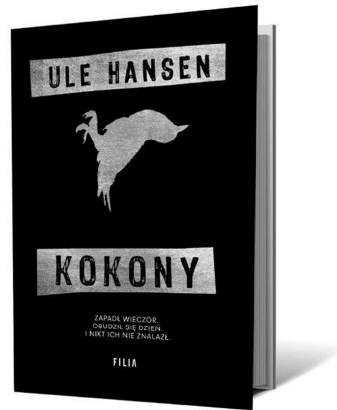
„Ta książka zasługuje, by znaleźć się
w kanonie gatunku obok *Bastionu Kinga*”.
John Connolly



W tym świecie, gdzie zaufanie jest towarem deficytowym,
Pielgrzym poznaje młodą dziewczynę i razem wybierają się
przez postapokaliptyczną pustynię w podróż
pełną niewyobrażalnych niebezpieczeństw.



wydawnictwofilia.pl



ZAPADŁ WIECZÓR.
OBUDZIŁ SIĘ DZIEŃ.
I NIKT ICH NIE ZNALAZŁ.



mrocznastrona.pl

Copyright © Paweł Majka 2017

Copyright © 2017 by Wydawnictwo FILIA Wszelkie prawa zastrzeżone Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz Zdjęcie: © Fotolia/INFINITY

Redakcja i korekta:

MELES-DESIGN

Skład i łamanie:

MELES-DESIGN

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-260-3

FILIA

Wydawnictwo Filia

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl kontakt@wydawnictwofilia.pl Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk

„... i walczyć będzie brat przeciw bratu,
przyjaciół przeciw przyjaciołowi, miasto przeciw miastu,
królestwo przeciw królestwu”.
Księga Izajasza 19, 2



BERSERK

PAWEŁ MAJKA

FILM